

# Anna Kańtoch

Trzynasty anioł



powergraph

E-BOOKOWE  
WZNOWIENIA

**Anna Kańtoch**

# **Trzynasty anioł**



**powergraph**

Warszawa 2014

Anna Kańtoch  
Trzynasty anioł

ISBN: 978-83-64384-15-8

Wydawca:  
Powergraph  
ul. Ceglowska 16/2  
01-803 Warszawa  
tel. 22 834 18 25  
e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)  
[www.powergraph.pl](http://www.powergraph.pl)

COPYRIGHT © 2007-2014 by Anna Kańtoch  
COPYRIGHT © 2014 by Powergraph  
COPYRIGHT © 2014 for the cover by Rafał Kosik

PROJEKT GRAFICZNY: Rafał Kosik  
REDAKCJA: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
KOREKTA: Elżbieta Olszewska

**Wyłączna dystrybucja:**



Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. Sp.j.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. 22 721 2519 / 11

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

## Spis treści

[Dzień pierwszy](#)

[Dzień drugi](#)

[Dzień trzeci](#)

[Dzień czwarty](#)

[Dzień piąty](#)

[Dzień szósty](#)

[Dzień siódmy](#)

[Dzień ósmy](#)

[Dzień dziewiąty](#)

[Dzień dziesiąty](#)

[Dzień jedenasty](#)

[Dzień dwunasty](#)

## Dzień pierwszy

*Proszę o wybaczenie, nie chciałem nikogo skrzywdzić...*

Fragment listu napisanego  
przez Merica Tyrena  
przed jego drugą próbą samobójczą

W jakim stroju powinno się stawać przed obliczem Pana?

— Nagi — odpowiedział sam sobie Meric Tyren. — Przed obliczem Pana powinienem stanąć nagi.

— Nie jest pan umówiony z Bogiem — zaprotestowała Tarai, jego kompetentna zielonoskóra sekretarka, przetrząsając szafę w poszukiwaniu najbardziej stosownej *asani*. — Jest pan umówiony z aniołami.

Oczywiście. Miał to nawet zapisane w swoim terminarzu. Piątek, trzynasta trzydzieści – spotkanie z aniołami.

Merice wyjrzał przez okno. Na ścianie przeciwległej kamienicy wisiał wielki plakat reklamujący najnowszy film Indil. Jasnowłosa piękność obejmowała przystojnego bruneta, w tle unosił się wielki szary smok. Indil miała włosy ułożone w kunsztowne fale i uczesane tak, by odsłaniały spiczaste ucho, a subtelne rysy jej czarnobiałej twarzy wyrażały tęsknotę.

„Królewski klejnot” – głosił wypisany na plakacie tytuł i Meric bez trudu mógł zgadnąć, o czym to będzie. Uciśniona dziewczyna, bohater, magia i całe mnóstwo smoków. Jeszcze parę dni temu chciał pójść na ten film. Lubił Indil – nie była taką wredną suką jak większość elfich aktorek. Teraz wiedział już, że *Królewskiego klejnotu* nie zobaczy. Jutro o tej porze będzie siedział w areszcie.

— Ta jest najlepsza — powiedziała z satysfakcją Tarai. — Teraz

pomyślimy nad marynarką.

Ściślej biorąc, nad marynarką myślała tylko ona. Meric posłusznie założył błękitną jedwabną *asani*, w kwestii dalszych części garderoby również zdając się całkowicie na Tarai. Była ona mieszanicem, półkwi nimfą, po matce odziedziczyła oliwkowozieloną skórę i szmaragdowe włosy, a po ludzkim ojcu – dobry gust.

Włożył marynarkę i przejrzał się w lustrze. Ukazało mu obraz młodego mężczyzny, średniego wzrostu i szczupłego – nie przesadnie, lecz wystarczająco, by stworzyć wrażenie pewnego rodzaju słałości. W całej postaci najbardziej rzucały się w oczy płomiennorude włosy. Dziesięć lat nocnego życia już zaczynało się odznaczać na jego twarzy. Rysy miał delikatne i łagodne, ale cerę zmęczoną, oczy podkrążone, a tuż obok lewej powieki pulsowała nerwowo wypukła błękitna żyłka.

Wskazówki zegarka zbliżały się do wpół do drugiej. Meric wytarł w chusteczkę spocone dłonie, z trudem przełknął ślinę przez ściśnięte gardło. Znow stanął przy oknie, ale nie patrzył już na plakat. Patrzył na znajdujący się nieco dalej szary gmach Domu Bożego.

Jak większość getteimskich świątyń, tak i ta została zbudowana w arleńskim stylu *merilet*: wysokie i smukłe wieże, zakończone ostrymi łukami witrażowe okna i zdobiące mury płaskorzeźby. Wejścia strzegły dwa skrzydlate posągi. Jedna postać stała prosto, spoglądając przed siebie, w rękach trzymała miecz wbity w ziemię pomiędzy stopami. Druga zrywała się właśnie do lotu, skrzydła były na wpół rozpostarte, lekki wiatr już burzył marmurowe włosy, a podkasana wysoko szata ukazywała muskularne uda. Aniołowie. W Getteim było mnóstwo aniołów. Meric od dzieciństwa przywykł do ich obojętnych kamiennych twarzy i pustych oczu spoglądających z dachów kamienic, miejskich fontann i wykuszowych okien Wież Milczenia. Czasem też zachodził do któregoś z Domów Bożych, by podziwiać barwny przepych witraży, gdzie skrzydlate istoty w szatach koloru malwy, szmaragdowej zieleni i kobaltu walczyły połyskującymi złotawo mieczami.

Zastanowił się, czy aniołowie, których za chwilę zobaczy, będą podobni do swych rzeźbionych i malowanych wizerunków. Szcze-

rze w to wąpił.

I rzeczywiście, nie byli.

Pierwszy, który przedstawił się jako Nemuel, miał ciemne włosy, drugi, o imieniu Eliel, był blondynem. Poza tym niewiele się od siebie różnili. Idealnie przystojni, wyglądali jak gwiazdy filmowe na wyretuszowanych zdjęciach. Ubrani byli na sposób Arleńczyków w jedwabny, doskonały na ciepłe dni strój składający się z luźnych spodni i *asani*, rodzaju długiej kolorowej kamizeli.

Meric zaprosił ich do swojego gabinetu. Nie lubił tego pomieszczenia, źle się tu czuł, ale w tej sytuacji najprawdopodobniej nigdzie nie czułby się swobodnie.

Od śmierci ojca Merica niewiele tu zmieniono. Wzdłuż ścian ciągnęły się zapełnione książkami półki, a niski stolik otaczały fotele obite skórą w kolorze czarnej wiśni. Na biurku stał kałamarz. Prawdopodobnie wyschnięty, bo Meric nie pamiętał, kiedy ostatni raz coś tu pisał. Zawsze miał wrażenie, że w gabinecie jest intruzem. Pokój wciąż jeszcze wydawał się przesycony duchem zmarłego Aimerica Tyrena, jego siły, zdolności przekonywania i morderczego uporu, dzięki którym w niespełna pół wieku powstało Getteim. Zbudowane na wodzie miasto sen, miasto marzenie.

Eliel przyjął szklaneczkę wina figowego, Nemuel odmówił. Meric podszedł do gramofonu, ustawił igłę na właściwej pozycji i nacisnął guzik. Gabinet wypełniły miękkie, subtelne dźwięki sonaty na flet, altówkę i harfę.

— Cóż za wspaniałe urządzenie — powiedział Eliel, ten jasnowłosy i uprzejmiejszy. — W hotelu widziałem coś bardzo podobnego. To potrafi także nagrywać głos, nie tylko go odtwarzać, prawda?

— Owszem. — Meric zaczął tłumaczyć zasady działania gramofonu. Był to model drogi, lecz bardzo popularny wśród ludzi interesu i pewnie dlatego umieszczano go w pokojach hotelu Alkion, gdzie zatrzymywali się najbogatsi goście.

— To nie czas na takie rozrywki, Elielu. — Nemuel skarcił swego towarzysza.

Jasnowłosy anioł usiadł w fotelu i napił się wina. Meric poszedł za jego przykładem. Dłoń, w której trzymał kieliszek, nie drżała.

Zdziwiło go to, bo miał wrażenie, że cały się trzęsie.

Aniołowie rzadko rozmawiali ze śmiertelnikami, a jeśli już, to raczej nie mieli im do powiedzenia nic miłego.

Meric odstawił kieliszek. Dłonie oparł o blat stolika. Wąskie, delikatne dłonie człowieka, dla którego najcięższą w życiu pracą było trzymanie pióra. Lewy nadgarstek przecinała blizna, niczym zawiązany w tym miejscu różowy sznurek. Czyste, mocne cięcie, które sięgnęło mięśni, odebrało Mericowi władzę w dwóch palcach lewej ręki: małym i serdecznym.

Zastanawiał się, co jest bardziej przerażające: chłód, z jakim spoglądał na niego Nemuel, czy współczucie, które widział w oczach Eliela.

— Sądziłem, że aniołowie mają skrzydła — powiedział cokolwiek, po to tylko, by przerwać ciszę.

— Tym razem postanowiliśmy nie zwracać na siebie uwagi — wyjaśnił Nemuel. — Chciałby pan ujrzeć nas w pełnej chwale?

Meric spuścił wzrok.

— Nie.

— Przejdźmy od razu do rzeczy. — Nemuel niecierpliwie pochylił się do przodu. — Chodzi nam o Getteim. Będę z panem szczery, panie Tyren. To miasto nie może dalej istnieć.

Boże, jak mi zimno, pomyślał tępo Meric. Teraz naprawdę się trząsał.

Nie może dalej istnieć. Jego umysł jeszcze nie dopuszczał do siebie tej myśli, ale ciało już wiedziało.

Podniósł do warg kieliszek i stwierdził, że nie może przełykać. Gardło miał zaciśnięte. Trzymał w ustach figowe wino, słodkie i gęste.

— Dobrze się pan czuje?

Przełknął z wysiłkiem.

— Getteim zostało zbudowane zgodnie z Przymierzem.

— Doprawdy? — cierpko rzucił anioł. — Wiem oczywiście, że w ciągu wieków śmiertelnicy od czasu do czasu ryzykowali i podpływali łódką, by spotkać się z mieszkańcami drugiego Brzegu, ale to były pojedyncze incydenty, niezagrażające Przymierzem. Lecz Getteim? Miasto, które powstało po to, by połączyć ze sobą oba



Brzegi? Naprawdę uważa pan, że nie jest to złamanie zasad Przymierza?

— Getteim zostało wybudowane na jeziorze, przez które przepływa Gette. Przymierze nie wspomina nic o miastach budowanych na wodzie — zaprotestował. — Mówi tylko, że mieszkańcy Brzegu Zachodniego nie mogą przechodzić na Brzeg Wschodni i na odwrót.

— Proszę pozwolić, że my ocenimy, co jest zgodne z Przymierzem, a co nie. Obawiam się, panie Tyren, że nasza decyzja jest nieodwołalna.

Meric milczał. W głowie miał zupełną pustkę. Szukał jakichś argumentów, które powstrzymałyby aniołów. Nie znalazł żadnego.

Chciało mu się płakać.

— Dlaczego nie zniszczyliście Getteim wcześniej? Dlaczego pozwoliliście mu istnieć prawie pięćdziesiąt lat? — zapytał cicho.

— Pięćdziesiąt lat to dla nas mniej niż dla was pięćdziesiąt dni. Ale gdy już się decydujemy, działamy bardzo szybko. Zresztą byliśmy ciekawi, jak takie miasto będzie wyglądać.

— Obserwowaliście nas jak szczury w laboratorium, a teraz chcecie zniszczyć?

Nemuel wzruszył ramionami, przez twarz Eliela przemknęło coś jakby poczucie winy.

— Damy wam trochę czasu, by ci, którzy są wystarczająco rozsądni, opuścili miasto. — Gładka, piękna twarz Nemuela skrzywiła się w lekkim uśmiechu.

— Getteimczycy nie zechcą wyjechać. Nikt mi nie uwierzy.

— Ależ wyjadą, zapewniam. — Anioł nadal się uśmiechał. — Przekażę panu sześć Znaków, które poprzedzą zagładę. Przy pierwszym getteimczycy jeszcze będą mieć wątpliwości, ale nim dojdzie do czwartego, z pewnością nabiorą rozsądku. Proszę posłuchać: pierwszy Znak to mgła, która sparaliżuje ruch w mieście. Potem zakwitną wiosenne kwiaty, które zwiędną, nim nadejdzie wieczór. Wraz z trzecim Znakiem zaczną umierać ptaki, czy to domowe, czy też dziko żyjące. Później zgasną światła.

— Elektryczne? Oryginalni jesteście. A gdzie ognisty deszcz i plaga szarańczy? — Meric nie miał pojęcia, jakim cudem udaje mu się zdobyć na ironię.

— Staramy się iść z duchem postępu, panie Tyren. A mówiąc: światła, miałem na myśli nie tylko elektryczność. Gdy nadejdzie czwarty Znak, każdej nocy miasto ogarnie całkowity mrok. Światła nie będą dawać ani świece, ani ogień na kominku, lampy naftowe czy też elektryczne. Piąty Znak to senność. Getteimczycy będą zasypiać, w domu, w biurze, nawet na ulicy. I w tym śnie bez snów zginą, bo szósty Znak to deszcz, który zatopi miasto.

Nemuel umilkł. Może spodziewał się odpowiedzi, ale Meric nie mógł wykrztusić ani słowa.

— Proszę docenić — podjął anioł — że zwracamy się do pana, a nie do prezydenta miasta. Bądź co bądź jest pan synem człowieka, dzięki któremu Getteim powstało.

Wzrok Merica odruchowo powędrował do wiszącego na ścianie portretu ojca.

Nemuel wstał i podszedł do okna. Spoglądał na ulicę.

— Zresztą — skrzywił się, teraz już nie w ironicznym uśmiechu, lecz w grymasie niechęci — dlaczego komuś miałyby zależeć na takim miejscu? Getteim to paskudne miasto. Chociaż — dodał — nie bardziej niż Wschodni czy Zachodni Brzeg. Ale i tak paskudne. Nie rozumiem więc, czego pan od nas chce.

— Chcę tylko, byście dali temu miastu szansę, choćby najmniejszą.

— Przykro mi — powiedział obojętnie Nemuel.

— Przykro mi — powtórzył Eliel i jego słowa zabrzmiały szczerze.

\* \* \*

— Zostanę jeszcze chwilę — powiedziała Tarai.

— Po co?

— Mogłabym zrobić panu kolację.

— Potrafię zaparzyć kawę i posmarować kromkę masłem — zaprotestował łagodnie Meric.

Wyraz twarzy Tarai świadczył, że ma co do tego wątpliwości. To właśnie było najgorsze. Od czasów dzieciństwa wszyscy próbowali się nim opiekować, usprawiedliwiać go i wybaczać mu. Nawet

teraz w spojrzeniach znajomych widział więcej pobłażliwej wyrozumiałości niż lekceważenia czy kpiny. Zupełnie jakby spodziewali się, że w niespełna dziesięć lat od chwili, gdy odziedziczył majątek ojca, stanie się kompletnym bankrutem. Nie miał talentu ani do interesów, ani do dobierania sobie odpowiednich doradców, większość pieniędzy stracił więc na fatalnych inwestycjach. Resztę pochłoniął hazard, choć Meric wcale nałogowym hazardzistą nie był – grał, bo wszyscy w jego otoczeniu to robili.

Meric Tyren od początku wydawał się skazany na klęskę i możliwe, że dlatego właśnie budził współczucie.

— Idź do domu — powiedział do Tarai. — Vito czeka. Pamiętał imię jej nowego chłopaka. Takie drobiazgi zaskarbiały mu sympatię podwładnych.

— Przyjdę jutro rano.

Oboje wiedzieli, że nie ma po co przychodzić, mimo to Meric nie zaprotestował. Podszedł i objął ją na pożegnanie, a Tarai ucałowała go w policzek. Zdziwił się, bo zielonoskóra dziewczyna nie lubiła okazywać uczuć. Musiało być w jego wzroku coś, co nadało ich pożegnaniu specyficzny wymiar ostateczności.

— Do widzenia. — Obejmując Tarai, wsunął jej do torebki list. Przeczyta go wkrótce i – taką miał przynajmniej nadzieję – zastosuje się do zawartych tam instrukcji.

Przeszedł do kuchni. Cisza pustego domu działała mu na nerwy. Jeszcze pół roku temu miał składającą się z sześciu osób służbę, teraz została mu jedynie wierna Tarai.

Wolno, celebując każdy ruch, przygotował sobie dwie kanapki z białym serem i zaparzył kawę. Potem wrzucił kolację do kosza na śmieci, a zbożowy napój wylał do zlewu. Spróbował napić się zimnej wody, lecz gardło wciąż miał ściśnięte. Opłukał więc tylko twarz. Jego dłonie drżały.

W sypialni zdjął marynarkę i rzucił na łóżko. Przez chwilę szukał w szafie czegoś odpowiedniego na ten wieczór. Większość jego ubrań była *merilet*. Styl ten naśladował arleńskie zamiłowanie do przepychu. Z Zachodniego Brzegu pochodziła moda na miękkie, naturalne tkaniny, nasycone kolory i ozdoby, takie jak koronki przy *asani* czy barwne koraliki, które wplatano we włosy. Do tego gette-

imczycy często nosili tanagryjskie marynarki i przydatne w chłodne dni swetry, a także wysokie buty – pod wieloma względami wygodniejsze niż arleńskie sandały. Meric lubił styl *merilet*, ekstrawagancki i kolorowy, dziś jednak potrzebował czegoś zwyczajnego, mniej krzykliwego. Znalazł w końcu sztruksowe spodnie i połatany sweter, który nosił w czasach, gdy udawał artystę. Pamiętał, że malował wówczas obrazy konwencjonalnie ładne i niewiele warte. Był beznadziejny we wszystkim, co robił, ale nawet wtedy zachowywał pewnego rodzaju wdzięk, który sprawiał, że jego brak talentu był niemal ujmujący.

Przebrał się i spojrzał na stojący przy łóżku budzik. Dochodziła siódma wieczorem, na dworze zapadł już jesienny zmierzch. Za siedemnaście godzin, dokładnie w południe jutrzejszego dnia, w jego domu zjawią się przedstawiciele banku w asyście policji i zapytają, czy Meric ma dla nich jedenaście milionów. Oczywiście nie będzie miał tych pieniędzy, zostanie więc aresztowany i postawiony przed sądem. Za długi getteimskie prawo przewidywało karę do dziesięciu lat więzienia.

Paradoks polegał na tym, że nikt – z wyjątkiem może dziennikarzy brukowych gazet – nie chciał tego procesu. Meric był synem człowieka, którego portrety wisiały we wszystkich urzędach oraz szkołach, i w pojęciu większości getteimczyków zasługiwał na szansę – nawet jeśli byłaby to tylko możliwość wymknięcia się cichcem z walizką zawierającą żalosne resztki ojcowskiego majątku. Właśnie dlatego dano mu tak długi termin. Nie po to, by zdobył pieniądze – wszyscy wiedzieli, że nie zdoła zebrać tej sumy – lecz by mógł uciec z miasta.

On jednak nie zamierzał uciekać. Owszem, był słaby, ale po ojcu odziedziczył nie tylko imię, lecz także miłość do Getteim. Zmarły Aimeric Tyren włożył w to miasto całe swoje serce, a niektórzy mówili, że poświęcił i duszę. Nie było to prawdą – Aimeric Tyren wbrew opinii wielu nie zawarł paktu z diabłem, by zbudować na jeziorze miasto. Po prostu był człowiekiem, który potrafił zarazić innych swoją pasją.

Mericowi brakowało zarówno pasji ojca, jak i celu w życiu. Chciałby coś zrobić, ale nie potrafił; wiedział, że nie przyda się mia-

stu ani żywy, ani martwy, bo przecież jego śmierć nie powstrzyma aniołów. Nie mógł umrzeć dla Getteim, ale mógł umrzeć w Getteim.

Śmierć zamiast ucieczki, ostatni akt lojalności. Był to winny ojcu i miejscu, które kochał równie mocno jak Aimeric Tyren, choć w jego przypadku miłość była nie płonącym w żyłach szaleństwem, lecz bolesną tęsknotą.

Na półce stało zdjęcie w prostej metalowej ramce. Ojciec i syn łowią razem ryby. Chłopczyk uśmiecha się, ściskając w drobnej rączce wędkę, mężczyzna obejmuje go ramieniem, drugą ręką wskazując rzekę.

Meric końcami palców dotknął policzka chłopca. Poczł przy-  
pływ żalu. Bardziej w tej chwili żałował tego dzieciaka, którym był  
dwadzieścia lat temu, niż samego siebie.

Biedny mały, pomyślał. Jeszcze nic nie wie, niczego nie jest  
świadom. Jeszcze potrafi być szczęśliwy.

Nie rozpłaczę się, postanowił, ale oczywiście rozpłakał się, choć  
w jego oczach nie było łez. Wysuszone, ściśnięte gardło bolało, gdy  
siedział na łóżku wstrząsany szlochem.

Opanował się po chwili i dla odmiany zachichotał, bo rozpacz  
nad utraconym szczęściem dziecka, które przed dwudziestoma laty  
łowiło w rzece ryby, wydała mu się absurdalna.

Zaczynam wpadać w histerię, pomyślał z niesmakiem.

Wstał i wyszedł z domu wprost w ciepły wieczór, pachnący  
kwiatami jaśminu.

## Dzień drugi

*Jakie są możliwości arleńskich magów? Czy rzeczywiście potrafią przy pomocy zaklęć dowolnie manipulować każdą istotą inteligentną i skłonić ją, by robiła rzeczy całkowicie przeciwne jej woli i naturze? Jak wiele prawdy jest w krążących od jakiegoś czasu plotkach o zaklęciu totalnego zniszczenia, potocznie zwanym zaklęciem X, które podobno zrównać może z ziemią całe miasto? Już niedługo getteimczycy będą mieli okazję porównać domysły z faktami, oto bowiem do naszego miasta przybywa mag Nicodemus, który za tydzień wygłosi na uniwersytecie wykład. Możecie spytać maga o wszystko – pamiętajcie jednak, że odpowiedzi mogą nie przypaść Wam do gustu!*

Notka z „Wiadomości Getteim” z dnia 22 miesiąca nikadh

— Hej, człowieku! — nad uchem Merica rozległ się piskliwy chichot. — Nie śpij, bo cię okradną. Jednocześnie para brudnych, zręcznych dłoni zanurkowała do jego kieszeni. Po chwili nieznamy jęknął z rozczarowaniem.

— Wstajesz, człowieku, czy będziesz tu tak leżał? Upiłeś się, co?

Merica nie odpowiedział. Na jednym policzku czuł szorstkość wysuszonej trawy, na drugim delikatną pieśczętę słonecznych promieni. Nie musiał zadawać sobie idiotycznych pytań w rodzaju: Czy ja umarłem? Miał wprawę w powracaniu do życia, doskonale więc wiedział, że ani sucha trawa, ani cuchnący nieznamy, który w tej właśnie chwili szarpał go za ramię, nie mają nic wspólnego z zaświatami.

A więc i tym razem się nie udało, pomyślał i słowa te natychmiast rozwiały się, jakby usypano je z piasku. Nie otworzył oczu. Nie było w nim żalu, gniewu ani nawet ciekawości, jakim cudem przeżył upadek z dachu dwunastopiętrowego budynku.

Nieznajomy przestał go wreszcie szarpać i odszedł, pogwizdując fałszywie. Meric został sam. Tylko on, szorstki dotyk trawy, ciepło słońca i pustka w jego sercu.

Nic mnie nie boli, przyszła mu do głowy druga myśl i tym razem była już w niej odrobina zdumienia. Nawet jeśli jakimś cudem udało mu się przeżyć, to powinien być teraz ciężko ranny. A tymczasem fizycznie czuł się dobrze, jeśli nie liczyć lekkiego dyskomfortu spowodowanego tym, że leżał na czymś kanciastym. Uświadomił sobie, że trzyma to coś w prawej dłoni. Było zbyt gładkie i zbyt cienkie jak na kamień, o którym pomyślał w pierwszym odruchu.

Usiadł, po chwili syknął z bólu, gdy w zdrętwiałej ręce zaczęło powracać krążenie. Z palców wypadło płaskie pudełko. Ktoś nabażgrał na nim jedno zdanie: „Przesłuchaj płytę i zniszcz ją”.

Siedział otępiąły, wpatrując się w napis. Jego znaczenie jeszcze do niego nie dotarło. Literki krążyły w umyśle Merica, nie składając się w żadną sensowną całość. Dopiero po chwili pojął, na co właściwie patrzy.

„Przesłuchaj płytę i zniszcz ją”.

Z całą pewnością nie miał tej płyty, gdy skoczył w mrok. Ktoś musiał włożyć mu ją w dłoń. Kto? Prawdopodobnie ten sam człowiek – albo i nieczłowiek – który ocalił go przed śmiercią.

Pamiętał skok w ciemność i szarpnięcie, jakby tuż przed zderzeniem z ziemią ktoś chwycił go wpół. Potem stracił przytomność. Ktokolwiek go uratował, potrafił unosić się w powietrzu – innego wytłumaczenia nie było.

Najprostsze wyjaśnienie brzmiało tak, że wybawiciel Merica miał skrzydła.

Spojrzał na zegarek, który nosił na prawej ręce – przyzwyczajenie z czasów, gdy nadgarstek lewej miał przez dłuższy czas owinięty bandażem. Zegarek, tak jak i pudełko z płytą ocaliło przed zakusami cuchnącego złodziejaska to, że leżąc, zasłaniał je swoim ciałem. Minęło już południe. Wstał, otrzepał ubranie z suchych

źdźbeł trawy i rozejrzał się. Wieżowiec, z którego skoczył, był ostatnim w szeregu, za nim rozciągała się pusta przestrzeń dopiero przygotowywana pod budowę. W dzień wolny od pracy nie było tu żywej duszy, ale uszu Merica dobiegł odległy szczeł zderzającej się ze stalą stali.

\* \* \*

— Chodź, siadaj. — Zarośnięty mężczyzna, ten sam, który niedawno próbował go okraść, zachęcająco skinął dłonią. — Popatrzmy sobie na pojedynek.

Meric usiadł na betonowej płycie.

— Jonas jestem — przedstawił się nieznajomy.

Meric nie miał ani siły, ani ochoty, by uściskać wyciągniętą rękę i odwzajemnić się swoim imieniem. Jonas przyjął tę nieuprzejmość obojętnie.

Po dłuższej chwili bezmyślnego gapienia się w przestrzeń Meric zdobył się na wysiłek i ściągnął sweter. Jesienne słońce grzało mocno, było mu gorąco, no i chciał owinać weń pudełko z płytą. Nie mógł pozwolić na to, by ktoś zainteresował się napisem.

Przed nimi na w miarę równym skrawku ziemi walczyło dwóch mężczyzn. Obaj mieli na sobie lekkie kolczugi, a w rękach miecze. Wyższy, potężniejszy i starszy walczył z wprawą zabijaki, który brał udział w wielu pojedynekach. Nacierał z morderczą siłą, choć bez finezji, jego ciosy były proste, obliczone na jak najszybsze zakończenie sprawy. Młodszy, na oko dwudziestoletni wyrostek, bronił się ładnym, nowoczesnym stylem. Był zręczny i pomysłowy, widać było jednak, że brak mu doświadczenia w prawdziwej walce.

— Ten tam — powiedział Jonas, wskazując wyższego — to arleński rycerz. Ten drugi to nasz chłopak, z Getteim. Pożarli się z powodu jakiejś długonogiej lali.

Kolejny ruch dłonią wskazał Mericowi ciągnącą się kilkanaście kroków za walczącymi wstęgę asfaltowej szosy i zaparkowaną na jej poboczu limuzynę. Przyciemnione szyby były do połowy opuszczone, wewnątrz Meric mógł dostrzec złoty błysk włosów i biel twarzy. Tuż obok stała karetką pogotowia. Samochód był czerwony,



z wymalowanym z boku czarnym pasem – wzorem zarezerwowanym dla wozów getteimskich służb publicznych. O maskę opierał się sanitariusz w białym fartuchu. W rękę trzymał kartkę papieru. Z ruchów jego drugiej dłoni – z góry na dół, a później poziomo, z lewa w prawo – Meric wywnioskował, że facet rozwiązuje krzyżówkę.

— To elfka — powiedział Jonas, wygrzebując z kieszeni spodni niedopałek. Obejrzał go krytycznie i znalazł jeszcze zmięte pudełko zapalek. — Ta, o którą się biją. Ponoć bardzo ładna. Myślisz, że ten, który wygra, będzie ją miał?

Meric wzruszył ramionami. Pod naciskiem Arleńczyków w Getteim zalegalizowano pojedynki, ale on sam nigdy się nie przekonał do tej formy rozwiązywania konfliktów. Pojedynki były jednak *merilet*. Stare arleńskie słowo w oryginale znaczyło tyle co „dobre życie” – życie honorowe, godne szlachcica. W Getteim sens tego słowa znacznie się rozszerzył. *Merilet* było wszystko, co kojarzyło się z Arlenem. Monumentalna architektura i wieszane na ścianach gobeliny, sznurowane gorsety i długie, wyszywane perłami suknie, filmy o smokach i muzyka symfoniczna. *Merilet* było mieć kochanka, który pisałby dla swej damy sentymentalne wiersze, *merilet* było w końcu zginąć w pojedynku, najlepiej klasycznym, na miecze.

Cała ta moda niewiele miała wspólnego z prawdziwym arleńskim „dobrym życiem”. Była powierzchowna, ale jednocześnie mocno już osadzona w tradycji miasta. Od kilkadziesiąt lat młodzi getteimczycy z zapalem ćwiczyli szermierkę. Był to najpopularniejszy ze sportów i – biorąc pod uwagę liczbę pojedynków w mieście – nie tak znów niepraktyczny, jak mogłoby się wydawać.

Meric przyglądał się walczącym. Powiniennem wstać i iść, pomyślał. Trzeba znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłbym przesłuchać płytę. Na tym jego myśli się urwały i znów popadł w odrętwienie.

Patrzył.

Sytuacja wydawała się patowa. Siła oraz doświadczenie mężczyzny przeciw zwinności i inteligencji chłopaka. Jednak młodzieniec był coraz bardziej zmęczony, jego ruchy traciły płynność, wilgotne od potu włosy kleiły się do czoła. Wtem chłopak zręcznym ruchem

zmylił przeciwnika i ciął go w udo. Rycerz zachwiał się, na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

Chłopak, najwyraźniej przestraszony tym, co zrobił, cofnął się pół kroku.

Mężczyzna wbił czubek miecza w ziemię i wsparł się na nim. Nogawka jego spodni poczerwieniała od krwi, a ranny, krzywiąc usta, osunął się na kolana.

Sanitariusz podniósł wzrok znad krzyżówki. Przyciemniona szyba drugiego samochodu opuściła się, w oknie pojawiła się złotowłosa głowa.

— Świetnie, mały! — wrzasnął Jonas. — Wykończ go!

W tym momencie stało się coś, czego nikt nie przewidział. Młodzieniec wypuścił z rąk miecz i upadł na kolana, jakby parodiując pozycję swego przeciwnika. Lecz to nie była drwina ani zabawa. Chłopak dygotał, a jego twarz była mokra już nie tylko od potu. Płakał.

— Na co czekasz? — darł się Jonas. — Uderz go! Teraz! Masz szansę!

Ranny rycerz powoli, niezgrabnie zaczął się podnosić. Chłopak nadal klęczał ze spuszczoną głową.

— Boi się — w głosie Jonasa zabrzmiała pogarda.

— Nie — powiedział cicho Meric. — Przede wszystkim jest śmiertelnie zmęczony. Ten atak to był ostatni, rozpaczliwy zryw, który wyczerpał wszystkie jego siły. Teraz nie potrafi nawet podnieść miecza.

— No to już po nim — westchnął Jonas. — Życie jest paskudne.

Rycerz, utykając, podszedł do klęczącego. Oburącz chwycił miecz, wsparł się na zdrowej nodze i wziął rozmach. Chłopak uniósł głowę i spojrzał mu w twarz. Nie zdołał zrobić nic więcej, ale nie zamknął oczu.

Promień słońca ześliznęła się po wzniesionej stali, miecz opadł, wbijając się w szyję. Zwycięzca sapnął z ukontentowaniem i szarpnął rękojeść. Zbyt słabo, by wyciągnąć ostrze – utkwilo głęboko, a mężczyzna był wyczerpany walką. Szarpnął więc raz jeszcze, chłopak drgnął jak nabity na haczyk robak i dopiero po chwili uwolniony osunął się na ziemię. Z przeciętej tętnicy trysnęła krew.

Sanitariusz rzucił na ziemię krzyżówkę i krzyknął. Z karetki wyskoczył jego kolega, po czym obaj podbiegli do umierającego.

Ranny rycerz nie zwracał na nich uwagi. Głodnym wzrokiem wpatrywał się w limuzynę, najwyraźniej spodziewając się, że ktoś z niej wysiądzie.

Nikt nie wysiadł. Przyciemniona szyba podniosła się, samochód ruszył z piskiem opon.

Mężczyzna nadal wspierał się na zbroczonym krwią mieczu. Miał minę psa zostawionego na poboczu drogi.

Jonas pokręcił głową.

— Mówiłem ci, człowieku. Życie jest cholernie paskudne.

\* \* \*

Meric zatrzymał się przy stoisku z prasą.

— Kup pan popołudniowe wydanie „Wiadomości Getteim” — zachęcał gazeciarsz. — Ponoć czeka nas zagłada. Najpierw będzie mgła, potem z nieba zaczną spadać ptaki, a jeszcze później zapadnie ciemność. I już po nas. — Wykonał charakterystyczny gest podrzynania gardła. Nie wyglądał na przejętego.

Meric wziął do ręki „Wiadomości Getteim” i z aprobatą skinął głową. Tarai dobrze wykonała swoje zadanie.

Tuż pod długim artykułem, w którym dziennikarz zastanawiał się, czy należy wierzyć w zapowiedzianą przez aniołów zagładę, widniał wypisany mniejszą czcionką tytuł: „Zniknięcie byłego milionera. Czy Aimeric Tyren opuścił miasto?”. Notkę uzupełniało niezbyt wyraźne zdjęcie.

Meric pośpieszenie odłożył gazetę. Bał się, że sprzedawca może go rozpoznać. Pocieszył się jednak, że twarz ma dość przeciętną, niełatwą do zapamiętania, a rude włosy, najbardziej charakterystyczna cecha jego wyglądu, na czarno-białych zdjęciach i tak niczym się nie wyróżniały.

Muszę znaleźć miejsce, gdzie mógłbym przesłuchać płytę, pomyślał, idąc przed siebie i starając się nie patrzeć na przechodniów, bo wciąż dręczyła go obawa, że lada moment ktoś wskaże go palcem i zacznie krzyzczeć. Ulicą płynęła rzeka samochodów przy-

pominających kolorowe chrabąszcze z wyłupiastymi, wielkimi ślepiami reflektorów. W ten upalny jesienny dzień większość miała opuszczone szyby i złożone dachy. Kierowcy i pasażerowie wyglądali na rozleniwionych i nawet ryk klaksonów – stały element ruchu ulicznego w Getteim – rozlegał się rzadziej.

Był gdzieś w Północnym Kwartale – nie wiedział dokładnie gdzie, ale o to się nie martwił. Miasto zaprojektowane od podstaw przez jednego człowieka miało bardzo prosty plan. Wybudowano je na jeziorze, pozostawiając wokół wąski pas wody, tak iż teraz całość przypominała okrągłą wyspę leżącą pomiędzy Zachodnim a Wschodnim Brzegiem. Z oboma Brzegami miasto łączyły mosty – jeden po prawej, arleńskiej stronie, drugi po lewej, tanagryjskiej. Getteim, nie licząc centrum, dzieliło się na cztery Kwartały, przy czym była to nazwa myląca, bo Kwartały Północny i Południowy zajmowały większą część miasta, pozostałe dwa były zaś znacznie mniejsze. Ponumerowane ulice tworzyły siatkę, w której z zachodu na wschód biegły numery parzyste, a z północy na południe nieparzyste. W Getteim trudno się było zgubić.

Ulica, którą szedł Meric, była typowa – prosta i wąska, z ciągnącymi się wzdłuż niej wysokimi budynkami z szarego kamienia. Kolor ten w słońcu wyglądał wesoło, jednak późną jesienią i zimą, gdy przychodziły deszcze, wilgotne ściany ciemniały aż do czerni i miasto z dnia na dzień stawało się niepokojąco mroczne. Budynków strzegły posągi aniołów, a frontony pokrywały płaskorzeźby, wśród których najczęściej powtarzał się motyw liter anielskiego alfabetu wkomponowanych w kwiaty i liście. Płaskorzeźby można było podziwiać, tylko jeśli zadarło się głowę, bo na dole aż do wysokości pierwszego piętra ściany przesłaniały wściekle kolorowe szyldy przeróżnych knajp, klubów muzycznych, sklepów i sklepików. Wśród nich Meric dostrzegł jeden, który go zainteresował, więc skierował się w tamtą stronę.

\* \* \*

— Ile pan za niego chce? — Siwowłosa właściciel lombardu w skupieniu obracał w dłoniach złoty zegarek.

Meric wymienił sumę. Sądząc po zadowolonej minie staruszka, zrobił właśnie bardzo zły interes.

— Jeszcze jedno. — Powstrzymał sięgającą do kasy rękę. — Chciałbym przesłuchać płytę, którą przyniosłem ze sobą.

— Dziwna prośba. — Staruszek zmarszczył brwi i zawahał się. Po chwili dopiero skinął głową, otworzył wiodące na zaplecze drzwi i poprowadził Merica pomiędzy rzędami zakurzonych gramofonów, aparatów radiowych i maszyn do pisania. Wśród starszych, importowanych z Tanagry modeli było także kilka nowszych, wyprodukowanych w Getteim. Rozpoznawało się je dzięki wytłoczonym na obudowie zakłębionym, które zapobiegały psuciu się mechanizmu, zapewniały czystość dźwięku, a w przypadku maszyn do pisania – pomagały użytkownikowi unikać błędów ortograficznych.

— Ten będzie dobry. — Właściciel lombardu wskazał jeden z gramofonów. Chwilę trwało, nim znalazł kontakt i włożył weń wtyczkę. Meric czekał cierpliwie.

— Chciałbym zostać sam — zaznaczył, gdy staruszek ociągał się z wyjściem.

Potem sięgnął po płytę.

Spodziewał się nagranej wiadomości od Eliela, tymczasem usłyszał najpierw trzask zamykanych drzwi, a później głos Nemuela:

— Znów bawisz się tym urządzeniem, Elielu? Doprawdy nie rozumiem, co ty w tym widzisz — mówił archaicznym językiem jeszcze z czasów Przymierza. Meric, przyzwyczajony do rozmów z Arleńczykami, których mowa niewiele zmieniła się przez setki lat, rozumiał go w miarę dobrze.

— Wybacz. Joel się nie znalazł?

— Nie. — Nemuel na szczęście nie zwrócił uwagi na brzęczą w głosie jasnowłosego anioła nutkę lęku.

— Jestem pewien, że przebywa teraz gdzieś w Getteim. On uwielbia to miasto. A ja... chwilami się o niego martwię. Bo jeśli przybrał postać śmiertelnika, to jest jak śmiertelnik bezbronny i pozbawiony mocy. Może więc został ranny i dlatego nie dołączył do Rady? Moim zdaniem powinniście poszukać go i dopiero wtedy podjąć decyzję. Wówczas wszystko odbyłoby się zgodnie z prawem.

— Nieraz już omawialiśmy tę kwestię, Elielu. Joel zawsze doskonale sobie radził i nie wierzę, żeby leżał gdzieś ranny. O nie, on po prostu się zabawia, a my mamy czekać, aż łaskawie zechce wrócić? Mamy tolerować jego brak odpowiedzialności? Otmiel i jego przyjaciele mieli przynajmniej tyle przyzwoitości, że przepadli już po głosowaniu. Dzięki temu jest dwanaście głosów za zniszczeniem Getteim i to w zupełności wystarczy.

— Ale to nieuczciwe — naciskał Eliel. — U zarania dziejów poprosiliśmy Pana, by dał nam we władanie choć jeden świat, i dostaliśmy ten właśnie. Przysięgliśmy wtedy rządzić w imieniu Pana i uczyć śmiertelników żyć według Jego praw, a On w zamian obiecał, że pozostawi nam wolną rękę i nie będzie się wtrącał do tego, co robimy. Przynajmniej dopóki Rada Trzynastu będzie zgodna. Pamiętasz, Nemuelu? Musicie być absolutnie zgodni, cała trzynastka, by podjąć jakąkolwiek ważną decyzję.

— Dlaczego mówisz mi o rzeczach oczywistych?

Jasne, że mówi o rzeczach oczywistych, pomyślał Meric. Jego słowa są przeznaczone dla mnie, nie dla ciebie, Nemuelu.

Przez chwilę płyta kręciła się w ciszy.

— Chciałem tylko przypomnieć ci o pewnych faktach — ciągnął lekko drżącym głosem Eliel. — Pan, stwarzając kolejne światy, dawał ich mieszkańcom magię lub technikę, nigdy obie naraz. My zdecydowaliśmy się na eksperyment. Rozdzieliliśmy nasz świat rzeką i zawarliśmy z ludźmi Przymierze. Pamiętasz, Nemuelu? To było prawie tysiąc lat temu. Odtąd mieszkańcy Zachodniego Brzegu mają magię, a ci z Brzegu Wschodniego – technikę. A my pod karą śmierci zakazaliśmy przekraczania Gette.

— I nikomu z nas nie przyszło do głowy, że ktoś wybuduje miasto, które nie będzie leżeć na żadnym Brzegu, lecz dokładnie pośrodku, i gdzie spotykać się będą śmiertelnicy z obu stron — dokończył mocno już zniecierpliwionym tonem Nemuel. — O co ci właściwie chodzi, Elielu?

— Tamten człowiek miał rację. Śmiertelnicy, budując Getteim, nie złamali Przymierza. Zaslugują na to, by dać im szansę. Ja nigdy nie zagłosowałbym za zniszczeniem miasta.

— Lecz ty nie masz prawa głosu, prawda, Elielu? Nie jesteś

w Radzie. Nie mamy więc o czym mówić.

— Ale Joel głosowałby przeciwko, jestem tego pewien. Gdyby tylko zdążył wrócić na czas...

— Cóż, ja go szukać nie zamierzam — wpadł mu w słowo Nemuel. — Nie jestem jego niańką.

Głos urwał się, widać Eliel wyłączył nagrywanie.

Meric włożył płytę do pudełka i na powrót owinął w sweter.

\* \* \*

Pociągnął łyk soku pomarańczowego. Zimny płyn przyniósł ulgę wyschniętemu gardłu.

Meric przymknął oczy. Otaczał go miękki gwar ściszonych, poufnych rozmów, w tle słyszał spokojną muzykę. Z drugiej sali od czasu do czasu dobiegały metalicznie brzmiące melodyjki wygrywane przez automaty i głośne okrzyki graczy.

A więc żył w świecie rządzonym nie przez Pana, lecz przez aniołów w Jego imieniu.

Zastanowił się, czy to go obchodzi, i doszedł do wniosku, że nie. Był zbyt odrętwiały, ożywiająca go iskra energii brała się jedynie ze świadomości, że miastu – jego miastu, pomyślał jak ojciec – grozi niebezpieczeństwo.

Otworzył oczy. Znajdował się w lokalu o nazwie „Czerwony Smok”, ani gorszym, ani lepszym niż większość getteimskich knajp. Przyciemnione światła tworzyły przyjemnie intymny nastrój, ukrywając jednocześnie od dawna domagające się malowania ściany.

Meric wstał i przeszedł do drugiej sali. Tutaj było głośniej; na ustawionych pod ścianą automatach grało trzech chłopców. Okrzykami zachęcali maszyny, by spełniały ich życzenia, i jęczeli, tracąc kolejne monety.

Czwarty automat był większy niż pozostałe. Zdobiły go dwie jaskrawoczerwone smocze głowy, jedna na prawym, druga na lewym rogu. Meric rozpoznał elektroniczną wersję Czerwonego Smoka, gry, którą lubił jako dziecko.

— Ten automat przynosi pecha — ostrzegł jeden z chłopców.

Wzruszył ramionami. Co miał do stracenia?

Wrzucił pięciorenową monetę i uruchomił maszynę.

Na ekranie pojawiły się cztery zwierzątka. Zatrzymał wydrę i małpę – obie zielone, a także pomarańczowego pustynnego skoczka. Ostatnią kartę wymienił. Na jej miejsce pojawił się również skoczek, tym razem brązowy. Automat zaczął grać. Meric miał dwie pary, w jednej zgadzał się kolor, w drugiej gatunek zwierzęcia. Niezbyt dużo, ale zawsze coś. Suma na jego koncie skoczyła do dziesięciu renów.

Karty można było układać w różne kombinacje: barwami, gatunkami, a także według rosnącej lub malejącej siły, jaką reprezentowały poszczególne zwierzątka.

Pół godziny później Meric miał na koncie prawie pięćset renów. Następne cztery rozdania były fatalne. Ani jednej pary, nie mówiąc już o grupie czy sekwencji. Widoczna w górnym okienku suma zaczęła niepokojąco maleć.

Chłopiec, który od jakiegoś czasu kibicował Mericowi, zamruczał współczująco, a jednocześnie z niejaką satysfakcją.

Meric zdecydował się na bardziej niebezpieczną zabawę.

Zgadywał teraz, czy karta, którą wyrzuci automat, będzie silniejsza, czy słabsza od tej, która już widniała na ekranie. Trafna odpowiedź oznaczała podwojenie sumy, jaką miał na koncie, pudło – utratę wszystkiego.

Dwa razy z rzędu jako pierwsze ukazały się bardzo słabe karty i dwa razy Meric postawił na to, że ich pary będą silniejsze. Suma skoczyła do dziewięciuset renów, potem do tysiąca ośmiuset. Dalej było trudniej. Na ekranie ukazywały się karty ani zbyt słabe, ani silne i Meric miał pięćdziesiąt procent szans na prawidłową odpowiedź. Szczęście nadal mu dopisywało. Na koncie było już prawie trzydzieści tysięcy, gdy na ekranie pojawił się czerwony lew.

— Łatwizna — wymruczał ktoś za plecami Merica.

Miał teraz nie jednego, lecz kilku kibiców. Nie zwracał na nich uwagi. Skupił się na ekranie, tylko od czasu do czasu rzucając niepokojne spojrzenie na płytę, która, nadal owinięta w sweter, leżała tuż obok, na stoliku.

Jedyną kartą silniejszą od czerwonego lwa był czerwony smok.

Palec Merica zawisł nad przyciskiem w kształcie skierowanej



w dół strzałki. Jasne, że kolejna karta będzie słabsza. Wszystkie karty są słabsze od czerwonego lwa.

Wszystkie prócz jednej.

Zamknął oczy i nie myśląc o tym, co robi, wcisnął drugi guzik.

Za plecami usłyszał jęk rozczarowania, a zaraz później odgłosy wciąganego gwałtownie w płuca powietrza i okrzyki zdumienia.

Otworzył oczy. Na ekranie rozkładał skrzydła olbrzymi czerwony smok.

Automat, dygocząc, wygrywał jakąś idiotycznie radosną melodię.

Po chwili na ekranie pojawił się napis: Grasz dalej?

Nie, odpowiedział i z maszyny z metalicznym łoskotem posypały się żetony.

— Ma pan szczęście — powiedział jeden z kibiców. — Ale, jak to mówią, kto ma szczęście w grze, ten nie ma szczęścia w miłości. Proszę się przyznać, rzuciła pana jakaś kobieta?

Mężczyzna, demonstrując, że z jego miłosnym szczęściem jest wszystko w porządku, obejmował śliczną nimfę. Uśmiechał się przy tym, lecz z oczu wyczierała mu zazdrość.

Meric potrząsnął głową.

Nie, pomyślał. Ja tylko próbowałem się zabić.

Ale nie powiedział nic.

\* \* \*

Adres znalazł w książce telefonicznej. Zdecydował się na ten właśnie z dwóch powodów. Po pierwsze, biuro leżało niedaleko, w El, po drugie zaś, spodobało mu się imię właściciela: Nataniel. Bardzo niewielu śmiertelników nosiło anielskie imiona.

Meric mało wiedział o prywatnych agencjach i takie kryteria wyboru detektywa były równie dobre jak inne.

Dopiero teraz, idąc w gęstniejącym mroku, uświadomił sobie, że o tej porze biuro Nataniela Andresa może być już zamknięte. Mimo to szedł dalej. Ochłodziło się, założył więc sweter, a płytę niósł w ręce. Już nie musiał się martwić, że ktoś przypadkiem przeczyta napis, było na to zbyt ciemno. W kieszeni spodni miał wystarcza-

jąco dużo pieniędzy, by wynająć pokój, ale cała jego energia była nakierowana na ocalenie miasta i Meric o niczym innym nie potrafił myśleć.

Przeszedł przez mostek przerzucony nad kanałem, potem następny i następny. Wokół wznosiły się niewielkie kamieniczki. Żadnych samochodów ani wysokich biurowców. Nic dziwnego, że w El mieszkali głównie przedstawiciele ras innych niż ludzka.

Na poręczy kolejnego mostku płonęły ustawione rzędem świece. Żółtopomarańczowe ogniki odbijały się w czarnej wodzie kanału. Grupka kolorowo ubranych elfów rozsiadła się na rozłożonych kocach. Rozlewali do plastikowych kubków tanie wino, jeden z nich grał na lutni. Meric musiał kilkakrotnie przeprosić, zanim zwrócili na niego uwagę i odsunęli się, by mógł przejść przez mostek. Uśmiechnął się z pobłażaniem. Byli młodzi, mieli prawo się bawić.

Biuro, którego szukał, znajdowało się niedaleko, na pierwszym piętrze narożnej kamienicy. Merica nie zniechęcił ani korytarz z odłazącą od ścian brązową farbą, ani odrapane drzwi, na których wisiała wizytówka z napisem: Nataniel Andres, detektyw.

Zadzwoił, postanawiając jednocześnie, że jeśli w biurze nikogo nie będzie, usiądzie po prostu na schodach i poczeka do rana.

Ku jego zdumieniu drzwi otworzyły się i w progu stanęła śliczna dwunastoletnia najwyżej dziewczynka. Była ubrana w czerwone spodnie, krótką bluzeczkę i płaszcz z czarnej koronki. Włosy barwy antracytu spływały jej na plecy, oczy miała zielone i bardzo duże, najwyraźniej odziedziczone po jakimś elfim przodku.

Merica zaskoczył widok dziecka, a poza tym tak bardzo był nastawiony na to, że nikogo w biurze nie będzie, że nie potrafił teraz znaleźć słów.

Dziewczynka wybawiła go z kłopotu.

— Pan do pana Andresa? — zapytała.

Skinął głową.

Podążyła mu wąską dłoń o wypiełgnowanych paznokciach.

— Jestem Aelis. Wszyscy tak do mnie mówią. Proszę wejść.

Biuro było niewielkie i zagracone do granic możliwości. Z półek wysypywały się spięte gumkami teczki, na biurku piętrzył się stos czasopism przemieszanych z dokumentami i tanimi wydawnictwami

powieści sensacyjnych. Na ścianie oprawiona w ramki wisiała licencja prywatnego detektywa.

— Nataniel — powiedziała Aelis do mężczyzny, który siedział na parapecie plecami do Merica, najwyraźniej gawędząc z kimś, kto znajdował się na schodach przeciwpożarowych — mamy gościa.

W jej głosie zabrzmiała ledwo zauważalna nuta zniecierpliwienia. Mężczyzna odwrócił się przez ramię, rzucił: „Chwileczkę” i wrócił do rozmowy.

— Tak więc złodziej stanął przed sądem i sędzia pyta go: Dlaczego wszedł pan do tego mieszkania? Bo byłem przekonany, że to moje. A dlaczego na widok żony właściciela zaczął pan uciekać? Bo sądziłem, że żona też jest moja!

Na schodach przeciwpożarowych rozległ się wybuch śmiechu. Meric znał ten dowcip wykpiwający getteimskie osiedla, gdzie nie tylko domy, ale i mieszkania były tak do siebie podobne, że można było trafić przez pomyłkę do sąsiada.

Andres powiedział coś cicho, odwrócił się i zeskoczył z parapetu. Za jego plecami rozbrzmiał odgłos łomoczących o blaszane stopnie stóp.

— W czym mogę pomóc?

Nataniel Andres okazał się mężczyzną wysokim i dość szczupłym, a jego sylwetka, niczym sylwetka nastolatka, zdawała się składać w większości z kantów. Pod opaloną skórą wyraźnie rysowały się mięśnie i duże kości. Mimo takiej postury poruszał się zwinnie i cicho. Ubrany był w płócienne spodnie i niezbyt czystą koszulkę z nazwą jakiegoś tanagryjskiego zespołu. Stopy miał bose, nie golił się co najmniej od trzech dni, a jego ciemnoblonde włosy były mocno potargane.

Merice usiadł na krześle, które wskazała mu Aelis. Pudełko z płytą położył na biurku, nie wypuszczając go jednak z ręki. Andres rzucił okiem na nadgarstki gościa i uniósł brwi w przesadnym geście zdziwienia — a może dezaprobaty? — ale nie powiedział nic. Czekał. Czekała również Aelis z uprzejmym, zupełnie niedzielnym uśmiechem na twarzy.

— Próbowałem się dzisiaj zabić. — Meric nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział. Słowa padły z jego ust, zanim zdążył się

powstrzymać.

Brwi Andresa raz jeszcze podjechały do góry. Detektyw miał najwyraźniej skłonność do wykrzywiania się w przesadnych minach – świadczyły też o tym zmarszczki mimiczne w kącikach ust i oczu.

— I ja mam panu pomóc zrobić to porządnie? — zapytał.

— Nie... Ja tylko... — Meric umilkł na chwilę i podjął z determinacją — co pan wie o Przymierzu?

— To samo co wszyscy. — Tym razem na szczęście Andres ograniczył się do posłania Aelis zdziwionego spojrzenia. — Tamci, na Brzegu Zachodnim, rodzą się z zupełnym antytalentem do techniki, tak jak my rodzimy się z antytalentem do magii. Dlatego w Arlenie nie ma żadnego postępu, nic się u nich nie zmieniło od tysiąca lat. Żyją tam wszystkie nieludzkie rasy, smoki i minimum po pięć utopców w każdym bagnie. My wprawdzie nie dysponujemy magią, ale za to mamy cywilizację: samochody, broń palną, sztucznie barwione czekoladowe chrupki i kalendarze z gołymi panienkami. Zgadza się? Aha, zapomniałbym: jeśli ktoś urodził się na Brzegu Wschodnim, to nie może przejść na Zachodni, bo zginie w najdalej trzy minuty, i na odwrót; w obie strony mogą się poruszać tylko ci, którzy urodzili się pośrodku, czyli na terenie Getteim. Coś pominąłem?

Merik zastanowił się, czy niefrasobliwy Nataniel Andres jest aby na pewno odpowiednim człowiekiem. Jednak teraz nie miał już wyjścia. Musiał mu zaufać.

Pchnął w jego stronę płytę.

— Chciałbym, aby pan posłuchał tego nagrania.

Andres przeczytał napis, raz jeszcze – Meric był na to przygotowany – podniósł do góry brwi i skrzywił się.

— Kto to napisał? Szpieg?

— Nie, anioł.

— Ach, anioł.

Detektyw włączył staroświecki, zakurzony gramofon. Przez cały czas, gdy z głośnika płynęła archaiczna arleńszczyzna Nemuela i Eliela, Andres ani razu nie uśmiechnął się z kpina. Może to jednak jest właściwy człowiek, pomyślał Meric z ulgą.

Nagranie się skończyło. Jeśli detektywa lub dziewczynkę zasko-

czyło to, że żyli w świecie rządzonym nie przez Boga, lecz przez aniołów, to nic nie dali po sobie poznać.

— Pan nazywa się Aimeric Tyren? — pierwsza przerwała milczenie Aelis.

Skinął głową. Zapomniał się nawet przedstawić.

Andres odnalazł wśród leżących na biurku papierów dzisiejszą gazetę i porównał zdjęcie z twarzą Merica. Potem przeniósł wzrok wyżej, na artykuł zapowiadający zagładę Getteim.

— Jak rozumiem, to pan podał prasie tę wiadomość?

— Owszem, ja. Poprosiłem jednak naczelnego redaktora „Wiadomości Getteim”, by nie ujawniał mojego nazwiska.

Opowiedział im o wizycie Nemuela i Eliela. Andres gwizdnął przez zęby.

— W ładnym pan się obraca towarzystwie, nie ma co. Myślałem, że aniołowie przychodzą tylko do proroków. Wie pan, skrzydła, ogniste miecze, przykazania, te sprawy.

Meric nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć. Jeszcze do niedawna on sam tak myślał.

— I chce mnie pan wynająć, bym odnalazł tego anioła?

Przytaknął.

— Zrobię, co będę mógł — zapewnił Andres. — Rzecz jasna, nie za darmo.

— Pan mi nie wierzy, prawda?

Andres wzruszył ramionami.

— Za dwieście pięćdziesiąt renów dziennie plus zwrot wydatków jestem w stanie uwierzyć we wszystko.

— Ja mu wierzę — szepnęła Aelis. Meric spojrział w skupioną, poważną twarz dziewczynki.

Nie dziewczynki, poprawił się w myślach. To nie jest dziecko, powinienem na to wpaść już wcześniej. Mieszanka krwi dwóch ras powodowała czasem takie anomalie. Umysł rozwijał się zwyczajnie, ciało zaś w tempie znacznie wolniejszym, charakterystycznym dla późno dorastających i długowiecznych elfów. Aelis była kobietą w ciele dziecka.

— Mam jedno pytanie — powiedział Andres. — Zakładamy, że anioł Joel przebywa w tej chwili w Getteim, bo to jego ulubione

miejsce. Jak dotąd nie dołączył do swoich skrzydlatych towarzyszy, włączy się gdzieś z panienkami i zabawia na całego. Na razie wszystko jest w porządku, ale dziś po południu nasz anioł wychodzi sobie na ciężkim kacu z domu – czy tam z hotelu, zależy, gdzie mieszka – i pierwszym, co widzi, jest kiosk z gazetami, a w nim najnowszy numer „Wiadomości Getteim”. W ten sposób Joel dowiadyuje się, że kumple chcą urządzić jego ukochanemu miastu małą apokalipsę. Biegnie więc, dołącza do Rady i głosuje. Jest dwanaście głosów za, jeden przeciw. I nici z zagłady. Jesteśmy bezpieczni. Dość prawdopodobny scenariusz, nie sądzi pan? Nawet jeśli przyjąć, że Joel nie czyta gazet – może aniołowie nie mają takiego zwyczaju – to po pierwszym Znakcie całe miasto będzie gadało tylko o tym. Tak czy siak więc dowie się, co grozi Getteim.

— Brałem to pod uwagę. — Meric skinął głową. — W takim przypadku mam nadzieję, że aniołowie powiedzą mi o tym, bym mógł poinformować innych mieszkańców miasta. Albo przynajmniej powie mi Eliel.

— Możliwe — wtrąciła Aelis — że Eliel jako anioł służebny, czy ktoś w tym rodzaju, nie może działać na własną rękę. Świadczyłoby o tym to, że zamiast porozmawiać z panem i wszystko wytłumaczyć, zdecydował się podrzucić płytę.

— Tak czy inaczej, nie chcę czekać, aż Joel sam się znajdzie. — Meric sięgnął do kieszeni i wyciągnął plik banknotów. Nawet nie miał portfela, nie zabrał go ze sobą, gdy wychodził na spotkanie śmierci. — Proszę to wziąć i poszukać go. Na wypadek gdyby...

Gdyby co? Gdyby Joel leżał ciężko ranny czy nawet umierający w szpitalu? Gdyby na skutek jakiegoś wypadku stracił pamięć albo gdyby ktoś więził go w jakichś niecznych zamiarach? Brzmiało to fantastycznie, ale nie bardziej niż to, czego dowiedział się ostatnio.

Nataniel Andres z kpiącym i jednocześnie pobłażliwym uśmiechem oddzielił ze zwitka kilkanaście banknotów.

— To wystarczy. Zapłata za miesiąc. Potem albo nie będzie żadnych Znaków i wszystko rozejdzie się po kościach, albo Znaki będą i wszyscy puciekają z miasta. Ja oczywiście ucieknę także, więc na nic się panu nie przydam. Za resztę proszę wyjechać z Getteim i ukryć się gdzieś.

— Nie wyjadę — głos Merica zabrzmiał niespodziewanie stanowczo. To jedno wiedział na pewno. Nie opuści Getteim. Nigdy. Nawet gdyby mieli go aresztować i postawić przed sądem.

Andres znów – Meric już się przyzwyczał – uniósł wysoko brwi. Potem spojrzął na Aelis. Chwilę przekazywali sobie coś wzrokiem. Razem tworzyli osobliwą parę, tak niepodobni do siebie, a jednocześnie najwyraźniej świetnie się rozumiejący.

— Tu niedaleko jest hotel — powiedziała Aelis. — Niezbyt elegancki, ale też nie najgorszy. I tani. Jeśli chce się pan ukryć, to jest znakomite miejsce.

Nie chciał się ukrywać. Teraz, gdy przekazał już odpowiedzialność za los Getteim w ręce innego człowieka, było mu wszystko jedno.

Aelis raz jeszcze porozumiała się z Andresem wzrokiem.

— Zaprowadzę pana.

Skończyło się na tym, że dziewczyna nie tylko pokazała mu drogę do hotelu, ale też – w obecności zdumiewająco obojętnego gнома recepcjonisty – podpisała się w książce meldunkowej. Fałszywym imieniem, bo Meric o mały włos podałby własne.

Chwilę później Aelis wpatrywała się w drzwi hotelowego pokoju, które zamknęły się za rudowłosym mężczyzną.

\* \* \*

— Wierzysz mu, prawda? Zachowywałeś się, jakbyś uważał go za nieszkodliwego wariata, ale ja myślę, że mu uwierzyłeś. Mył się?

— Mylisz się. — Nataniel Andres rzucił niedopałek papierosa w ciepły mrok. — Facet jest żaloszny. Dobry Boże, widziałaś jego ręce?

Skinęła głową, choć w ciemności i tak nie mógł tego zobaczyć. Andres siedział na parapecie okna, a Aelis na krześle, z kolanami podciągniętymi pod brodę, w swojej ulubionej pozycji. Mimo późnej pory żadne z nich nie pomyślało o tym, by pójść do domu. Nie czekało tam na nich nic prócz samotności.

— Próbował się zabić co najmniej dwa razy, a pewno nawet

więcej — mówił dalej Andres. — Raz może zdarzyć się każdemu, ale dwa to znaczy, że z facetem jest coś nie tak. Jakaś skaza w charakterze. Będzie próbował, aż w końcu mu się uda.

— Nataniel Andres, psycholog dla ubogich — powiedziała z ironią. — Mnie wydał się całkiem miły. I zdrowy na umyśle jak ty czy ja. Przyznaj lepiej, że się boisz.

— Ja się nie boję, ja po prostu jestem rozsądny. — Andres zręcznym ruchem pochylił się, chwycił leżącą na biurku kartkę i zwinął ją w kulkę. — Zresztą czego miałbym się bać? Mamy tylko znaleźć anioła.

Zaśmiał się, rzucając kartkę w stronę dziewczyny. Kocie oczy Aelis błysnęły w mroku. Złapała kulkę, zanim trafiła ją w nos, i odrzuciła do Andresa.

— To dobrze, że się nie boisz — powiedziała. — Bo tak się składa, że ja właśnie zaczynam się bać.

\* \* \*

Przyszła do niego we Śnie.

Później powiedziała Andresowi, że miała przeczucie, ale to nie była prawda. Po prostu martwiła się o Aimerica Tyrena. Tego samego dnia próbował już odebrać sobie życie i Aelis doszła do wniosku, że powinna sprawdzić, czy nie próbuje tego zrobić po raz kolejny.

Błękitne, rozmyte światło nocnej lampki padało na zmęczoną twarz mężczyzny, który w ubraniu spał na hotelowym łóżku. Oddychał ciężko, szepcząc coś od czasu do czasu. Gdy Aelis podchodziła bliżej, jej stopy nie czyniły żadnego hałasu na podartej wykładzinie. Pochyliła się i zobaczyła, że rzęsy Merica są wilgotne. Płakał, a trzy sprawne palce lewej dłoni kurczyły się, jakby próbował coś schwytać.

W tym momencie cicho, cichuteńko zazgrzytał klucz wkładany do zamka, a w szparze drzwi zamajaczył cień.

Aelis wiedziała już, co się dzieje. Tego wieczoru, meldując się w hotelu, Meric zapłacił kilkoma banknotami, które oddzielił z grubego, chowanego w kieszeni zwitka. Siedzący przy recepcji gnom



wydawał się znudzony, lecz bez wątpienia zauważył i pieniądze, i to, że ich właściciel wygląda na bezbronnoę.

Drzwi otworzyły się, by wpuścić szczupłą, zwinną sylwetkę, i pokój na moment rozjaśniła padająca z korytarza smuga światła. Potem znów zapadł błękitny półmrok.

Gnom oparł plecy o drzwi, starając się opanować niespokojny oddech. Aelis krzyknęła, ale jej krzyku nikt nie usłyszał. Ścieżka Snu była tutaj bardzo wąska i dziewczyna wiedziała, że nie zdoła nic zrobić. Nic prócz patrzenia. Mimo to wyciągnęła ręce, by chwycić ramię Merica. Dłonie przeszły przez jego ciało, nie napotykając żadnego oporu.

Gnom oderwał się od drzwi i zaczął ostrożnie podchodzić do śpiącego. Po kilku krokach potknął się o zawinięty róg wykładziny, zaklął odruchowo i zamarł.

Merica otworzył oczy.

— Jest tu ktoś? — zapytał, siadając na łóżku.

Gnom rzucił się do wyjścia, już nie próbując zachowywać ciszy. Merica zrezygnował z pościgu. Wstał tylko i krzesłem zastawił drzwi. Potem wrócił na łóżko i leżał tam, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w błękitny półmrok.

## Dzień trzeci

*Pewnego wieczoru pewna kobieta wyszła na spacer z pewnym psem. Pies nie jest ważny w tej opowieści. Ważna jest kobieta.*

*Kobietę napadnięto i zgwałcono, a potem porzucono na wpół nagą niedaleko śmietnika. Leżała tam, nawołując psa, który uciekł i wcale nie miał ochoty bronić swej pani.*

*Wtem podeszła do niej młoda dziewczyna, pomogła jej wstać, okryła własnym płaszczem i zaprowadziła aż pod dom. Potem odeszła, a oszołomiona kobieta zapomniała nawet spytać, jak ma na imię.*

*W domu kobieta przypomniała sobie, że przed kilkunastoma laty, gdy była jeszcze młodą dziewczyną, pomogła pewnej nieznajomej w takiej właśnie sytuacji. Zrozumiała wówczas, że trafiła na Węzeł, gdzie spotkała młodszą wersję siebie samej.*

Jedna z licznych legend miejskich na temat Węzłów, miejsc, gdzie krzyżują się ścieżki Snu i gdzie według powszechnego przekonania silne emocje – na przykład związane z cierpieniem – mogą powodować zaburzenia czasoprzestrzeni.

*Namiętność z ekranu rozlała się żarem  
Pomiędzy fotele, wśród widzów zdumionych  
Ktoś błaga o pomoc, zajął mu się rękaw  
Kobiecie tuż obok stoją w ogniu włosy  
Dziki tłum ściśnięty, płytkimi oddechami  
Robi w żarze wyłom, wciągając go w płuca  
Ziemią jak robactwo, pełzną już płomienie  
Deszcz złotawych iskier osiada na głowach*

— Dobry Boże, dlaczego ty tego słuchasz? — Aelis postawiła

na biurku papierową torbę, z której unosił się ciepły, słodki zapach kardamonowych ciastek.

Andres ściszył radio.

— To współczesna muzyka poruszająca ważne problemy społeczne. — Sięgnął po ciastko i popił je kawą z poobijanego kubka, na którym szczerzył się w fałszywym uśmiechu chomiczek Darlino.

— Jasne — prychnęła. — Spalenie prawie trzydziestu osób w Teatrze Rozrywki to rzeczywiście poważny problem społeczny.

— A nie? — Uniósł brwi, a ona zareagowała krótkim parsknięciem. Kiedyś dałaby się nabrać, teraz wiedziała już, że Andres tylko się z nią drażni.

Przeszła do maleńkiej klitki, która pełniła rolę kuchenki, i zapaliła gaz pod czajnikiem. Z bystrością godną prawdziwego detektywa – w końcu zaczynam się wyrabiać, pomyślała przy tym z ironią – zauważyła, że w czajniku jest woda, ale ścianki naczynia są zimne. Jeśli Andres zdążył zaparzyć kawę, a czajnik wystygł, to znaczyło, że siedział w biurze od dość dawna – może nawet od samego świtu.

*Dym wciąż coraz gęstszy skręca się i wije*

*Wśród wrzasków ktoś szeptem powtarza modlitwę*

*Inny ma nadzieję, że jakoś to minie*

*Myśląc, jak pojutrze o wszystkim opowie*

Od tragedii w Teatrze Rozrywki minęły dopiero dwa miesiące i radio w kółko grało piosenkę napisaną dla uczczenia jej ofiar. Inna rzecz, że gdy piosenka straci na popularności, Wskrzesiciele wkrótce znajdą kolejny, nie mniej makabryczny temat. Był to jedyny getteimski zespół, który grał typowo tanagryjską muzykę, gwałtowną i mroczną, tak różną od melodyjnych rytmów stylu merilet. Nataniel Andres, Tanagryjczyk z krwi i kości, uwielbiał Wskrzesicieli; ona ich nie znosiła.

Z kubkiem parującej kawy usiadła przy biurku i sięgnęła po ostatnie ocalałe ciastko. Andres pogrążony był w lekturze, a to, co czytał, sprawiło, że na twarzy Aelis pojawił się wyraz zdumienia.

— Na litość boską, ty czytasz „Przejrzyj na oczy”?

Odłożył najpopularniejszy getteimski szmatławiec, który –

nawiązując do poziomu inteligencji jego czytelników – sam często nazywał „Przejrzyj na oczy, kretynie”. Pod wypisaną czerwoną czcionką nazwą czasopisma pyszniła się dumnie obietnica: „Ujawnimy wszystkie brudy, skandale i sekrety!”.

— Szukam tego cholernego anioła — wyjaśnił, w najmniejszym stopniu nieskrępowany. — Przyszło mi do głowy, że mamy dwie możliwości i, moim zdaniem, powinniśmy wykorzystać obie. Po pierwsze, możemy postępować właśnie tak, jak w przypadku poszukiwań osób zaginionych: sprawdzić szpitale, przytułki i więzienia. Ale możemy też spróbować innej drogi. Pomyśl, po co anioł miałby siedzieć w miejscu takim jak Getteim? Po to by na targu sprzedawać orzeszki ziemne? Nie sądzę, a jeśli tak, to mamy przechlapane. Na mój rozum to on bywa w Getteim po to, żeby się bawić. Wiesz, kupa forsy, eleganckie ciuchy, dziewczynki. Jest kimś ważnym, kimś na świeczniku. Ma tu dom, fałszywy życiorys, może nawet fałszywe imię. Może znajdziemy go tą drogą. Może ten drań po prostu siedzi w domu i rżnie jakąś panienkę. A jeśli przynajmniej od czasu do czasu gdzieś wychodzi, to znajdziemy go na zdjęciach z jakiejś imprezy.

Aelis skrzywiła się, słysząc przedostatnie zdanie, ale nie przerywała. Jeszcze przed chwilą chciała powiedzieć Andresowi parę słów na temat jego włosów, które od kilku dni nie widziały grzebienia, i policzków, z taką samą częstotliwością mających kontakt z żyletką. Wiedziała, że nie zmieni przyzwyczajień przyjaciela, ale strofowanie go weszło jej w krew i robiła to odruchowo. Zrezygnowała i zamiast tego spytała:

— Znalazłeś coś?

— Nie. — Pokręcił głową. — Ale od Sonyi pożyczyłem tylko pięć ostatnich numerów. Więcej nie miała. Myślisz, że w bibliotece znajdę „Przejrzyj na oczy”?

— Wątpię, ale są inne tego typu magazyny. No wiesz, eleganckie.

— W porządku, więc ty drałujesz do biblioteki, a ja łapię za słuchawkę. Cholera, nawet nie wiem, o kogo pytać. Nie mamy pojęcia, jak Joel wygląda.

Upiła łyk kawy.

— Meric, to znaczy pan Tyren, wspominał, że aniołowie są w specyficzny sposób ładni...

Andres uniósł brwi. Aelis była pewna, że nie umknęło mu to przejęzyczenie na początku zdania.

— Mam dzwonić i pytać o ładnego faceta? Wielkie dzięki.

Odprężyła się i uśmiechnęła.

— Nie masz wyjścia, jeśli to jedyna nasza wskazówka. Wymyśl coś. Zawsze byłeś w tym dobry. Powiedz, że jakiś przystojniak zrobił dziecko twojej siostrze, a ona nie wie nawet, jak miał na imię. Pamiętaj tylko, że wyglądał jak gwiazdor filmowy.

— Niezły pomysł. — Andres podrapał zarośnięty policzek i wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu.

Aelis dopiła kawę.

— Słuchaj...

— Tak?

Skłęta w duchu samą siebie. Miała ot tak, od niechcienia, wpleść tę wiadomość do rozmowy, a oto siedzi naprzeciw Andresa, który patrzy na nią wyczekująco, i cokolwiek mu teraz powie, zabrzmie to jak coś ważnego.

— Aimeric Tyren nie powinien mieszkać w tym hotelu. Okradną go, a może nawet zabiją. Zaproponowałam mu, żeby na jakiś czas zatrzymał się u mnie.

— Och.

To „och” mogło mieć wiele różnych znaczeń. Dziewczyna z niechęcią poczuła, że jej policzki różowieją.

— A więc przerzuciłaś się z bezdomnych piesków i kotków na bezdomnych milionerów? — cicho powiedział Andres. — Pamiętaj tylko, że to nie jest facet z ulicy, którego można przygarnąć i nakarmić, a on co najwyżej wyniesie się razem z twoim radiem i kompletem srebrnych łyżeczek. Aimerica Tyrena ściga policja, nie wspominając już o tym, że facet ma depresję i prędzej czy później podeźrze sobie gardło.

— Nieprawda. — Aelis, już opanowana, sięgnęła do czerwonego plecaczka, który zawsze nosiła ze sobą, i podsunęła Andresowi pod nos plastikową fiolkę. — Dałam mu to.

Wysypał na dłoń niebieskie okrągłe tabletki.

— Co to?

— Środek antydepresyjny. Bez nazwy na razie, bo nie ma go jeszcze w sprzedaży, ale...

— A był już testowany? — przerwał jej.

— Przeszedł prawie wszystkie testy — zapewniła. — I ponoć jest znakomity.

— Chcesz naszpikować faceta lewymi psychotropami? Zupełnie ci odbiło.

— To bezpieczny środek — oburzyła się.

Andres nie pytał, kto dał jej tabletki. Domyślił się, że to znajomość jeszcze z okresu, o którym dziewczyna bardzo niechętnie wspominała. Każdy ma jakieś paskudne sekrety, których lepiej nie wyciągać na światło dzienne. Znał je, ale nigdy o nich nie mówił, tak jak Aelis na mocy tej samej niepisanej umowy nie mówiła o jego tajemnicach i grzechach z przeszłości.

\* \* \*

Meric obudził się, gdy monotony głos spikera radiowego oznajmiał dwunastą w południe.

Leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami, jak zwierzę, które udaje martwe. Czuł woń pasty do podłóg i fiołkowego odświeżacza powietrza. Zapach obcego mieszkania, a wszystko, co obce, kojarzyło mu się teraz nie tylko z niepewnością, lecz wręcz z zagrożeniem. Pamiętał Aelis, która przyszła do niego nad ranem, przyprowadziła tu, a później dała do połknięcia niebieską tabletkę. Był wówczas tak zobojętniały, że bez słowa godził się na wszystko.

Wciąż nie miał ochoty wstawać, przemógł się jednak i powoli usiadł na łóżku.

Niewielki pokój, w którym się znajdował, mógłby przyprawić o ból głowy najbardziej ekstrawaganckiego dekoratora wnętrz. Ściany i podłoga były krwistoczerwone i zupełnie gładkie. Żadnych dywaników, obrazków, ozdób. Za to meble oklejono czarno-białymi plakatami filmowymi tak starannie, że nie został ani jeden wolny kawałek. Plakaty wisiały również na suficie, jeden obok drugiego. Ten kontrast czerwieni, czerni i bieli sprawiał osobliwe wrażenie,

zupełnie jakby twarze aktorów wyłaniały się z morza krwi.

Odetchnął i wstał. Musiał iść do łazienki.

Łazienka na szczęście nie była czerwona, lecz szaro-biała. Skorzasta z ubikacji, umył ręce i opłukał twarz. Przygarnięty przez nieznaną dziewczynę niczym bezdomny psiak, powinien czuć się jak idiota.

Czuł się jak idiota i po namyśle uznał to za zdrowy objaw.

Po poprzednich próbach samobójczych najpierw ogarniał go wstręt do samego siebie. Wstręt, a także poczucie winy z powodu ojca, który siedział przy szpitalnym łóżku i po prostu na niego patrzył. Z miłością. Miłość Aimerica Tyrena do syna była głęboka jak morze, ciężka jak kafar i ostra jak nóż. Potem pojawiała się ulga. Spadało nieznośne napięcie. Meric miał wrażenie, że poprzez ból narodził się na nowo, że teraz, gdy wszyscy – znajomi, lekarze, a zwłaszcza ojciec – już wiedzieli, jak bardzo jest beznadziejny, będzie mógł odbić się od dna i zacząć życie jeszcze raz, od początku.

Zamknął drzwi łazienki, po czym ostrożnie, niczym kot w nowym mieszkaniu, obszedł wszystkie pomieszczenia. Kuchnia, podobnie jak i łazienka, utrzymana była w szaro-białej tonacji, natomiast przedpokój oraz pokój gościnny, nieco większy od tego, w którym się obudził, miały znajomy czerwono-czarno-biały wystrój.

Przejrzał stojące na półce książki. W większości były to podręczniki akademickie z psychologii. Tuż obok znalazł mały tomik w jaskrawożółtej okładce, podniszczony, z zagiętym rogiem. *Śmierć, siostra snu*, przeczytał tytuł.

Podszedł do okna i przez chwilę spoglądał na zalany jesiennym słońcem chodnik, który ciągnął się wzdłuż kanału. Potem wziął zapasowy komplet kluczy i zamknął za sobą drzwi.

\* \* \*

Leżący przy arleńskim brzegu Kwartał Zachodni, zwany El od litery, którą przypominał kształtem, był z pewnością najosobliwszą dzielnicą miasta. Kamienice miały nie więcej niż dwa-trzy piętra,

a dzielnicę przecinały wąskie kanały, tak iż ruch kołowy był tu utrudniony – większość mieszkańców poruszała się po El łódkami. Niektórzy getteimczycy sarkali, że taka dzielnica w mieście, w którym liczy się każda piędź ziemi, to marnotrawstwo, lecz Aimeric Tyren dobrze wiedział, co robi. Ten staroświecki Kwartał przeznaczony był specjalnie dla Arleńczyków przybywających z Zachodniego Brzegu i miał złagodzić szok spotkania z tanagryjską cywilizacją. Tutaj życie toczyło się innym, radośniejszym i bardziej leniwym rytmem.

Meric spacerował, czując na skórze łagodną pieśczętę słonecznych promieni. Sprawiało mu to przyjemność, tak samo jak gwar rozmów i śmiechów, a nawet tłok.

Czuł się zdecydowanie lepiej. Wszystko będzie dobrze, powtarzał sobie w myślach, a słowa te układały się niemal w piosenkę. Całe jego życie składało się z na przemian następujących po sobie okresów rozpaczki oraz takich właśnie „wszystko będzie dobrze”. W tych pierwszych sięgał po alkohol, narkotyki albo ostre żyletki, zaś w drugich cieszył się drobnymi przyjemnościami, a także robił plany – radosne jak dziecięce marzenia i równie mało mające wspólnego z rzeczywistością. Przyszłość przerażała go i jakakolwiek próba racjonalnego jej zaplanowania natychmiast zdrapywała cieniutką jak pozłota warstwę dobrego samopoczucia, odsłaniając ukryty pod nią mrok.

Zatrzymał się przy niewielkim sklepiku z używaną odzieżą. Właściciel, korzystając ze słonecznej pogody, wyciągnął wieszaki na zewnątrz i Meric stał teraz na chodniku, przesuając pomiędzy palcami barwne tanagryjskie koszulki.

— Pomóc w czymś? — Pilnujący sklepu faun podniósł się z krzesła i podszedł do niego. Ubrany był tylko w czerwone spodnie, a skóra na jego nagim torsie miała odcień bardzo ciemnej, niemal czarnej zieleni. Wyłaniające się spomiędzy seledynowych włosów rogi były opłowane i polakierowane na podobny do barwy spodni czerwony kolor.

— Szukam czegoś w stylu *merilet* — Meric wymówił to z arleńskim akcentem, jak dwa osobne słowa: *mere-illeth*.

— Z Arlenu, co?



Skinął głową. Skoro chciał zostać w mieście, musiał wymyślić sobie nową tożsamość, a najprościej było podawać się właśnie za Arleńczyka. Przybywających do Getteim Tanagryjczyków nietrudno było zidentyfikować, nawet jeśli nie nosili przy sobie dokumentów. W Tanagrze istniały telefony, telegraf i gromadzona przez urzędy dokumentacja. W Arlenie mało kto umiał pisać, a przybysze stamtąd najczęściej nie mieli nawet nazwisk.

Meric kupił spodnie oraz kolorową *asani*. Przebrał się w sklepie, a własne ubranie wyrzucił do kosza na śmieci. Po drugiej stronie kanału zauważył zakład fryzjerski „U Sonyi” i bez namysłu skierował się w stronę mostu.

„U Sonyi” było prawie pusto. Meric usiadł i patrzył, jak śliczna nimfa myje włosy starszej kobiecie. Ostra woń fryzjerskich specyfików – farb? lakierów? – kręciła go w nosie, a wokół pełno było kolorowych buteleczek, których zawartości nawet nie starał się domyślić.

Z wiodących na zaplecze drzwi wyszła wysoka i tęga kobieta. Gestem wskazała mu drugi fotel.

— Strzyżemy?

— Chciałbym... — zamilkł, ale było już za późno, by się wycofać — ufarbować włosy — dokończył, żałując, że nie wymyślił żadnego powodu, dla którego chce to zrobić.

Sonya – jeśli to właśnie była ona – puściła do niego oko.

— Jaki kolor?

— Brązowy.

Efekt był więcej niż zadowalający. Meric bał się, że ufarbowane włosy będą zbyt ciemne lub jasne, lecz Sonya złagodziła tylko nieco ich naturalny kolor, tak że z rudych stały się kasztanowe. Przez cały czas miał nieprzyjemne wrażenie, że kobieta wie, iż jemu chodzi tylko o to, by nie rzucać się tak bardzo w oczy. Jednocześnie jednak czuł też, że Sonya jest po jego stronie i nie ma zamiaru go zdradzić.

— Pan jest z Arlenu, prawda? — zapytała z cieniem kpiącego uśmiechu w kąciku ust.

Potwierdził. Naśladowanie arleńskiego akcentu przychodziło mu coraz łatwiej.

— A ma pan jakieś imię?

— Gratian. — To było imię, które zeszłego wieczoru Aelis podała hotelowemu recepcjoniście. Budowanie fałszywej tożsamości sprawiało Mericowi przyjemność, dość dziecinną zresztą, jak przyznawał sam przed sobą.

— Ładnie.

Wysuszyła mu włosy i na modłę elfów zaplotła w nich kilka cienkich warkoczyków, które zakończyła barwnymi koralikami. Meric przejrzał się w lustrze i stwierdził, że wygląda teraz jak najprawdziwszy Arleńczyk.

\* \* \*

Około południa Andres poczuł, że jest już porządnie głodny, odłożył więc słuchawkę telefonu i poszedł do pobliskiej knajpki.

Usiadł przy stoliku na wolnym powietrzu, zamówił talerz kukurydzianych placków z ostrym sosem *chotti* i kufel piwa. Sącząc zimny napój, słuchał dobiegającej z radia muzyki i patrzył na grupkę dzieciaków, których kolor skóry oscylował pomiędzy seledynem a ciemną zielenią. Grały w jakąś skomplikowaną grę – Nataniel nie mógł zrozumieć jej zasad poza tym, że najwyraźniej liczyły się tu wyrysowane na chodniku wzory, zgnieciona puszką po piwie kopana z miejsca na miejsce oraz wznoszone od czasu do czasu dzikie okrzyki.

Słońce grzało mocno i Andres przymknął oczy. Umilkły ostatnie taktę *Pieśni skowronka*, a romantyczny nastrój przerwał głos radiowej spikerki.

— Podajemy ważny komunikat. W Szpitalu Trzech Sióstr przebywa młody mężczyzna cierpiący na zanik pamięci. Rysopis: wzrost około sześciu stóp, szczupła budowa ciała, jasne włosy, niebieskie oczy. Każdy, kto mógłby pomóc w ustaleniu jego tożsamości, proszony jest o udanie się do szpitala lub o kontakt telefoniczny. Podajemy numer...

Andres gwałtownie odsunął kufel, rozchlapując piwo na stolik. Szpital ten był jednym z dwóch, do których nie zdążył jeszcze zadzwonić. Czy owym pacjentem z amnezją mógł być Joel? Wydawało się to zbyt łatwe i proste, a przez to niezbyt prawdopodobne,

ale, do licha, nie zamierzał zmarnować okazji.

\* \* \*

Meric oddał bilet i usiadł w mrocznym, przytulnym wnętrzu kina, gdzie grano *Królewski klejnot*.

Indil jak zawsze była wspaniała. Gdy klęczała wśród białych katlei, z rozpuszczonymi włosami i dłońmi przyciśniętymi do falujących piersi, mówiąc: „Więc niech się tak stanie. Nigdy już nie pokocham i do końca życia pozostanę samotna”, młoda sąsiadka Merica rozszlochała się. Łkała tak głośno, aż obudziło się niemowlę, które trzymała na rękach. Dziewczyna, wciąż ocierając łzy, podciągnęła bluzkę i wepchnęła w usta niemowlęcia sutek. Dzieciak przestał wrzeszczeć, a Meric odetchnął z ulgą.

Ramon Ferense, filmowy partner Indil, oczywiście nie dorównywał słynnej aktorce. Był przystojny i miał ładny głos – sceny, w których tańczył i śpiewał, wypadły znakomicie – lecz jego gra pozostawiała wiele do życzenia. Meric zastanowił się złośliwie, jak długo potrwa, nim jego miejsce u boku aktorki zajmie inny. Filmowi partnerzy gwiazd ekranu zmieniali się co dwa – trzy sezony, i to pomimo iż uzdolnionych aktorów nie było wielu, a w przypadku elfek dochodził jeszcze niebagatelny problem wzrostu. Niełatwo było znaleźć mężczyznę równie wysokiego jak Indil. Przy okazji premiery każdego z jej nowych filmów plotkarska prasa pełna była zabawnych opisów, w jaki sposób reżyser sobie z tym radził: za pomocą butów na koturnie, złudzeń optycznych, a nawet ustawionego w odpowiednim miejscu krzeselka.

Zgodnie ze swoim zwyczajem Meric został w kinie, aż z ekranu zniknęły ostatnie napisy. Dopiero wtedy wyszedł na zewnątrz.

Słońce oślepiło go. Zamrugał, na powrót przyzwyczajając się do jego blasku. To już ostatnie ciepłe dni tego roku, pomyślał, siadając na ławce i zamykając oczy. Wkrótce przekwitną jesienne kwiaty jaśminu, od strony gór nadejdą chłodne deszcze i zacznie się zima.

Coś go niepokoiło i to coś – jak uświadomił sobie zdziwiony – było związane z obejrzanym filmem. *Królewski klejnot*, urocza historia z gatunku tych, na których wzruszał się, śmiał i przytupywał

do rytmu piosenek. I o których zapominał kilka minut po seansie. Co mogło być niepokojącego w *Królewskim klejnocie*?

Starał się przypomnieć sobie poszczególne sceny. Indil i jej ukochany w dekoracjach przedstawiających pełen przepychu pałac, samotna, zrozpaczona Indil na tle wioski opustoszałej po ataku smoków, Indil w zbójeckiej jaskini... I wreszcie jedna z nielicznych scen kręconych w naturalnych plenerach: zachód słońca, przystań, Indil z góry obserwuje przybijający do brzegu statek. Rzeźbiona w liściaste motywy krata rzuca na jej twarz wydłużone cienie. Elfka wczepia się w nią, wypatrując w tłumie pasażerów ukochanej siostry, z którą rozdzielono ją w dzieciństwie. Pasażerowie wysiadają, wspinają się stromymi schodami na brzeg. Pełen napięcia wzrok Indil zatrzymuje się na twarzy każdej młodej kobiety – może to właśnie ta? Nie widziała siostry od ponad dwudziestu lat i nie pamięta dokładnie jej rysów...

Meric potrząsnął głową. Coś było z tą sceną nie tak, ale nie potrafił sobie przypomnieć co.

Otworzył oczy. Tuż przed nim stara gnomka karmiła ptaki. Była szczuplutka i niewysoka – gdyby stanął obok niej, sięgałaby mu najwyżej do piersi. Wiatr rozwiewał jej szaty, całe mnóstwo sukien, spódnic i bluzek nałożonych jedna na drugą. Wszystkie miały odcień bieli, od kremowego aż po biel czystą, jasną, tak że niemal raniła oczy. Gołębie, pokrzewki i wszędobylskie wróble gromadziły się wokół jej nóg, dziobały dłonie i wskakiwały na głowę.

Widok ptaków, a także delikatny zapach jaśminu przywiodły mu na myśl podane przez Nemuela Znaki.

*W Getteim zakwitną wiosenne kwiaty, które zwiędną, nim nadejdzie wieczór.*

Miało to o tyle mało sensu, że w mieście w ogóle było niewiele roślinności. Budowano je przy założeniu maksymalnego wykorzystania powierzchni, jaką dawało jezioro, a ojcu Merica szkoda było ją marnować na ogrody czy parki. Jedyne rośliny w Getteim to zasadzone wzdłuż ulic karłowate palmy, arleńskie róże posadzone na klombach oraz dzikie krzewy jaśminu, mirtu i tamaryszku. Doprawdy Meric nie spodziewał się, że drugi Znak będzie jakoś szczególnie efektowny.

Gnomka wysypała ostatnią garść ziarna i ruszyła przez kłębiące się u jej nóg drobne brązowo-szare ciała. Meric odprowadził ją wzrokiem, a potem wstał z ławki i skierował się w stronę mieszkania Aelis.

\* \* \*

— Nazwisko?

— Nataniel Andres.

Dyżurna pielęgniarka pochyliła się nad wielkim zeszytem, oprawionym w czarną skórę.

— Może pan wejść... Chwileczkę... Doktorze Rey!

Przechodzący korytarzem lekarz zawrócił.

— Ten człowiek twierdzi, że być może zna naszego chłopca. Wie pan, tego, który stracił pamięć. Zaprowadzi go pan na górę?

Lekarz, młody i uderzająco brzydki, poprawił okulary na małej twarzy i przyjrzał się Andresowi. Skinął głową, po czym powiodł go w stronę windy. Nim wjechali na trzecie piętro, Nataniel zdążył już opowiedzieć mu o bracie, który gdy miał jedenaście lat, uciekł z domu, a ostatnia pocztówka, jaką przysłał zrozpaczonym rodzicom, pochodziła właśnie z Getteim.

— Chłopakowi właściwie nic nie dolega — powiedział lekarz, gdy Andres skończył mówić. — Wczoraj wpadł jakimś faunowi pod samochód. Wóz jechał bardzo wolno, więc nic złego się nie stało, faun wysiadł jednak i zaproponował, że odwiezie go do domu. I wtedy okazało się, że on nie tylko nie pamięta, gdzie mieszka, ale nie wie nawet, jak ma na imię. Amnezja nie może być skutkiem tamtego drobnego wypadku. Chłopak stracił pamięć już wcześniej, a jego pierwszym wspomnieniem jest to, jak bez celu błąka się po mieście. Wie pan — kontynuował, gdy winda stanęła — ja byłem przeciwny ogłaszaniu tego w prasie i w radiu. Zawsze w takich sytuacjach znajduje się mnóstwo świrów, którzy szukają swoich zaginionych synów czy braci, choć nigdy ich nie mieli. Ale pan mi wygląda na rozsądnego człowieka. Może to rzeczywiście pański brat. Chciałbym, żeby tak właśnie było.

Andres poczuł ukłucie wstydu i odwrócił głowę. Szli koryta-

rzem, mijając ubranych w długie białe koszule pacjentów, którzy w miękkich kapciach sunęli cicho jak duchy. Lampy na suficie dawały rozproszone światło, niby żółte, a jednak z jakimś niezdrowym seledynowym połyskiem, który sprawiał, że chorzy wyglądali na jeszcze bardziej cierpiących i zmęczonych. Ze stojącego przy ścianie metalowego wózka unosił się słodko-mdły zapach dietetycznego obiadu.

Andres wzdrygnął się. Nie znosił szpitali.

Weszli do pomalowanej na biało izolatki.

— To on.

Pograżony we śnie pacjent nie miał więcej niż czternaście lat, więc określenie „młody mężczyzna” było sporą przesadą. Andres pożałował, że wymyślił sobie zaginionego brata, a nie kuzyna czy siostrzeńca. Po pierwsze, była między nimi duża różnica wieku, a po drugie, drobnokościsty, blady chłopak wcale nie był do Andresa podobny.

Anioł czy nie?, zastanawiał się detektyw. Dzieciaka z całą pewnością można było nazwać ładnym, lecz Andres oczekiwał czegoś bardziej niezwykłego. Choć z drugiej strony nie mógł się przecież spodziewać, że Joel będzie tu leżał owinięty w anielskie skrzydła.

Doktor Rey patrzył wyczekująco.

— Nie jestem pewien. — Nataniel odchrząknął, starając się zyskać na czasie. — Ostatni raz widziałem brata, gdy był dzieckiem, a chłopcy w tym wieku szybko się zmieniają.

Lekarz wyglądał na rozczarowanego.

— No cóż... — urwał, bo rozmowa zbudziła młodego pacjenta, który spojrzał na Andresa wielkimi, zdumionymi oczami bezradnej sierotki.

— Zostawię was na parę minut — powiedział doktor Rey, zmierzając w stronę drzwi. — Porozmawiajcie sobie.

Detektyw o mało nie wrzasnął, by go zatrzymać. W ostatniej chwili ugryzł się w język i został sam na sam z chłopakiem gapiącym się na niego niebieskimi oczami, w których, Andres mógłby przysiąc, zaczynały wzbierać łzy.

Zdusił narastającą panikę i zastanowił się, co dalej. Był już pewien, że to żaden anioł, tylko zwykły przerażony dzieciak. Dzie-

ciak, któremu nie miał serca opowiadać bzdur o zaginionym braciszku.

— Słuchaj — zaczął, siadając na przysuniętym do łóżka krześle. — Nazywam się Nataniel Andres i jestem prywatnym detektywem. Czy potrafisz dochować tajemnicy?

Z zadowoleniem stwierdził, że wybrana przez niego metoda skutkuje. Nastolatek skinął głową, łzy wyschły, a ich miejsce w oczach zajął błysk ekscytacji.

Andres opowiedział mu o Joelu, sugerując dość mętnie, że jego amnezja może mieć związek z aniołem. Na szczęście chłopak nie zwrócił uwagi na brak logiki w słowach rozmówcy. Siedział na łóżku wyprostowany jak struna, dłońmi ściskając brzeg kołdry. Nataniel pogratulował sobie w duchu. W gruncie rzeczy chodziło mu po prostu o to, by zainteresować czymś dzieciaka i sprawić, by poczuł się potrzebny. Nigdy w życiu nie miał amnezji, lecz podejrzewał, że człowiek w takiej sytuacji czuje się dość paskudnie: bezradny, przerażony i uzależniony od woli lekarzy, czekając, aż ktoś zgłosi się po niego jak po zapomniany w dworcowej poczekalni parasol.

Wysłuchawszy opowieści, chłopak wbił wzrok we własne dłonie, wciąż zaciśnięte na kołdrze.

— Ale ja chyba panu nie pomogę — wymamrotał. — To znaczy ja naprawdę nic nie pamiętam. Tylko...

— Tak? — zachęcił go Andres.

— Coś o księżycu... Jakoś tak... O, mam. Czasem przeplatam księżyc samotnością — wyrecytował.

— Ale co to znaczy?

— Nie wiem, naprawdę nie wiem.

*Czasem przeplatam księżyc samotnością?* Dla Andresa nie miało to sensu.

— Nie przejmuj się — pocieszająco poklepał nastolatka po ramieniu. — We właściwym czasie wszystko sobie przypomnisz. Wpadnę jutro cię odwiedzić. Przynieść ci coś?

Chwilę wahał się pomiędzy zaproponowaniem komiksu z przygodami chomiczka Darlino a rozkładówką „Gorącej Nimfy”.

Chłopak zażyczył sobie puszki kokosowej lemoniady oraz

jakiejś fajnej książki, najlepiej takiej, gdzie strzelają do siebie gangsterzy.

Andres obiecał mu jedno i drugie.

— Do jutra. — Wyciągnął rękę. — Wpadnę koło południa.

Bezimienny pacjent ujął jego dłoń i uściśnął. W zgięciu łokcia miał przybladły już siniak wielkości pięciorenowki. Ćpun?, zastanowił się Nataniel. Nie zapytał jednak, bojąc się, że zniszczy kruchą więź zaufania, jaka łączyła go z chłopakiem.

\* \* \*

Aelis starannie wypełniła zamówienie i wrzuciła je do skrzynki. Potem przeszła do czytelnicy, gdzie pokazała siedzącej za biurkiem staruszce kartę biblioteczną.

Chwilę później, ściskając w dłoni metalowy numer, wędrowała wzdłuż rzędów w poszukiwaniu swojego miejsca. Olbrzymią, wysoko sklepioną salę wypełniała woń kurzu i szelest kartek.

Obcasy Aelis stuknęły o posadzkę. Dziewczyna ubrała się skromnie, lecz elegancko, w czarne, wąskie spodnie, czarną bluzeczkę na ramiączkach i narzuconą na wierzch białą koszulę. Nie pomogło. Miała wrażenie, że wszyscy widzą w niej tylko zagubione w świecie dorosłych dziecko.

Znalazła swoje miejsce i zapaliła lampkę. Przy następnym stoliku para nastolatków obejmowała się i całowała. Jakby nie mogli usiąść sobie gdzieś na ławce, pomyślała Aelis z niechęcią. Albo, do cholery, po prostu powinni zostać w szkole.

Podeszła do niej chuda gnomka, ciągnąc za sobą wyższy niż ona sama wózek. Spoczywały na nim zamówione przez Aelis czasopiśma.

Dziewczyna chciała poprosić, by gnomka zwróciła uwagę nastolatkom, stchórzyła jednak w ostatniej chwili.

Otworzyła pierwsze czasopismo tak energicznie, że omal nie urwała strony tytułowej.

Przyjęcia, bale i premiery filmów, śluby i rozwody, randki i wszczynane nad ranem awantury. Było tu całe życie getteimskiej śmietanki towarzyskiej z ostatniego półrocza, i to obficie ilustrowane



zdjęciami. Aelis wyciągnęła z plecaczka notes oraz ołówki, po czym zaczęła zapisywać nazwiska potencjalnych kandydatów.

Z oczywistych względów odrzuciła tych, którzy urodzili się w Getteim lub mieszkali tu na tyle długo, by zmienić się fizycznie: utyc, wyłysieć czy się zestarzeć. Odrzuciła też brzydkich oraz przystojnych, którzy urodę zawdzięczali wpływowi krwi ładniejszych niż ludzka ras. Skreśliła przybyłych do miasta Tanagryjczyków i skupiła się na Arleńczykach.

Przez dłuższą chwilę zastanawiała się nad niejakim Domicianem, pięknookim i śniadym. Okazało się jednak, że Domician jest szczęśliwym ojcem siedmiorga dzieci. Aelis wątpiła, by Joel odwiedzał Getteim po to, by wychowywać taką kupę drobiazgu.

Zniechęcona, wyprostowała się, potarła promieniujący bólem kark. Przewróciła kartkę i wtedy jej wzrok padł na przecudnej urody męskie oblicze. Twarz była gładka, pozbawiona najdrobniejszej skazy, rysy doskonale regularne. Duże oczy patrzyły wprost w obiektyw, na idealnie wykrojonych ustach błąkał się leniwy, ironiczny uśmiech.

Podpis pod zdjęciem głosił: *Tajemniczy Leo J. Czy kiedyś zdradzi nam swoje nazwisko?*

Numer „Życia Towarzyskiego” sprzed czterech miesięcy.

Aelis zaklęła w duchu. Leo J. pojawiał się już pośród imion gości biorących udział w przeróżnych imprezach, dziewczyna jednak sądziła, że owo J. jest po prostu inicjałem zwykłego tanagryjskiego nazwiska, i pominęła mężczyznę tak jak każdego Tanagryjczyka.

Ale ze mnie idiotka, pomyślała.

Leo J.

Joel.

— Mam cię, skurwysynu — powiedziała na głos i zaraz rozejrzała się płochliwie. Nieczęsto zdarzało jej się używać takich słów. Para nastolatków wreszcie przestała się całować i obrzuciła ją zdumionymi spojrzeniami. Aelis uśmiechnęła się lekko.

Zamknęła czasopismo, czując, jak jej serce rozgrzewa satysfakcja.

Meric niepewnie przestąpił próg.

Mieszkanie Nataniela Andresa wyglądało dokładnie tak, jak je sobie wyobrażał. Składało się z dwóch niewielkich pokoiów umeblowanych tanimi, odrapanymi meblami ze sklejki. Z półek wysypywały się płyty i książki – stojąc w przedpokoju, Meric nie mógł dostrzec tytułów, lecz część była zbyt gruba jak na sensacyjne powieści, a do tej pory sądził, że Andres czytuje wyłącznie kryminały. Na dawno niemalowanych ścianach wisiały plakaty: jeden z jakiejś zapomnianej komedii, dwa z koncertu Wskrzesicieli i jeden reklamujący lody Gaudy. Sądząc po miejscach, w których je powieszono – nie centralnie, lecz z boku, tuż przy szafkach – miały nie tyle stanowić ozdobę, ile po prostu ukrywać dziury w tynku.

Andres zamknął drzwi wejściowe i wrócił do kuchni, z której dochodziła woń sosu pomidorowego. Aelis poszła za nim.

— Meric Tyren nie powinien być teraz sam — wymruczała.

— Co jeszcze nie znaczy, że powinien być akurat ze mną — warknął Andres, zmniejszając płomień pod garnkiem, w którym bulgotała potrawka ryżowa.

Aelis odetchnęła z ulgą. Wbrew pozorom mężczyzna wcale nie był w złym humorze.

Meric stanął w drzwiach kuchni.

— Nie chciałbym sprawiać kłopotu...

— Gdyby sprawiał mi pan kłopot, wyrzuciłbym pana na zbity pysk — poinformował Andres, obejmując spojrzeniem włosy i ubranie Merica. W oczach gospodarza pojawił się błysk aprobaty.

Potem odwrócił się i przesadnie zamaszystym gestem, niczym artysta pozer kończący swe dzieło, zamieszał w garnku.

— Dobra, bierzcie talerze, ale pamiętajcie, że ja tego zmywał nie będę.

Meric po chwili zastanowienia uznał to za zaproszenie do stołu.

Usiedli w jednym z pokoi, przy stole nakrytym żółto-niebieską ceratą. Potrawka ryżowa okazała się zaskakująco smaczna, choć Meric z każdą kolejną łyżką specjału nabierał pewności, że je po prostu dobrze przyprawiony „Posiłek rodzinny nr 7 – ryż w sosie

pomidorowym”.

Pomyślał o aniele Joelu, który w Getteim nosił imię Leo J. i który – jak Aelis zdążyła sprawdzić w książce telefonicznej – miał dom w Calanhoe. Zbyt daleko, by jechać tam o tej porze. Jutro z samego rana spotkają się z Joelem.

Jeżeli oczywiście zastaną go w domu.

Meric był dobrze wychowany, a ponadto wyznawał zasadę, że gospodarz w swoim własnym domu ma prawo do różnych fanaberii. Dlatego też po skończonym posiłku zebrał ze stołu talerze i zaniósł do kuchni. Odkręcił wodę i zakasał rękawy.

Oparty o framugę drzwi Nataniel Andres obserwował go z wyraźną kpiną.

— No proszę, gdyby parę dni temu ktoś mi powiedział, że milioner Aimeric Tyren będzie mył moje talerze, nie uwierzyłbym mu za grosz.

— Nie jestem milionerem — zaprotestował Meric łagodnie.  
— Już nie.

Andres pomyślał, że jak na bankruta facet wydaje się zdumiewająco obojętny. Gdyby on sam stracił tyle pieniędzy, przejąłby się tym jak jasna cholera.

Meric odłożył talerze na suszarkę, z trudem znajdując dla nich odrobinę miejsca.

— Pan jest daltonistą? — zapytał, odwracając się w stronę Andresa i stojącej obok Aelis.

— Nie, dlaczego?

— Bo nosi pan dwie różne skarpetki.

Aelis zachichotała.

— On rzadko kiedy potrafi znaleźć kompletną parę. Na szczęście w szukaniu zaginionych osób jest skuteczniejszy. — Meric uśmiechnął się lekko, a zachęcona dziewczyna kontynuowała — Nataniel to straszny bałaganiarz. Nic dziwnego... Pokazać panu jedyną kobietę, która z nim wytrzymuje?

Meric skinął głową. Był wystarczająco bystry, by zauważyć raptownie urwane zdanie, i jednocześnie wystarczająco wrażliwy, by rozumieć, że nie powinien prosić Aelis o dokończenie.

Przeszli z powrotem do pokoju, gdzie złożony stół powędrował

pod ścianę, przemieniając tym samym pomieszczenie z jadalni w coś w rodzaju małego saloniku.

Nataniel Andres poszedł za nimi świadom, że Aelis właśnie próbuje jego kosztem zabawić Merica Tyrena. Na razie postanowił jej na to pozwolić.

Aelis wskazała zdjęcie przychepione magnesem do metalowych drzwiczek szafki.

Przedstawiało bardzo piękną dziewczynę o lekko skośnych oczach, wystających kościach policzkowych i delikatnych ustach. Jej twarz – tak odległa od stereotypowego ideału urody, jaki reprezentowały chłodne, klasycznie piękne elfki – była pozbawiona makijażu i wydawała się przez to zaskakująco młoda i bezbronna. Sfotografowano ją z półprofilu, gdy obracała się przez ramię. Miała osobliwą minę: wystraszoną i jednocześnie niepewną.

— Kim ona jest?

— Sam nie wiem. — Andres wzruszył ramionami. — Tak naprawdę fotografowałem wtedy budynek, w którym mieszkał pewien facet. Dziewczyna przez przypadek znalazła się w kadrze, a ja zauważyłem ją, dopiero gdy wywołałem film. Ma dziwny wyraz twarzy, prawda? Wygląda... bo ja wiem? Jakby zobaczyła coś strasznego, lecz była zbyt nieśmiała, by zacząć krzyczeć bez pozwolenia.

Meric przyjął żart bez uśmiechu. On sam miał bardzo podobne wrażenie. A najdziwniejsze było to, że już kiedyś widział tę delikatną, dziewczęcą twarz, choć nie pamiętał kiedy i gdzie.

Zadzwoił stojący na szafce telefon. Andres podniósł słuchawkę.

— Pan Nataniel Andres?

— Przy telefonie.

— Dzwonię ze Szpitala Trzech Sióstr. Mam dla pana bardzo złą wiadomość — kobiecy głos, dotąd chłodny i oficjalny, zadrżał lekko. Mężczyzna mocniej ścisnął słuchawkę. — Chodzi o pańskiego brata. Bardzo mi przykro, ale on nie żyje.

Andres wyobraził sobie – tak plastycznie, jakby widział to w kinie – samego siebie upuszczającego słuchawkę telefonu, która z hukiem uderza o podłogę. Zupełnie jak w kiepskich dramatach.

Oczywiście nie zrobił nic takiego.

— Chłopak dziś po południu czuł się znakomicie — warknął.

— Coście mu zrobili?

— To nie nasza wina — w głosie zabrzmiało ledwo dostrzegalne oburzenie. — To będzie dla pana szok, ale muszę panu powiedzieć, że pański brat godzinę temu popełnił samobójstwo.

## Dzień czwarty

*Spotkałem kiedyś małego chłopca, który bardzo narzekał, że urodził się człowiekiem. Chciałbym być elfem, mówił, oni dłużej są dziećmi, więc nie muszą tak szybko iść do szkoły. Albo faunem, dodawał, oni są tacy szybcy, zręczni i silni. Wolałby nawet być gnomem, bo oni nigdy nie chorują, nie boli ich brzuch, gdy zjedzą zielone jabłka, i nie muszą chodzić do dentysty. A ja wam mówię: cóż warte jest to wszystko w porównaniu z tym, że Bóg upodobał sobie właśnie ludzi? Gdyby ów chłopiec urodził się elfem, faunem albo gnomem, jego dusza po śmierci przeszłaby do kolejnego ciała i musiałaby na nowo zaczynać swoją ziemską wędrówkę, aż w końcu przysłaby na świat w człowieku. Bo dopiero taka dusza, dusza narodzona w ciele słabego i krótko żyjącego człowieka, dostanie się do nieba. Oczywiście tylko jeśli ów człowiek będzie... jaki? Tak jest, powtórzcie za mną: BEZGRZESZNY. Czyli właśnie taki, jak wy teraz, bo nie ma istoty bardziej niewinnej niż dziecko.*

Fragment kazania wygłoszonego  
do dzieci rozpoczynających naukę  
w szkole im. Aimerica Tyrena

Dziś nad ranem temperatura w Getteim gwałtownie spadła, a jednocześnie z zachodu napłynęła fala wilgotnego i ciepłego powietrza, która w zetknięciu z nagle wychłodzoną powierzchnią ziemi dała w rezultacie zjawisko dość niespotykane w naszym mieście: gęstą jak mleko mgłę.

— Gówno prawda — rzucił Nataniel z gniewem. — Po prostu powiedzcie prawdę. Powiedzcie, że banda pieprzonych aniołów chce nas pozabijać.

Siedzieli w biurze Andresa, słuchając radia. Oczy Aelis były szeroko otwarte i pełne lęku. Meric wyglądał na spokojniejszego – jego niepokój można było poznać jedynie po tym, że nerwowo bębnił palcami o blat stołu.

Dziewczyna podeszła do okna i uchyliła je odrobinę. Do środka natychmiast wtargnął wilgotny, lepki chłód. Zadrżała i zapięła wełniany sweter, który zazwyczaj wkładała dopiero na zimę.

— Policja stara się opanować sytuację w mieście, ale nadal większość dróg jest nieprzejezdna. W centrum utworzył się gigantyczny korek, którego rozładowanie może potrwać nawet do kilku godzin. Ze względu na nietypowe warunki część urzędów została dzisiaj zamknięta. Wciąż kursują autobusy linii...

Aelis patrzyła w dół, na ciągnący się wzdłuż kanału chodnik. W El oczywiście nie było żadnych korków. Pod oknem przechodziła właśnie grupka młodzieży. Pokrzykiwali wesoło, goniąc się we mgle, i wyglądało na to, że świetnie się bawią. Tuż za nimi szedł elf, oświetlając sobie drogę latarką. Mgła rozstąpiła się na chwilę, elf spojrzął w górę i jego oczy spotkały się z oczami Aelis.

Ty już wiesz, pomyślała. Wiesz, co to oznacza.

— Niektórzy twierdzą, że owa mgła jest pierwszym z sześciu Znaków poprzedzających zagładę Getteim. By zdementować te plotki, poprosiłam o opinię meteorologa...

Andres wyłączył radio.

— Darujmy sobie te bzdury — powiedział. — Pomyślmy lepiej, jak dostać się do Calanhoe.

Meric zastanowił się.

— Kolejną miejską?

\* \* \*

— Ten automat nie działa.

— Może zaczniesz, jeśli przestaniesz w niego walić — poradziła Aelis.

Wrzucona przez Andresa moneta raz jeszcze z metalicznym zgrzytem przeleciała przez wnętrza maszyny i wylądowała na blaszanej tacce.

Nataniel parsknął, odwrócił się i spojrzał na kłębiący się przy kasach tłum. Pokręcił głową. W tym samym momencie na tablicy wyświetlił się napis „Calanhoe”, a z daleka dobiegł stukot zbliżającego się pociągu.

— Rzykujemy? — Andres uniósł brwi.

— Ja jestem za — powiedziała Aelis. — Nie sądzę, by ktokolwiek w takim zamieszaniu sprawdzał bilety.

Meric skinął głową. Przeskoczyli przez barierki i pobiegli w stronę peronu.

— Weź mnie za rękę — polecił Andres. Aelis już chciała zaprotestować, lecz zobaczyła czekający na peronie tłum i posłusznie ujęła dłoń mężczyzny.

Pociąg w istocie ledwo zasługiwał na swoją nazwę. Było to kilka niewielkich wagoników, którymi mieszkający na obrzeżach getteimczycy dojeżdżali do pracy. Gdy tylko otworzyły się automatyczne drzwi, tłum wdarł się do środka. Stojący blisko torów Meric został wepchnięty do wagonu. Nim olbrzymi faun zasłonił mu widok, zobaczył jeszcze, jak Nataniel Andres, klnąc desperacko i rozpychając się łokciami, brnie przez wezbraną rzekę istot najróżniejszych ras i kolorów skóry.

Automatyczne drzwi zaczęły zamykać się z sykiem i zaraz otworzyły na powrót. Gnomka z wielkim tobołkiem na plecach, uczepona innych pasażerów, wykrzykiwała coś piskliwie. Ktoś wrzeszczał, ktoś inny przeklinał. Po chwili gnomka upadła na peron, drzwi się zamknęły i pociąg, dygocząc lekko, pomknął ponad miastem zatopionym w mlecznosrebrzystej mgle.

Na następnym przystanku fala wysiadających wypchnęła Aelis z pociągu jak korek z butelki. Andres, wykorzystując króciutką chwilę pomiędzy odpływem a przypiływem podróżnych, wciągnął ją do wagonu.

— Uwaga na głowę — powiedział, chwycił ją niespodziewanie i posadził sobie na ramionach.

— Puść...

— Cicho bądź, będzie więcej miejsca.



Aelis maszerowała przodem, wciąż urażona i milczeniem próbująca odzyskać utraconą godność. Nie znosiła, gdy traktowano ją jak dziecko. Andres i Meric szli tuż za nią cichą, pogrążoną we mgle ulicą. To było Calanhoe, dzielnica bogaczy, najczęściej związanych z przemysłem filmowym. Tutaj mieszkali gwiazdy ekranu i znajdowały się największe wytwórnie. Tutaj każdy dom był otoczony wysokim płotem twierdzą, a zieleni było więcej niż w pozostałych trzech Kwartałach razem wziętych.

Gdzieś obok rozszczękał się pies, chwilę później czerwone, płonące wściekłością ślepia wyjrzały zza żelaznych prętów płotu. W wilgotnej, mleczonej ciszy psi głos niósł się daleko. Andres zawarczał i odpowiedział mu całkiem udanym szczeknięciem. Zwierzę pobiegło za nim wzdłuż płotu, wciąż ujadając.

— Miła bestyjka, no chodź, spróbuj mnie ugryźć... Hau! Hau!

— To tutaj — powiedziała sucho Aelis. Andres przestał drażnić psa i podszedł do niej.

Stali przed ciężką żelazną bramą. Obok na betonowym cokole wznosiła się figurka anioła z rozwiniętymi skrzydłami i rękami rozłożonymi tak, jakby za chwilę ktoś miał mu wpaść w ramiona.

— Adekwatne... — mruknął Andres i spojrział na Merica.

Młodszy mężczyzna odetchnął, układając sobie w myślach słowa, które powinien powiedzieć Joelowi, po czym wcisnął przycisk domofonu.

Czekali długo, bardzo długo, we mgle i ciszy przerywanej tylko pełnym złości poszczekiwaniami psa.

Merik wyciągnął rękę, by zadzwonić raz jeszcze, lecz Aelis pokręciła głową.

— Tam nikogo nie ma. — Wyglądała na przybitą, ale nie zdziwioną. W gruncie rzeczy tego właśnie wszyscy się spodziewali.

— Porozmawiajmy z sąsiadami — zaproponował Andres. — Zna pan tu kogoś?

Merik zastanowił się.

— Nie, na tej ulicy chyba nie.

— Mimo wszystko lepiej, żeby nikt pana nie widział. Jest tu jakaś knajpa?

— Gauda ma niedaleko swój lokal. Na rogu Szóstej i Siódmej.

— Niech pan tam na nas zaczeka.

Meric odszedł, a Nataniel zadzwonił do bramy sąsiedniego domu. Aelis trzymała się z tyłu, niepewnie popatrując na psa, który warcząc wściekle, wspiął się na tylne łapy i próbował przecisnąć pysk pomiędzy żelaznymi prętami.

W domofonie rozległ się cichy trzask.

— Słucham? — powiedział kobiecy głos z arleńskim akcentem.

— Chciałem zapytać o Leo J., państwa sąsiada...

— Nie mam teraz czasu. — W tle słychać było coś, co Andres zidentyfikował jako odgłosy domowej awantury: krzyki, rozbijanie szkła, tupot nóg.

— Chwilę! — wrzasnął. — Przyjechałem aż z Tanagry, by się z nim zobaczyć! Nie wie pani, gdzie on może być? Może ma służącego albo coś? Proszę mi pomóc!

— Niech pan zaczeka...

Chwilę później nadbiegła młoda pokojówka w narzuconym na fartuszek sweterku. Nogą odepchnęła psa i przysunęła twarz do bramy.

— On nie ma służącego — powiedziała pospiesznie. — I strasznie dawno go nie widziałam, chyba ze dwa miesiące już będzie. Ale u niego sprzątają kobiety z „Fryne”. Wie pan, z tych, co to kilka razy w tygodniu przychodzą do domu. Niedawno jeszcze je widziałam, a to znaczy, że facet wciąż im płaci. Może więc w firmie wiedzą, gdzie on jest. Niech pan tam spróbuje.

\* \* \*

Meric zamieszał łyżeczką szybko topniejące lody. Spojrzał na Aelis, która spała na skórzanym siedzeniu. Leżała na plecach, okryta obszerną kurtką Andresa. Jej twarz była spokojna, oddech równy.

Zastanawiał się, dlaczego wcześniej nie wpadł na to, że dziewczyna musi być Śniącą. I to dobrą Śniącą, pomyślał, bo zapadła w Sen błyskawicznie, bez pomocy prochów.

Andres podszedł do ich stolika.

— Ma pan rozmiąć dziesiątkę? Skończyły mi się drobne, a ta

cholerna firma właśnie niedawno zmieniła adres.

Merik sięgnął po portfel i Andres z garścią pełną drobniaków wrócił do telefonu.

\* \* \*

Wokół domu Joela ścieżki Snu były bardzo wąskie – widać duchy, które je wykreśliły, dawno już odeszły z tego świata.

Jedna tylko lśniła intensywną, złą czerwienią. Jej brzegi były pomarańczowożółte jak płomień, a czarny środek przypominał jądro przejrzałego owocu. To była ścieżka Głodnego Ducha, na szczęście nie ludzkiego, lecz kociego. Ducha, który spacerował tu, wciąż tęskniąc za łowami, wciąż pożądając krwi ginących pod jego pazurami myszy, ich bólu i przerażenia.

Zaryzykuję, pomyślała Aelis. Skoro to jedyny sposób, by dostać się do środka...

\* \* \*

— Panie Andres...

— Natanielu, tak będzie prościej.

— Ten telefon, wczoraj wieczorem. Słyszałem, że ktoś umarł. Czy to był ktoś bliski?

Andres w pierwszym odruchu zacisnął usta, lecz Merik takie pytania potrafił zadawać na tyle subtelnie, że nawet ci, którzy nie lubili wsadzania nosa w ich prywatne sprawy, nie czuli się urażeni.

— Nie — odparł, odprężając się. — Po prostu pewien chłopak, którego poznałem w szpitalu. Całkiem sympatyczny dzieciak.

— Przykro mi — powiedział Merik, a Nataniel po chwili wahania skinął głową.

Aelis poruszyła się, jęcząc cicho.

— Czy to jest dla niej bezpieczne?

— Da sobie radę. — Andres położył dłoń na jej czole i dziewczyna uspokoiła się. Merik odetchnął.

— Mamy pecha. — Nataniel sięgnął po tytoń i bibułki, po czym zabrał się do zwijania papierosa. Merik podsunął mu popielniczkę.

— Joel zapłacił „Fryne” z góry za pół roku, więc dwa razy w tygodniu w jego domu zjawiały się kobiety, które pucowały wszystko, a także zabierały i odnosiły pranie. Gotować nie było potrzeby, bo Joel jadał na mieście. To, że dom sprawia wrażenie opuszczonego, nie miało dla nich znaczenia. U „Fryne” mają duplikaty kluczy, a facet zapłacił, więc ekipa porządkowa zjawiała się zgodnie z umową. Nawiasem mówiąc, umowa skończyła się dwa tygodnie temu, a Joel jej nie odnowił, więc wygląda na to, że nasz anioł zniknął na dobre.

— A kiedy widziano go po raz ostatni?

— Latem, jakieś dwa miesiące temu.

Aelis zbudziła się i usiadła. Wyglądała na całkowicie przytomną.

— I co? — spytał Andres.

— Niewiele udało mi się zobaczyć. Do domu Joela prowadzi tylko ścieżka Głodnego Ducha, więc przez cały czas bardzo źle się czułam — powiedziała z leciutkim rumieńcem, niczym grzeczna pensjonarka, którą nauczono, że to wstyd przyznawać się do słabości. — W każdym razie dom jest pusty, tyle wiem. Żadnych magicznych zabezpieczeń, a ze zwykłymi zamkami powinieneś sobie poradzic.

Andres wstał, gestem powstrzymał Merica, który chciał iść z nimi.

— Zostań tutaj. Wrócimy najdalej za godzinę.

\* \* \*

Nataniel Andres rzeczywiście poradził sobie z zamkami, choć zajęło mu to nieco więcej czasu, niż przewidywał. Albo zaczynał tracić wprawę, albo po prostu miał dziś kiepski dzień – wolał wierzyć w tę drugą ewentualność.

Stali teraz w obszernym salonie. Wrażenie przestronności pogłębiały jasne kolory – wszystko tu było albo kremowobiałe, albo różowe lub beżowe. Dywan miał krótkie, lecz bardzo grube włosy i wydawał się niesamowicie miękki, meble wykonano z drewna tamorszy i wyłożono masą perłową. Z wielkiego porcelanowego wazonu wychylały się katlee. Brzegi ich płatków zbrązowiały, ale

środkie wciąż jeszcze zachowały charakterystyczną bladoniebieską barwę, dzięki której katalie były najdroższymi i najbardziej poszukiwanymi kwiatami. Czy do obowiązków pracownic „Fryne” należało także dostarczanie kwiatów? Andresa wcale by to nie zdziwiło.

Na półkach stały książki i Nataniel nie musiał podchodzić bliżej, by stwierdzić, że to „klasyczna” seria, gdzie utrzymane w jednolitej tonacji okładki służyły do tego, by ładnie wyglądać w bibliotekach bogaczy. Na ścianach – jemu wydawały się po prostu różowe, lecz dekorator pewnie nazywał ten kolor „pocałunkiem zachodzącego słońca” czy jakoś podobnie – wisiały drogie arleńskie pejzaże. Wszystko tu było drogie i w najlepszym guście, zupełnie jakby Joel zamówił „eleganckie wnętrze wraz z całym wyposażeniem” i nie zatroszczył się o to, by dodać temu wnętrzu nieco własnej osobowości.

Andres rozejrzał się i podszedł do szafki, na której stał najnowszy model gramofonu z dwoma głośnikami. Przejrzał znajdujące się na dolnej półce płyty. Może się myliłem, pomyślał, spoglądając na wypisaną na płaskim pudełku nazwę. Może Joel ma jednak własny gust, choć jest to gust dość nietypowy.

Wszystkie płyty nagrał Quin–Tet, getteimski zespół grający muzykę *merilet*. Tak przynajmniej twierdzili krytycy, którzy rzadko kiedy potrafili się połapać, że muzyka Quin–Tetu, z przesadną drobiazgowością przestrzegająca staroświeckich zasad arleńskiej melodyki, jest raczej parodią tego stylu.

— Co dalej? — spytała Aelis.

— Musimy znaleźć biurko i jakieś papiery. Może dzięki nim dowiemy się, gdzie szukać Joela.

Lecz biurko ich rozczarowało. Wyglądało bardziej na atrapę niż na używany mebel. Kałamarz w złoczonej oprawce, kilka eleganckich piór, w szufladzie papeteria z wydrukowanym imieniem Leo J., a także nożyczki do papieru, klej, linijka, gumka i pudełko ołówków – zestaw jak dla pierwszoklasisty, tyle że dziesięć razy droższy. Wszystko to wydawało się jak najbardziej zwyczajne, ale Andres wątpił, by Joel kiedykolwiek pisał przy tym biurku. W szufladce natrafili na plik rachunków – ostatni, za telefon, zapłacony został na początku lata. W mieszkaniu anioła było zaskakująco mało papie-

rów. Zdjęć z dzieciństwa Andres raczej się nie spodziewał, ale nie znaleźli tu też żadnych pocztówek, listów czy notatek.

Pierwszym wytłumaczeniem mogło być to, że Joel żył jak odludek, nie kontaktując się z nikim.

Drugim – że Joel miał obsesję na punkcie porządku i wszystko, co jest zbędne, po prostu wyrzucał.

Trzecie i najbardziej niepokojące wyglądało tak, że anioł starał się coś ukryć.

Żadna z tych teorii nie satysfakcjonowała Andresa. Żadna nie tłumaczyła, dlaczego dom Joela jest tak absolutnie wyprany z wszelkiej indywidualności.

Kuchnia, tak jak i biurko, sprawiała wrażenie zupełnie niepotrzebnej. Szafki były puste, w lodówce znaleźli tylko wypełniony do połowy pojemnik na lód oraz parę puszek soków owocowych. W łazience nieoczekiwanie trafili na całą baterię buteleczek zawierających damskie perfumy, a w sypialni Andres wyciągnął z szuflady komplet koronkowej czarnej bielizny.

— Oto jest dzień, w którym straciłem resztki wiary — powiedział ze smutkiem, gapiąc się na fikuśny gorset.

Aelis uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała na powrót.

Na szafce przed lustrem leżał kwiat. Rozkwitła róża, czerwona jak świeża krew. Nataniel, mając w pamięci zwiędłe katlee, sięgnął po nią ze zdziwieniem.

Kwiat był sztuczny. Całkiem ładny – barwione szkło i aksamit, nie była to jednak ręczna, oryginalna robota, lecz wykonana na zamówienie masówka. Andresa to zastanowiło, bo Joel wyglądał na kogoś, kto lubi tylko rzeczy w najlepszym guście. W skupieniu obracał różę w palcach, gdy zauważył na jednym z liści naszkicowany rysunek. Uśmiechnięte półsłoneczka przytulone bokiem do smutnego półksiężyca.

Włożył różę do kieszeni kurtki.

\* \* \*

— Spójrz, Meric. Rzadko chodzę do kina, ale czy to nie jest przypadkiem logo Bizalionu?

Zapytany skinął głową i zbladł tak bardzo, że Andres zaniepokoił się, czy mężczyzna nie zamierza przypadkiem zemdleć.

— Ja dostałem taką samą różę — wyszeptał Meric bezkrwistymi wargami. — O Boże... Dwa miesiące temu, wraz z zaproszeniem do Teatru Rozrywki. Premiera *Szczęśliwego śpiewaka*. Nie poszedłem wtedy...

Krew odpłynęła także z twarzy Aelis, w jej oczach stężało przeżenie.

— Wszystko jasne. Joel zniknął dwa miesiące temu. A dlaczego? Bo zginął w ogniu.

Andresowi zakręciło się w głowie. Więc wszystko na nic. Mogą od razu wynieść się z Getteim. On do Tanagry, Aelis do Arlenu, a Meric? Meric Tyren pewnie zostanie, by jak przystało na syna założyciela miasta, umrzeć na gruzach Getteim.

A potem wrodzony zdrowy rozsądek zdołał się przebić przez warstwę bezradności i Andres walnął pięścią w stół.

— Chwila, moment. Nie wpadajmy w panikę. Dlaczego, skoro Joel nie żyje, jego dom stoi sobie jakby nigdy nic? Jeśli nie sporządził testamentu, to cały jego majątek powinno przejąć miasto. Dlaczego ani tamta służąca, ani nikt we „Fryne” nie wiedzieli o jego śmierci? Swego czasu listę ofiar podawała i prasa, i radio, a takie wieści szybko się rozchodzą. Może Joel zrobił to samo co Meric, to znaczy przyjął zaproszenie i wcale z niego nie skorzystał, a może zniknął już później, gdy wydostał się z płonącego teatru. Moim zdaniem, zagrożenie, że zginął w pożarze, wcale nie jest duże.

Twarz dziewczyny odtajała. Meric wciąż był blady, ale i w jego oczach dało się zauważyć ulgę.

— Trzeba sprawdzić nazwiska ofiar — powiedziała Aelis. — I dowiedzieć się, czy Joel w ogóle dotarł na premierę. Nie mam pojęcia jak; prasa zawsze podaje listę gości z wyprzedzeniem i nie wiadomo, kto z nich przyjdzie, a kto zrezygnuje w ostatniej chwili.

Merik pomyślał, że ma na to sposób. Najprościej będzie, jeśli porozmawiają z Indil, która była wtedy w Teatrze Rozrywki.

— Nie jestem pewien, czy to mój brat. — Nataniel Andres zawahał się. Z jednej strony czuł, że wyparcie się chłopaka, któremu odebrano wszystko, nawet imię, byłoby strasznym świństwem, z drugiej strony jednak zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli przyzna się do pokrewieństwa, to prawdziwi bliscy dzieciaka nigdy się nie dowiedzą, co stało się z ich synem czy bratem.

— No to mamy problem... — Doktor Rey zmarszczył brwi. Jego młoda, brzydka twarz małej wyglądała raczej wzruszająco niż odpychająco, a palce wybijały na blacie stołu niespokojny rytm.

— Chce pan, żeby spalono go na koszt miasta?

— Nie, ja zapłacę — zdecydował Andres.

— W takim razie nie widzę powodu, by nie uznać pana za jedyne żyjącego krewnego. Na szczęście mamy parę zdjęć, które zrobiliśmy, gdy dawaliśmy ogłoszenie do prasy. W razie gdyby znalazł się ktoś... no cóż, bardziej pewny, kto by go rozpoznał, po prostu skontaktujemy go z panem. Aha, i może pan oczywiście zabrać jego rzeczy.

Cały majątek bezimiennego chłopaka – a więc ubranie, w którym został przywieziony do Szpitala Trzech Sióstr – zmieścił się w jednej plastikowej torbie.

— Przykro mi — powiedział doktor Rey. Jego oczy za okrągłymi szklami okularów miały bladobłękitny odcień i widać w nich było niepokój. — Tak bardzo mi przykro. Proszę to wziąć.

Popychał torbę po blacie stołu niepewnie, a jednocześnie z determinacją, jakby próbował przekupić łakomym kąskiem złego psa. Doktor Rey był zrozpaczony (gdy powtórzył to po raz piąty z rzędu, Andres zaczął mu wierzyć), doktor Rey szczerze żałował młodego pacjenta, lecz doktor Rey miał też nadzieję, że Andres zabierze jego rzeczy i jak najszybciej wyniesie się ze szpitala.

Nataniel Andres nie zamierzał nigdzie się wynosić. Nerwowy pośpiech, z jakim lekarz próbował zamknąć całą sprawę i wyrzucić ją z pamięci, sprawił, że w jego głowie odezwał się alarmowy brzęczyk.

— Policja uznała to za samobójstwo?

— Bez żadnych wątpliwości. Zajęło im to ledwo cztery godziny. Jak na getteimskie standardy było to i tak dość długo. W Tana-



grze sprawiedliwość była ślamazarna, zavalona mnóstwem papierkowej roboty, ale dość dokładna, w Arlenie natomiast szybka i mocno omylna – w niektórych okręgach całkowitą władzę dzierżyła jedna osoba, która była zarówno śledczym, jak i sędzią, a czasem i katem. Getteimska sprawiedliwość stanowiła wypadkową tych dwóch tendencji. Stróże prawa nie cieszyli się tu taką samowolą jak w Arlenie, lecz jeśli coś na pierwszy rzut oka wyglądało na samobójstwo, to nikt nie zamierzał nad tym długo deliberować.

— To oczywiste samobójstwo — powiedział doktor Rey z lekką nutką zniecierpliwienia w głosie. — Chłopak powiesił się w zamkniętym od wewnątrz pomieszczeniu. Rozumiem pański niepokój i bardzo panu współczuję, ale to nie ma sensu. Proszę dać temu spokój. Proszę już iść...

— Gdzie on umarł? — Andres czuł się jak ślepiec badający drogę po omacku. Coś tu było nie w porządku. Doktor Rey sprawiał wrażenie przypartego do muru: to przemawiał niemal błagalnie, to znów przybierał ostry ton, by natychmiast pod wpływem spojrzenia Andresa na powrót złagodnieć.

— W kotłowni.

— W kotłowni? Jak się tam dostał?

— To otwarte pomieszczenie. To znaczy klucz jest w drzwiach, ale nikomu jak dotąd nie przyszło do głowy, że trzeba je zamykać.

— I nikt nie widział, jak chłopak tam szedł?

— Owszem, widziała go jedna z pielęgniarek. Wołała za nim, lecz nie odpowiedział. Nie rozumiem, do czego prowadzą pańskie pytania...

— Chciałbym zerknąć na tę kotłownię — Andres nie dał mu dokończyć.

— Po co to panu? Podejrzewa pan, że ktoś stąd maczał w tym palce? Zdaje pan sobie sprawę, jak to bezsensownie brzmi?

— Ja z natury jestem bardzo podejrzliwy. A pan coś ukrywa.

Zastanowił się przy tym, czy te podejrzzenia nie są jedynie próbą zagłuszenia wyrzutów sumienia, bo wczoraj nawet mu nie przyszło do głowy, że chłopak może odebrać sobie życie. Zaraz jednak odrzucił tę myśl. W Reyu bezbłędnie wyczuwał słabość młodego, sympatycznego człowieka nieopatrzonego jeszcze ze śmiercią i cier-

pieniem. Wiedział, że rozmówca bliski jest załamania, i nie zamierzał tracić okazji.

Nie mylił się, bo chwilę później przez twarz doktora przebiegł lekki skurcz. Mężczyzna odetchnął, jakby szykował się do skoku na głęboką wodę.

— Zresztą — powiedział — to pana sprawa. Chciałem panu tego oszczędzić, ale skoro pan się upiera... Cóż, proszę za mną.

Zjechali windą na sam dół, do piwnic. Doktor Rey poprowadził Nataniela szerokim korytarzem. Minęli kilka magazynów oraz pralnię, z której dochodził ostry zapach wybielacza, i stanęli przed ostatnimi drzwiami.

— To tutaj — oznajmił doktor Rey.

Kotłownia była duża, ale i tak wielki, rozgrzany kocioł zdawał się wypełniać ją bez reszty. Gdy weszli, mężczyzna w roboczym kombinezonie upuszczał właśnie z niego parę. Odwrócił się, rzucił im przelotne spojrzenie, po czym na powrót wbił oczy w okrągłą tarczę manometru.

Andres zatrzymał się w progu. Nawet tutaj czuł buchający z kotła żar i dziwił się, jakim cudem facet w kombinezonie wytrzymuje taką temperaturę.

— Widzi pan ten fotel, tam w rogu? — ciągnął doktor Rey. — To fotel Vala, naszego palacza i złotej rączki. Chłopak chciał przesunąć go tak, żeby przerzucić sznur przez belkę, która biegnie przez środek kotłowni. Ale to ciężki mebel, więc zrezygnował i przerzucał sznur, stojąc na fotelu ustawionym nie bezpośrednio pod belką, lecz nieco z boku. Udało mu się, ale oczywiście w chwili, gdy skoczył, ciało na sznurze wychyliło się w drugą stronę. Rozumie pan teraz, dlaczego nie powinien pan oglądać zwłok przed spalaniem? Ten nieszczęsny chłopak, nim zginął uduşzony, poparzył się jeszcze potwornie o ten cholerny rozgrzany do czerwoności kocioł.

\* \* \*

— Dlaczego wybrałaś akurat to zajęcie?

Aelis słyszała podobne słowa dziesiątki razy. Czasem było to

czysto konwencjonalne pytanie, a rozmówca nawet nie słuchał odpowiedzi. Czasem kryła się w nim kpina, bo czy biuro prywatnego detektywa to odpowiednie miejsce dla kogoś, kto wygląda najwyżej na dwanaście lat?

Merica pytanie zadał tak, jakby naprawdę zależało mu na odpowiedzi.

Na tym właśnie polega jego urok, pomyślała Aelis, udając, że się zastanawia, a w rzeczywistości tylko patrząc na mężczyznę. Wszystkie słowa i gesty Merica mieściły się w ramach tego, co ogólnie można by nazwać konwencjonalnym „dobrym wychowaniem”, lecz on potrafił nadać im pozór szczerości. Możliwe zresztą, że wcale nie był to pozór. Andres wyśmiałby ją, ale Aelis wierzyła, że Meric naprawdę taki jest: po prostu miły i dobry.

Poruszył się bez niecierpliwości, wciąż patrząc na nią z łagodnym uśmiechem. Czekał na odpowiedź. Siedzieli naprzeciw siebie w głębokich fotelach, rozdzieleni małym stoliczkiem ozdobionym wzorem szachownicy. Podświetlona nocną lampką czerwień obić i ścian rzucała na ich skórę krwawe refleksy. Twarz Merica była zmęczona, z rysującymi się pod oczami cieniami, za to Aelis ze swoją jasną cerą i ciemnymi włosami wyglądała prześlicznie: drobniutka, czarno-biała dziewczynka otulona łuną pożaru.

— Rok temu skończyłam psychologię na tutejszym uniwersytecie, a poza tym jestem całkiem niezłą Śniącą — odparła, po czym dodała z goryczą — co i tak niewiele mi daje. Jak sądzisz, ilu poważnych pracodawców chciałoby zatrudnić kogoś, kto wygląda tak jak ja? Cóż innego mogłabym robić?

Zreflektowawszy się, że zabrzmiało to nielojalnie, umilkła, odetchnęła i dalej mówiła już spokojniej:

— Ja lubię tę pracę. I lubię Nataniela. Jest miły. Nie traktuje mnie jak dziecka, a to już dużo. Zdziwiłbyś się, jak wiele osób nie potrafi przyjąć do wiadomości, że nie mam dwunastu lat. Jedną jest Andres, drugą ty... — Zaczerwieniła się, zdając sobie sprawę, że tę drugą osobę dodała trochę na wyrost.

— Urodziłaś się w Getteim?

— Nie, w Arlenie. Ale niewiele stamtąd pamiętam. Przyjechałam tu z rodzicami, gdy byłam malutka. Potem mama umarła, a tata

nigdy za bardzo się nami nie interesował, więc musiałam radzić sobie sama.

— Nie było ci łatwo — powiedział cicho Meric.

Skinęła głową, przyjmując to za rzecz oczywistą. Potem wstała i podeszła do stojącej w rogu szafki.

Wróciła, trzymając w dłoni plik zdjęć.

— Chciałbyś zobaczyć, w jaki sposób zarobiłam na studia?

W jej głosie było napięcie i determinacja, które nie spodobały się Mericowi. Wiedział jednak, że nie może teraz odmówić.

Wyciągnął rękę.

Fotografie przedstawiały Aelis. Jej naga, jasna i gładka skóra błyszczała na tle ciemności jak alabaster. Nawet sztucznie erotyczne pozy, w jakich ją ułożono, nie zdołały odebrać jej uroku. Nogi miała długie i zgrabne, biodra wąskie, z ledwo zaznaczonym wcięciem w talii, piersi bardzo drobne. Dzieciństwo powoli zostawało za nią. W jej kształtach kryła się już zapowiedź przyszłej piękności, zapowiedź dla niektórych bardziej kusząca niż dojrzały wdzięk. Cała jej postać promieniowała niewinnym i zakazanym urokiem ludzkiego źrebienia.

Tylko na jednym zdjęciu Aelis patrzyła prosto w obiektyw i właśnie to Meric zatrzymał, resztę odłożywszy na stolik.

Na twarzy dziewczynki malowała się rozpaczliwa śmiałość, w oczach miała wyzwanie, jej rysy były napięte, jakby z całych sił walczyła z ochotą do płaczu. Wyglądała na przerażoną i nieszczęśliwą, a przez kontrast nagiej skóry i futrzanej narzuty sprawiała także wrażenie zziębniętej.

Meric patrzył przez chwilę na fotografię, a potem bardzo powoli położył ją na stosie pozostałych.

\* \* \*

Nataniel Andres wypluł pianę do umywalki. Odłożył szczoteczkę i spojrzał w lustro. Zmarszczki mimiczne w kącikach ust oraz oczu przeważnie nadawały mu wesoły wygląd, tego wieczoru jednak sprawiał wrażenie smutnego i zmęczonego.

Starzejąc się, pomyślał i na przekór własnym słowom wyszcze-

rzył zęby do lustra. Odbicie odpowiedziało uśmiechem. Przez chwilę wyglądał tak jak zazwyczaj: skłonny do robienia min wesołek, który niczego i nikogo nie traktuje poważnie. Uniósł trójkątne brwi. Jego koścista twarz przypominała teraz oblicze roześmianego diabła. Potem uśmiech zgasł, Andres odwrócił się i przetarł usta ręcznikiem.

Jak czuje się ktoś, kto zamierza popełnić samobójstwo? W jaki sposób planuje się coś takiego? Na zimno, rozważając wszystkie możliwe przeszkody, czy też pod wpływem impulsu? Czy człowiek wtedy naprawdę chce umrzeć, czy też do końca ma nadzieję, że ktoś go uratuje, pomoże i rozwiąże jego problemy? Czy pragnie śmierci tak bardzo, że nie dba o to, iż wiąże się ona z bólem i cierpieniem, czy też wręcz przeciwnie, samobójca chce pożegnać się z życiem w możliwie najmniej bolesny sposób?

Spytam Merica, on powinien wiedzieć, pomyślał z krzywym uśmiechem.

Wrócił myślami do nastolatka, który powiesił się w kotłowni szpitala. Dlaczego wybrał taki koniec? Nie przewidział, że poparzy się o kocioł? Był tak głupi czy tak opętany myślą o śmierci? Jak bardzo człowiek musi pragnąć umrzeć, by nie zwrócić uwagi na rozgrzany do czerwoności metal tuż przy swojej twarzy? Dlaczego nie wybrał sobie jakiegoś innego miejsca? Nie mógł? Nie chciał? Było mu wszystko jedno? I najważniejsze pytanie: dlaczego w ogóle zapragnął umrzeć tak nagle i niespodziewanie? Gdy Andres z nim rozmawiał, nastolatek sprawiał wrażenie nieszczęśliwego i oszołomionego, ale nic więcej.

Nataniela dręczyło jeszcze wspomnienie owego siniaka w zgięciu łokcia, wyglądającego jak ślad po ukłuciu igłą. Lekarze i pielęgniarki zgodnie przyznali, że skóra chłopaka była posiniaczona już wtedy, gdy trafił do szpitala. A więc zastrzyk zrobiono wcześniej. Narkotyki? Jeśli tak, nie było to nic mocnego. Dzieciak był całkowicie czysty, gdy badał go doktor Rey.

Nataniel Andres sięgnął po reklamówkę z rzeczami bezimienego pacjenta i rozłożył je na łóżku. Potem włączył płytę Quin-Tetu, którą kupił, wracając do domu.

Bielizna, kremowa *asani*, spodnie, skórzane sandały i parę rze-

myczków z nanizanymi kamyczkami, na których wyryto litery anielskiego alfabetu – to wszystko, co posiadał chłopak. Ubranie było dość nijakie, stosowne raczej dla dorosłego, który pragnie nie wyróżniać się z tłumu, niż dla nastolatka.

Z głośników gramofonu płynęła muzyka i słowa piosenki. Dziewczęcy głos śpiewał coś, co brzmiało jak bajka. Była to historia o chłopcu i dziewczynie, którzy spotkali się pewnego letniego, upalnego dnia przy strumieniu i zakochali w sobie. Oboje byli bardzo młodzi i bardzo piękni. Spotykali się zawsze w tym samym miejscu przez całe duszne, pachnące rozkwitłymi różami lato, a pewnego dnia on zapytał, czy chciałyby zostać z nim na zawsze, do końca młoda i piękna, ona zaś się zgodziła.

Andres wziął do ręki *asani*, po czym przewrócił ją na lewą stronę. Szukał dobrze mu znanej naszywki z imieniem i nazwiskiem, jaką oznacza się ubrania mieszkających w sierocińcu dzieci. Oczywiście nie znalazł jej. Chłopak nie był sierotą, tak samo jak nie był krewnym Nataniela Andresa.

*Czasem przeplatam księżyc samotnością*, mężczyzna przypomniał sobie usłyszane w szpitalu zdanie.

Włożył ubrania z powrotem do reklamówki i przymknął oczy.

Głos śpiewającej piosenkę dziewczyny był wysoki, czysty i obojętny. Zdawał się dochodzić z bardzo daleka, zza granicy, za którą odchodzi się samotnie. Śpiewała tak, jakby nic nie miało już znaczenia.

Podszedł do gramofonu i wyłączył płytę.

Gdy leżał w łóżku, przysła mu do głowy kolejna myśl. Jak dotąd wszyscy zakładali, że chłopak odebrał sobie życie, ponieważ pozbawiony pamięci czuł się przerażony i nieszczęśliwy. Być może jednak było dokładnie odwrotnie.

Może dzieciak zabił się nie dlatego, że stracił pamięć, lecz dlatego, że ją odzyskał i przypomniał sobie... no właśnie, co?

Nataniel Andres przewracał się niespokojnie. Gdy w końcu zasnął, śniły mu się koszmary. Po raz pierwszy, lecz nie ostatni tej jesieni.

## Dzień piąty

— *Węzły zazwyczaj kojarzą się strasznie ponuro, ale czy wiesz, że niektóre pary specjalnie szukają takich miejsc, żeby się tam kochać? Podczas seksu wyzwalają się tak silne emocje, że można na chwilę zajrzeć w duszę drugiej osoby, poznać jej myśli, uczucia, plany, i to nie tylko obecne, ale nawet przyszłe... Czy to nie brzmi... podniecająco?*

Fragment dialogu z filmu *Szczęśliwy śpiewak*

— Meric, kochany, jak miło cię widzieć! — Przez puszysty dywan płynęła ku nim jasnowłosa, wysmukła postać, cała w srebrze i bladym złocie. Odgarnęła kosmyk włosów, zakładając go za szpiczaste ucho, po czym ujęła Merica za ręce i z czułością ucałowała w czubek głowy, który wypadwał mniej więcej na wysokości jej ust.

Boże, pomyślała Aelis, ona ma co najmniej sześć i pół stopy wzrostu, a mimo to jest idealnie zbudowana.

— Indil — powiedział Meric miękko.

Elfka roześmiała się i potrząsnęła głową, aż zamigotały złote koła w jej uszach. Potem odsunęła się tanecznym ruchem. Przy okazji spod spódnicy ukazał się rąbek halki, który niczym pienista fala musnął zgrabne kolano.

— Nataniel Andres, Aelis — Meric przedstawił swoich towarzyszy — wspominałem ci o nich przez telefon.

— Witajcie. — Indil wolno, z kocim półuśmiechem na ustach, przesunęła wzrokiem po twarzy Andresa, a potem odwróciła się. Miała minę kogoś, kto celowo odkłada deser, by delektować się nim później.

Spojrzała na Aelis, która gapiła się na nią znieruchomiła.

— Nie bądź taka spięta, dziewczyno — rzuciła elfka niedbale.

— Rozchmurz się, wszystko będzie dobrze.

— Nie jestem spięta — zaprotestowała Aelis, ale nawet w jej własnych uszach słowa te zabrzmiały jak kiepskie kłamstwo. Owszem, nagle poczuła się spięta, choć jeszcze chwilę temu wypełniała ją czysty zachwyty i nic więcej. Słowa mają moc, pomyślała. Być może czuła się po prostu urażona, ponieważ piękna elfka źle odczytała wyraz jej twarzy, a może było w tym coś więcej. Może Indil z właściwą swojej rasie nonszalancją sięgnęła w głąb jej duszy i odczytała emocje, z których dziewczyna sama nie zdawała sobie sprawy.

— Chodźcie ze mną. — Złotowłosa aktorka ujęła Merica pod ramię. — Możesz się czuć swobodnie, bo gdy tylko zadzwoniłeś, zwolniłam na cały ranek służbę. Nie ma tu nikogo poza mną, a więc nie musisz się bać, że ktoś cię rozpozna.

\* \* \*

Apartamenty Indil zostały zaprojektowane w kolorach bladego złota, srebra oraz jasnoróżowych pereł. Pomieszczenia były bardzo duże, a meble wprost przeciwnie – bardzo małe. Ozdobione delikatnymi wzorami, ginęły w przestrzeni wysoko sklepionych pokoi i długich korytarzy. Sprawiało to wrażenie czegoś w rodzaju kapryśnej rozrzutności – w domu Indil szylkretowe stoliczki oraz ozdobione macicą perłową szafki istniały wcale nie po to, by je podziwiać. Po prostu były, umieszczone niedbale tu i ówdzie.

— A więc jest pan prywatnym detektywem? — Indil podała Andresowi jasnoróżowy drink w niskiej szklance. Aelis i Meric odmówili. — Tropi pan morderców i spełnia dobre uczynki?

Nataniel nieufnie włożył do ust słomkę i pociągnął. Ze zdumieniem stwierdził, że w szklance znajduje się uczciwy gin z sokiem cytrynowym, zabarwiony na różowo jakimś barwnikiem, który nadał mu odrobinę łagodniejszy, ale wcale przyjemny smak.

— Czasami — odparł.

— Dziś spełnił już pan swój dobry uczynek? — Zerknęła na



niego spod zmrużonych powiek.

— Owszem. Od pięciu minut nie spojrzałem ani razu w stronę pani biustu.

Roześmiała się, najwyraźniej wcale nie urażona.

Aelis zacisnęła usta. W jej gardle wzbierała dławiąca kula łez. Przy tej wpatrzony w siebie parze poczuła się naraz zupełnie nie na miejscu. Jak dziecko w towarzystwie dorosłych, którzy rozmawiają swoim własnym językiem składającym się nie ze słów, lecz z gestów, spojrzeń i półuśmiechów. Czuła się tym gorzej, że sama doskonale rozumiała ten język.

— ... nie przypuszczałabym, że to anioł — mówiła Indil. — I pomyśleć tylko, że znałam osobiście anioła, od którego zależy teraz los całego miasta!

Wbrew pozorom w jej głosie nie słychać było zbytniego zdumienia.

Pozuje na taką, która wszystko już widziała, pomyślała Aelis, po czym złośliwie zastanowiła się, ile też elfka może mieć lat.

— Był taki miły i wesoły — ciągnęła Indil. — I nigdy nie zadzierał nosa, co w naszym światku zdarza się doprawdy bardzo rzadko. Na przykład Jaia Delnaaza, który jest trochę nieśmiały i czasem źle się czuje w naszym towarzystwie, traktował bardzo miło, całkiem jak starszy brat...

Kłamiesz, pomyślała Aelis z wściekłością zupełnie nieproporcjonalną do sytuacji. W tym, co mówisz, nie ma ani słowa prawdy, tak jak nie ma prawdy w twoim zachowaniu. Każdy twój gest jest krańcowo sztuczny, obliczony na jakiś efekt. Jesteś aktorką i zapomniałaś już, co to naturalność.

— Kiedy widziała go pani po raz ostatni? — zapytał Andres.

Milczący Meric uniósł głowę, rysy jego twarzy zdradzały wewnętrzne napięcie. Aelis wstrzymała oddech, niemal zapominając o złości.

— W dniu premiery *Szczęśliwego śpiewaka*. Był przynajmniej na początku przyjęcia. Potem chyba wyszedł, bo więcej go nie widziałam.

— A gdy wybuchł pożar?

Elfka potrząsnęła głową, pozwalając, by złote włosy rozsypały

jej się na ramiona.

— Zrobiło się potworne zamieszanie, a mnie ochroniarz wyprowadził z budynku jako jedną z pierwszych. Niewiele widziałam. Nie sądzę jednak, by był w środku. Zniknął mi z oczu na długo przed tym, nim teatr zaczął płonąć. Prawdopodobnie po prostu nudziło mu się, więc sobie poszedł. I wcale mu się nie dziwię. Za dużo alkoholu i prochów jak na mój gust. To nie była zbyt udana impreza, nawet jeśli nie brać pod uwagę jej zakończenia.

— Bardzo lekko to pani traktuje... — w głosie Aelis zamiast zamierzonej kpiny zabrzmiała dziecinna pretensja.

— Nie jestem hipokrytką, skarbie — odparła aktorka. — Nie lubiłam nikogo z tych, którzy zginęli, a mnie samej nic się nie stało. Ogień nie osmalił mi nawet brwi. Nie widzę więc powodu, by udawać zrozpaczoną.

Aelis odwróciła wzrok. Miała wrażenie, że każda chwila spędzona w towarzystwie elfki cofa ją w głąb czasu. W porównaniu z piękną, zmysłową i po wielekroć starszą Indil nie tylko wyglądała jak dziecko, ale po prostu była dzieckiem. Naburmuszoną, zabawną dziewczynką w czarno-białym kostiumie, który jeszcze dzisiejszego ranka uważała za elegancki, a który teraz okazał się rozpaczliwie podobny do zwykłego szkolnego mundurka.

— Niewiele wam pomogłam, prawda? — zapytała Indil.

— Pomoże nam pani, podając nazwiska przyjaciół Joela, a także tych, z którymi najwięcej rozmawiał podczas przyjęcia.

— On nie miał przyjaciół, tylko znajomych, takich jak ja, a tych jest w Getteim mnóstwo. Natomiast jeśli chodzi o gości na przyjęciu... Chwilę... — Podeszła do przeszklonej szafki i wyciągnęła z niej skórzaną teczkę. — Interesuje się pan filmem?

— Nie bardzo — przyznał Andres.

— Tu są zdjęcia z premiery *Szczęśliwego śpiewaka*, zrobione, nim jeszcze zaczął się pożar. — Indil usiadła obok Andresa. — Nigdy nie ukazały się w prasie. Dziennikarze woleli pokazywać wyskakujące z płomieni rozczochrane gwiazdy w nadpalonych kreacjach. Nie pamiętam, z kim widziałam Joela tamtego wieczoru, ale może te zdjęcia panu pomogą. O, proszę, tutaj jest anioł, a obok niego Narses Mayo, a tutaj Jai Delnaaz...

Aelis stanęła przy wąskiej kanapie, na której nie starczyło już dla niej miejsca, i spojrzała na fotografię. Rozpoznała Joela oraz kilkanaście znanych jej z filmów aktorów i aktorek. Idealnie równe zęby, idealne fryzury, idealne – a przynajmniej skorygowane przy pomocy ostrego makijażu – rysy twarzy. Zarówno anioł, jak i reszta gości byli dla niej nie tyle żywymi osobami, ile pozbawionymi indywidualności urodziwymi maskami.

— Mam pomysł. — W kącikach ust Indil znów pojawił się koci uśmiech. — Może przyjdzie pan jutro na moje przyjęcie? Jeśli wierzyć prorocत्वom, do jutra ta koszmarna mgła opadnie i przyjęcie z pewnością się uda. Będzie miał pan okazję poznać znajomych Joela. Ty, skarbie, oczywiście również jesteś zaproszona.

— Dziękuję, nie przepadam za przyjęciami — odparła Aelis urażona tym, że potraktowano ją jak dodatek do Nataniela Andresa. Pożałowała swoich słów niemal w tej samej chwili, gdy je wypowiedziała, ale było za późno. Zbyt konwencjonalna, bała się ironicznych spojrzeń, którymi niewątpliwie obdarzyłaby ją elfka, gdyby nagle zmieniła zdanie.

— Cóż, może to i lepiej. Nie sędzę, abyś dobrze się bawiła w naszym towarzystwie. A pan, panie Andres, niech pan wpadnie około ósmej. Wyślę po pana samochód.

Elfka znów całą uwagę poświęciła Natanielowi. Aelis odwróciła głowę, nie chcąc patrzeć na zmysłową piękność, która mogła do woli flirtować z każdym mężczyzną, jaki tylko wpadł jej w oko.

— Chodź, pokażę ci resztę domu. — Meric położył dłoń na ramieniu dziewczyny.

Poszła za nim, jednocześnie wdzięczna i dotknięta tym, że tak łatwo domyślił się, co ona czuje.

\* \* \*

Meric zaprowadził ją do pokoju muzycznego. Tam usiadł przy fortepianie, podniósł klapę instrumentu, a potem jednym palcem wystukał prostą melodyjkę. W domu Indil najwyraźniej czuł się jak u siebie.

Aelis przysunęła sobie krzesło i usiadła.

— Jak sądzisz, gdzie podział się Joel? — zapytała.

Nie odpowiedział. Jego dłonie zawisły nad klawiszami. Rozprostował wolno palce, osiem delikatnych, szczupłych palców pianisty. Dwa, te, w których stracił władzę, pozostały lekko przykurczone.

— Tak naprawdę myślisz, że on wie o niebezpieczeństwie, jakie grozi Getteim, ale z jakiegoś powodu nie chce się ujawnić, prawda? — naciskała.

— Innego wyjaśnienia nie widzę. — Meric odetchnął i położył dłonie na klawiszach. — Mam tylko nadzieję, że go odnajdziemy i przekonamy, żeby zagłosował na korzyść Getteim.

Jak to prosto brzmi, pomyślała znużona Aelis. Odnajdziemy anioła i przekonamy.

— A potem? — zapytała cicho. — Co zrobisz, gdy już nastąpi szczęśliwe zakończenie, blondwłosa bohaterka padnie w ramiona dzielnego rycerza i razem odjadą w stronę zachodzącego słońca, a my uratujemy miasto? Co potem?

Odwrócił się na tyle wolno, że zdążyła dostrzec pustkę w jego oczach. Wzruszył ramionami. To nie ma znaczenia, mówił ten gest.

Merik Tyren zaczął grać. Najpierw delikatnie, cicho, potem coraz pewniej. Muzyka, która płynęła spod jego dłoni, była wzruszająca i na swój sposób piękna w śmiałości, z jaką obnażała własne kalectwo.

Aelis milczała, słuchając z przymkniętymi oczami.

\* \* \*

— Pobłogosław mnie, ojcze, albowiem ujrzałem anioła.

— Gdzie?

— W „Skandalach”, na pierwszej stronie. — Andres podsunął rozmówcy pod nos wycięte z gazety zdjęcie. Gdy wiedzieli już, kogo szukać, znaleźli w starych czasopismach kilkanaście fotografii Leo J. Wczoraj Nataniel dał ogłoszenie do gazety, a teraz postanowił uzupełnić swoją wiedzę o aniołach.

— Kpi pan sobie ze mnie? — Drobny mężczyzna w białej kapłańskiej szacie wziął zdjęcie i zmrużył oczy, wytyczając wzrok, by w półmroku dostrzec szczegóły.

— Chodźmy bliżej światła — zaproponował Andres.

Przeszli wysoko sklepioną nawą w stronę kamiennej bryły ołtarza, gdzie płonęło kilkanaście świec. W ich blasku kapłan przyjrzał się twarzy urodziwego bruneta sfotografowanego w całej okazałości podczas nagiego party.

— Anioł, prawda? — podpowiedział Andres. — Jest tak piękny, że to nie może być człowiek. Mógłby to być elf, gdyby nie brak jakichkolwiek elfich cech: spiczastych uszu czy oczu o tym charakterystycznym migdałowym kształcie, którym tak zachwycają się kobiety.

— Kimkolwiek pan jest, wyraźnie szuka pan kłopotów — w głosie kapłana zabrzmiała niezbyt pewna groźba. — Potrafimy poradzić sobie z takimi plotkami...

— Nie obchodzą mnie plotki. — Andres odebrał zdjęcie i nie dbale wcisnął do kieszeni. — Kłopotów też nie szukam. Chcę jedynie otrzymać odpowiedź na parę pytań. Założmy, tylko założmy, że to naprawdę jest anioł. Jaką moc ma tutaj, na Ziemi?

— Tutaj, czyli będąc w postaci śmiertelnika?

— Owszem. Jak dotąd rozumiałem, że aniołowie na Ziemi są tak samo bezradni jak każdy przeciętny zjadacz chleba. Trochę to niemądre tak wyzbywać się własnej mocy, rozumiem jednak, że dla kogoś, kto żyje tysiące lat, może to być rodzaj rozrywki. Wie ojciec, taki przypływ adrenaliny, jaki śmiertelnikom daje skakanie ze spadochronem, co także jest niebezpieczne i niezbyt mądre.

— Nie podoba mi się twój ton, eee... synu. — Kapłan był młody i słowo „synu” użyte w stosunku do przerastającego go o pół głowy czterdziestolatka z trudem przeszło mu przez gardło.

Nataniel Andres w myślach policzył do trzech. Nie lubił kapłanów, ale też nie chciał zrażać do siebie kogoś, kto mógł mu udzielić ważnych informacji.

Spokojnie, tylko spokojnie.

— Proszę o wybaczenie — powiedział cicho, bo tak łatwiej mu było zapanować nad tonem głosu. — Jestem prostym człowiekiem i nie przywykłem do grzeczności. Ale nie mam złych intencji. Będę wdzięczny, jeśli ojciec udzieli mi odpowiedzi na kilka pytań. Potem pójdę sobie i nie będę więcej ojcu przeszkadzał.

Kapłan sprawiał wrażenie udobruchanego. Nie do końca, bo wciąż rzucał na Andresa niechętnie spojrzenia, ale przynajmniej zaczął mówić.

— To prawda, taki anioł niemal niczym nie różni się od śmiertelnika. Nie ma żadnych szczególnych mocy.

— Niemal? Czyli jest w tym jakiś haczyk?

— Poniekąd. Magia, którą nazywamy magią słów albo anielską, niegdyś należała tylko i wyłącznie do aniołów. Potem Bóg nakazał im podzielić się z ludźmi. Niektórzy widzą w tym kolejny dowód na to, że ludzie są rasą wybraną przez Pana, inni sądzą, że było to coś w rodzaju zadośćuczynienia...

— Tę partię możemy pominąć — burknął Nataniel. Nie miał ochoty wysłuchiwać, że ze wszystkich ras ludzie są najsłabsi, a także najszybciej się starzeją i umierają. Świetnie o tym wiedział.

— W każdym razie skutek jest taki, że aniołowie w postaci śmiertelników zachowują pewne zdolności magiczne. Najczęściej niewielkie, bo taka postać mocno ich ogranicza, jednak w mniejszym lub większym stopniu potrafią posługiwać się magią. Chodzi mi oczywiście o magię słów, magię tworzenia, a nie na przykład o Śnienie, które jest aniołom całkowicie obce. Aniołowie interesują się pracą magów, a słyszałem nawet plotki, że bywają zazdrośni o ich osiągnięcia.

— Rozumiem więc — przerwał Andres, którego zazdrość aniołów niewiele obchodziła — że Joel w postaci śmiertelnika miałby zdolności, powiedzmy, na poziomie przeciętnego maga?

— Owszem.

— Potrafiłby zmienić wygląd?

— Z tego, co wiem, zależałoby to od tego, jak daleko idąca miałyby to być zmiana i jak długo miałyby trwać. Jeśli krótko, powiedzmy, do kilku godzin, anioł mógłby zmienić się nawet w pomarszczonego staruszka. Jeśli dłużej, dni, a nawet tygodnie, zmiana musiałaby być o wiele subtelniejsza, ograniczająca się tylko do rysów twarzy.

— Można by sprawić, że uroda anioła nie rzucałaby się tak bardzo w oczy? Że wyglądałaby jak zwyczajny mężczyzna?

— Owszem, lecz wciąż byłby to przystojny mężczyzna. Jak już

mówiłem, żeby w większym stopniu...

Detektyw podziękował skinieniem głowy. Otrzymał odpowiedź, na jakiej mu zależało.

\* \* \*

Nataniel Andres nigdy nie wahał się manipulować długami wdzięczności oraz wykorzystywać znajomości, jeśli tylko mógł dzięki temu osiągnąć cel. W gruncie rzeczy tym właśnie metodom zawdzięczał większość sukcesów i kolejne długi wdzięczności. Do osób, które z takich czy innych względów były mu winne przysługę, należeli zarówno policjanci czy dziennikarze, jak i drobne złodziejzki, sutenerzy oraz prostytutki.

Jedną z takich osób był gnom o imieniu Elipha. Nataniel Andres znalazł go w magazynie sklepu ogrodniczego, którego gnom był właścicielem. Elipha nie robił nic konkretnego, po prostu siedział na skrzynce z sadzonkami i gapił się w ścianę, jakby wyświetlano na niej wyjątkowo ciekawy film. Interesu nikt nie pilnował. Takie niebaldstwo ze strony właściciela byłoby co najmniej dziwne, gdyby nie to, iż Andres już od dawna podejrzewał, że sklep ogrodniczy jest tylko przykrywką dla znacznie mniej legalnej, za to bardziej opłacalnej działalności. Wielu gnomów poruszało się w szarej strefie getteimskiego prawa. Trudnili się paserstwem, choć sami rzadko kradli, handlowali twardą pornografią i narkotykami, choć sami żyli nad wyraz cnotliwie. W mieście tworzyli zwartą, zamkniętą społeczność, która rządziła się prawami trudnymi do zrozumienia dla przybysza z zewnątrz. Jeśli tylko nie przekraczali pewnych granic, policja najczęściej zostawiała ich w spokoju. Nic w tym zaskakującego, zważywszy, że doprowadzenie przed sąd gнома graniczyło z cudem. Dla przeciętnego człowieka – a w policji pracowali głównie ludzie – jeden gnom był trudny do odróżnienia od drugiego, mieli też podobne albo zgoła identyczne imiona, a w razie wpadki chronili się nawzajem, kłamiąc z zaskakującą konsekwencją i pomysłowością. A przede wszystkim dysponowali kartami, które ostrzegały ich przed policyjnymi obławami i pułapkami.

Właśnie z powodu kart Nataniel Andres zjawił się w sklepie Eli-

phy.

— Znajdź dla mnie anioła o imieniu Joel, a będziemy kwita — powiedział.

Gnom bez słowa skinął głową. Jego szara, obojętna twarz była pozbawiona znamion wieku. Równie dobrze mógł mieć czterdzieści, jak i sto lat. Zakurzone ubranie wzmagało wrażenie, że Nataniel ma do czynienia nie z żywą istotą, lecz ze zmumifikowanym eksponatem w muzeum.

Nadal milcząc, Elipha potasował i rozłożył karty. Andres nie miał pojęcia, jak one działają. Żaden człowiek tego nie wiedział. Eksperci nie byli zgodni nawet co do tego, czy karty gnomów należy uznać za trzeci rodzaj czarów obok magii anielskiej i Śnieńia, czy też jest to zupełnie inny rodzaj mocy. Sami zainteresowani twierdzili, że karty nie mają z magią nic wspólnego – według nich był to po prostu system informacji, nic więcej. Coś jak wieczorne wiadomości w radiu, mówili, tylko znacznie bardziej szczegółowe i dostosowane do potrzeb konkretnego odbiorcy.

Elipha pomrukiwał, przesuwając szczupłymi palcami czarnobiałe kartoniki. Nie było na nich obrazków, jedynie plątaniny kropek i kresek. Z początku wyglądały na chaotyczne, lecz po namyśle Andres uznał, że można dopatrzeć się w nich czegoś konkretnego. I tak na jednej z kart zobaczył kota owiniętego wokół księżyca, a na drugiej – płonącego anioła. Nie miał pojęcia, czy rysunki rzeczywiście to właśnie miały przedstawiać, czy też zawiniła jego podsycana lękami wyobraźnia.

Gnom zgarnął karty i potrząsnął przeproszająco głową.

— Nie wiem, gdzie jest anioł Joel, przykro mi.

Nataniel Andres poczerwieniał ze złości.

— Nie wiesz, czy nie chcesz wiedzieć?

Elipha wytrzymał jego wzrok.

— Anioła trudniej znaleźć niż zgubione dziecko. Aniołowie mają moc.

Andres zmarszczył brwi.

— Próbujesz mi powiedzieć, że nie możesz znaleźć Joela, bo on tego nie chce i swoją mocą blokuje twoje wysiłki czy coś w tym rodzaju?



Elipha drgnął lekko. Wyglądał na zaniepokojonego i Andres powinien być zadowolony – bądź co bądź chodziło mu właśnie o to, by przycisnąć rozmówcę. Jednak instynkt podpowiadał detektywowi, że niepokój gнома nie ma nic wspólnego ze strachem przed nim.

— To jedna możliwość... — powiedział wolno Elipha. — Inna wygląda tak, że wokół anioła, nawet jeśli anioł ten przybrał postać śmiertelnika, działają siły, których skutki trudno przewidzieć. Możliwe, że dlatego właśnie karty nie chcą nic powiedzieć.

— Niewiele mi to pomaga — parsknął Andres.

— Nic więcej nie wiem. — Gnom zawahał się. — Chyba że przyda się panu na coś informacja, że Joel nie jest jedynym członkiem Rady Trzynastu, który niedawno gdzieś przepadł. Jest ich więcej, a ściślej biorąc, sześcioro.

— Nie rozumiem.

— Karty mówią nam nie tylko o tym, co dzieje się na ziemi — wyjaśnił gnom.

— Nadal mi to nie pomaga — mruknął Andres. — Moja działka to właśnie to, co dzieje się na ziemi, w innych miejscach nie będę tego cholernego anioła szukał.

\* \* \*

— Halo... halo... Vasile? Vasile!?

— Jestem, nie wrzeszcz — głos z drugiej strony był niewyraźny, stłumiony szumem i trzaskami.

Andres ścisnął mocniej słuchawkę telefonu. Od wczoraj próbował dodzwonić się na skraj pustyni, gdzie Vasile badał okoliczności dość zagadkowej katastrofy lotniczej, i bał się, że połączenie w każdej chwili zostanie przerwane.

— Potrzebuję informacji. Pożar w Teatrze Rozrywki dwa miesiące temu. Pisałeś o nim. Pamiętasz?

— Jasne, że pamiętam, nie rób ze mnie idioty. Ale to stara sprawa, przebrzmiała. Masz coś nowego? Coś dla mnie? — mimo słabej słyszalności w głosie dziennikarza wyraźnie zabrzmiało podniecenie.

— Może będę miał, jak wrócisz do Getteim. Na razie potrzebuję twojej pomocy. Przesługa za przysługę. Mów, co wiesz o pożarze w Teatrze Rozrywki. Możesz zacząć od tego, czy dało się bez problemu rozpoznać ciała.

— A co, brakuje ci jakiegoś nieboszczyka? — parsknął Vasile. — Jeśli tak, to masz pecha. W teatrze goście umierali zaczadzeni, parę osób też zostało zaduszonych i zdeptanych w ścisku przy wejściu. Ale nikt nie zginął w ogniu i ciała były w porządku. No, w miarę w porządku, biorąc pod uwagę całą sytuację.

— Znaczący nie ma możliwości, że na przykład pani X została pochowana jako pani Y, bo tuż przed śmiercią przymierzyła jej brylantową kolbę i na tej podstawie zostały rozpoznane zwłoki?

Dziennikarz zachichotał.

— Nic z tych rzeczy. A ty oglądasz za dużo filmów.

Joel mógł co prawda zmienić sobie rysy twarzy i zostać pochowany pod innym nazwiskiem, lecz Andres uznał to za mało prawdopodobne. Gdyby anioł przybrał wygląd konkretnej osoby, zawsze pozostawało pytanie, co stało się z pierwowzorem.

— A co z pożarem? — zapytał. — Wiadomo, jaka była przyczyna?

Przez dłuższą chwilę po drugiej stronie panowała cisza i Andres wystraszył się, że połączenie zostało zerwane. Już miał krzyknąć, gdy wreszcie dobiegł go głos dziennikarza, jeszcze cichszy niż poprzednio:

— Słuchaj, naprawdę chcesz w tym grzebać? To śliska sprawa.

— Jak bardzo śliska?

— Nikt nie wie, dlaczego wybuchł pożar. Na początku policja sądziła, że to zwyczajny wypadek, wiesz, niezgaszony papieros wrzucony do kosza na śmieci czy coś w tym guście. Ale ogień rozprzestrzenił się zbyt szybko i wezwani eksperci zaczęli podejrzewać, że to celowe podpalenie. Dowcip polega jednak na tym, że nie znaleziono żadnych śladów po materiałach łatwopalnych czy wybuchowych i z braku dowodów sprawa przyschła. Zakład jednak, że gdybyś spytał któregoś z zatrudnionych przez policję ekspertów, ten wciąż twierdziłby, że to było podpalenie, tylko podpalacz jakimś cudem zdołał zatrzeć wszystkie ślady. I jeszcze coś...

— Tak?

— Głupia rzecz — zachichotał Vasile. — Nie wiem, czy byłeś kiedyś w Teatrze Rozrywki; tam jest, to znaczy było coś w rodzaju salki muzealnej, czy jak to tam nazwać. Wiesz, początki Getteim, początki przemysłu filmowego w naszym mieście, parę plakatów, parę pamiątek w szklanych gablotach i ze dwa fotele, żeby można było się gapić na te pamiątki na siedząco. Tam właśnie zaczął się pożar.

— I co? — Andres starał się zachować cierpliwość.

— Tam było też marmurowe popiersie Aimerica Tyrena wyrzeźbione przez jego żonę. Wiedziałeś, że ona była rzeźbiarką?

— Jasne — potwierdził Andres, choć wcale nie wiedział. Lecz teraz, gdy o tym usłyszał, wydało mu się to oczywiste. Meric miał w sobie coś z artysty, a nie mógł tego odziedziczyć po ojcu.

— No więc jak przeszukano ruinę, to okazało się, że tego popiersia nigdzie nie ma. Nie zniszczył go pożar, bo trudno przypuszczać, żeby ogień spopielił marmur. Policja wpadła więc na pomysł, że ktoś je rąbnął, a potem, aby zatuszować kradzież, podpalił budynek. Albo odwrotnie, podpalił teatr, aby ułatwić sobie kradzież.

— Czekaj chwilę. — Andres potarł skronie. Od nieustannego wyęzania słuchu, by wyłowić głos Vasile'a spośród szumów i trzasków, zaczęła go boleć głowa. — Ile to popiersie mogło być warte?

— Trudno powiedzieć. — Andres niemal ujrzał, jak dziennikarz wzrusza ramionami. — To jedna z tych rzeczy, które mają raczej wartość sentymentalną. No i które są zbyt charakterystyczne, żeby je sprzedać. Dlatego właśnie cała ta sprawa wygląda tak dziwacznie. Jeśli ktoś rzeczywiście je ukradł, to pewnie był to jakiś zwariowany zbieracz pamiątek. Cholernie zdesperowany, jeśli zdecydował się na podpalenie. Może rozejrzysz się wśród fanatycznych zwolenników Aimerica Tyrena? Z tego, co wiem, ten facet miał równie wielu zagorzałych miłośników, jak i wrogów.

\* \* \*

Poobijany niebieski autobus wyłonił się z mgły i wjechał na

zadaszony Dworzec Wschodni. Zgasły wypukłe ślepia reflektorów, z szoferki wyskoczył kierowca, by od zewnątrz pomóc otworzyć zacinające się drzwi. Szarpnął je mocno, po czym odsunął się na bok. Z autobusu zaczęli wysiadać pasażerowie.

Agustin Agustin zacisnął spocone dłonie na kierownicy. Czekał w zaparkowanej dwadzieścia kroków dalej półciężarówce i obserwował wysiadających.

Ta!, pomyślał, czując, jak z podniecenia zasycha mu w gardle.

Młoda dziewczyna rozejrzała się, poprawiła na ramieniu pasek plecaka, a potem charakterystycznym, gwałtownym ruchem głowy odrzuciła z oczu jasną grzywkę. Miała jakieś trzynaście, czternaście lat i była bardzo piękna. Nosiła błękitne spodnie oraz biały sweter, mimo jesienno-ziębu tak krótki, że ukazywał skrawek opalonego brzucha.

Kręciła się po dworcu, wciąż niepewnie spoglądając dokoła. Niewątpliwie po raz pierwszy w życiu znalazła się w Getteim i niewątpliwie też była sama. Całkiem, ale to całkiem sama.

Agustin wysiadł z półciężarówki i powoli, niby to obojętnie, zaczął do niej podchodzić.

Piękna, myślał, czując, jak serce łomocze mu w piersi, piękna, piękna.

Gdy dzieliło ich już tylko kilka kroków, na dziewczynę wpadł obwieszony bagażami mężczyzna. Mruknął „przepraszam” i pognął dalej.

Cisnęła w ślad za nim ordynarne przekleństwo. Jej śliczne oczy zmrużyły się, czerwone usta zacisnęły w wąską kreskę.

Agustin Agustin minął ją bez słowa, czując, jak całe jego podniecenie rozplywa się w rozpacznej, nagłej i bolesnej niczym cios nożem w samo serce. Odszedł jeszcze kilka kroków, odwrócił się i ponownie spojrzął na jasnowłosą nastolatkę. Wciąż rozglądała się, ale teraz wyraźnie widział w jej nerwowych ruchach cień agresji. Zauważył też inne szczegóły, których wcześniej nie potrafił bądź nie chciał dostrzec. Dumnie zadarty podbródek, to, że jej ubranie było bardzo modne i drogie.

Taka dziewczyna nigdy nie pójdzie z myszowatym, kiepsko ubranym i spoconym panem w średnim wieku. Nie miał co do tego

żadnych złudzeń. Kiedyś był całkiem miłym facetem, może zbyt nieśmiałym, ale na swój sposób uroczym. Zmieniły go trzy lata spędzone w więzieniu. Schudł wtedy i przygarbił się, a gdy wyszedł na wolność, wydawało mu się, że wciąż otacza go smród chloru, zatka-nych toalet i strachu.

Dziewczyna w końcu zdecydowała się i pomaszerowała w stronę wyjścia. Agustin odprowadził ją czułym wzrokiem. Gwałtowny ból w sercu powoli zmieniał się w cichy, słodki żal. Mężczyzna zacisnął powieki, by zachować pod nimi obraz jej twarzy: delikatne kości policzkowe, złocistomiodowy puszek pokrywający krągłe, dzieci- cenne jeszcze policzki. Pamiątka chwil, które się nie wydarzyły, ale które przecież mogłyby się wydarzyć. W innej, lepszej rzeczywisto- ści.

Gdy otworzył oczy, dziewczyna – wciąż samotna, przez nikogo niezaczepiana – znikła właśnie w kłębach getteimskiej mgły.

Odetchnął, włożył ręce do kieszeni sfatygowanego płaszcza, po czym zaczął się błąkać po dworcu, na pozór zupełnie bez celu, jak podróżny czekający na odjazd autobusu. Mgła sparaliżowała ruch w Getteim, ale linie kursujące do Tanagry wciąż były czynne i na dworcu jak zawsze panowało zamieszanie. Agustin Agustin postać chwilę przed kioskiem, gapiąc się bez wyrazu na pocztówki z elfimi aktorkami, potem w budce z daniami na wynos kupił kawałki gorą- cego kurczaka w cieście kokosowym. Resztę drobniaków rzucił siwowłosej gnomce, która na posadzce rozkładała karty.

— Potrzebuje pan czegoś? — zagadnęła staruszka. — Mogę odnaleźć zgubiony bagaż albo powiedzieć, ile spóźnienia ma auto- bus, na który pan czeka. Tylko niech pan mnie nie prosi o przepo- wiadanie przyszłości. My nie zajmujemy się przyszłością, lecz terażniejszością.

— Nie chcę nic.

Gdy odchodził, gnomka liczyła coś na palcach, pomrukując. Karta, w którą się wpatrywała, przedstawiała chyba stojącego w płomieniach anioła. Chyba, bo Agustin nie był pewien i wcale nie miał ochoty sprawdzać.

Głośniki zachrypiały, damski, mocno afektowany głos oznajmił, że autobus linii 17 odjedzie za trzy minuty ze stanowiska numer

pięć.

Agustin Agustin przechadzał się po jasno oświetlonej hali. Tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Na karku poczuł aż nazbyt znajome mrowienie. Nie odwracając się, nakazał sobie stanowczo, świadom, że ktoś na niego patrzy. Wytrzymał kilka minut, potem odwrócił się pozornie niedbałym ruchem.

Glina. Niewątpliwy tajniak w cywilnym ubraniu, udający zwykłego podróżnego. Agustin wyczuł go na odległość. Miał nieliczną wprawę.

Policjant patrzył na niego przez chwilę podejrzliwie, a potem odwrócił wzrok.

Co tu, u licha ciężkiego, jest grane?

Widywał na Dworcu Wschodnim umundurowanych policjantów, owszem, ale tajniak?

Już miał zrezygnować i wrócić do domu, gdy dostrzegł siedzącą w poczekalni dziewczynę. Tkwiła na ławce bez ruchu, wpatrzona pustym wzrokiem w przestrzeń. Nie była w jego typie – wysoka, grubokoścista i tęga, wyglądała na jakieś szesnaście lat, ale gdy podszedł bliżej, przekonał się, że musi być młodsza. Okazała się też ładniejsza, niż sądził na pierwszy rzut oka. Jej pyzata twarz była dziecinna i miła, a ona sama, choć z pewnością pulchna, nie należała na szczęście do otyłych.

Do jego wyśnionej niewinnej księżniczki było jej daleko, ale teraz, gdy wokół kręcili się tajniacy, bałby się podejść do dziewczyny wyglądającej młodziej.

— Cześć — powiedział, w kieszeniach płaszcza zaciskając mokre od potu dłonie. W nerwowym grymasie ukazał zęby – żałosna parodia jego dawnego, pełnego uroku uśmiechu.

Nie odpowiedziała. Nadal siedziała bez ruchu, z rękoma grzecznie złożonymi na kolanach i wzrokiem wbitym w ścianę. Usta miała na wpół otwarte, co nadawało jej twarzy niemądry wyraz. Agustin Agustin widział już mnóstwo samotnych, pozbawionych opieki dzieci.

Młodzi uciekinierzy z domów – buńczuczni i jednocześnie wystraszeni, apatyczni żebracy, wulgarne małoletnie prostytutki.

Dzieciaki pijane wolnością, agresywne, a także zblazowane, nieprzejmujące się nigdy i niczym. Zaćpane, skacowane, szalone i chore.

Milcząca dziewczyna nie pasowała do żadnej z tych kategorii.

Agustin usiadł obok na ławce. Niezbyt blisko – otaczająca nieznajomą aura tragedii była tak wyraźna, że można by ją niemal kroić nożem.

— Słuchaj — mówił szybko, nerwowo, z przymilnym uśmiechem przylepionym do warg. — Nie jestem żadnym szalonym mordercą czy coś. Wiesz, jak ci w kinie. Jestem zwyczajnym facetem, patrz, mogę ci pokazać prawo jazdy...

Spojrzała na podsunętą kartę – dobre i to, przynajmniej trochę się zainteresowała. Jednak wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę.

— Żal mi się ciebie zrobiło, gdy zobaczyłem, jak siedzisz tu sama. Uciekłaś z domu? Nie masz pieniędzy? Jesteś głodna?

Dopiero przy ostatnim pytaniu skinęła głową, wolno i z wahaniem, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że rzeczywiście jest głodna.

— Zafunduję ci kanapkę, chcesz?

— Kanapkę? — powtórzyła, jakby to było nieznane słowo.

Może to po prostu idiotka, pomyślał zniechęcony, ale zaraz zmienił zdanie, bo dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało, skinęła głową i wyszeptała:

— Byłoby fajnie.

Najwyraźniej po prostu należała do osób wolno myślących, a przeżyta tragedia – na czymkolwiek polegała – jeszcze dodatkowo ją oszołomiła.

— Świetnie. — Agustin przysunął się bliżej. — Jak ci na imię?

Nieśmiały uśmiech zniknął z jej ust jak zdmuchnięty. Spojrzała na rozmówcę ze zgrozą w oczach.

— Nie pamiętam...

## Dzień szósty

*Trzeba zrozumieć, że to, co nazywamy językiem anielskim, wcale tak naprawdę językiem nie jest. On nie służy do porozumiewania się. To po prostu zestaw kilkunastu dziwnych, trudnych do wymówienia głosek, które w określonych kombinacjach mogą powodować pewne efekty. Nie znaczy to bynajmniej, że każda kombinacja w taki czy inny sposób działa. Wręcz przeciwnie, działa co setna, może nawet co tysięczna. Reszta jest bezwartościowa. Magowie wiedzą albo przynajmniej domyślają się, jakich głosek powinni użyć, lecz nie mają pojęcia, w jakiej kolejności powinni je ułożyć, żeby otrzymać efekt, o jaki im chodzi. Czeka ich więc żmudna praca polegająca najpierw na wypisaniu gigantycznej liczby kombinacji, a potem wypróbowywaniu ich po kolei z nadzieją, że w końcu trafi się na tę właściwą. To nie jest łatwe, możecie mi wierzyć, praca maga to ciężki kawałek chleba. Kolejny problem to wymowa, gdyż, jak wspomniałem, głoski anielskiego znacznie różnią się od tych, którymi posługujemy się na co dzień. Trzeba uczyć się od dzieciństwa, mieć dobry słuch, mnóstwo cierpliwości, no i dobrą pamięć, bo oczywiście anielskie zaklęcia trudno zapamiętać. A zaklęcia wypowiedziane działają znacznie silniej niż te zapisane. Dlatego też magowie używają prostych sztuczek mnemotechnicznych...*

Fragment przygotowanego, lecz nigdy niewygłoszonego wykładu maga Nicodemusa

Jedną z najbardziej kontrowersyjnych decyzji Aimerica Tyrena był zakaz zakładania w Getteim tradycyjnych cmentarzy.

Z Arleńczykami, którzy zmarłych palili, a popioły wsypywali do rzeki, nie było problemu. Problem stwarzali Tanagryjczycy, którzy



ciała swoich bliskich chowali w ziemi. Aimeric Tyren zdecydował, że cmentarze niepotrzebnie zajmą cenną powierzchnię miasta, i zamiast nich nakazał budowę czegoś, co oficjalnie nosiło nazwę Wieże Milczenia, a co większość getteimczyków nazywała Ulami. Ule z daleka przypominały okrągłe baszty, były jednak puste w środku, a wzdłuż ich wewnętrznych ścian biegły rzędy galeryjek i schodków. Prowadziły one do rozmieszczonych na różnych poziomach grobów-skrytek, w których mieściła się jedynie urna z prochami oraz talerzyk syntetycznych ciastek dla Głodnych Duchów – i nic poza tym. Całość niepokojąco przypominała dworcową przechowalnię bagażu, a tradycjonalistów dodatkowo rozwścieczyło to, że na galeryjkach przed grobami brakowało miejsca, by odprawić porządną ceremonię pogrzebową. Nic więc dziwnego, że swego czasu Tanagryjczycy ostro protestowali przeciwko Wieżom Milczenia. Organizowali pikety i szkalowali Tyrena na łamach prasy, a nawet próbowali wytoczyć mu proces sądowy, lecz nic to nie dało – Aimeric Tyren jak zawsze postawił na swoim. Tak więc od kilkunastu lat bogaci Tanagryjczycy chowali swoich zmarłych poza granicą Getteim, na Wschodnim Brzegu, natomiast ci biedniejsi, chcąc nie chcąc, musieli pogodzić się z istnieniem Uli.

Nataniel, który nigdy nie narzekał na nadmiar pieniędzy, postanowił pochować bezimiennego chłopaka właśnie w takim miejscu. Alternatywą byłoby wsypanie prochów do rzeki, ale zmarły wyglądał raczej na Tanagryjczyka niż na Arleńczyka, a ponadto Andres chciał, by po dzieciaku pozostał jakiś ślad. Wziął też ze sobą aparat i sfotografował ceremonię pogrzebową. Zrobił to na wszelki wypadek, gdyby odnaleźli się krewni nastolatka. Być może, pomyślał, będą odrobinę szczęśliwsi, jeśli zobaczą na zdjęciach, że miał godny pogrzeb.

Kapłan odśpiewał *Żal za zmarłych*, w czym trochę przeszkadzało mu to, że nie znał imienia nieboszczyka. Poradził sobie jednak, zastępując je określeniem „niewinne dziecię”. Andres skrzywił się, lecz nic nie powiedział.

Do śpiewu stopniowo dołączyła Aelis, a kapłan umilkł. Dziewczyna miała ładny głos i śpiewała z głębi serca, przynajmniej do chwili, gdy zdała sobie sprawę, że patrzą na nią żalobnicy zebrani

przy sąsiednim grobie. Nie zająknęła się ani na chwilę, ale z jej głosu zniknęła cała pasja – potem śpiewała już konwencjonalnie, choć technicznie bez zarzutu.

Swoją część Andres odśpiewał jak najszybciej. Nie przepadał za publicznymi występami. Przynajmniej nie na trzeźwo i nie w poważnych okolicznościach.

Meric został w domu, tłumacząc, że jako obcy nie powinien brać udziału w pogrzebie. Andres z początku uznał to za przesadną delikatność – w końcu on sam ledwo znał zmarłego, a Aelis nigdy nie widziała go na oczy – potem jednak doszedł do wniosku, że młody Tyren ma rację. Andres nie czuł smutku, lecz gniew i nie chciał dzielić go z nikim poza Aelis.

Gniew. Coś było nie tak ze światem, w którym zdarzały się takie rzeczy. Młody, sympatyczny chłopak najpierw stracił pamięć, a potem umarł w cierpieniu. To zdecydowanie było nie w porządku i ktoś, do cholery, powinien za to odpowiedzieć.

Gdy ceremonia dobiegła końca, pożegnali kapłana, a Nataniel dodatkowo wcisnął mu w rękę złotą monetę. Potem wyszli na ulicę, wprost w rozgadany tłum. Po wczorajszej mgle nie zostało ani śladu – znów panowała łagodna, słoneczna jesień. Mimo to na twarzach niektórych przechodniów dało się zauważyć niepokój. To ci mądrzejsi, pomyślał Andres, ci, którzy uwierzyli w Znaki.

Szli przed siebie bez celu, pozostawiając za plecami Wieżę Milczenia. Posągi aniołów ustawione w wykuszowych oknach odprowadzały ich pustymi spojrzeniami.

— Dokąd teraz? — zapytała Aelis.

— Urządzimy stypę — zaproponował, po czym podszedł do najbliższej budki z daniami na wynos.

Trzymając w dłoniach zatłuszczone papierowe rożki, szli wzdłuż brzegu Gette. Andres jadł szybko, od czasu do czasu tylko przerywając, by poprawić wiszący na ramieniu aparat fotograficzny albo wysuwającą się z kieszeni puszkę lemoniady. Gdy skończył jeść, zwinął papieraek w kulkę i cisnął go na ulicę, nie przejmując się potępiającym spojrzeniem towarzyszki. Aelis lubiła karcić go za takie zachowanie, a on lubił się z nią droczyć, choć w rzeczywistości ani ona nie była tak porządna, ani on tak niedbały.

Aelis poprowadziła Nataniela na most, który łączył Getteim z Tanagrą. Dotarli prawie do samego końca, niemal do miejsca, gdzie most stykał się z brzegiem. Stała tutaj tablica, na której pulsował ułożony z czerwonych żarówek napis: „ZATRZYMAJ SIĘ! JEŚLI URODZIŁEŚ SIĘ W ARLENIE, ZOSTAŁY CI TYLKO 3 MINUTY ŻYCIA”. Obok napisu widniała chuda, ułożona z kilku świetlistych kresek figurka ludzika. Cyfra trzy mrugnęła i zmieniała się w dwójkę, a potem w jedynekę. W miarę jak liczby malały, ludzik pochylał się coraz niżej, aż w końcu przy zerze upadł i zniknął.

Odliczanie zaczęło się od początku.

Aelis oparła łokcie o betonowy murek i wpatrywała się w pełną śmieci Gette. Za jej plecami warczały silniki samochodów, powietrze było gorące i gęste od spalin. Ponieważ straciła resztki apetytu, dwa ostatnie kawałki kurczaka rzuciła krążącym wokół mewom.

Odwróciła się i spojrzała na Wschodni Brzeg. Widziała stojący u wylotu mostu gigantyczny posąg Aimerica Tyrena, a za nim fabryki, których kominy wypluwały w niebo kłęby czarnego dymu, ulice szersze niż rzeka Gette, a także wieżowce, po których pełzały w górę i w dół przezroczyste bąble wind. Zastanowiła się, czy Wschodni Brzeg jest naprawdę tak brudny i hałaśliwy, jak mówią jedni. Albo tak fascynujący, jak mówili inni. A może jedno i drugie. Tak czy inaczej, ona nie ma szans się o tym przekonać.

— Mogę zadać ci pytanie? — Andres usiadł na murku, przerzucił nogi na zewnętrzną stronę, po czym beztrząsco pomachał nimi nad leniwym nurtem.

— Zadać możesz. — Sięgnęła po puszkę lemoniady.

— „Czasem przeplątam księżyc samotnością”. Czy te słowa z czymś ci się kojarzą?

Aelis szeroko otworzyła oczy. Ostrożnie, upomniała samą siebie. Kłopot w tym, że Nataniela łatwo było lekceważyć. Czasem wydawał się takim prymitywnym wesołkiem. Zdarzały mu się jednak zaskakująco inteligentne pomysły, a dziewczyna nie miała ochoty się zbłąźnić, żartując z czegoś, czego w pierwszej chwili nie rozumiała.

— Z niczym — odparła gotowa w każdej chwili na uśmiech, gdyby się okazało, że to coś w rodzaju dowcipu. — Może to frag-

ment jakiegoś wiersza? Nie mam pojęcia. Dla mnie brzmi zupełnie bezsensownie.

Potrząsnął głową.

— To była jedyna rzecz, którą pamiętał ten chłopak. Poza tym nie mógł przypomnieć sobie nic, żadnego imienia czy zdarzenia z przeszłości — zamilkł na chwilę. — On był Tanagryjczykiem, tak jak ja.

— Skąd wiesz?

— Bo mówił jak Tanagryjczyk, a poza tym gdyby pochodził z Getteim, ktoś pewnie rozpoznałby go na zdjęciach, które ukazały się w prasie. Myślę, że uciekł z domu i przyjechał tu, bo tak jak wielu innych małolatów zafascynowała go magia, elfowie i świat gwiazd filmowych.

Zmarszczyła brwi.

— A później coś mu się przydarzyło, coś tak złego, że chłopak pod wpływem szoku stracił pamięć, a gdy ją odzyskał, wolał się zabić, niż żyć ze świadomością tego, co się stało?

Nataniel wzruszył ramionami. Aelis nie wiedziała, czy ma to uznać za potwierdzenie, czy zaprzeczenie.

Mewa z wrzaskiem zatoczyła krąg nad ich głowami, a potem zanurkowała gwałtownie i wyłowiła coś spośród spływających rzeką odpadków.

*Wraz z trzecim Znakiem zaczną umierać ptaki, czy to domowe, czy też dziko żyjące.*

Patykowaty człowieczek na tablicy ostrzegawczej skonał po raz kolejny.

„JEŚLI URODZIŁEŚ SIĘ W ARLENIE...”.

Aelis spojrzała na mierzący dwadzieścia sześć stóp posąg Aimerica Tyrena. Witiał tych, którzy wjeżdżali do Getteim od strony Tanagry, a więc stojąc na moście, można było zobaczyć wyłącznie jego plecy oraz tył głowy. A jak wyglądała twarz? Na portretach, które widziała, Tyren sprawiał wrażenie całkiem zwyczajnego starszego pana. Dziewczyna z jakiegoś powodu wyobraziła sobie, że ten właśnie posąg odsłaniał jego prawdziwą osobowość. Osobowość mężczyzny, który wybudował miasto na wodzie, łącząc w ten sposób magię oraz technikę, i który nigdy nie cofnął się przed żadną

przeszkodą. A także ojca Merica Tyrena.

Bardzo chciała spojrzeć mu w twarz.

— Z jaką prędkością biega przeciętny człowiek? — zapytała Andresa.

— Aelis...

— Odpowiedz. Ja odpowiedziałam na twoje pytanie, chociaż też wydawało mi się głupie.

— Jakież trzysta, czterysta jardów na minutę.

— Hmm. Zdążyłabym dobiec do posągu Tyrena i spojrzeć na niego od przodu.

Andres zacisnął usta.

— Chcesz ryzykować dla takiej bzdury? Nie wiadomo do końca, jak działa to zaklęcie – może zabija dopiero po trzech minutach, ale osłabia już wcześniej, więc nie potrafiłabyś biec.

— Może i tak.

— A więc byłoby to coś w rodzaju samobójstwa — powiedział sucho. — Bardzo głupiego samobójstwa, moim zdaniem. W tym posągu nie ma nic ciekawego, niezależnie od tego, z której strony na niego patrzeć.

Jeszcze kilka dni temu chętnie zażartowałby z podobnego pomysłu. Ale nie teraz. Teraz temat śmierci i samobójstwa wcale nie budził w nim ochoty do śmiechu.

\* \* \*

— Nic jej nie zrobiłem... Przysięgam. Przysięgam! — Agustin Agustin szarpnął się na krześle. Bolały go wykręcone do tyłu i skute kajdankami ręce, ostre światło raziło w oczy. Z nosa na wargi spływała krew, której nie mógł obetrzeć. W ustach czuł metaliczny posmak. Zebrał ślinę i splunął, trafiając w stojący przed nim stolik.

W kręgu jaskrawego światła najpierw pojawiły się duże męskie dłonie, a potem oblicze o grubo ciosanych rysach. Resztę sylwetki przysłaniał mrok. Palce wsparły się na stoliku, lekko, zaledwie muskając go opuszkami. Twarz zbliżyła się do twarzy Agustina.

— Wziąłeś do swojego domu nieletnią, zgwałciłeś ją i zamordowałeś. — Rysy policjanta wykrzywiało zmieszane z nienawiścią

obrzydzenie.

Agustin Agustin zajęczał. Oddychał płytko, nerwowo, a przy jego nozdrzach wykwitwały i pękały krwawe bańki.

— Ona nie była nieletnia...

— Skąd wiesz?

— Mówiła...

— Twierdziłeś, że dziewczyna nic nie pamięta, jak więc mogła powiedzieć, że jest pełnoletnia?

Milczenie.

— Odpowiadaj, kiedy cię pytam! To jak w końcu było, pamiętała coś czy nie?

Agustin odwrócił głowę. Nie dlatego, że oddech policjanta paskudnie cuchnął czosnkiem. W więzieniu przywykł do smrodu. Znacznie bardziej niepokoiły go oczy przesłuchującego. Widniała w nich nienawiść, ale także inteligencja. To nie był tępy osiłek, za jakiego Agustin uznał go w pierwszej chwili.

— Wyglądała na pełnoletnią... — wymamrotał.

— I nic nie pamiętała?

— Nie pamiętała! — pisnął, przerażony, że jeśli szybko nie odpowie, gliniarz znów go uderzy. — Tylko coś o pleceni księżycyca...

— Rzygać mi się chce, kiedy widzę taką gnidę jak ty — przerwał mu policjant. Dłonie zwinął w pięści i ponownie oparł na stoliku. — Mało ci było pięciu lat mamra za zagłądanie dzieciakom w majtki? Mało? Dlaczego zabiłeś tę dziewczynę? Zbyt dorosła była, co? Za pyskata, za mądra. Poznała się na tobie i śmiała się... Tak było?

— Nie! Przysięgam!

Policjant huknął pięścią w stolik. Pomieszczenie wypełniła ostra woń moczu, na spodniach Agustina pojawiła się ciemna plama.

— Mam uwierzyć, że dziewczyna sama się zabiła? Że popełniła samobójstwo w twoim domu ot tak, bez powodu? Uważasz mnie za kretyna?

— Nie dałbym rady zrobić jej krzywdy, nawet gdybym chciał — zaszlochał mężczyzna. — Niech pan spojrzy na mnie, jestem szczupły, drobny, a ona była duża i silna. To prawda, w przeszłości

robiłem różne rzeczy, ale nigdy nie... nie... — Agustin był tchórzliwy i niezbyt bystry, miał jednak coś w rodzaju prymitywnego instynktu. Dzięki niemu potrafił z grona jednakowo zachowujących się dzieci wybrać to najsłabsze i najmniej pewne siebie i dzięki niemu teraz zrozumiał pewną rzecz. — Pan wie, że ja mówię prawdę! — pisnął w podnieceniu, szeroko otwierając oczy. — Znęca się pan nade mną, bo pan nie lubi takich jak ja, ale tak naprawdę wie pan, że jej nie zabiłem, że ona...

Pięść spadła na nos aresztowanego, łamiąc go z trzaskiem. Policjant wyprostował się i sapnął ukontentowany. Przesłuchanie można było uznać za skończone.

\* \* \*

Wysłana przez Indil limuzyna czekała punkt ósma na placu Arleńskim, czyli w najbliższym domu Andresa miejscu, do którego mogła dojechać.

Nataniel Andres wsiadł, samochód ruszył. Z każdym obrotem kół mężczyźnie wydawało się, że jego kupiona za siedemset renów marynarka – jak powiedziała sprzedawczyni, „niemal prawdziwy jedwab” – staje się coraz mniej prawdziwa, a coraz bardziej „niemal”. Przeczesał palcami włosy, potem sięgnął do szyi i odpiął guziczek zielonej koszuli. Marynarka też była zielona. Rano ten kolor wydawał mu się dobrym wyborem, ale teraz nie był tego taki pewien. Miał paskudne wrażenie, że ze swoją rozczochraną słomianoblond czupryną wygląda w nim jak pęczek wędnącego szczypiorku.

Na przekór poczuł przyływ wisielczego humoru i zabarwionej złością odwagi. Pójdzie na to przyjęcie, dowie się wszystkiego, co trzeba, a potem będzie się dobrze bawił i niech tylko ktoś spróbuje mu w tym przeszkodzić.

Ci, którzy traktowali gwiazdy ekranu jak bogów, budzili w nim pogardę, ale skłamałby, gdyby stwierdził, że świat filmu wcale nie robi na nim wrażenia. Duże pieniądze oraz sława zawsze robią wrażenie. I śliczne aktorki, oczywiście. A wczoraj jedna z nich, piękność, o przespaniu się z którą marzyły miliony facetów, posyłała mu

bardzo obiecujące uśmiechy.

Nataniel Andres poczuł przyływ podniecenia.

Gdy dotarli na miejsce, przyjęcie właśnie się rozkręcało. Impreza wyglądała dokładnie tak, jak to sobie wyobraził, co trochę go uspokoiło. Kilkudziesięciu gości spacerowało po całym domu, przechodząc z salonu do salonu przez szerokie, otwarte na oścież drzwi. Każde pomieszczenie było oświetlone lampami innej barwy: różowymi, seledynowymi, błękitnymi bądź pomarańczowymi, tak że goście bezustannie wynurzali się z jednego koloru i nurkowali w inny. Większość kobiet ubrana była w długie, wyszywane perłami suknie, mężczyźni natomiast nosili stroje bardzo dowolne: od tradycyjnych arleńskich aż po tanagryjskie, poprzez mieszanek tych dwóch stylów. Andres widział nawet młodzieńca, który miał na sobie kolczugę, a u boku nosił lekki miecz.

W zaciemnionych kątach obściskowały się pary, od strony basenu dobiegały chichoty i pluski, a wśród gości kręciły się długonogie dziewczyny, równie dobrze ubrane i ładne jak aktorki, lecz z przylepionymi do ust profesjonalnymi uśmiechami.

Obok Andresa przemknął faun, zręcznie balansując wysoko niesioną tacą z drinkami. Mężczyzna zdążył chwycić szklanekę. Trafił na dżin z tonikiem – całkiem nieźle jak na początek wieczoru.

Wśród zaproszonych przeważali ludzie i elfów. Nic w tym dziwnego, bo przemysł filmowy zdominowały te dwie rasy. Gdy w Getteim zaczęła działać pierwsza wytwórnia filmowa, elfowie odkryli kino, a kino odkryło elfów. Ze swoim zamiłowaniem do przepychu, urodą i elegancją szybko odnaleźli się w świecie celuloidowych marzeń. Gwiazdami ekranu zostawały wyłącznie elfki. Filmy eksportowano do Tanagry, a tamtejsza publiczność żądała, by partnerami wielkookich i spiczastouchych piękności byli prawdziwie męscy – a więc ludzcy – mężczyźni. Obdarzeni androgeniczną urodą i nazbyt wyraźnie biseksualni elfowie mogli liczyć co najwyżej na drugoplanowe role. W środowisku filmowym było ich jednak pełno. Przedstawiali się jako „aktorzy charakterystyczni”, lecz tak naprawdę większość z nich pełniła mało zaszczytne funkcje fordanserów czy nagich modeli, nie wspominając już o tych, którzy zarabiali na życie szantażem lub sprzedawaniem brukowcom pikantnych



szczegółów.

Znalazł się następny służący z tacą. W błękitnym półmroku poruszał się tak szybko, jakby wypłacano mu premię za każdą uchronioną od pożarcia zakąskę. Andres na oślep sięgnął po coś, co okazało się czymś w rodzaju szaszłyka, który składał się na przemian ze słodkich owoców oraz warzyw obsypanych ostrymi przyprawami. Nie byłoby to tak obrzydliwe, gdyby dało się oddzielić jedno od drugiego, ale ponieważ Andres nie miał ani talerzyka, ani widelca, więc chcąc nie chcąc połknął całość, a patyczek wetknął w doniczkę z palmą.

Drink, którym popił to paskudztwo, smakował jak syrop na kaszel. Nataniel zirytował się i wreszcie – dzięki Bogu! – znalazł w różowym salonie stół z jedzeniem, gdzie człowiek widział, co bierze do ręki, a także barek, za którym stał półnagi faun.

Andres wziął od śmiertelnie urażonego barmana kufel zwykłego zimnego piwa, wypił je z ulgą, po czym się rozejrzał.

Niektóre osoby znał z kina, inne z plotkarskich magazynów, które przeczytał, gdy szukał anioła. Był tu Ramon Ferense, partner Indil, Camileo, czyli najmodniejszy obecnie w Getteim fryzjer, reżyser Remigius Sury wraz ze swoim nieodłącznym, wielkim jak szafa ochroniarzem i jednocześnie przyjacielem, Aranel, rudowłosa elfka specjalizująca się w rolach wesołych trzpiotek, które dorosłeją pod wpływem miłości, oraz Dorn, niski, przysadzisty aktor komediowy, w tej chwili poważny, jakby wybierał się na pogrzeb.

Do salonu weszła Indil, zdawkowo skinęła Andresowi głową, po czym podeszła do Ramona Ferensea.

Andres poczuł w sercu ukłucie rozczarowania.

Wypił piwo i zabrał się do wypytywania gości. Świątek getteimskiej elity nie był duży i Joela w mniejszym bądź większym stopniu znali wszyscy, ale nikt nic nie wiedział o jego losie. „To uroczy facet, zabawny i miły”, mówili jedni, „zepsuty do szpiku kości, wredny sukinsyn”, stwierdzali inni. Niewiele mu to pomogło.

Nie tracąc nadziei, rozejrzał się za Narses Mayo lub Jaiem Delnaazem, w których towarzystwie widziano anioła podczas fatalnej premiery *Szczęśliwego śpiewaka*.

W tym momencie jak spod ziemi wyrosła przed nim młodziutka

nimfa. Wbiła wzrok w przestrzeń gdzieś ponad prawym ramieniem Andresa i zaczęła mówić, najwyraźniej kontynuując wcześniej zaczęty wątek.

— ... i rozumiesz, mówię mu, że wcale mi się nie podoba dyskryminowanie z powodu koloru skóry. Co z tego, że jestem zielona? A on mi na to, że on sam nie ma nic przeciwko zieleni, ale filmy są kręcone głównie dla Tanagryjczyków, a oni życzą sobie, żeby gwiazdy filmowe miały białą skórę. Dla takich jak ja są tylko role służących albo pozowanie do rozbieranych zdjęć dla amatorów osobliwości. Dlaczego ja nie mogę zrobić kariery? Czy to sprawiedliwe?

— To nie jest sprawiedliwe — zapewnił Andres pospiesznie, bo nimfa wbiła w niego oskarżycielskie spojrzenie. — Sam jestem przeciwko dyskryminacji. W szczególności zielonoskórych.

— Przecież pan nie jest zielony — bąknęła odrobinę speszona, jakby dopiero teraz dostrzegając, z kim rozmawia.

— W głębi duszy jestem zielony. Zawsze byłem, od chwili gdy wyhodowałem na parapecie pierwszą paprotkę w doniczce. Uwielbiam zielen. Codziennie zjadam trzy talerze szpinaku, a potem robię rundkę na karuzeli, żeby choć trochę zzielenieć.

Zmarszczone brwi nimfy świadczyły o wysiłku umysłowym, ale w jej oczach malowała się absolutna, kosmiczna pustka.

— Pan jest z Tanagry, prawda? — zapytała ostrożnie.

— Owszem.

Uśmiechnęła się z dumą. Zadała bystre pytanie i zrozumiała odpowiedź, a ponadto wiedziała co nieco na temat Tanagry.

— Wy tam jesteście bezbożni i nie przestrzegacie dziesięciu przykazań — oznajmiła.

— Jakich dziesięciu przykazań? Na Wschodnim Brzegu mamy tylko siedem.

Dumny uśmiech znikł z ust nimfy.

— Siedem?

— Siedem — przyświadczył radośnie Andres. — To dlatego, że u nas jest demokracja. Wiesz, co to takiego demokracja, prawda?

Przytaknęła gorliwie, acz niezbyt przekonująco.

— Dlatego właśnie postanowiliśmy poddać przykazania pod

głosowanie i urządziliśmy referendum. Przedstawiciele Boga, czyli aniołowie, musieli się na to zgodzić, bo w końcu demokracja to demokracja. Wtedy właśnie związki pracodawców oprotestowały przykazanie trzecie, psychologowie od bezstresowego wychowania czwarte, a stowarzyszenie kurew szóste. W ten sposób zostało nam tylko siedem.

Nimfa otworzyła, a potem zamknęła usta. Andres sądził wcześniej, że pustka w jej oczach nie może być głębsza. Mylił się.

Boże, jestem potworem, pomyślał.

Zdecydowanie poprawił mu się humor.

Wśród gości dostrzegł Narses Mayo, poszedł więc za nią, przeprosiwszy zielonoskórą nimfę. Kobieta wyszła z domu i stanęła nad brzegiem basenu – pustego już o tej porze, gdyż nocny chłód przepłoszył amatorów kąpieli.

Nataniel Andres stanął obok, po czym spojrzał w połyskującą ogniście taflę wody.

— Rany — powiedział — chyba mam *delirium tremens*. Chociaż zawsze myślałem, że to będą różowe słonie albo białe myszki. Pani też je widzi? Te zapalone świece pływające pod wodą?

Skinęła głową. Była bardzo chuda i wiedźmowata, a jej skóra miała niezdrowy odcień zsiniałej żółci. Andres zastanawiał się, mieszanka jakich ras mogła spowodować taki efekt.

— One naprawdę tam są. To magia — wyjaśniła.

Nataniel nabrał dziecinnej ochoty, by wskoczyć do basenu i przekonać się, czy zanurzone w wodzie płomienie nadal parzą.

— Kim pan jest? — zapytała Narses Mayo. Spojrzała na niego spod równo przyciętej czarnej grzywki oczami równie pustymi jak oczy nimfy. Ale w źrenicach nimfy naprawdę nic się nie kryło, natomiast przy Narses Mayo Andres miał wrażenie, że spogląda w wyloty dwu ciemnych jaskiń, z których lada moment mogą wypełznąć węże.

— Jestem prywatnym detektywem. Szukam pewnego człowieka, znanego w Getteim jako Leo J. Zniknął dwa miesiące temu, a widzi pani, kłopot polega na tym, że on miał w Tanagrze rodzinę, żonę i maleńką córeczkę. Przesyłał im pieniądze, a gdy zniknął, zostały bez grosza przy duszy.

— No, nie tak znów bez grosza, skoro stać je na wynajęcie detektywa — zareplikowała z cieniem uśmiechu na wąskich, bladych wargach, a potem dodała — pieniądze, wszędzie tylko pieniądze. Wszyscy o nich myślą. Sztuka nikogo już nie obchodzi.

— Pieniądze mogą służyć szlachetniejszym celom. Proszę spojrzeć. — Sięgnął do kieszeni i pokazał zdjęcie Aelis, które bez wiedzy dziewczyny świsnęła z jej szuflady. — To właśnie córeczka Leo. Urocze dziecko. Jest utalentowaną harfistką, ale, niestety, w obecnej sytuacji nie stać jej na opłacenie lekcji.

W oczach Narses Mayo pojawił się błysk zainteresowania, który szybko zgasł.

— A co ja mam z tym wspólnego?

— Pani była jedną z ostatnich osób, które widziały Leo J. Na premierze *Szczęśliwego śpiewaka*, pamięta pani?

Skinęła głową.

— Był w teatrze, gdy wybuchł pożar?

Na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, gdy Andres wspominał o tragedii.

— Nie, chyba nie. Zdaje się, że wyszedł wcześniej. Towarzyszył mu Nicodemus, arleński mag.

To może być to, pomyślał podekscytowany Andres. Gdy Nicodemus przyjechał z wizytą do Getteim, pisały o tym wydarzeniu wszystkie gazety, lecz jego wyjazd odbył się bez żadnej pompy i bardzo szybko – odwołano nawet wykład, który Nicodemus miał wygłosić na tutejszym uniwersytecie. Czy Arleńczyk wymknął się z miasta po cichu, bo razem z nim podróżował Joel, a obaj chcieli uniknąć natrętnej ciekawości mediów? Zgodnie ze słowami kapłana aniołowie interesowali się osiągnięciami magów, a mag ze swej strony z pewnością nie oparłby się pokusie pokazania swojej sztuki równie znakomitemu gościowi. Tak nagłe zniknięcie Joela było stosunkowo łatwe do wytłumaczenia: Joel to anioł, a oni robią, co chcą, i nikim ani niczym się nie przejmują. To wyjaśniałoby także, dlaczego Joel nie dołączył do Rady – po prostu nie wiedział o planowanym zniszczeniu Getteim, bo do Arlenu wiadomości docierały z opóźnieniem.

— A nie wspominali przypadkiem, dokąd się wybierają? Może

pani pamięta?

— Nawet nie pytałam. Nie interesowało mnie to. Widzi pan, wtedy przez cały wieczór próbowałam go namówić, żeby mi pozował, a kiedy myślę o mojej sztuce, nie obchodzi mnie nic innego.

Andres uwierzył bez trudu. Ta kobieta była stuprocentową egoistką, dla której bliźni znaczyli mniej niż obrazy w galerii. Cóż, Narses Mayo nie potwierdziła jego przypuszczenia, ale też nie zaprzeczyła. Mężczyzna uznał więc, że istnieje całkiem spora szansa, iż anioł wyjechał do Talico, rodzinnej miejscowości Nicodemusa.

— Jestem rzeźbiarką. — Na policzkach Narses wykwitł rumieniec. Wzięła z niesionej przez służącego tacy kieliszek i ścisnęła nóżkę tak mocno, jakby chciała ją złamać. — Metal i szkło – tylko takie materiały mogą wyrazić prawdziwą osobowość człowieka. Mogą wydobyć jego duszę.

— Interesowała panią dusza Leo J.?

— O tak. On miał wspaniałą duszę, mroczną i niespokojną. A jego ciało... — Zachichotała piskliwie. Ten dziewczęcy chichot w porównaniu z wiedźmowatą sylwetką i ściągniętymi rysami twarzy sprawiał upiorne wrażenie. — Nie twierdzą, że jego ciało tak zupełnie mnie nie interesowało. To bardzo piękny mężczyzna, a ja, widzi pan, jestem gejem.

Andres zamrugnął gwałtownie. To kara za tamtą nimfę, pomyślał. Teraz ja mam wyjątkowo kretyński wyraz twarzy.

— Znaczą podobają się pani mężczyźni? To chyba dobrze.

Potrząsnęła głową. Jej oczy miały osobliwe, roztargnione i jednocześnie chytry wyraz.

— Nie. Ja chciałabym być facetem i pieprzyć facetów. Ciekawe, jakie to uczucie wbić się w męski, zgrabny tyłek.

Spojrzała na niego.

— Może mnie pan pocałować, jeśli pan chce.

Andres popatrzył na jej twarz i nabrał przekonania, że jeśli spróbuje to zrobić, kobieta odgryzie mu język.

— Niestety, muszę już iść — powiedział. — Jest tu parę osób, z którymi chciałbym pogadać. Na przykład Jai Delnaaz. Fajny chłopak i tyłek też ma niezgorszy.

Papłając trzy po trzy, zrobił krok w tył, a potem odwrócił się na pięcie i umknął z ulgą.

W tym zwariowanym towarzystwie Jai Delnaaz sprawiał wrażenie oazy normalności.

Był to osiemnastoletni, rudy jak marchewka chłopak, ubrany w kolorową koszulę oraz starannie zaprasowane w kant dżinsy. Na nosie miał okulary w okrągłych oprawkach, które łagodziły kwadratowy kształt jego twarzy. Pił nie jakiegoś dziwnego drinka, ale uczciwe piwo i to od razu nastawiło Nataniela przychylnie. Andres wiedział też, że rudzielec pochodzi z ubogiej rodziny i jest bardzo zdolny, a Remigius Sury opłaca mu studia w zamian za to, że po ich ukończeniu Jai będzie dla niego pracował. To także podobało się Andresowi – miło spotkać w tym towarzystwie kogoś, kto w przyszłości miał zamiar zarabiać za pomocą głowy, a nie innych części ciała.

Niestety, Jai niewiele pamiętał z premiery *Szczęśliwego śpiewaka*. Owszem, był tam Leo J., owszem, chyba nawet rozmawiali, ale to było wszystko, co potrafił sobie przypomnieć.

— To przez ten pożar — wyjaśnił. — On zatarł moje wcześniejsze wspomnienia z tego wieczoru. Nie jestem bohaterem i strasznie się wtedy przeraziłem. Gdyby nie ten pożar, pewnie potrafiłbym panu pomóc. Wie pan, ja naprawdę mam świetną pamięć. Zwłaszcza do liczb, choć...

— To prawda — do rozmowy wtrącił się blondyn w kolczudze i z mieczem u boku. — On kocha liczby. Nawet wali konia, czytając podręcznik do matematyki.

Andres przyjrzał się jego twarzy rozpieszczonemu dziecku i z pewnym trudem odnalazł w niej znajome rysy. Był to Cassian Sury, syn najsłynniejszego getteimskiego reżysera.

Speszony Jai odwrócił głowę.

— Idź się bawić gdzie indziej, chłopcze — Andres zwrócił się do Cassiana. — Może poderwiesz sobie jakąś panienkę i possiesz jej sutki? Wyglądasz, jakbyś bardzo tego potrzebował.

Blondyn poczerwieniał.

— Mogę wyzwąć pana na pojedynek — wysyczał przez zaciśnięte zęby.

— Wyzwij — odparł Nataniel swobodnie.

Cassian stropił się odrobinę. Najwyraźniej brakowało mu wiedzy, jak właściwie powinno wyglądać takie wyzwanie.

— Wyzygam cię — powiedział w końcu, zadzierając brodę i zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

— Czy myślę się, twierdząc, że wybór broni i czasu pojedynku należy do wyzwanego?

— Nie myli się pan — mruknął za jego plecami Jai.

Andres uśmiechnął się szerokim, drapieżnym uśmiechem. Czuł się dobrze, o tak, czuł się doskonale.

— Fajnie. Pięści, tu i teraz.

Uderzył blondyna, nim ten zorientował się, co jest grane. To było aż za łatwe. Cassian upadł na podłogę, krew z rozbitego nosa poplamiała mu kaftan pod kolczugą. Andres przykopał mu jeszcze w bok, raz mocniej i raz słabiej, i dopiero wtedy, przy drugim kopnięciu, podniecenie uszło z niego jak powietrze z przekłutego balonu.

Podniósł jęczącego chłopaka i zatrzymał się w pół ruchu, nie mając pojęcia, co dalej. Paru goście gapiło się na nich z ciekawością, inni, zwabieni odgłosami awantury, właśnie ku nim zdążali.

Jai chwycił blondyna pod drugie ramię.

— Zaprowadzę go do łazienki — powiedział. — Chodź ze mną.

— Zamknij się, idioto — wymamrotał Cassian, ale poszedł posłusznie.

Nataniel Andres skierował się w stronę prowadzących do ogrodu drzwi. Gdy szedł przez salon, goście patrzyli na niego z mieszaniną lęku i ciekawości, a w oczach niektórych widział nawet coś na kształt aprobaty.

Nikt nie próbował go zatrzymać.

Na zewnątrz wciągnął głęboko w płuca chłodne powietrze, potem ukląkł przy cembrowinie basenu, zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli i zanurzył ręce w wodzie.

Przesunął palcami nad płomieniem jednej ze świec. Nie parzył – przypominało to raczej dotykание zimnego ognia.

Gdyby tylko uderzył Cassiana, miałyby z tego frajdę. Ale on dał się ponieść i jeszcze dwa razy kopnął leżącego na ziemi, bezbron-

nego i krwawiącego chłopaka. Czuł się podle. W jego żołądku tkwiło poczucie winy jak wielki kłęb splątanych włosów, których końce poruszały się przy każdym oddechu, drażniąc wnętrze.

Skrzywił się i splunął do basenu.

Przywołał służącego i wziął od niego pierwszego z brzegu drinka. Trafił na ów zabarwiony na różowo gin, który pił wczoraj u Indil. Dobrze i to.

Siedział na brzegu basenu, pił różowy gin i zastanawiał się, czy ojciec Cassiana naśle teraz na niego bandę płatnych rzezimieszków. Po chwili poczucie winy zelżało, starym Surym też za bardzo się nie przejmował. Przynajmniej nie przyszedł na to idiotyczne przyjęcie na darmo. Informacja, że Joel opuścił Teatr Rozrywki w towarzystwie maga, warta była odrobiny złego samopoczucia.

Gdy postanowił wymknąć się chyłkiem i wrócić do domu, podeszła do niego jasnowłosa dziewczyna.

— Dobrze się pan czuje? — zapytała.

— Średnio — odparł uczciwie. Fala najgorszego poczucia winy już minęła, a on nie miał ochoty robić z siebie cierpiętника po to, by dziewczyna w odruchu współczucia przytuliła go do piersi. Choć z drugiej strony piersi jasnowłosej zdecydowanie warte były uwagi.

Westchnęła i usiadła obok.

— Ja też nie najlepiej się bawię. Niektórzy tutaj naprawdę są paskudni.

Skinął głową.

— Jestem Maura.

— Nataniel. Możesz mi mówić po imieniu. Nie jestem nikim ważnym.

Zagryzła wargi.

— Wiesz, Natanielu, tak sobie pomyślałam... Nie bardzo mam ochotę wracać do środka. Przynajmniej nie przez najbliższą godzinę. Ale płacę mi za to, żebym dotrzymywała towarzystwa gościom, i jeśli ktoś zobaczy, że siedzę sama w kącie, to mi się porządnie dostanie. Ale gdybyśmy poszli gdzieś razem, to znaczy gdyby tamci zobaczyli, że razem gdzieś idziemy, na przykład do jakiegoś pustego pokoju albo do samochodu, toby pomyśleli... No, wie pan. W ten sposób miałabym trochę czasu. A my wcale nie



musielibyśmy... Po prostu posiedzielibyśmy sobie i pogadali... Mam tu samochód...

Dziewczyna była ładna i zagubiona. Andresa ogarnęło ciepłe, miłe sercu współczucie.

Skinął głową, a Maura uśmiechnęła się z ulgą.

— Skombinuję nam coś do picia.

Wróciła, dźwigając pękata butelkę wina i dwa zwykłe kubki, jeden w zielone groszki, drugi w niebieskie. Bóg jeden wie, skąd je wzięła. Pewnie zwinęła z kuchni jakiejś służącej. Andres nie posądzał Indil o używanie takiej zastawy.

Demonstracyjnie przedfilowali przez trzy salony, potem przez ogród i wyszli na ulicę. Samochód stał zaparkowany za rogiem – jak wyjaśniła dziewczyna, na terenie posiadłości nie było już dla niego miejsca.

Gdy znaleźli się na tylnym siedzeniu, Maura wychyliła się, wypinając przy tym zgrabną pupę, i zapaliła lampkę nad kierownicą. Potem rozlała do kubków wino. Jeden z nich wzięła do ręki i przysunęła w stronę światła.

— Zielone groszki czy niebieskie? — zapytała.

— Nie wiem, jestem kiepski w odróżnianiu kolorów. A jakie to ma znaczenie?

— Ja uwielbiam niebieski. — Podała mu kubek w zielone groszki.

Opowiadał później, że w tym właśnie momencie coś go tknęło, że miał przeczucie. Ale to nie była prawda. Nie miał żadnego przeczucia. Dziewczyna wyglądała sympatycznie, a on miał ochotę pogawędzić z nią chwilę, a później ewentualnie zainteresować się bliżej jej piersiami.

Wypił wino. Ciepło, które rozeszło się z jego żołądka, było o wiele zbyt intensywne, rozprzestrzeniało się też zbyt szybko, pędząc przez żyły jak sztormowa fala.

— Ja... — wyszeptał.

Maura spoglądała na niego ze strachem w oczach.

Poderwał się, lecz w tym momencie gorąca fala dotarła do jego głowy. Ugięły się pod nim nogi i runął w ciemność.

\* \* \*

Aelis znieruchomiała. Płuca w długich oddechach wciągały gęste niczym smoła powietrze. Głęboko w jej zeszywniałych trzewiach poruszył się zimny wąż strachu.

Fosforyzujące wskazówki zegara przesunęły się i wskazały trzynaście minut po godzinie jedenastej wieczorem.

Od przeszło kwadransa siedziała na fotelu wpatrzona w zamknięte na klucz drzwi łazienki. Chyba robię z siebie zupełną idiotkę, pomyślała.

Meric przebywał w środku już od czterdziestu pięciu minut. Co on, do cholery, robi tam tak długo? Ile czasu facetowi może zająć kąpiel?

Gdyby to był przeciętny mężczyzna, Aelis sądziłaby, że zasnął na kiblu, czyta w wannie gazetę lub też robi jeszcze coś innego, o czym grzeczne panienki nie powinny nawet myśleć. Kłopot polegał na tym, że Meric Tyren nie był przeciętnym mężczyzną. Kupił dziś rano szczoteczkę do zębów, mydło, ręcznik, a także płyn po goleniu, maszynkę oraz paczkę żyletek i przyniósł to wszystko do jej domu. Aelis nie mogła się uwolnić od wizji, w której jedna z tych żyletek przecina jego gardło, a jaskrawa tętnicza krew spływa na terakotową posadzkę koloru „sól z pieprzem”.

Meric był dziś wieczorem wyraźnie rozkojarzony i smutny. Na pytania odpowiadał półsłówkami, uśmiechał się rzadko, a tuż przed kolacją przyłapała go, gdy stał przy oknie z pięścią przyciśniętą do ust, jakby usiłował stłumić krzyk.

Aelis dwa razy zapytała: „Dobrze się czujesz?” i dwa razy otrzymała odpowiedź: „Nic mi nie jest”. Z trudem powstrzymała się przed zadaniem tego samego pytania jeszcze pięć, dziesięć, dwadzieścia razy. Wiedziała, że jedynie go zirytuje. Powinna zachowywać się naturalnie, a jednocześnie pozostać otwartą, gotową w każdej chwili udzielić pomocy, gdyby tylko mężczyzna słowem czy gestem dał znać, że tej pomocy potrzebuje. Lecz to okazało się ponad jej siły. Gardziła samą sobą za to, że wciąż wodzi za nim proszącym, pełnym lęku wzrokiem, i za to, że gdy tylko Meric wchodził do pokoju, w którym sypiał, ona pod byle pretekstem szła za

nim, by z chwilową ulgą przekonać się, że gość czyta spokojnie książkę, a nie – jak to sobie wyobrażała – połyka właśnie garść środków nasennych.

Z łazienki dobiegł metaliczny stukot. Serce skoczyło Aelis do gardła, adrenalina zawirowała jej w głowie. Co to było? Coś upadło na podłogę, ale co? Nożyczki do paznokci, grzebień, pudełko żyletek? Boże, takie wgapienie się w drzwi i nasłuchiwanie odgłosów było upokarzające, żałosne, a przede wszystkim przerażające. Jak w sennym koszmarze, gdy człowiek wie, że zbliża się coś potwornego, i wie też, że nic, ale to nic nie może na to poradzić. Jaki jest numer pogotowia? Może powinnam na wszelki wypadek poszukać w książce, albo lepiej zapukam i zapytam o coś, o byle co...

Klucz zazgrzytał w zamku i drzwi się otworzyły. Meric zarzucił na ramiona ręcznik, aby świeżo umyte włosy nie pomoczyły pizamy.

— Nie mogłem znaleźć suszarki — powiedział. — Powiesz mi, gdzie jest?

— Nie mam suszarki — odparła, ciesząc się, że półmrok skrywa jej bladą twarz. Ledwo panowała nad głosem. — Przesusza włosy, a moje i tak są już wystarczająco suche. Przepraszam.

— Nie szkodzi. — Zamknął drzwi. — Myślałem, że będziesz wywoływać zdjęcia.

— Rano się tym zajmę. — Aelis zalewały fale ulgi; jej głos wciąż lekko drżał.

Merik przetarł ręcznikiem mokre włosy. Miał na sobie pizamę o trzy numery za dużą, bo innych w sklepie nie było. Musiał podwinąć nogawki i rękawy, a długie poły powiewały, gdy szedł przez pokój, by podkręcić grzejnik.

— Mogę zadać ci jedno pytanie? — głos Aelis odzyskał już normalną barwę.

— Jasne.

Usiadł w drugim fotelu i przesunął stojącą na stoliku nocną lampkę tak, by blask nie raził go w oczy.

— W Getteim jest całkiem sporo agencji detektywistycznych. Dlaczego wybrałeś akurat nas?

— Chyba z powodu imienia Nataniela. Wiesz, że zarówno

w Arlenie, jak i w Tanagrze nie daje się dzieciom anielskich imion. Uważa się, że to przynosi pecha, że dziecko naznaczone w ten sposób ściąga na siebie uwagę zazdrosnych aniołów. Pomyślałem sobie, że jeśli rodzice nazwali tak syna, to musieli być naprawdę niezwykli i może ich dziecko z takim imieniem wyrosło na kogoś jeszcze bardziej niezwykłego. A poza tym — zmęczony uśmiech ledwo trzymał się na jego ustach i wyglądał, jakby za chwilę miał odfrunąć — wydawało mi się to bardzo stosowne. Któż lepiej nadaje się do odnalezienia anioła, jeśli nie mężczyzna o anielskim imieniu?

Aelis chciała wspomnieć, że to wcale nie rodzice dali Natanielowi imię, zrezygnowała jednak. To nie był sekret, lecz czułaby się nie w porządku, zdradzając fakty z przeszłości Andresa, o których on sam nie lubił wspominać.

Położyła ręce na kolanach i wygładziła materiał nocnej koszuli.

— Zdajesz sobie pewnie sprawę z tego, że my wcale nie jesteśmy najlepsi? Och, to znaczy radzimy sobie całkiem dobrze, ale zajmujemy się raczej... drobnymi sprawami. Nataniel do pomocy ma tylko mnie... — urwała, myśląc o wszystkich tych zdjęciach niewiernych małżonków, które wywoływała w ciemni, o danych, które zgodnie z poleceniem ojców zbierali na temat kandydatów na zięciów, a także o pewnym szantażyście, któremu Nataniel połamał szczękę oraz obie ręce. — Nie sądzisz — wymruczała, nie patrząc na rozmówcę — że powinieneś zwrócić się do większej agencji, dysponującej większą liczbą pracowników, a tym samym lepszymi możliwościami?

Dręczyło ją to od chwili, gdy w pełni do niej dotarło, że od odnalezienia anioła zależy przyszłość całego miasta. Teraz, gdy wreszcie wypowiedziała wątpliwości na głos, poczuła ulgę, a jednocześnie lęk, że Meric posłucha jej i odejdzie.

Chwyciła wygładzony przed chwilą materiał koszuli nocnej i zacisnęła pięści. Czekiła na odpowiedź.

— Nie wiem, jakie kwalifikacje trzeba mieć, aby odnaleźć anioła. Nikt tego nie wie. Tak więc, moim zdaniem, nadajecie się równie dobrze jak ktokolwiek inny. A ponadto — Meric uśmiechnął się szerokim, smutnym uśmiechem dziecka, które za dużo już

widziało i za dużo wie — teraz już nie stać mnie na opłacenie kogoś innego.

## Dzień siódmy

*O rany, mamo, patrz, tutaj jest napisane, że w Instytucie Elektroniki stworzyli taką gigantyczną supermaszynę, która potrafi liczyć szybciej niż stu profesorów razem wziętych! — I co z tego? Myślisz, że ta maszyna odrobi za ciebie zadanie z matematyki? Marsz do swojego pokoju, kolego, i pamiętaj: więcej żadnych słodyczy.*

Fragment słuchowiska radiowego  
Rodzina Tusharów

Ostre, światło zakłuło Andresa w oczy. Zwinął się na ziemi, odruchowo wyciągając rękę, by osłonić twarz ramieniem, i pojął, że ramię ma nagie, że cały jest nagi. Znieruchomiał, gdy setki ostrych pazurków wbiły mu się w bok i zaczęły rozdzierać skórę. Jednocześnie strach przebił się przez warstwę oszołomienia i ucapił go za gardło. Coś tu było kurewsko nie w porządku.

— Proszę wstać, jest pan aresztowany.

Ktoś chwycił go za ramię i szarpnął w górę. Syknął, bo maleńkie pazurki wbijały się teraz w podeszwy. Przesząpił z nogi na nogę, znalazł taką pozycję – ciężar ciała na palcach prawej stopy i zewnętrznej krawędzi lewej – w której mógł stać, nie odczuwając bólu, zamrugał i uniósł dłonie do twarzy, gdy kolejna jaskrawa błyskawica wdarła mu się pod powieki.

Wreszcie zaczął myśleć.

— Za co? — wybełkotał i odsłonił oczy. Był wczesny świt, a jego głos brzmiał, jakby się jeszcze nie obudził.

— Za obrazę moralności — wyjaśnił młody policjant.

Wyraźnie stylizował się na Isoppe Macanego, tanagryjskiego

gwiazdora filmów gangsterskich – tak jak on nosił krótką, postrzępioną fryzurę i miał zblazowaną minę człowieka, którego nic nie jest w stanie zdziwić. Jego kolega wyjął z radiowozu koc i narzucił Andresowi na ramiona. Trzecia osoba – krępy, rozczochrany mężczyzna z żalem opuścił uniesiony do twarzy aparat fotograficzny.

— Taka okazja — wymamrotał. — Taka okazja, i to zupełnie przypadkiem... Goły facet na jedenastce, pośród róż. Ale numer.

Nataniel Andres rzeczywiście stał pośród róż, które wyrosły na głównej ulicy w centrum miasta. To ich kolce kłuły go w stopy, a wcześniej w bok. Światła na skrzyżowaniu pulsowały długimi jaskrawozielonymi falami. Droga wolna – mówiły nielicznym o tej porze kierowcom. Dopiero o szóstej rano, gdy w Getteim zaczynał się normalny ruch, włączała się sygnalizacja.

Jadący jedenastką samochód zwalniał coraz bardziej, aż w końcu stanął. Kierowca wysiadł i przyjrzał się plątaniu gałęzi, liści oraz rozkwitłych kwiatów, które przykrywały asfalt niczym gruby dywan. Na jego twarzy malował się wyraz osłupienia.

— Proszę wsiąść do wozu. — Policjant z fryzurą Macanego ujął Nataniela za ramię. — Mam nadzieję, że nie sprawi nam pan kłopotów?

— Nie sprawię, pod warunkiem, że coś pan dla mnie zrobi. Niech pan powtórzy temu tam — Andres ruchem głowy wskazał rozczochranego fotografa — że jeśli opublikuje któreś z tych zdjęć, to znajdę go i osobiście połamię mu wszystkie palce u rąk, tak żeby już nigdy więcej nie mógł podnieść aparatu.

— On mówi — ton głosu policjanta nie zmienił się ani na jotę — że jeśli opublikuje pan któreś z tych zdjęć, to znajdzie pana i osobiście połamię panu wszystkie palce u rąk, tak żeby już nigdy więcej nie mógł pan podnieść aparatu.

Pod koniec tej przemowy Andresowi zdawało się, że dostrzegł w oczach policjanta błysk sympatii. Miał nadzieję, że to nie złudzenie, potrzebował teraz choć odrobiny zrozumienia.

Nie pamiętał, co działo się z nim przez ostatnie kilka godzin, i prawdę mówiąc, wciąż się bał.

Aelis spała źle i obudziła się około ósmej rano, wcale nie wypoczęta. Kręciła się chwilę na wąskim tapczanie, a gdy pojęła, że już nie zaśnie, wstała niechętnie.

Z małego pokoju, w którym sypiał Meric Tyren, nie dobiegały żadne odgłosy. Dziewczyna z trudem się pohamowała, by do niego nie zajrzeć.

Poszła do łazienki, potem wypła filiżankę kawy. Na śniadanie nie miała na razie ochoty. Poczowała się trochę lepiej. W dziennym świetle wszystko wygląda optymistyczniej, a człowiek ubrany i z umyтыми zębami gotów jest stawić czoła zmorom, które w ciemności nocy dręczą go bezkarnie.

Potrzebowała jakiegoś zajęcia, weszła więc do zamienionego na ciemnię fotograficzną składziku i zabrała się do wywoływania zdjęć.

\* \* \*

Po czterech godzinach spędzonych w areszcie, dwóch kubkach lurowatej kawy oraz trzech telefonach wykonanych za trzy wyproszone półrenówki Nataniel Andres zobaczył się w końcu z jedynym człowiekiem, co do którego miał pewność, że w tej sytuacji mu pomoże.

*Caudhari* Jasbir Lal był wysokim szpakowatym mężczyzną, zawsze ubranym w staroświecki czarny bądź ciemnobrązowy surdut i z nieodłącznymi okularami na nosie. Miał spokojną twarz oraz nerwowe dłonie o długich palcach i nikt nie wiedział, czy prawdziwą osobowość Lala wyraża jego oszczędna mimika, czy też ręce, które nigdy nie pozostawały w bezruchu. *Caudhari* starał się być sprawiedliwy tak bardzo, że chwilami zbliżał się do granicy absurdu, a może i masochizmu. Nie zniósłby nawet cienia podejrzenia o stronniczość. Gdyby jego śmiertelny wróg został oskarżony o zbrodnię, Jasbir Lal ucieszyłby się, odkrywając dowody jego niewinności. Cierpiałby wówczas, lecz jednocześnie mógłby do woli pławić się w poczuciu własnej szlachetności, a to było dla niego najważniejsze.

Lal nie znosił prywatnych detektywów, a w szczególności Nata-



niela Andresa, i dlatego właśnie Nataniel Andres był przekonany, że może na niego liczyć.

Nie mylił się.

— Dałeś zrobić z siebie idiotę — skwitował *caudhari* całą sprawę, zwracając w stronę Andresa beznamiętną twarz, podczas gdy jego dłonie darły na kawałeczki kartkę papieru. — Ta dziewczyna podeszła cię jak pierwszego lepszego gówniarza.

— Mniejsza o dziewczynę. — Nataniel chwycił zsuwający mu się z ramion koc. — To nie był jej pomysł, tylko Cassiana Sury'ego.

Szczeniak zemścił się na mnie, i to bardzo po szczeniacku, pomyślał ze złością i była to w dużej mierze złość na samego siebie.

*Caudhari* skinął głową, jakby odgadując jego myśli.

— To był bardzo głupi, wyjątkowo bezmyślny dowcip. Mogłeś tam zginąć, zdajesz sobie z tego sprawę? O tej porze jedenastką jeździ niewiele samochodów, ale jeśli już jakiś się pojawia, to pędzi na pełnym gazie, bo sygnalizacja świetlna jest wyłączona. Zginąłbyś pod kołami, zanim kierowca zdążyłby zahamować. Wiesz, co uratowało ci życie?

Andres poczuł spóźnione uderzenie przerażenia, które na chwilę zmieniło jego mięśnie w galaretę. Potem strach znikł, pozostawiając po sobie osad zmęczenia i złości.

— Kwiatki, założę się, że to były te cholerne kwiatki.

— Owszem, róże zwane cesarskimi, gatunek płożący. Wyrosły na poboczu, a ich pędy sięgnęły aż na środek ulicy. Niezbyt naturalne zjawisko, moim skromnym zdaniem. Reporter, który nas zawiadomił, zahamował i wysiadł z samochodu, by im się przyjrzeć. Wtedy właśnie w półmroku świtu zauważył ciebie.

— Powinieneś mnie aresztować — rzucił Andres przez zaciśnięte zęby.

Rysy twarzy Lala nareszcie drgnęły.

— Dlaczego?

— Ponieważ zamierzam wyjść stąd i zamordować Cassiana Sury'ego.

Jasbir Lal sięgnął po wieczne pióro, odkręcił obsadkę, po czym przykręcił ją na powrót. Potem przesunął palcem wzdłuż pióra, powoli, jakby sprawiało mu to zmysłową przyjemność. Na jego

ustach błąkał się pełen zadowolenia uśmiech.

— Możesz złożyć skargę, jeśli chcesz. Narażenie życia to poważny zarzut. Wyślemy cię na badania do szpitala, a tam, założę się, znajdą w twojej krwi resztki narkotyku. To już jakiś dowód. Chcesz złożyć skargę?

Ty wredny sukinsynu, pomyślał Andres, spoglądając rozmówcy prosto w oczy. Wiesz, że to nic nie da. Chłopak wykręci się co najwyżej upomnieniem i niczym więcej.

Nabrał w płuca powietrza i odetchnął głęboko.

— Nie — powiedział. — Chcę zgłosić zaginięcie anioła.

\* \* \*

Przeszłość odchodzi, lecz Tanagryjczycy potrafią ją zatrzymać i zamknąć w pułapce przy pomocy czarnego pudełka zwanego aparatem fotograficznym. Dzięki nim pyzate buzie dzieci patrzą z powagą na dorosłych, gładkoskóre dziewczęta uśmiechają się do pomarszczonych kobiet, a pełni życia mężczyźni spoglądają wzywająco na staruszków. Istnieją jednocześnie: jedni na czarno-białych kartonikach, drudzy w rzeczywistości.

Ojciec Aelis dziwił się, dlaczego ludzie, którzy potrafią uwięzić przeszłość albo przesłać głos po drucie, tak bardzo zauroczeni są magią. Aelis też się dziwiła: jeśli słowo „magiczne” rozumieć według kryteriów tanagryjskich jako coś tajemniczego i fascynującego, to wywoływanie zdjęć było najbardziej magiczną czynnością, jaką znała.

Przypomina to trochę wzywanie duchów, myślała. W mroku rozświetlonym niebieskim blaskiem lampki w kuwecie z wywoływaczem najpierw pojawiają się rozmazane plamy, które stopniowo nabierają wyrazistości, aby w końcu przekształcić się w konkretne postacie. Oto Aelis przed dwudziestu czterech godzin – stoi przy grobie bezimiennego chłopaka i śpiewa, co można poznać po zabawnie otwartych ustach. Obok niej kapłan, który odegrał już swoją rolę i teraz na jego twarzy maluje się lekkie znużenie. Trzecie z kolei zdjęcie zrobił poproszony o to nieznajomy i dlatego są na nim wszyscy: ona, Nataniel Andres oraz kapłan. Andres ma takie

rysy, że zazwyczaj wychodzi albo na zagniewanego, albo na rozba-  
wionego, ale tutaj wygląda po prostu smutno. A na czwartej fotogra-  
fii... Co na niej jest?

Aelis pochyliła się. Tak, rozpoznawała już barczystą sylwetkę  
Andresa, obok swoją własną, znacznie drobniejszą, a jeszcze dalej  
zarys pochylonych ramion kapłana. Lecz przy grobie stał ktoś jesz-  
cze – postać szczupła i niewysoka, choć nie dziecko. Dziewczyna  
albo młoda kobieta, długowłosa i ubrana w letnią sukienkę. Dziew-  
czyna, której na zdjęciu nie powinno być, ktoś czwarty w trzyosobo-  
wym towarzystwie biorącym udział w ceremonii pogrzebowej.

Aelis w swoim dwudziestotrzyletnim życiu widziała sporo  
duchów, więc tylko odrobinę się zdziwiła, nic poza tym. Patrzyła  
z zaciekawieniem, czekając, aż rysy dziewczyny nabiorą wyrazisto-  
ści.

Gdy ją rozpoznała, najpierw wstrzymała oddech, a potem wypu-  
ściła powietrze z płuc i zawołała Merica.

\* \* \*

— Czy anioł jest pełnoletni?

— Z tego co wiem, to tak.

— Zdrowy na umyśle?

— Jeśli coś takiego można powiedzieć o aniele.

— Czy anioł jest twoim krewnym, a jeśli tak, to w jakim stop-  
niu?

— Jaja sobie ze mnie robisz? — warknął Andres.

— Poszukiwać zaginionej osoby mogą tylko wtedy, gdy jest ona  
nieletnia bądź też chora umysłowo albo, w przypadku osób pełnolet-  
nich i zdrowych, na wniosek krewnego, jeśli od chwili zaginięcia  
minęły co najmniej cztery dni. Znasz procedurę.

— Znam, ale nie sądziłem, że okażesz się takim biurokratą. Ten  
anioł może uratować Getteim!

Jasbir Lal milczał, smakując rosnące napięcie.

— Moje obowiązki nie obejmują ratowania miasta — oznajmił  
w końcu z wyrozumiałym uśmiechem. Nagi, wyczerpany i jedno-  
cześnie wściekły Nataniel Andres, marzący już tylko o tym, by wró-

cić do domu, ubrać się, a potem upić, wyrzucając z pamięci kilka ostatnich godzin, doskonale nadawał się do zabawy w kotka i myszkę. *Caudhari* nawet nie zdawał sobie sprawy, jak wielką ta zabawa sprawia mu przyjemność – był szlachetnym stróżem prawa, gdy w grę wchodziło działanie świadome, i wrednym sukinsynem, gdy w grę wchodziło działanie nieświadome.

Nataniel Andres zacisnął zęby. Zastanawiał się, czy szlachetność Lala obejmuje także odwiezienie go do domu, a jeśli nie, to czy uda mu się wyprosić kolejną półrenówkę, by zadzwonić do Aelis.

Do gabinetu weszła młoda policjantka, niosąc tacę z filiżanką kawy. Ładna, elegancka dziewczyna wyglądała tak, jakby jedynym jej obowiązkiem było stukanie w maszynę do pisania oraz dostarczanie szefowi kolejnych porcji kofeiny. W Tanagrze policjantki pracowały czasem w terenie, lecz w Getteim kobiety znały swoje miejsce.

Zatrzymała się w progu i spojrzała na okrytego kocem Andresa.

No dalej, pomyślał, wbijając w nią wzrok, uśmiechnij się.

Nie uśmiechnęła się.

Gdy wyszła, Nataniel Andres odwrócił się w stronę *caudhariego*, który bawił się filiżanką.

— Czy teraz jestem już wolny? — zapytał, starając się z całych sił panować nad głosem.

Palce przestały pieścić uszko filiżanki i znieruchomiały. Jasbir Lal milczał, a Nataniel czuł, że tym razem nie chodzi mu o sztuczne przedłużanie napięcia. *Caudhari* naprawdę się wahał, naprawdę nie był pewien, co powiedzieć.

— Nie, nie jesteś. Chcę ci coś pokazać.

\* \* \*

— Co się stało?

— Spójrz. — Aelis wyciągnęła w stronę Merica mokre zdjęcie, które ostrożnie trzymała szczypcami. Na pozór była spokojna, ale on nie dał się nabrać – jeszcze przed chwilą w jej głosie słychać było strach.

— Wygląda, jakby zobaczyła ducha. — Uświadomił sobie, co

powiedział, i zachichotał nerwowo.

Rysy dziewczyny widocznej na fotografii wykrzywione były strachem i rozpaczą. Patrzyła błagalnie na Andresa, a może gdzieś obok – Meric nie miał pewności. Lecz jeśli naprawdę obok Nataniela znajdowało się coś przerażającego, to umknęło to aparatowi fotograficznemu.

— Duch, który zobaczył ducha. — Aelis obdarzyła rozmówcę wymęczonym uśmiechem. — Boję się, Mericu. To nie może być przypadek. To ta sama dziewczyna, poznajesz?

Poznawał. Ostatni raz widział ją w mieszkaniu Andresa, na przypiętym do szafki zdjęciu. Zastanowił go wtedy przedziwny wyraz jej twarzy: wyglądała na kogoś, kto nie jest pewien, czy powinien się bać. Teraz najwyraźniej podjęła decyzję.

Lecz było coś jeszcze, co uświadomił sobie dopiero po chwili.

— Widziałem ją jeszcze wcześniej, teraz sobie przypomniałem. W kinie, w *Królewskim klejnocie*. Tam była taka scena, gdy Indil stoi na przystani i wypatruje wśród podróżnych swojej siostry. Na widok każdej młodej kobiety na jej twarzy pojawiała się najpierw nadzieja, a potem – gdy okazywało się, że to nie ta – rozczarowanie. Nie zareagowała tylko raz, właśnie wtedy, gdy obok niej przeszła ta dziewczyna. Tak, wiem, Indil mogła się po prostu zagapić, ale to naprawdę dobra aktorka, poważnie traktująca swoją pracę, nawet jeśli filmy, w których grywa, są... niezbyt ambitne. W każdym razie już wtedy coś mnie zaniepokoiło w tej scenie, a teraz mamy wyjaśnienie.

— Indil nie zareagowała odpowiednio na widok dziewczyny, bo po prostu jej nie widziała? To duch, którego widać dopiero na fotografii albo na taśmie filmowej?

Meric przytaknął.

— A jak ona wtedy wyglądała? To znaczy mam na myśli dziewczynę ducha, a nie Indil.

— Nie zwróciłem uwagi, a więc pewnie zwyczajnie — odparł po chwili zastanowienia.

Za to na zdjęciach miała tak osobliwy wyraz twarzy, że to musiało coś znaczyć. Dwa razy. Raz mogłoby być przypadkiem, ale nie dwa.

— Boję się — powtórzyła Aelis, patrząc Mericowi w oczy z niemą prośbą. Rozpłakałaby się, ale w jej przypadku płacz jeszcze bardziej upodobniłby ją do dziecka, a tego nie chciała. Zwłaszcza w tej chwili.

Mężczyzna objął ją – jedna dłoń delikatnie przeczesująca włosy, druga nieruchoma na plecach. Złoty środek pomiędzy pocieszaniem małej dziewczynki a tym samym gestem ofiarowanym dorosłej kobiecie. Żadnego dwuznacznego erotyzmu, ale też żadnego rozczulania się nad małolatą. Aelis doceniła to, skrywając gorzki uśmiech.

\* \* \*

Jasbir Lal rzucił na biurko cztery zdjęcia, po czym przesunął pierwsze z nich w stronę Andresa, który z trudem powstrzymał chęć, by odwrócić wzrok. Widział już mnóstwo takich fotografii i właściwie powinien się przyzwyczać, ale jakoś nie potrafił.

— Dziewczynka, lat około jedenastu — powiedział *caudhari*. — Jeden z pracowników Domu Uciekiniera zauważył ją, jak kręciła się bez celu po ulicy, i zabrał ze sobą. Było to ostatniego dnia *nikadh*, a więc prawie dwa miesiące temu. Dziecko nie pamiętało niczego – ani własnego imienia czy nazwiska, ani żadnego wydarzenia ze swojego życia poprzedzającego chwilę, gdy znalazła się na getteimskiej ulicy. Amnezja totalna, po prostu czarna dziura w pamięci. W Domu nakarmiono ją i wskazano wolne łóżko, na którym mała przespaa noc. A właściwie niecałą noc, bo tuż przed świtem zeszła do kuchni, znalazła ostry nóż i poderżnęła nim sobie gardło z siłą i determinacją, o jakie trudno by podejrzewać jedena-stolatkę. Ci, z którymi rozmawiała wieczorem, zgodnie twierdzą, że dziewczynka nie wykazywała oznak zachwiania równowagi umysłowej. Owszem, była zagubiona i wystraszona, co w jej sytuacji jest zrozumiałe, ale cieszyła się też, że wreszcie znalazła ludzi, którzy się nią zaopiekowali, ufała im i wierzyła, że dzięki nim odzyska pamięć i rodzinę. Tym trudniej zrozumieć, dlaczego postanowiła się zabić, prawda?

Andres milczał. Po chwili Lal podsunął mu drugie zdjęcie.

— Chłopak w wieku około trzynastu lat. Siedemnastego *saewana* został zatrzymany przez policję, gdy o trzeciej w nocy na rynku rozbijał witryny sklepowe. Był pijany, zamknięto go więc w tymczasowym areszcie, by wytrzeźwiał. Rano policjant bez skutku wypytywał go o dane: zatrzymany twierdził, że nie pamięta, jak się nazywa, kim jest i skąd się wziął w Getteim. Funkcjonariusz z początku wziął go za kłamcę, uznając, że gówniarz po prostu boi się kary. Zamknął go więc na powrót, by skruszał i nabrał rozumu. Niestety, w nocy chłopak powiesił się na własnym pasku od spodni.

*Caudhari* zamilkł, najwyraźniej oczekując jakiejś reakcji. Andres nie odezwał się ani słowem.

— Dziewczynki nie zdołaliśmy zidentyfikować, natomiast jeśli chodzi o chłopaka, to wiemy, jak miał na imię. A przynajmniej jakim imieniem się przedstawiał: Jovian. Rozpoznały go dzieciaki kręcące się po Dworcu Wschodnim. Przyjechał z Tanagry, a o sobie powiedział tylko tyle, że zwiął z domu po awanturze z ojcem. Potem przepadł gdzieś, a jego koledzy nie potrafili powiedzieć gdzie. A przynajmniej tak mówią. Podobnie w kolejnym przypadku. — Lal pokazał trzecie zdjęcie. — To dziewczyna nieco starsza, około czternastoletnia, jak stwierdził lekarz, który wykonał sekcję zwłok. Pewien człowiek, nawiasem mówiąc, karany kiedyś za pedofilię, zaczepił ją na Dworcu Wschodnim, dowiedział się, że dziewczyna nic zupełnie nie pamięta, po czym wielkodusznie zaproponował pomoc. Zabrał ją do swojego domu, nakarmił, a potem wykorzystał, choć on oczywiście twierdzi, że dziewczyna sama tego chciała. Tak czy inaczej, nie cieszył się jej towarzystwem długo. Nad ranem panna zamknęła się w łazience, napełniła wannę wodą, włożyła do niej głowę i trzymała tak długo, aż przestała oddychać. Wyjątkowo męczący sposób umierania, ale, jak widać, skuteczny. I tym razem rozpoznały ją dzieci z Dworca Wschodniego. To Orianna, która przebywała tam przez jakiś czas, a potem zniknęła. W przeciwieństwie do Joviana była bardzo gadatliwa, ale strasznie zmyślała. Twierdziła na przykład, że jej rodzice są dyplomatami i że wraz z nimi podróżowała po całej Tanagrze, co raczej nie jest prawdą.

Urwał. W dłoni trzymał ostatnie, czwarte zdjęcie. Andres wie-

dział, kto na nim jest.

*Caudhari* powoli, celebrując każdą chwilę tego ruchu, odwrócił w jego stronę kartonik.

— Chłopak, który powiesił się w kotłowni Szpitala Trzech Sióstr. Znałeś go, a więc nie muszę ci o nim opowiadać. Kolejna ofiara, której nie zdołaliśmy zidentyfikować. Na początku uznaliśmy jego śmierć za samobójstwo zdesperowanego nastolatka, ale potem ktoś poszedł po rozum do głowy i powiązał ją ze śmiercią dziewczynki w Domu Uciekiniera oraz Joviana. A późniejsze samobójstwo Orianny potwierdziło nasze podejrzenia. Pogrzebaliśmy trochę w archiwach i znaleźliśmy jeszcze pięć przypadków, które można by uznać za podobne, tu już jednak nie mamy pewności –

  bądź co bądź bezdomne dzieci giną z najróżniejszych przyczyn i trudno potem odtworzyć okoliczności ich śmierci. Mamy więc w ciągu dwóch miesięcy cztery pewne przypadki takich zgonów i pięć niepewnych, a kto wie, czy nie było ich jeszcze więcej. To dzieci ulicy, które nikogo nie obchodzą. Założyliśmy więc, że ktoś zaczepia dziecko na Dworcu Wschodnim, gdzie kręci się mnóstwo małych uciekinierów, zabiera je ze sobą, potem w jakiś sposób robi mu krzywdę – nie fizyczną, bo na ciałach dzieci nie było śladów gwałtu ani znęcania się – a jeszcze później przy pomocy nielegalnych specyfików pozbawia pamięci i wypuszcza z powrotem na miasto. I za każdym razem dzieciak ginie z własnej ręki, nim zdąży przypomnieć sobie, co mu się przydarzyło.

— Oskarżasz mnie, że miałem z tym coś wspólnego? — Andres, któremu zmęczenie przeszło jak ręką odjął, pochylił się na krześle, napinając jednocześnie mięśnie.

Był wystarczająco bystry, by zauważyć ową przedziwną cechę charakteru, która kazała Lalowi bronić nawet najbardziej zniechęconej osoby, lecz za nic tej cechy nie potrafił zrozumieć, a to z kolei sprawiało, że trochę jej się bał. Czasem miał wrażenie, że to tylko sztuczka, rodzaj kamuflażu, by uspić czujność wroga, a potem uderzyć ze zdwojoną siłą. Być może ta chwila wreszcie nadeszła.

— Wcale nie. — Palce *caudhari*ego wyprostowały spinacz, a potem zaczęły wyginać go w kształt precelka. — Wybacz, Natanielu, ale nie widzę cię w roli porywacza dzieci — powiedział takim



tonem, że Andres nie wiedział, czy ma to uważać za komplement, czy też za wyraz niewiary w jego możliwości. — Nawet nie nalegam, żebyś mi zdradził nazwisko człowieka, który wynajął cię do poszukiwań anioła. Nie obchodzi mnie to. Mam inną prośbę. Jak już wspomniałem, sądzimy, że ów porywacz zabiera dzieci z Dworca Wschodniego...

— Dlaczego właśnie stamtąd? — przerwał mu Andres. — Zboczeniec poderwał Oriannę właśnie na dworcu, a dziewczyna już wtedy nic nie pamiętała. Czy to nie jest zbyt duży zbieg okoliczności, że została zabrana dwukrotnie z tego samego miejsca: raz przez porywacza, który pozbawił ją pamięci, a drugi raz przez zboczeńca?

— Wcale nie. — Lal odłożył spinacz i sięgnął po drugi. — Większość bezdomnych dzieciaków prędzej czy później trafia na dworzec, bo pod wieloma względami to najlepsze dla nich miejsce: mają dach nad głową i zawsze mogą coś wyżebrać, kogoś okraść albo zarobić parę renów w toalecie. To, że dzieci straciły pamięć, nie znaczy wcale, że brakuje im instynktu samozachowawczego. Szczerze mówiąc, nie zdziwiłbym się, gdyby następne wypuszczone przez porywacza dziecko też tam wróciło. Możliwe zresztą, że już tak się stało. Widzisz, Natanielu — *caudhari* po raz pierwszy dłużej zatrzymał wzrok na twarzy rozmówcy — niektóre z tych małolatów są całkiem cwane. I one właśnie, te najmądrzejsze, najbardziej się boją. Trzymają się razem i nawet jeśli coś wiedzą – a sądzę, że wiedzą – to nikomu tego nie zdradzą. A przynajmniej nikomu dorosłemu. Rozumiesz? Nawet najsilniejszy strach nie jest w stanie przezwyciężyć ich niechęci do dorosłych, zwłaszcza jeśli wyczują w takim dorosłym policjanta, a uwierz mi, że większość tych gówniarzy rozpoznałaby jednego z nas nawet w przebraniu księżycowej wróżki. Dlatego właśnie chcę pożyczyć od ciebie tę dziewczynę, Aelis.

— Co takiego? — zapytał Andres, bynajmniej nie dlatego, że nie zrozumiał ostatniego zdania. Zrozumiał doskonale, ale chciał w ten sposób zyskać chwilę na spotęgowanie rosnącego w nim gniewu.

— Dzieci zaufają jej, jeśli wezmą ją za jedną z nich. W jej przypadku udawanie jedenastolatki nie powinno być szczególnie trudne, prawda? Dzięki niej moglibyśmy dowiedzieć się czegoś, co pozwoli

nam odnaleźć porywacza. Namów ją, by nam pomogła. Bądź co bądź pracuje dla ciebie, a więc powinna cię słuchać. W zamian, hmm... żadnych wymiernych korzyści obiecać nie mogę, ale powiedzmy, że nie zapomnę wam tej przysługi.

— A przy okazji Aelis zostanie porwana i pozbawiona pamięci i nawet jeśli później ją odnajdę, to będę musiał jej pilnować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo w przeciwnym wypadku powiesi się, utopi albo poderżnie sobie gardło. Wielkie dzięki.

Jasbir Lal zerknął na stosik zniszczonych spinaczy, a potem położył na biurku dłonie, nieruchomo jedną obok drugiej, i przyglądał im się z ciekawością, jakby stanowiły osobny, zupełnie niezależny od niego byt.

— Będzie bezpieczna — zapewnił, a gdy doszła do głosu jego uczciwość, dodał — przynajmniej zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by nic jej się nie stało.

— Nie.

— Co: nie?

— Powiedziałem: nie.

— Masz jakieś powody, aby odmówić? Argumenty?

— Nie potrzebuję żadnych pieprzonych argumentów. Po prostu odmawiam. Nie mam nawet zamiaru wspominać Aelis o tej rozmowie. I więcej: nie życzę sobie, abyś ty jej o tym wspominał. Trzymaj się od niej z daleka.

*Caudhari* zmarszczył brwi. Na jego twarzy malowało się napięcie, jakby utrzymywanie dłoni tak długo w bezruchu stanowiło nie lada wysiłek.

— Grozisz mi?

— Nie sądzę, abym musiał posuwać się do gróźb. Przecież wiesz, na co mnie stać.

— O tak, wiem. I przyznaję, że moja sympatia do ciebie maleje z każdą chwilą.

Andres spojrzał rozmówcy w oczy i nie dostrzegł w nich ani odrobiny sympatii. Znajomość z tym człowiekiem przypomina zabawę ogniem, przemknęła mu przez głowę niewesoła myśl. Kto wie czy już wkrótce nie odpokutuje hurtem wszystkich grzechów, za które w ciągu ostatnich pięciu lat podpadłem getteimskim wła-

dzom. A było ich sporo.

— Mój człowiek odwiezie cię na plac Arleński, stamtąd już sam dostaniesz się do domu. — Jasbir Lal podniósł słuchawkę telefonu. — Koc oddasz przy okazji.

Nataniel Andres podziękował skinieniem głowy. Wstał z krzesła.

— Jedno pytanie. — Zatrzymał się w progu, myśląc o śladzie po ukłuciu w zgięciu łokcia bezimiennego chłopaka. — Mówiłeś, że dzieci pozbawiano pamięci przy pomocy jakichś specyfików. Wiadomo, co to było?

— Trudno twierdzić coś ze stuprocentową pewnością, bo tylko w jednym przypadku ciało dziecka nie zdążyło przed śmiercią wydalić resztek narkotyku. Ale prawdopodobnie to coś podobnego do tego, z czym ty miałeś okazję się zapoznać, choć znacznie silniejsze. Tobie wymazano pamięć kilku godzin, im całego życia.

\* \* \*

Nataniel Andres wrócił do domu, wykąpał się i ubrał. Stępną zmęczeniem złość otulała go jak kokon; świat postrzegał niczym w krzywym zwierciadle. Jego własne mieszkanie wydało mu się obce i brzydkie. Przez okno wpadały promienie słońca, obnażając bezlitośnie ohydę ścian, z których płatami odłaziła farba, i zalegającą na półkach warstwę kurzu. Z górnego piętra dobiegały dźwięki piosenki puszczonej w kółko na starym gramofonie, skoczne hop la la, irytujące w swoim dziecinny bezsensie.

Nataniel Andres zamknął oczy.

Bezustannie wracało wspomnienie jego własnej pięści spadającej na arogancką twarz Cassiana i jeszcze inny obraz, w którym jasnowłosy chłopak leżał skatowany w kałuży własnej krwi, wypływając połamane zęby. Należałoby mu się, małemu gówniarzowi, należałoby mu się jak cholera. Andres czuł lekkie mdłości, gdy sobie to wyobrażał, a jednak nie potrafił przestać.

Otworzył oczy. Najchętniej położyłby się teraz w ciszy i ciemności, odcięty od bodźców, które drażniły jego napięte nerwy, ale wiedział, że i tak nie zdoła zasnąć. Przynajmniej nie bez pomocy

alkoholu.

Kusząca myśl, którą odrzucił po chwili wahania.

Wyszedł z domu, kierując się w stronę kamienicy, gdzie mieszkała Aelis.

Getteim tonęło w powodzi kwiatów. Rosły na klombach, wystawały z pęknięć w murach i ze szczelin chodnika. Nie miało prawa ich tu być, a jednak były, jaskrawożółte, różowe i błękitne, rozkwitłe i świeże jak sama wiosna. Rosły pod szarym jesiennym niebem, targane wiatrem, w którym czuło się już zapowiedź wilgotnych chłódów.

Przechodnie spoglądali na nie z osłupieniem i zgrozą, jakiej nie wywołała niedawna mgła. Mgłę, mimo że tak rzadko zdarzała się w Getteim, można było uznać za zjawisko naturalne, ale tego już nie. Zdecydowanie nie.

Jakiś mężczyzna stanął przed kępą dorodnych iberysów, po czym zagapił się na nie z półotwartymi ustami. Nataniel już miał parsknąć śmiechem, gdy strach zdusił bulgoczący w gardle chichot. Piękne kwiaty rzucały posępne, długie cienie, które poruszając się w podmuchach wiatru, wyglądały jak wygrażające przechodniom kościste palce.

Andres zerwał trzy iberysy. Nie znał się na kwiatach, ale te były zbyt zimne, zupełnie jakby ktoś niedawno wyjął je z lodówki.

Nie zastanawiając się nad tym dłużej, ścisnął w dłoni łodygi i szybkim krokiem pomaszerował w stronę domu Aelis.

\* \* \*

— Wszystkiego najlepszego z okazji zbliżającej się zagłady miasta.

Dziewczyna odruchowo przyjęła wręczone jej kwiaty. Oczy miała szeroko otwarte i pełne czegoś, co Andres w pierwszej chwili wziął za zdumienie, ale co zdumieniem nie było. Za jej plecami, z twarzą ukrytą w cieniu, stał Meric Tyren.

— Nie wiecie, jak wygląda Getteim? Nie wyjrzelście dziś przez okno?

Aelis wolno pokręciła głową, po czym cofnęła się, niemal wpa-

dając na Merica. Nataniel przekroczył próg i spojrzał im w twarze. Zobaczył na nich skrępowanie, a także coś na kształt poczucia winy, jakby przyłapał ich na spiskowaniu albo w łóżku. Po raz pierwszy w mieszkaniu przyjaciółki poczuł się jak intruz i na krótką paskudną chwilę cała jego złość skierowała się w stronę Aelis.

— Mogę wejść? — warknął, bo dziewczyna wciąż zagradzała mu drogę.

— Tak, jasne. — Odsunęła się na bok i zamknęła za nim drzwi. Wrażenie intymnego sekretu łączącego ją z Merikiem przysło i Andres był gotów uznać je za złudzenie.

\* \* \*

Płynący z radia głos był wysoki, świadomie balansujący na granicy hysterii.

— Czy nasze miasto naprawdę czeka zagłada? Czy kwiaty, które tak niespodziewanie wyrosły dziś na ulicach, istotnie są już drugim danym nam przez aniołów Znakiem? Wiele na to wskazuje! Rozmawiam właśnie z rodziną, która zdecydowała się na opuszczenie Getteim. Powie nam pan parę słów o swojej decyzji? Boi się pan? Nie sądzi pan, że miasto da się jeszcze uratować? Czy nie ma dla nas żadnej nadziei?

— To aniołowie — odburknął męski, schrypnięty głos. W tle słyhać było szczekanie psa i wrzaski podnieconej dzieciarni. — Z aniołami nie należy zadzierać.

— Zamierza pan wyjechać do Arlenu. Nie boi się pan zaczynać życia zupełnie od nowa, w obcym środowisku?

— Nie bardzo — odparł po krótkim namyśle mężczyzna i nim rozczarowana reporterka zdążyła zadać kolejne pytanie, Andres wyłączył radio.

Aelis mięła w rękach płatki kwiatów, Meric lekko trącał palcem leżące na stoliku zdjęcie. Już raz tak siedzieli, całkiem niedawno, słuchając radia i skrywając jedno przed drugim narastający lęk.

— Naprawdę sądzisz, że Joel jest teraz w Arlenie? — zapytała Aelis.

Andres skinął głową.

— Talico, gdzie mieszka Nicodemus, leży niedaleko granicy. Przy odrobinie szczęścia można dotrzeć tam w pół dnia. Pojedziecie razem z Merikiem. Tak będzie najlepiej.

Poruszyła się niespokojnie. Z Arlenu wyjechała jako małe dziecko i nie miała ochoty tam wracać.

— Macie coś przeciwko?

— Nie, ale co z tym? — Aelis sięgnęła po leżące na stoliku zdjęcie, na którym przerażona dziewczyna wpatrywała się błagalnie w Andresa. — Nie sądzisz, że ona chce ci coś przekazać? Może warto z nią porozmawiać? Mogłabym spróbować...

— Nie — przerwał jej Andres. — Na to wszystko będzie jeszcze czas, jeśli nie znajdziemy Joela w Talico. Ale on najprawdopodobniej tam jest, więc będziemy mieć całą sprawę z głowy bez pomocy duchów. Wyjedziecie dziś po południu, im szybciej, tym lepiej.

Meric podniósł głowę, spojrział pytająco, a jednocześnie – drugi mężczyzna mógłby przysiąc – z lekkim uśmiechem. Aelis i Andres byli opanowani, bo trzymali nerwy na wodzy, lecz Meric nawet bez specjalnych starań i tak wyglądał na najspokojniejszego. Miał minę człowieka, który przyjął do wiadomości to, co najgorsze, i gotów jest stawić czoła rzeczywistości. Niełatwo jest przerazić kogoś, kto kilkakrotnie próbował odebrać sobie życie, pomyślał Nataniel Andres. Bo właściwie czego taki człowiek ma się bać?

\* \* \*

W południe zerwała się burza. Zmieszane z gradem strugi deszczu siekły niedawno rozkwitłe rośliny, podmuchy wiatru zrywały kielichy kwiatów i ciskały je zmięte we wzburzoną wodę kanału. Patrząc na to spustoszenie, Nataniel Andres po raz pierwszy od kilkunastu godzin poczuł przyływ optymizmu. Zgodnie ze Znakami wiosenne kwiaty miały zwiędnąć o zmroku, więc to, że wcześniej zniszczyła je burza, być może świadczyło o tym, iż aniołowie mimo wszystko bywają omylni.

Stał przy otwartym oknie, wdychając chłodne, świeże powietrze. Pomruki gromów odzywały się coraz rzadziej i były coraz cichsze, deszcz osłabł i wkrótce zmienił się w mżawkę.

Ktoś zadzwonił, Nataniel otworzył drzwi.

— Aelis właśnie się pakuje, a ja już jestem gotowy. — Meric Tyren wskazał torbę, którą dźwigał na ramieniu. — Pomyślałem, że poczekam tu na nią, a potem odprowadzisz nas na most. Mogę wejść?

— Nie. — Andres zatrzasnął mu drzwi przed nosem, po czym oparł się o ścianę i w myślach policzył do pięciu, karcąc złośliwego wewnętrznego chochlika, który czasem kazał mu robić takie właśnie rzeczy.

Potem znów otworzył.

Gość wciąż stał na progu. Łagodny i cierpliwy, ociekał wodą bez śladu wyrzutu na twarzy. Andres niespodziewanie poczuł się schwyty w pułapkę, w której przynętą był sympatyczny wygląd Merica, a zapadką... co było w tej pułapce zapadką? Niewątpliwie konieczność zajmowania się problemami wariata o skłonnościach samobójczych.

Ogarnęła go pokusa, by zamknąć drzwi raz jeszcze, tym razem na dobre.

— Wytrzymaj buty — powiedział zamiast tego. — Nie chcę, żebyś naniósł mi błota.

\* \* \*

— Bardzo ci zależy na tym, aby nas się pozbyć, prawda?

— Nie ciebie, Aelis.

Meric napił się piwa, po czym odstawił butelkę na rozchybotany stolik. Nie wyglądał na wielbiciela tego napoju i Andres podejrzewał, że jego gość wolałby raczej wino albo jakiś kolorowy, słodki drink, ale niczego takiego w domu nie miał.

— Dlaczego?

Opowiedział mu o porywanych dzieciach, które wracały pozbawione pamięci, a także o propozycji *caudhariego* Lala. Meric szczęśliwie powstrzymał się przed uwagami w stylu, że Aelis jest dorosła i powinna decydować sama za siebie. Andres czuł, że wbrew własnemu instynktowi zaczyna coraz bardziej lubić tego faceta.

— Nie sądzisz — zapytał Meric — że to może mieć coś wspól-

nego ze zniknięciem Joela? Bądź co bądź jedną z pierwszych naszych myśli, gdy zastanawialiśmy się, dlaczego anioł nie dołączył jeszcze do Rady, było właśnie to, że z jakiegoś powodu stracił pamięć.

— Pasuje, prawda? — Nataniel Andres uśmiechnął się lekko. — Zwłaszcza że pierwsze pozbawione pamięci dziecko odebrało sobie życie pod koniec miesiąca *nikadh*, a więc krótko po pożarze w Teatrze Rozrywki. Wystrzegałbym się jednak wyciągania pochopnych wniosków. Co może mieć wspólnego anioł z bezdomnymi ulicznikami? Trudno przecież uznać, że porywacz pomylił go z dzieckiem, prawda?

— A ta dziewczyna, która pojawia się na zdjęciach? Może ona chce przekazać ci coś, co ma związek z Joelem?

Uśmiech Andresa stał się szerszy i bardziej wyrozumiały.

— Pojawiła się na moim zdjęciu, jeszcze zanim w ogóle o Joelu usłyszałem, to po pierwsze. A po drugie, co ona mogłaby mieć wspólnego z aniołem? Tak, wiem — dodał, widząc, że Meric otwiera usta. — Skoro dziewczyna jest duchem, to od razu nasuwa się wniosek, że zginęła w pożarze Teatru Rozrywki. Też na to wpadłem. Ale to nieprawda. — Wstał, podszedł do szafki i wyjął z niej kolorowe czasopismo sprzed dwóch miesięcy. — Podają tu pełną listę ofiar, w większości nawet ze zdjęciami. Fotografii brak jedynie przy nazwisku pięćdziesięciosiedmioletniej siostry Remigiusa Sury'ego, a także przy nazwisku pewnego reportera, półkrwi fauna. Jak sądzisz, czy nasz duch wygląda bardziej na szacowną starszą panią, czy też na zielonoskórego dziennikarza?

Meric nie odpowiedział i Andres poczuł, jak znikają resztki jego dobrego humoru.

— Posłuchaj — kontynuował z narastającym gniewem w głosie — nie twierdę, że dziewczyna ze zdjęcia i te zaginione dzieciaki na pewno nie mają nic wspólnego z aniołem. Twierdę tylko, że znacznie bardziej prawdopodobne jest, iż znajdziecie Joela w Arlenie. I tyle. Nie wysyłam was tam po to, żeby Aelis znikła z oczu Jasbira Lala!

— Nic takiego nie powiedziałem.

Ale pomyślałeś, założę się, że pomyślałeś. Spojrzał ze złością



w spokojną, łagodną twarz siedzącego przed nim mężczyzny i z wysiłkiem opanował się.

— A jeśli Joela nie ma w Arlenie? — zapytał Meric.

Nataniel Andres pochylił się do przodu.

— Znajdę tego anioła, przysięgam na wszystkie świętości, że wyciągnę go za uszy choćby i z piekła, bo zaczyna mnie to wkurwiać. Nikt, nawet anioł, nie może zniknąć bez śladu.

Merik powiódł wzrokiem po suficie, a potem dopiero spojrzał na rozmówcę, któremu zaciśnięte mięśnie szczęk i zmrużone oczy nadawały niepokojący wygląd.

— Zdaje się — powiedział uprzejmie — że jeszcze niedawno miałeś zamiar opuścić miasto, jak tylko zaczną się pojawiać Znaki.

Andres skrzywił się i wzruszył bezradnie ramionami, ale z jego twarzy nie zniknął wyraz gniewnej zaciętości. Gdy zabrzmiał dzwonek przy drzwiach, mężczyzna wstał, najwyraźniej zadowolony, że nie musi odpowiadać.

\* \* \*

„ZATRZYMAJ SIĘ! JEŚLI URODZIŁEŚ SIĘ W TANAGRZE, ZOSTAŁY CI TYLKO 3 MINUTY ŻYCIA”.

Aelis poprawiła na ramieniu pasek turystycznej torby, potem przeczesła palcami włosy. Od rzeki ciągnął zimny wiatr, niebo pociemniało, jakby znów zanosiło się na deszcz. Na moście ruch odbywał się w dwie strony i po raz pierwszy wyjeżdżających z Getteim było znacznie więcej niż wjeżdżających. Drogą ciągnął sznur wozów konnych, a nawet samochodów. Aelis zastanawiała się, jak daleko zdołają dojechać. W Arlenie dobre drogi kończyły się kilka mil od granicy.

Trzy, dwa, jeden... Świetlisty ludzik skonał po raz kolejny i odliczanie zaczęło się od początku. Aelis patrzyła na tablicę jak zahipnotyzowana. JEŚLI URODZIŁEŚ SIĘ W TANAGRZE... Ona nie była Tanagryjką. Tę granicę mogła przekroczyć.

Nataniel Andres postawił na ziemi aparat fotograficzny, który zabrał z domu, uścisnął dziewczynę i szepnął jej coś do ucha. Potem skinął na Merica.

— Jeśli nie znajdziecie anioła w ciągu dwóch dni, wracajcie do Getteim — powiedział.

— Bo potem może już nie będzie do czego wracać? — zapytał młodszy mężczyzna z na wpół kpiącym, na wpół gorzkim uśmiechem.

Andres zacisnął dłonie w pięści. Ten facet momentami go wkurzał. Traktował śmierć... nie, nie z lekceważeniem, to nie to. Raczej ze zbytnią poufałością, jak dobrą przyjaciółkę.

— Nie sądzę, żeby wszystko potoczyło się tak szybko — odparł, z trudem uspokajając głos. — Zostało nam jeszcze trochę czasu. Ale gdyby... Cóż, wtedy raczej zostańcie w Arlenie. W Talico jest telefon i telegraf, więc będziemy mieć ze sobą kontakt. Mam nadzieję, że nie zrobicie niczego głupiego. Liczę zwłaszcza na ciebie. Bądź rozsądny za was oboje.

— Czemu mam wrażenie, że dokładnie to samo powiedziałeś Aelis?

Nataniel wyszczerzył zęby i podniósł aparat fotograficzny.

— Pewnie dlatego, że to zrobiłem. A teraz idźcie już. Ja pokręcę się po mieście i zrobię parę fotek, zanim znów zacznie lać.

\* \* \*

Wiatr wzmógł się, nadciągał teraz krótkimi, ostrymi podmuchami, które ciskały w twarz resztki kwiatów i krople porywane z kałuż. Przechodnie kulili się, stawiali kołnierze płaszczy i naciągali na głowy kaptury. Ktoś nawet otworzył parasol, lecz wiatr wyrwał mu go z ręki i czerwono-żółta czasza toczyła się chwilę ulicą, by w końcu utknąć pomiędzy kublami na śmieci. Szary kamień, z którego zbudowane zostały kamienice Getteim, nasiąkł wilgocią i pociemniał aż do czerni. Do zmroku brakowało jeszcze kilku godzin, ale już teraz Andres miał wrażenie, że na miasto padł gigantyczny cień.

Ustawił przesłone i podniósł aparat do oczu. Sfotografował odrapaną fasadę jakiegoś domu, potem sklepik z kawą i przyprawami, posąg Aimerica Tyrena na skrzyżowaniu ulic czterdziestej i pięćdziesiątej pierwszej, stos plastikowych kawiarnianych krzeseł pod

kolorową markizą oraz otaczającą ruiny Teatru Rozrywki drucianą siatkę, na której jak żagle wydymały się transparenty z napisem *Prace remontowe. Wstęp wzbroniony*.

— Zjaw się, duchu — mamrotał przy każdym zdjęciu. — Zjaw się i pokaż, czego ode mnie chcesz.

Starsza pani wyprowadzająca jazgotliwego kundelka spojrzała na niego zdumiona. Andres sfotografował panią, a potem dla pewności jeszcze kundelka.

— Masz tyle zdjęć do wyboru — szepnął, podczas gdy staruszka żegnała go wymruczanymi pod nosem przekleństwami. — Na którymś chyba będziesz?

Przyszło mu do głowy, że dziewczyna wygląda na subtelną zjawę i wolałaby może coś bardziej romantycznego, sfotografował więc jeszcze pusty targ kwiatowy, wejście do filharmonii oraz różowego neonowego króliczka na wystawie sklepu z damską bielizną.

Akurat gdy skończył się film, z pociemniałego nieba znów lunęło. Andres pospiesznie schował aparat w futerale i rozejrzał się, szukając schronienia. Wokół zapalało się coraz więcej neonów, ich kontury zacierały się rozmywane przez strugi deszczu, a kolory traciły ostrość. W kałużach odbijały się pulsujące plamy czerwieni, żółci, zieleni i błękitu.

Andresa nie skusił żaden bar, kawiarnia czy salon gier. Wszedł do małego kina, kupił bilet na przedostatni seans *Królewskiego klejnotu* i usiadł w sali, gdzie czuło się woń wilgotnych ubrań, kurzu oraz pomarańczy, których łupiny leżały na podłodze. Oprócz niego była tu jeszcze grupka chichoczących nastolatek, wielopokoleniowa rodzina gnomów, która w ostatnim rządzie urządziła sobie piknik, dzieląc się chlebem i marynowanymi jajkami, oraz kilka innych osób. Niedaleko Andresa siedziała starsza pani. Plecy miała sztywno wyprostowane, a trzymaną na kolanach torebkę ścisłała tak mocno, jakby bała się, że ktoś ją ukradnie. Czujna i napięta, wbijała wzrok w pusty jeszcze ekran. Na jej twarzy malował się ból zmieszany z zachłanną nadzieją. Było w tej kobiecie coś znajomego, ale nim Andres uświadomił sobie, co to takiego, światła zgasły i rozpoczął się seans.

Najpierw w krótkometrażowym filmiku pojawił się chomiczek

Darlino. Jak zawsze był złośliwy i jak zawsze został przykładowie ukarany – tym razem w zakończeniu spadł mu na głowę fortepian. Dzieciaki uwielbiały amoralnego egoistę Darlino, zaś psychologowie bili na alarm, uważając kreskówkę za pełną przemocy i pozbawioną wartości wychowawczych. Jakiś czas temu w Tanagrze toczyła się na ten temat dyskusja, której echa dotarły aż do Getteim. Nataniel Andres osobiście nie lubił chomiczka, ale czuł do niego coś w rodzaju szacunku. W każdym odcinku Darlino za karę był miażdżony różnymi ciężkimi przedmiotami, siekany, topiony i duszony, a raz nawet ugotowany żywcem, lecz mimo to ani trochę nie zmieniał się na lepsze. Wciąż pozostawał takim samym wrednym sukinsynem jak na początku. Było w tym coś heroicznego – coś, co z braku lepszego określenia Andres nazywał godnością zachowania własnej natury pomimo sprzeciwu reszty świata.

Na *Królewskim klejnocie* Nataniel Andres porządnie się wynudził. Wyszedłby z kina, gdyby nie scena, w której pojawiała się dziewczyna duch, a także uroda Indil. Z dużą przyjemnością patrzył na jej zgrabną figurę i piękną twarz. Musiał także przyznać, że elfka miała spore zdolności aktorskie. Na dobrą sprawę marnowała się w tym głupim, kiczowatym filmidle.

Seans dobiegł końca, znów zapłonęły światła. Na salę wszedł ociekający wodą sprzedawca łakoci i niezbyt entuzjastycznie zaczął je zachwalać. Dwie nastolatki kupiły po pomarańczy, a mały gnom wyprosił za pół ceny paczkę prażonych orzeszków. Wkrótce sala opustoszała, został w niej tylko Andres oraz starsza pani z torebką na kolanach, która siedziała w niezmienionej pozycji, wciąż sztywno wyprostowana i wpatrzona w ekran.

Nataniel Andres szedł w stronę wyjścia powoli, co chwila odwracając się z nadzieją, że wreszcie przypomni sobie, skąd zna tę kobietę. W drzwiach minął go mężczyzna w granatowym uniformie, który podszedł do starszej pani. Andres zatrzymał się, ciekaw ich rozmowy.

— Już zamykamy — powiedział pracownik kina. — Musi pani wyjść.

— Mam bilet na następny seans.

— Przykro mi, ale następny seans jest odwołany. Przez ten

deszcz mamy za mało widzów. W kasie zwrócą pani pieniądze.

— Mam bilet na następny seans — powtórzyła z rozpaczliwym uporem i to Andresowi wystarczyło. Zbiegł po schodkach, odtrącił faceta w uniformie i pochylił się nad kobietą.

— Muszę z panią porozmawiać. To bardzo ważne.

Była na tyle zdezorientowana, że bez oporów pozwoliła wyprowadzić się z sali. Dopiero przed kinem, gdy Nataniel wciskał jej w garść odzyskane w kasie pieniądze, zapytała niepewnie:

— Kim pan jest? Czego pan ode mnie chce?

— Widziałem pani córkę — odpowiedział, zanim zdążył sobie uświadomić, jaki błąd popełnia.

\* \* \*

Tuż za mostem stała stylizowana na arleńską gospoda „Pod migdałowcami”. Nimfy w skąpych strojach roznosiły tu dzbany przyprawionego korzeniami wina, żarówki udawały świece, a toalety z bieżącą wodą były zgrabnie ukryte za dekoracjami ze słomy i suszonych kwiatów. Obok znajdował się sklepik z pamiątkami, a jeszcze dalej stajnia oraz hangar z przeznaczonymi do wynajęcia powozami i samochodami terenowymi.

Aelis i Meric zdecydowali się na dwukonny powóz z rozkładaną budą. Samochody kosztowały więcej, a przede wszystkim zbyt szybko zwracały uwagę.

— Przy odrobinie szczęścia w Talico będziemy jeszcze przed północą — powiedziała dziewczyna, moszcząc się wygodnie na skórzanym siedzeniu. Powóz sunął gładko, bo w tym miejscu droga była jeszcze wyłożona asfaltem. — Znajdziemy nocleg, a jutro rano pójdziemy do Nicodemusa. Mam nadzieję, że powie nam, gdzie jest Joel.

Meric milczał, a Aelis nie czekała na odpowiedź. Odsunęła zasłonkę i wyjrzała przez okno. Wzdłuż drogi ciągnął się typowo wiejski krajobraz: pola słoneczników i ziemniaków, gdzieś tam drewniana chałupa lub niewielki zagajnik.

Powozem zatrzęsło, koła zaturkotały na kamieniach, a woźnica przerwał pogwizdywanie i zaklął.

Koniec asfaltowanej szosy, pomyślała Aelis. Witamy w Arlenie.

\* \* \*

— Proszę pani! Dobrze się pani czuje? Cholera, idiotyczne pytanie, jasne, że nie czuje się pani dobrze...

Opierała się całym ciężarem o Andresa, który podtrzymywał ją, chroniąc przed upadkiem. Twarz miała popielatoszarą, spod półprzymkniętych powiek połyskiwały białka oczu. Nataniel nie mógł posadzić starszej pani na mokrej ławce, chcąc nie chcąc powlókł ją więc w stronę najbliższej kawiarni. Odrobinę zdziwiony kelner pomógł zdjąć kobiecie płaszcz.

— Przepraszam. — Andres poklepał ją po ręce. — Już pani lepiej?

— Jeszcze trochę kręci mi się w głowie... Kiedy pan powiedział, że widział moją córkę...

— Wiem, jak to zabrzmiało, i raz jeszcze przepraszam.

— Po prostu przez chwilę myślałam... myślałam... — Zarumieniła się i wyprostowała, odzyskując siły. — A przecież mnie także Danisa pokazała się jako duch tuż po swojej śmierci, więc mogłam się domyślić. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan moje zachowanie. Nazywam się Enrietta Fermin.

— Nataniel Andres. — Uścisnął podaną mu dłoń, uświadamiając sobie jednocześnie, że kobieta wcale nie jest tak stara, jak mu się wydawało. Mogła mieć jakieś czterdzieści kilka lat, a więc niewiele więcej niż on. Postarzała ją niemodna fryzura, zbyt ostry i nierówno nałożony makijaż oraz wyleniałe boa z piór, którym otuliła ramiona. Prowincjonalna elegantka z pretensjami do minionej urody – tak oceniłby ją Andres, gdyby coś w jej zachowaniu nie świadczyło, że tak naprawdę nie czuje się dobrze ani w boa, ani w mocnym makijażu.

Zapanowała niezręczna cisza. Enrietta sięgnęła po torebkę, potem rozmyśliła się i odłożyła ją na krzesło. Skubnęła boa, potarła palcem kącik oka, rozmazując przy okazji tusz do rzęs. Jej żakiet z czarnej wełny wydzieliał delikatną woń kulek na mole. Oczy miała łagodne, pełne smutku.

— Czy mógłby mi pan podarować to zdjęcie, na którym jest Danisa? Nie potrzebuje go pan, prawda?

— Jeśli poda mi pani adres, prześlę je pocztą. — O drugiej fotografii, tej zrobionej na cmentarzu, nawet nie wspomniał. Tylko niepotrzebnie wystraszyłaby kobietę.

Przywołał kelnera i podczas gdy Enrietta notowała, zamówił dla siebie piwo, a dla towarzyszki kawę z podwójnym mlekiem.

— Proszę. — Wręczyła mu kartkę z adresem. Spojrzał przelotnie: Ludine, prowincjonalna dziura, jakieś siedemdziesiąt mil od Getteim. — Bardzo zależy mi na tym zdjęciu. Wszystko, co związane z Danisą, jest mi bardzo drogie.

Wybuchła niespodziewanym, urywanym szlochem, który zabrzmiał, jakby zaczęła się dławić. Andres pospiesznie podał jej zmiętą, niezbyt czystą chusteczkę.

— Proszę... Naprawdę... — wymamrotał, jednocześnie przejęty współczuciem, zażenowany i zły. Nie znosił takich sytuacji. KobiECE łyzy doprowadzały go do paniki, a ponadto para przy sąsiednim stoliku gapiła się na nich, wymieniając głupie uśmiešky.

— Macie jakiś problem? — warknął, a para odwróciła się grzecznie do swoich talerzyków z ciastkami.

— Dziękuję. Już mi lepiej. — Enrietta oddała chusteczkę. — Zachowuję się dzisiaj jak idiotka. Ale widzi pan, Danisa była moim jedynym dzieckiem. Wcześniej straciłam męża i na początku byliśmy ze sobą naprawdę blisko. To znaczy gdy Danisa była mała. Dobrze się rozumialiśmy i ufaliśmy sobie jak przyjaciółki. A potem... Potem Danisa zaczęła dorastać, a ja straciłam z nią kontakt. Nie mogłam sobie z nią poradzić. Była taka ładna, tak żywa i pełna temperamentu... Nudziło jej się w Ludine, koniecznie chciała wyjechać do Getteim i robić karierę w filmie. Zabroniłam jej, a ona na wiosnę, pół roku temu, uciekła z domu.

Każde zdanie Andres kwitował skinieniem głowy. To wydawało się oczywiste. Ładne córki kobiet noszących wyleniałe boa i ubrania, które pachniały kulkami na mole, zawsze uciekały z domu, by robić karierę w filmie. I zawsze pakowały się w kłopoty. Historia Danisy była banalna, lecz nie mniej przez to smutna.

— Ale nawet wtedy pozostała dobrym dzieckiem. — Enrietta

wojowniczo uniosła podbródek, gotowa do końca bronić córki. — Wysyłała listy, żebym się nie martwiła. Pisała w nich, że poznała pewnego reżysera, że on jest dla niej bardzo miły, zabiera ją na różne przyjęcia, kupuje suknie i widzi w niej materiał na gwiazdę...

Nataniel czuł coraz większą złość. Głupia, naiwna nastolatka. Gdyby był jej ojcem, stłukłby ją na kwaśne jabłko. Aby zająć czymś ręce, sięgnął po bibułkę i tytoń. Zwijanie papierosów zawsze go uspokajało.

— Potem listy przestały przychodzić i zamiast nich pojawiła się Danisa. Przyszła do mnie w środku nocy, a ja od razu zrozumiałam, że nie żyje. Nic nie mówiła, tylko siedziała na brzegu łóżka i uśmiechała się. Wyciągnęła rękę, jakby chciała mnie dotknąć albo... albo przytulić się ostatni raz, a ja, wybaczyć, Boże, krzyknęłam i ona znikła...

— Kiedy to było? — zapytał. Odrobinę zbyt ostro, bo kobieta spojrzała na niego zdezorientowana.

— Dwudziestego szóstego dnia miesiąca *nikadh*. Dzień po pożarze Teatru Rozrywki. Zbieg okoliczności?

— Proszę mówić dalej. — Spróbował uśmiechnąć się uspokajająco. Kiepsko mu to wyszło, lecz Enrietta podjęła przerwany wątek.

— Cóż... więc pojechałam do Getteim i pytałam o nią, pokazywałam zdjęcie, ale nie znalazłam nikogo, kto by ją znał. Widzi pan, ona w listach nigdy nie podawała adresu ani żadnych imion, nazwisk czy konkretnych miejsc. Myślę... — zawahała się, a potem dodała ciszej, spuszczaając głowę — że trochę się mnie wstydziła i bała się, że będę chciała ją odwiedzić. Nie wiedziałam, gdzie bywa wieczorami, kim są jej koleżanki i kim jest ten reżyser, który się nią opiekował. Pisała o nim czasem „mój staruszek” i na początku myślałam, że musi być sporo starszy od niej, ale potem przyszło mi do głowy, że dla siedemnastoletniej dziewczyny już czterdziestolatek byłby starszym panem. Tak czy inaczej, nie zdołałam go znaleźć, więc wróciłam do Ludine. A dwa dni temu dostałam list od pewnej nimfy, którą poznałam, szukając Danisy, i której dałam swój adres. Pisała mi, że widziała moją córkę w kinie, w filmie *Królewski klejnot*. U nas nie ma nawet kina, więc przyjechałam tutaj...

— Ma pani gdzie zatrzymać się na noc?



Skinęła głową.

— W takim razie proszę pozwolić, że panią odprowadzę.  
— Andres uznał, że niczego więcej się nie dowie. Enrietta wiedziała mniej niż on, a nie było sensu dzielić się z nią podejrzeniami co do roli, jaką Danisa mogła odegrać w zniknięciu anioła. Zwłaszcza że podejrzenia te były mętne i niepoparte żadnymi konkretnymi dowodami.

\* \* \*

Po powrocie do domu Andres zapalił stojącą na biurku lampkę, znalazł w szufladzie kartkę papieru i ogryzek ołówka, po czym popijając świeżo zaparzoną kawę, zaczął porządkować panujący w głowie chaos.

„Dwudziesty piąty dzień miesiąca *nikadh* – płonie Teatr Rozrywki. Z nieznaney przyczyny, choć wezwani eksperci podejrzewają celowe działanie. Brak śladów materiałów wybuchowych, brak też sensownych powodów podpalenia, chyba że uznać to za dzieło szaleńca lub złodzieja”.

Ale, pomyślał, obgryzając końcówkę ołówka, popiersie Aimerica Tyrena bez wątpienia dałoby się ukraść w prostszy sposób, nie zabijając przy tym niemal trzydziestu osób.

„Wśród zaproszonych gości jest Joel, który tam właśnie spotyka maga o imieniu Nicodemus. Obaj rozmawiają, a potem – według słów świadka Narses Mayo – wychodzą razem”.

Odsunął na chwilę kartkę i upił łyk kawy. Tknęła go pewna myśl. Mówiąc, że mag i anioł opuścili przyjęcie, rzeźbiarka miała w gruncie rzeczy na myśli to, że wyszli z głównej sali, a nie z teatru. Mogli udać się do jakiegokolwiek innego pomieszczenia, zaczynając od baru, a kończąc na męskiej toalecie. Albo – Andres skrzywił wargi w uśmiechu – mogli pójść do owej muzealnej salki, by ukraść rzeźbę.

„Znika popiersie Aimerica Tyrena”, zapisał, po czym spojrział na notatkę z powątpiewaniem. Prawdę powiedziawszy, ta akurat sprawa wydawała mu się dość idiotyczna. Kto miałby kraść coś takiego? I po co?

„Przepada gdzieś Joel, którego od czasu premiery *Szczęśliwego śpiewaka* nikt nie widział. Jego nieobecność nie budzi zdziwienia. Nie ma przyjaciół, którzy mogliby się o niego martwić, a ponadto wszyscy i tak są przyzwyczajeni, że anioł pojawia się w Getteim i znika bez zapowiedzi. A mag Nicodemus wyjeżdża pośpiesznie do Arlenu. Sam? Z towarzyszącym mu aniołem?”.

Odłożył tę kwestię do czasu powrotu Aelis i Merica.

„Na premierze być może jest także dziewczyna o imieniu Danisa. Osobnego zaproszenia raczej nie dostała, ale z listów do matki wiadomo, że obracała się w środowisku filmowców i ktoś mógł ją wprowadzić na przyjęcie jako »osobę towarzyszącą«. Uwaga na marginesie: jeśli tak właśnie się stało, to nie przyszła z nikim ważnym. Nie ma jej na zdjęciach z premiery, a gdyby zjawiła się w towarzystwie kogoś słynnego, z pewnością by ją sfotografowano. Kim jest ów »staruszek«, o którym pisała w listach? Prawdziwym, choć mało znanym reżyserem? Facetem, który podebrał dziewczynę, nabierając ją na niewyszukany bajer »kariery gwiazdy«? Mało prawdopodobne, by Danisa miała jakikolwiek konkretny dowód profesji swego przyjaciela.

Dziewczyna nie zginęła w pożarze, chyba że któreś zwłoki zostały źle zidentyfikowane i pochowano ją pod cudzym nazwiskiem. Co – dokładnie tak samo jak w przypadku Joela – jest mało prawdopodobne.

Niemniej Danisa umiera, i to mniej więcej w tym samym czasie, gdy płonie teatr. Jej duch przyszedł pożegnać się z matką”.

Przerwał, zastanawiając się, co właściwie wie o duchach. Był pewien, że te, które zdecydowały się pożegnać ze swoimi bliskimi, pojawiały im się w chwili śmierci lub krótko po niej. Nie zwlekały z tym i dlatego Andres uznał, że prawdopodobna data śmierci Danisy to dwudziesty piąty bądź dwudziesty szósty dzień miesiąca *nikadh*.

Co jeszcze wiedział o duchach? Podczas nielicznych lekcji religii, na które chodził, wbijano mu do głowy różnicę między duszą a duchem. Dusza po śmierci wędruje do kolejnego ciała; duch to tylko coś w rodzaju odbicia, które przez jakiś czas przebywa na ziemi, a potem rozplywa się i znika. Duchy nie są pełną osobowo-

ścią, trudno się z nimi porozumieć, bo większość potrafi tylko wykonywać jedną czynność – zazwyczaj tę, która z takich czy innych powodów jest dla nich najważniejsza.

Kolejne pytanie: dlaczego Danisa umarła? Z naturalnych przyczyn? Przecież była młoda i raczej silna, nawet jeśli w ostatnim okresie swego życia przebywała w niezbyt odpowiednim towarzystwie. Kilka miesięcy to trochę zbyt krótko, by w taki czy inny sposób doszczętnie zniszczyć sobie zdrowie. Pozostawała więc śmierć gwałtowna: wypadek, samobójstwo bądź morderstwo.

Spróbuję dowiedzieć się czegoś o losie Danisy, postanowił. Ostatecznie mieszkała tutaj przez kilka miesięcy i ktoś musiał ją znać. Coś także stało się z jej ciałem. Gdzie teraz jest i czy w ogóle jakiś lekarz wystawił akt zgonu?

Ogłoszenie w gazecie powinno pomóc, pomyślał. I trzeba by dołączyć zdjęcie, bo dziewczyna w związku z planowaną karierą aktorską mogła w Getteim używać innego, lepiej brzmiącego nazwiska.

„Danisa ukazała się swej matce – to zrozumiałe, że chciała się z nią pożegnać. Zrozumiałe też, że od czasu do czasu pojawia się na taśmie filmowej. Sporo duchów po śmierci stara się robić to, co robiło za życia. Albo to, co zawsze bardzo chciało robić, a Danisa gorąco pragnęła zostać aktorką.

Pozostaje kwestia dwóch moich zdjęć. Czemu się na nich znalazła? Czy stara się coś przekazać? Komu? Mnie? Czy to coś w związku z pożarem oraz Joelem? A jeśli tak, to jakim cudem pojawiła się na fotografii, ZANIM w ogóle zainteresowałem się tą sprawą?”.

Przerwał pisanie i zadrżał lekko. Węzeł. Odpowiedzią mógł być Węzeł. Na skrzyżowaniu ścieżek Snu przyszłość mieszała się z przeszłością i jeśli Danisa w chwili śmierci znalazła się w takim właśnie miejscu, to mogła w jakimś stopniu wiedzieć, że Andres zostanie wynajęty do poszukiwań anioła.

Nataniel Andres poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa przebiegają mu ciarki. Wśród większości Tanagryjczyków magia budziła lęk albo fascynację lub jedno i drugie zarazem, on natomiast traktował ją bez większych emocji. Bał się tylko Węzłów. W Węzłach zdarzały się

rzeczy zbyt dziwne i niepokojące, by przejść nad nimi do porządku dziennego.

„Wypływa z tego jeden wniosek: Danisa Fermin, która po śmierci pożegnała się z matką, zagrała w kilku filmach i pojawiła się na dwóch moich zdjęciach, jako duch jest zdumiewająco wręcz wszechstronna.

Pytanie: Czy Aelis, wchodząc w Sen, byłaby w stanie odnaleźć Danisę i się z nią porozumieć?”.

Nataniel Andres zawahał się, a potem jednym pociągnięciem ołówka dopisał:

„Dzieci”.

Kolejna sprawa, w której zdecydowanie więcej było pytań niż odpowiedzi i której związek z zaginięciem anioła wydawał się mocno wątpliwy. Punktem wspólnym mogła być ewentualnie data – pierwsze dziecko zginęło kilka dni po pożarze Teatru Rozrywki. Zbieg okoliczności czy coś więcej? Pozostawała jeszcze kwestia pamięci. Dzieciom odbierano pamięć, annezja zaś mogła być najprostszym wyjaśnieniem zniknięcia anioła. Przez chwilę Nataniel rozważał koncepcję, którą niedawno wyśmiał. Czy Joel został porwany i po wymazaniu pamięci, tak jak dzieci, odebrał sobie życie?

Był to jakiś pomysł, choć mało prawdopodobny. Joel nie pasował do schematu: nie wyglądał nawet na nastolatka, a ponadto, w przeciwieństwie do dzieci, z pewnością nie był łatwą ofiarą. Porywaczowi zależało chyba właśnie na łatwych ofiarach. Dzieciaki różniły się wiekiem, płcią, typem urody. Łączyło je tylko jedno – były bezdomne, pozbawione opieki kogoś dorosłego i mądrzejszego.

„Po co komu te dzieci?” – zapisał. „Czy wymazanie pamięci jest celem samym w sobie, jakimś rodzajem eksperymentu, czy też ktoś robi im to z konieczności, żeby zapomniały o czymś ważnym? Jeśli to pierwsze, to dlaczego porywacz wypuszcza je na wolność – przedmiot eksperymentu powinno się przecież trzymać w zamknięciu i obserwować? Jeśli zaś to drugie, to o czym dzieci mają zapomnieć?”

Ciekawa teoria: czy pozbawienie pamięci nie jest aby czymś w rodzaju aktu litości, bo dzieciaki przeżyły coś potwornego, co na

zawsze zrujnowałoby ich psychikę? Co to mogłoby być? I co znaczy: »Czasem przeplatam księżyc samotnością«, jedyne słowa, które pamiętał ów chłopak w szpitalu?».

Przyszło mu do głowy, że rzeczywiście może to być fragment jakiegoś wiersza, i postanowił spytać kogoś, kto zna się na poezji.

Wypił ostatni łyk wystygłej kawy. Pamiętał, że na ciałach dzieci nie było śladu tortur czy gwałtu, i uznał, że pod pewnymi względami jest to bardziej niepokojące, niż gdyby takie ślady znaleziono. Wtedy przynajmniej wiadomo byłoby, po co dzieci są porywane. Psychiatrzy podobno rozumieli, jaki rodzaj umysłowej aberracji zmusza dorosłego człowieka, by kaleczył i wykorzystywał nieletnich. A jaką psychikę miał ten porywacz? Czy ktoś potrafiłby ją zrozumieć?

I ostatnia kwestia: wszystkie dzieci zginęły z własnej ręki. Dlatego, że przypomniały sobie coś straszego, z czym nie mogły żyć? Andres słabo znał się na psychologii, lecz nawet on zdawał sobie sprawę, że różne osoby różnie reagują na silny stres. Z traumatycznymi wspomnieniami niektórzy żyją kilkadziesiąt lat. A dzieciaki nie tylko wszystkie bez wyjątku popełniły samobójstwo, ale w dodatku sporo wskazywało na to, że zrobiły to najdalej w ciągu kilku dni od wymazania pamięci.

Nataniel Andres podszedł do okna. Oparł czoło o szybę i stał tak z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi w pięści dłońmi.

Danisa, Jovian, Orianna, poznany w szpitalu chłopak, a także dziewczynka, którą widział tylko na zdjęciu i której imienia nie znał – wszyscy nie żyli, a on zapisał to, co o nich wiedział. Małym, tępym ołówkiem na wyrwanej z zeszytu kartce w linie. Czuł przygniatający ciężar smutku. Niedługo miał skończyć czterdzieści dwa lata i kryzys wieku średniego czyhał na niego tuż za rogiem, szczerząc zęby. Fizycznie był w doskonałej formie, lecz coraz częściej dopadała go świadomość, że nie jest nieśmiertelny, że starzeje się z każdym dniem, a gdy odejdzie, nic po sobie nie pozostawi. Chwilami miał wszystkiego dość. Za dużo widział paskudnych rzeczy i czasem bał się, że wspomnienia wciąż będą go prześladować, a czasem, że w końcu przestanie się nimi przejmować. Nie wiedział, co go bardziej przeraża.

Znów zaczynało padać; lekka, obrzydliwa mżawka, jakby niebios nie stać było nawet na porządną burzę. Okno w kuchni pewnie zacznie przeciekać, jak zawsze, gdy zaczynała się jesień. W radiu żadnego ciekawego programu – dzisiaj nadawano tylko nudną arleńską muzykę. I znów zabrakło ciepłej wody, więc będzie musiał się wykąpać w zimnej.

Był samotny i czuł się podle. Aelis, do której zawsze dzwonił w takiej sytuacji, oddalała się od niego z każdą minutą. Na tę myśl zrobiło mu się jeszcze gorzej.

Spojrzał na stojący na szafce telefon. Właściwie dlaczego nie? Co miał do stracenia?

Wykręcił numer i usiadł na podłodze, opierając się plecami o ścianę. Słuchawkę wcisnął między ucho a uniesione ramię. Czekał długo, licząc kolejne sygnały. Spodziewał się, że nikt nie odbierze, a nawet jeśli...

— *Rezydencja Indil, słucham.*

... to z pewnością otrzyma odpowiedź, że nie ma jej w domu albo prosto z mostu, że nie podejdzie do telefonu...

— Nataniel Andres, czy mógłbym porozmawiać z panną Indil?

... a on z czystym sumieniem wyjmie z barku ostatnią, bardzo samotną butelkę rumu i w jej towarzystwie poużala się nad sobą. To będzie odpowiednie zakończenie...

— *Oczywiście. Proszę chwilę poczekać.*

Wybuch paniki w jednej chwili zniszczył smętną rezygnację Andresa. Rzucił słuchawkę na widełki i wbił w nią wzrok, jakby miał przed sobą jadowitego węża.

Telefon zadzwonił. Raz, a potem drugi.

Odebrał.

— *Chciał pan ze mną rozmawiać?*

— Owszem, ale nie miałem zamiaru niepokoić pani o tak późnej porze.

— *I dlatego odłożył pan słuchawkę?* — Nie wiedział, czy w głosie Indil przeważa rozbawienie, czy irytacja.

— Owszem. To cały ja. Wrażliwy i dobrze wychowany.

— *A więc, panie drażliwy, czego pan sobie życzy?*

— Zapytać o pewną dziewczynę, która już nie żyje, a która

mimo to pojawiła się w pani ostatnim filmie. Danisa Fermin. Wie pani coś o niej?

— *Dzwoni pan do mnie o takiej porze po to, by pytać o dziewczynę?* — Tym razem był pewien, że słyszy zdecydowanie więcej rozbawienia. — *Czuję się urażona, ale jeśli szybko ułagodzi mnie pan jakimś komplementem, może się zgodzę.*

Andres milczał. Bolały go palce, w których trzymał słuchawkę, więc przełożył ją do drugiej ręki.

— *Halo, jest tam pan?*

— Tak, owszem. Proszę posłuchać: jestem zmęczony, mam fatalny humor i nie bawią mnie takie gierki. Pomoże mi pani?

Zacisnął powieki i czekał. Spodziewał się jakiegoś złośliwego komentarza, może nawet wybuchu gniewu. Wizja stojącej w barku butelki stawała się coraz bardziej wyrazista.

— *Dobrze* — z głosu elfki znikła kpiąco-prowokująca nutka, był teraz zimniejszy i bardziej oficjalny, choć Andres miał wrażenie, że wciąż wyczuwa w nim odrobinę rozbawienia. — *Ale nie mam ochoty o tym mówić przez telefon. Jutro o jedenastej, pasuje panu? I proszę się nie spóźnić. Manikiurzystę mogę posłać do diabła, ale potem mam spotkanie, na którym mi zależy.*

— Nie spóźnię się. Do widzenia.

— *Do jutra.*

Odłożył słuchawkę. Czuł się zupełnie wykończony, jakby ktoś przeciągnął go przez wyżymaczkę, wyciskając wszystkie emocje. Nawet nie potrafił się cieszyć jutrzejszym spotkaniem, tak jak powinien.

\* \* \*

— Nie możesz spać? Ja też nie... Meric? Meric?!

Skurczona postać na ostatnim schodku oberży wyprostowała się, światło księżyca padło na jej twarz. Aelis odetchnęła z ulgą.

— Dobrze się czujesz? — zapytała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

— Tak... — odparł z roztargnieniem. Rysy miał napięte, czujne.

— Tam coś jest — powiedział. — W ciemności.

Usiadła obok niego na schodku.

— Co takiego?

— Nie wiem, coś słyszałem.

— Może jakieś zwierzę...

— Może — odparł tym samym obojętnym głosem.

Wciąż coś ją niepokoiło w jego sylwetce, w sposobie, w jaki siedział, wpatrując się w ciemność. Był skoncentrowany tylko na niej, niczym dziecko zahipnotyzowane widokiem linijki, która lada moment spadnie na jego otwarte dłonie.

Mroczna, gęsta cisza otaczała ją coraz szczelniej, dławiała myśli i oddech. Aelis siedziała obok Merica, ale nie potrafiła się przemóc, by go dotknąć. Przez krótką, straszną chwilę miała wrażenie, że ciało mężczyzny zrobione jest z kruchego szkła i że jeśli teraz krzyknie, on rozpadnie się na kawałki. Krzyk narastał w gardle, dusił.

— Na pewno wszystko w porządku?

Natychmiast przeklęła samą siebie, lecz Meric na nią spojrział, dziwaczne wrażenie przyszło i świat wokół wrócił do normalności.

— Boisz się, że coś sobie zrobię?

Skuliła się jak mała dziewczynka przyłapaną na dziecięcej zbrodni.

— Trochę — przyznała cicho. — I przepraszam, nie powinnam wciąż cię o to pytać, pewnie cię to irytuje, przepraszam, ale ja po prostu nie wiedziałam... — zająknęła się, urwała, świadoma, że zamiast zaoferować pomoc, sama ustawia się na pozycji kogoś, kogo trzeba uspokoić i pocieszyć. Czuła narastającą niechęć do samej siebie. Skończyła psychologię, ale wiedzy nie potrafiła przełożyć z teorii na praktykę. Bała się o życie Merica i bała się też swojej reakcji, tego, że gdy trzeba będzie mu pomóc, stchórzy albo wpadnie w panikę.

— Wszystko będzie dobrze. — Przytulił ją opiekuńczo.

Wszystko będzie dobrze, powtórzyła w myślach. Dla niej, niekoniecznie dla niego.

— Dlaczego próbowałeś się zabić?

— Nie śmierć mnie przeraża, lecz życie — odparł. — Przynajmniej czasami. Chciałbym naprawić błąd, jakim były moje naro-



dziny. Cofnąć czas, zniknąć, jakby nigdy mnie nie było. Nie tyle umrzeć, ile po prostu rozplynać się w niebycie. Rozumiesz? To byłoby najlepsze. Nie chcę, żeby ktokolwiek cierpiał po mojej śmierci.

Dziewczyna zeszywniała.

— Nie chcę nikomu sprawiać kłopotu — ciągnął odrobinę mniej pewnie.

— Jakiś ty wrażliwy! — Wyrwała się z jego objęć. — Jaki troskliwy, dbający o uczucia innych! Rozumiem, że jeśli zechcesz zabić się w moim domu, zadbasz, abym nie miała za dużo sprzątanina? Niech cię szlag, Meric, czasem mam nadzieję, że w końcu ci się uda...

— Aelis! — krzyknął, ale ona zniknęła już w drzwiach. Po chwili dobiegł go cichnący szloch.

Wstał, gotów za nią pójść.

Ciemność naprzeciw niego poruszyła się, ciszę zmaćcił dźwięk, który słyszał już wcześniej. Meric wstrzymał oddech, czując, jak serce zamiera mu w piersi. Tym razem zrozumiał, co właściwie słyszy.

Łopot ogromnych skrzydeł.

## Dzień ósmy

*A teraz uważaj, pacanie. To jest rewolwer, którym za chwilę odstrzelę twój durny łeb. Na kolbie ma wypisane zakłęcia, dzięki którym ręka mi nie zadrży i będę twardy jak skała. A tutaj, na spuście, jest zakłęcie, dzięki któremu mechanizm nigdy się nie zatnie. Chciałbyś, żeby się zaciął, co? Nic z tego. A tutaj, dokładnie w środku lufy, jest zakłęcie, dzięki któremu pocisk poleci prosto do celu! Możesz je zobaczyć, jeśli przyłożysz tu oko, o, właśnie tak... aaaaaaaaaaaa!!!*

Chomiczek Darlino w filmie  
*Darlino idzie do wojska*

Rano Nataniel zamieścił kolejne ogłoszenie w gazecie, a później oddał film do wywołania, zczekał i po godzinie odebrał zdjęcia. Zapłacił dwa razy więcej, niż wynosiła normalna stawka, ale uznał, że warto. A przynajmniej możliwe że będzie warto, bo jeszcze na zdjęcia nie spojrział. Odwlekał ten moment z nadzieją i lękiem jednocześnie.

Po wyjściu z zakładu fotograficznego skręcił w stronę biura. Dawno tam nie był i postanowił zajrzeć.

Od razu zorientował się, że ktoś majstrował przy zamku. Wokół widać było rysy, klucz z trudem dało się przekręcić.

Wewnątrz zastał wybebeszone szuflady i porozrzucane na podłodze otwarte teczki. Wszędzie walały się dokumenty oraz notatki. W pierwszym odruchu Nataniel sprawdził, czy broń, którą rzadko nosił ze sobą, nadal znajduje się w szufladzie. Była tam, więc odechnął z ulgą. Pozbierał papiery i położył je na biurku, nawet nie

próbując uporządkować. Pochodziły sprzed kilku lat, z czasów, gdy jeszcze chciało mu się prowadzić porządną kartotekę. Kimkolwiek był tajemniczy włamywacz, z pewnością szukał czegoś innego. I nie znalazł, bo w biurze Andresa nic ciekawego nie było.

Otworzył okno, odetchnął świeżym powietrzem, a potem odwrócił się, wyjął z kieszeni zdjęcia i rzucił je na stertę piętrzących się na biurku papierów.

Sklepek z kawą i przyprawami, przystanek autobusowy, zamknięte drzwi nieczynnego baru, posąg Aimerica Tyrena... Mężczyzna przerzucał fotografie coraz szybciej, coraz niecierpliwiej.

Za plecami usłyszał skrzypnięcie schodów przeciwpożarowych.

Słup z afiszami teatralnymi, ruiny Teatru Rozrywki, pani z pieskiem na spacerze...

Zaczekał jeszcze chwilę, nasłuchując dobiegającego zza okna odgłosu ostrożnych kroków.

Pusty targ kwiatowy, wejście do Filharmonii...

Odwrócił się gwałtownym ruchem. Wyciągnięte ręce trafiły na gardło chłopca, który właśnie wyprostował się, by zajrzeć przez okno.

— Puść... — wychrypiał schwytny.

— Ilias — sapnął Andres, rozpoznając mieszkającego piętro wyżej dwunastolatka. — Co tu robisz? Dlaczego się skradasz? Do diabła, mogłem ci zrobić krzywdę!

Ilias usiadł na parapecie. Rozcierał obolałą szyję, rozglądając się jednocześnie dokoła.

— Usłyszałem, że ktoś tu jest, ale nie wiedziałem, że to pan. Wołałem być ostrożny, na wszelki wypadek, gdyby to wrócili tamci — zaakcentował ostatnie słowo.

— Tamci?

— Byli tu wczoraj wieczorem. Słyszałem, jak zrzucają na ziemię różne rzeczy i przeklinają. Szukali czegoś, prawda? — Ciekawski wzrok chłopca raz jeszcze omiótł wnętrze biura. — Znaleźli?

— Raczej nie. Powiedz mi, Ilias, widziałeś ich? I kiedy dokładnie tu byli?

— Jakoś tak koło jedenastej. Zajrzałem przez okno, ale oni latarkami świecili i niewiele widziałem. Było ich dwóch, jeden trochę

niższy, a drugi wyższy. Raczej chudzi. Twarzy nie widziałem, bo mieli takie szerokie kaptury na głowach. Chciałem pobiec do pana i powiedzieć, co się dzieje, ale mama powiedziała, że o tej porze nigdzie mnie nie puści... Gniewa się pan?

— Nie gniewam. — Andres czuł się odrobinę rozczarowany, że chłopak nie zauważył nic więcej, ale nie dał tego po sobie poznać. Lubił Iliasa, dzieciak był bystry i miał dobrą pamięć. Może sobie jeszcze coś przypomni. — A twoja mama ma rację. Nie powinienes wieczorem pałętać się po mieście. Zmykaj do domu.

— Opowie pan jakiś dowcip?

— Zmykaj.

— Tylko jeden, proszę...

— Nie teraz. Dostaniesz dychę, jeśli pójdziesz do siebie i będziesz przez resztę dnia słuchał mamy.

Ilias wykrzywił się, demonstrując, jak bardzo jest urażony, ale pieniążek przyjął. Zeskoczył z parapetu i już ze schodów wrzasnął:

— Za dychę mogę jej słuchać tylko do wieczora, dłużej się nie opłaca!

Andres uśmiechnął się, zamknął okno i wrócił do przeglądania zdjęć. Zostały mu jeszcze trzy.

Na żadnym nie było ciemnowłosej, ślicznej i martwej dziewczyny, która za życia nosiła imię Danisa.

\* \* \*

— Jesteś z Tanagry?

— Już pan o to pytał — burknęła Celia, nabierając na widelec porcję zapiekanki. Zaraz potem przypomniała sobie, że przecież powinna być miła i grzeczna, więc posłała elfowi fałszywy uśmiech, po czym dodała — tak, proszę pana, z Tanagry.

Elf wyciągnął rękę ponad stolikiem i pieszczotliwie dotknął brudnego dziecięcego policzka. Celia udała, że sprawia jej to przyjemność, choć tak naprawdę interesowała się tylko zapiekanką. Czekająca cierpliwie, a gdy elf cofnął dłoń, wpakowała do ust kolejny kęs. Żołądek już zaczynał ją boleć, ale na widok mięsa wciąż ślina napływała jej do ust. Od dawna nic nie jadła i niepohamowany

impuls nakazywał nie marnować okazji.

Elf obserwował ją spod na wpół przymkniętych powiek, uśmiechając się lekko. Ona z kolei patrzyła na elfa.

Trochę cudaczny z tymi swoimi szpiczastymi uszami i dziwnymi ustami, ale w sumie miły, uznała. Chyba miły, poprawiła się, bo jednak coś budziło jej niepokój. Te jego wielkie oczy i płynne, zręczne ruchy... Musi być szybki, niech go szlag. Nie będzie łatwo.

Miała jedenaście lat i uważała, że jest sprytna. Żebrała, nabierając dorosłych na łzawe historyjki, a jej drobne, zręczne palce bez trudu potrafiły wślizgnąć się do każdej kieszeni. Dorośli to idioci, myślała czasem z pogardą, wystarczy pogadać trochę jak niedorozwinięty dzieciak, a już głupieją ze szczętem.

A ten elf musiał być wyjątkowym naiwniakiem. Kupił jej obiad, najdroższy w całej karcie, bo przejrzała wszystkie ceny, zanim coś wybrała. Pewnie jest głupi jak but, powtarzała w myślach, by zagłuszyć głos instynktu, który wrzeszczał na alarm. Darł się tym mocniej, im dłużej patrzyła na elfa. Nienaturalnie duże oczy, ruchy rąk tak szybkie, że łatwo było wyobrazić sobie jego dłonie rozmazujące się w długą białą smugę. Jak w kreskówce...

Poczuła uderzenie strachu, które cofnęło ją do czasów, gdy nie była jeszcze sprytna, tylko bardzo mała i bardzo bezradna. Oglądała wtedy w kinie filmiki o Człowieku Bez Cienia, który miał oczy wielkości spodeczków do filiżanek, a kiedy rozmawiał telepatycznie ze Złym Doktorem, w jego źrenicach pojawiały się pulsujące spiralne koła. Na ten widok Celi zawsze robiło się trochę niedobrze. Człowiek Bez Cienia potrafił wspinać się po ścianach jak pająk i zawsze, ale to zawsze stał za plecami dzielnego kapitana Fabiusa, gdy ten myślał, że Człowiek jest zupełnie gdzie indziej. Był groźny i zły, lecz przecież nieprawdziwy, a Celia miała już jedenaście lat i nie bała się bajek.

Odetchnęła, starając się rozluźnić napięte mięśnie. Udało jej się opanować strach, gotowa była nawet śmiać się z własnego przerażenia.

Elf przywołał kelnera i wyciągnął portfel. Dziewczynka z trudem zmusiła się, by nie patrzeć na gruby zwitek banknotów, by wbić wzrok w twarz elfa i wciąż uśmiechać się słodko. Ostrzegaw-

czy głos w jej wnętrzu ucichł. Czowała, że ręce zaczynają jej się lekko pocić, a serce zamiera z podniecenia.

— Może masz ochotę jeszcze na lody?

Skinęła głową, myśląc nie o lodach, które bardzo lubiła, ale o tym, że za chwilę będzie miała okazję znaleźć się blisko elfa, tak blisko, by sięgnąć mu do kieszeni...

Wyszli na ulicę, elf wraz z dziewczynką, która kroczyła u jego boku ufnie, zastanawiając się, gdzie schowa ukradzione pieniądze, tak aby nikt ich nie znalazł.

\* \* \*

Nim dotarł do rezydencji Indil, samopoczucie Andresa zdążyło przejść od stanu szczeniackiego zdenerwowania w stan równie szczeniackiej brawury, a potem z powrotem w zdenerwowanie. Stojąc przed drzwiami, przyłapał się na tym, że odruchowo zaciska i otwiera pięści. Narastała w nim złość, trochę na samego siebie, a trochę na Indil, ponieważ władza zawsze budziła u niego odruch buntu, a elfka niewątpliwie miała nad ludźmi władzę, jaką dawały jej pieniądze, sława i uroda.

Cicha srebrno-złota pokojówka poprowadziła go cichymi srebrno-złotymi pokojami i korytarzami. Czuł się nie na miejscu w tym domu, niezgrabny, mało subtelny i źle ubrany.

Indil czekała na niego w sali projekcyjnej. Tym razem miała na sobie nie suknię, lecz tanagryjskie spodnie i prostą bluzkę. Wyglądała równie ładnie jak poprzednio, lecz o wiele naturalniej.

— Proszę usiąść obok mnie. Nie mamy wiele czasu, więc najlepiej będzie, jeśli od razu przejdziemy do rzeczy.

Zachowywała się przyjaźnie, ale z dystansem. Żadnych żarciók, uśmiechów, prób flirtowania. Nataniel poczuł się odrobinę rozczarowany, choć taka właśnie Indil bardziej mu się podobała. Nie miał wątpliwości, że aktorka dzisiaj także nosi maskę, lecz tym razem była to chyba maska zbliżona wyglądem do jej prawdziwej twarzy.

Na dany przez Indil znak zgasło światło i Andres zobaczył na ekranie fragment *Królewskiego klejnotu*, w którym Danisa Fermin

wysiada na przystani i wspina się schodami. Potem scena przeszła w inną, z innego filmu – na ile Andres mógł się zorientować, była to komedia muzyczna. Tym razem Danisa stała w tłumie na ulicy, obserwując przechodzącą orkiestrę. Danisa mijająca w drzwiach hotelu główną bohaterkę, Danisa w salonie piękności, na przyjęciu weselnym i wśród widzów oglądających pojedynki. Zawsze w tej samej białej sukience, zawsze w tle, ale wyraźnie widoczna, jeśli ktoś wiedział, kogo szukać. We wszystkich scenach miała identyczną, dość obojętną minę. Nawet nie próbowała grać; widocznie sama obecność na ekranie w zupełności jej wystarczała.

— Trzyście filmów w ciągu dwóch miesięcy — powiedziała Indil, gdy na powrót zapaliły się światła. — Nieźle, prawda? Różne filmy, produkowane przez różne studia. Dziewczyna nie jest wybredna. Jest także sprytna, bo nigdy nie robi nic takiego, że trzeba by ją wyciąć. Zdobyła sobie już popularność wśród techników, którzy robią zakłady, gdzie się znów pokaże. Tylko patrzeć, jak widzowie zaczną chodzić do kina, by ją oglądać. Może powinniśmy reklamować nasze miasto hasłem: *Przyjeźdź do Getteim, tu nawet po śmierci zrobisz karierę?*

— To nie jest zabawne — zwrócił jej uwagę Andres, który wciąż miał w pamięci spotkanie z matką Danisy.

— Nie jest — przyznała Indil i nawet wyglądała na odrobinę skruszoną. — Mam także inne informacje. Kilka miesięcy temu, mniej więcej na początku lata, Danisa Fermin, posługująca się tym właśnie nazwiskiem, była na parunastu przesłuchaniach. Oczywiście zostawiła adres i telefon kontaktowy, ale obawiam się, że żadnej roli nie dostała.

— A adres? — zapytał niecierpliwie Nataniel.

— Tu ma pan zapisany. To dość ponura kamienica w Kwartale Południowym. Danisa mieszkała tam z niejaką Millicą Este, podobno modelką i licencjonowaną masażystką. Niestety, panna Este wyprowadziła się jakieś trzy tygodnie temu i nie mam pojęcia, gdzie teraz jest. Szukanie jej to już pańska działka.

— Skąd pani to wszystko wie?

— Mam sporo znajomości i jeszcze więcej pieniędzy, żeby zapłacić odpowiednim osobom, które dla mnie będą pracować

nawet w nocy.

— Ale... dlaczego? — wyrwało mu się ze zdziwieniem.

Uniosła lekko brwi.

— Może dlatego, że jestem bardzo podstępna i zamierzam wykorzystać to do swoich celów. A może zwyczajnie dlatego, że mam możliwości, niedostępne dla większości osób, i czasem, oczywiście w przerwach, gdy nie jestem zimną suką, staram się być miłą.

Andres poczuł, że się rumieni.

— Proszę o wybaczenie... — wymamrotał.

Przyjęła przeprosiny skinieniem głowy.

— Chodźmy do salonu. Mamy jeszcze trochę czasu, a w zamian za przysługę jest mi pan winien parę wyjaśnień.

\* \* \*

Talico było zapyziałym miasteczkiem, do którego niechętnie wkraczały zmiany. Docierały tu drukowane w Getteim książki i czasopisma, paru mieszkańców miało rowery, a burmistrz nawet samochód terenowy, niestety, od dawna już zepsuty, w karczmie zaś stała zasilana gazem lodówka, lecz poza tym miasteczko wyglądało niemal dokładnie tak samo jak przed stu pięćdziesięciu laty, gdy je zbudowano.

Niemal, bo oczywiście był jeszcze telefon oraz telegraf, z którego powodu Aelis tkwiła w dusznym i ciasnym wnętrzu poczty, cierpliwie czekając, aż stojący przed nią Arleńczycy przekażą swoje wiadomości. Kolejka nie była długa, ale chwilowo ruch zatamował zgarbiony staruszek, który wysypał na ladę stosik drobnych monet i wraz z urzędniczką próbował przeliczyć je na liczbę słów.

— Piętnaście, mówicie? To napiszcie, że matka ma się dobrze, noga już jej nie dokucza. I ciotka Gerte też ma się dobrze. Wiosną znowu chce za męża iść. Napiszcie, żeby na wesele zjechali.

Zapach trocin leżących na podłodze mieszał się z wonią kurzu i jeszcze czegoś, co Aelis zidentyfikowała jako mokrą psią sierść. Dziwne, bo nigdzie w pobliżu nie widziała psa. Kichnęła i sięgnęła po chusteczkę. Spod włosów spłynęła jej na kark strużka potu.



— I napiszcie, że Risa się ożrebiła...

— To będzie więcej niż piętnaście słów — poinformowała urzędniczka obojętnym tonem.

Staruszek wymamrotał coś niewyraźnie i zaczął drżącymi palcami przesuwac drobniaki, jakby spodziewał się, że od ostatniego liczenia ich liczba cudownie wzrosła.

Aelis zerknęła na jedyny w Talico telefon, chwilowo opatrzony napisem nieczynny, a potem z nudów przeczytała treść wiszącego na ścianie plakatu: „Przyjdź na nasze nabożeństwo. Aniołowie miłują wszystkich, także Ciebie. Wspólny śpiew i modlitwa ukoją Twoją duszę”.

Poniżej drobną czcionką dopisano: „Dobrowolne datki na sieroty, wdowy oraz innych potrzebujących składać można w kancelarii w godzinach od dziewiątej rano do drugiej po południu”. Litery były nierówne, zbyt ciasno stłoczone. Aelis przyjrzała im się bliżej i po chwili zrozumiała, że plakat został wymalowany czarnym tuszem, tak aby pismo naśladowało druk.

Staruszek wreszcie podyktował wiadomość i kolejka ruszyła do przodu. Aelis nie zdążyła nawet odetchnąć z ulgą, gdy poczuła na karku nieprzyjemne mrowienie. Ktoś się na nią gapił.

Odwróciła głowę i natychmiast tego pożałowała. Tuż przy drzwiach stał mniej więcej dziesięcioletni chłopiec. Bosy i obdarty, w rękę trzymał przenośne radyjko, z którego wydobywała się seria cichych trzasków. Patrzył na Aelis z ciekawością, ale także odrobiną lekceważenia. Był w wieku, gdy każda dziewczynka, nawet starsza i najwyraźniej pochodząca z innego, lepszego świata, wydaje się... cóż, tylko dziewczynką.

— Cześć — powiedział.

Aelis wbiła wzrok w plecy stojącego przed nim mężczyzny. Nie miała zamiaru odpowiadać.

— Mówisz po naszymu?

Udała, że szuka czegoś w plecaczku i nic poza tym jej nie obchodzi. Fala gorącego jak topiony ołów zażenowania rozlała jej się na policzkach ciemnym rumieńcem.

— Jesteś z Getteim, prawda? Raz byłem w Getteim — pochwalił się chłopiec. — Tato kupił mi tam radio, o, widzisz. Ale teraz nie

działa... — Zademonstrował, jak bardzo nie działa, przekręcając gałkę i wydobywając z aparatu kolejną serię trzasków, tym razem znacznie głośniejszych. — Przyleciałaś tą latającą maszyną, co? Jak ci na imię?

Spadaj, smarkaczu, warknęła w myślach Aelis. Mam dwadzieścia trzy lata i dyplom uniwersytecki. Spadaj, proszę cię. Spieprzaj.

— Hej, mówię do ciebie! Nie rozumiesz? Ja jestem Dalen, a ty? — Podszedł tak blisko, że ignorowanie go sprawiało wrażenie nie tyle roztargnienia, ile po prostu nieuprzejmości. Prawdę powiedziawszy, wyglądało to nieuprzejmie i zarazem idiotycznie.

Za plecami usłyszała wzbierającą falę chichotów. Arleńczycy śmiali się z dwojga dzieci: chłopca, który niezdarnie próbował nawiązać znajomość, i zadzierającej nos dziewczynki. Dziewczynki! Boże, jak ona nie znosiła takich sytuacji.

Miejsce przy okienku zwolniło się i zaczerwieniona po czubki uszu Aelis podyktowała urzędniczce depezę do Andresa. Tylko jedno proste zdanie: „Jesteśmy na miejscu, czekaj na dalsze wiadomości”. Wcześniej miała zamiar napisać coś osobistego i dowcipnego, ale teraz słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. Była świadoma, że wszyscy wciąż się na nią gapią, a humor poprawiło jej tylko to, że Dalen dał za wygraną i wyszedł, burknąwszy coś pod nosem.

— Półtora rena — powiedziała urzędniczka. — Coś jeszcze?

— Tak. — Aelis odetchnęła, zbierając odwagę, po czym dodała — czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak dotrzeć do domu maga Nicodemusa? To gdzieś w tej okolicy, prawda?

Rozejrzała się. W oczach otaczających ją Arleńczyków nie było już pobłażliwego rozbawienia, tylko zdumienie, może nawet odrobina lęku.

\* \* \*

Elf zaproponował, że zawiezie Celię do swojego domu w Calanhoe i pozwoli jej wykąpać się w podgrzewanym basenie, a dziewczynka bez wahania wyraziła zgodę.

Z kradzieży portfela zrezygnowała, gdy przypomniała sobie

widziany dawno temu film. Była to historia bezdomnej sierotki o dobrym sercu, którą przygarnął stary milioner. Bardzo ją pokochał, a ona pomogła mu pokonać grupę złych ludzi czyhających na jego majątek.

Może z elfem jest tak samo, myślała, wślizgując się do wnętrza luksusowej limuzyny. Może mieszka w wielkim, pięknym domu zupełnie sam, bez nikogo, z kim mógłby porozmawiać, i marzy o córeczce.

Przypominała sobie sceny z filmu i w miejscu starego milionera widziała elfa, a w miejscu małej bohaterki samą siebie. Celia w koronkowej sukience, zajadająca lody nad brzegiem basenu, Celia jeżdżąca na własnym kucyku... Taka słodka, dzielna i dobra. Właściwie już teraz czuła się dzielna i dobra. Przepełniała ją wdzięczność i gdyby ktoś zapytał, czy zamierzała ukraść portfel, zaprzeczyłaby z oburzeniem. Grzeczne dziewczynki nie robią takich rzeczy, a ona była bardzo grzeczna i bardzo miła, gotowa bronić elfa przed wszystkimi złymi ludźmi, którzy zechcieliby zrobić mu krzywdę. W ten sposób pokazałaby mu, jak bardzo go lubi, a on by się rozpląkał ze wzruszenia i zrobił z niej swoją córeczkę, zapisując w testamencie cały swój majątek... Gdy Celia w wyobraźni dotarła do tego momentu, własna szlachetność niemal wycisnęła jej łzy z oczu.

— Dlaczego przyjechałaś do Getteim?

Była tak pogrążona w myślach, że elf musiał powtórzyć pytanie.

— Próbowałam znaleźć tatę, ale nic o nim nie wiem, tylko jak ma na imię, i nie wiedziałam, gdzie go szukać.

— Twój ojciec pochodzi z Getteim? — w głosie elfa zabrzmiała ostra nuta, ale dziewczynka tego nie zauważyła.

— Aha — przyświadczyła radośnie. — Mama tu go poznała, a potem pojechała do Tanagry, gdzie ja się urodziłam. Nie lubiła o nim mówić. Tylko tyle, że to kawał drania, ale w sumie mogła zmyślać, nie?

— A jak twój tata się nazywa?

Tym razem wychwyciła w głosie elfa coś złego, jakiś ślad zimna, gniewu, mroku. Samochód nagle wydał jej się zbyt ciasny, więc rozejrzała się niepewnie. Na pozór nic się nie zmieniło: limuzyna sunęła gładko po ulicy, za szybą widać było czapkę szofera

wciśniętą na gęstą rudą czuprynę, a skórzane siedzenia pachniały przyjemnie. Lecz radość, jaką jeszcze przed chwilą czuła Celia, znikła.

— Nadisha.

— To nie jest ludzkie imię...

— Nie, bo mój tata jest w połowie faunem, śmieszne, prawda? Powinam być choć trochę zielona, a wcale nie jestem, podobno czasem tak bywa...

Paplała byle więcej i szybciej, byle tylko dać mu to, czego chce. Odpowiedzieć na pytanie, być miłą i grzeczną, żeby przestał patrzeć takim wzrokiem i znów ją lubił.

Marzenia pękały jedno po drugim. Podarta koronkowa sukienka, w basenie pełno śmieci i błota, kucyk z oczami zasnutymi mgłą, jak u zdychającego psa, którego widziała kiedyś na ulicy.

Elf wyciągnął rękę, przelotnie muskając jej szyję. Wzdrygnęła się niezdolna do żadnego innego ruchu.

Chwycił klamkę, otworzył drzwiczki, a potem złapał dziewczynkę za ramiona. Nabrała w płuca powietrza, ale nawet nie zdążyła wrzasnąć. Elf wypchnął ją z samochodu i straciła przytomność, uderzając głową o bruk.

\* \* \*

— Daliśmy ogłoszenie do gazety, ale nikt nie odpowiedział. — Andres rozsiadł się wygodnie na kanapie. Rozwahał, czy nie położyć nóg na stojącym obok krześle, ale zrezygnował. — Nie wspomnieliśmy, że to anioł, bo uznano by nas za wariatów. A przynajmniej tak wtedy sądziłem. Teraz się zastanawiam, czy to była mądra decyzja. Może trzeba było trąbić na prawo i lewo, że szukamy anioła, który ma uratować Getteim. Może wtedy ktoś by sobie coś przypomniał i może nawet temu komuś chciałoby się do nas zadzwonić.

— Na to jest jeszcze czas. — Indil uśmiechnęła się lekko. — Jeśli Meric i Aelis nie dowiedzą się niczego w Talico, możemy wydrukować gigantyczne plakaty i rozwiesić je na wszystkich ulicach.

— Nie stać nas na taką akcję.

— Mnie stać — odparła elfka z obojętnością kogoś, komu żadna cena nie wydaje się wygórowana, i Andres przez chwilę poczuł nie wdzięczność, lecz niechęć.

— Dlaczego? Tak, wiem, czasami ma pani po prostu ochotę być miła, ale jest w tym coś więcej, prawda?

Przytaknęła.

— Zapytaj swoją małą przyjaciółkę, Aelis. Myślę, że ona wiedziałaby, dlaczego chcę wam pomóc. Widzisz... Natanielu — wypowiedziała jego imię po chwili zastanowienia, akcentując, że świadomie podjęła decyzję przejścia z formy „pan” na „ty” — ja nie mam do czego wracać. Podobnie jak Aelis. Tutaj żyje się inaczej niż w Arlenie, pod wieloma względami łatwiej, a także chyba... ciekawiej. Cywilizacja ma sporo uroku, zgubnego uroku i trudno wyrwać się spod jego wpływu. Nie sądzę, abym zdołała na powrót przywyknąć do życia w Arlenie. A będę musiała, jeśli Getteim zostanie zniszczone.

Skinieniem głowy podziękował za szczerość. Prawdę powiedziawszy, nie spodziewał się takiej odpowiedzi – sądził raczej, że Indil zechce wykręcić się żartem. Wyglądało na to, że po raz kolejny źle ją ocenił.

— Jeśli więc masz jakieś pomysły, może jakąś prośbę... — urwała, spoglądając na niego z cieniem uśmiechu w oczach i kącikach ust. Ten uśmiech aż prosił się o jakiś dowcip, lecz szczerość, z jaką elfka odpowiedziała na poprzednie pytanie, zadziałała jak pułapka — Andres bał się, że jeśli źle zinterpretuje jej wyraz twarzy i powie coś niemądrego, zniszczy kruche porozumienie, jakie ich łączyło. Chyba łączyło, bo w Indil zbyt wiele było aktorki, by mógł być czegokolwiek pewien.

— Chwilowo nic nie przychodzi mi do głowy — odparł więc uczciwie. — Z wyjątkiem jednego... Mogłabyś się dowiedzieć, kto zaprosił maga Nicodemusa na premierę *Szczęśliwego śpiewaka*?

Zmarszczyła brwi.

— Nie sądzę. W przypadku takich imprez każdy z organizatorów może dorzucić do listy gości dowolne nazwisko. A także każdy z rodziny czy przyjaciół organizatorów, jeśli tylko zna wystarcza-

jąco dobrze którąś z sekretarek odpowiedzialnych za sporządzanie tej listy. To daje w sumie jakieś kilkadziesiąt osób, jeśli nie więcej. Przykro mi.

— Nie szkodzi. — Andres spojrzał na zegarek i wstał, po czym rozejrzał się, odwołując moment pożegnania. Jego wzrok padł na półkę, gdzie stało kilkanaście zdjęć oprawionych w srebrne ramki. Jedno z nich zainteresowało go szczególnie.

— Znałaś Aimerica Tyrena?

— Oczywiście — odparła z lekkim rozbawieniem w głosie.

— Wygląda na niesympatycznego drania.

Podeszła i wyjęła mu zdjęcie z rąk. Wciąż się uśmiechała, lecz Andres miał wrażenie, że tak naprawdę Indil jest śmiertelnie poważna.

— Chciał, abym została jego żoną.

— Proszę? — Chyba się przesłyszał. Nie było żadnego powodu, dla którego Indil miałyby zwierzać mu się ze swoich miłosnych podbojów sprzed prawie trzydziestu lat.

— Chciał, abym została jego żoną — powtórzyła cierpliwie. Uśmiech na jej twarzy był szeroki, piękny i pozbawiony śladu wesołości. — Nie zgodziłam się. Nie dlatego, że uważałam Aimerica za, jak to ująłeś, niesympatycznego drania, bo wcale nie był niesympatycznym draniem. Myślę, że na swój sposób nawet mnie kochał. Lecz ja się go bałam. Aimeric Tyren był człowiekiem, który zawsze dostawał to, czego chciał, i nie uznawał słowa „nie”. Był taki spokojny, kiedy mu odmówiłam, taki pewny siebie i wyrozumiały. I cierpliwy, a cierpliwość tego człowieka miała siłę strumienia wody rozsadzającego skałę. Potem na szczęście poznał Lucillę i uznał ją za lepszą kandydatkę na żonę oraz matkę swego syna, bo już wtedy Aimeric bardzo chciał mieć dziedzica.

— Cholernie romantyczne — wymamrotał Andres, czując się dość niezręcznie. Nie miał pojęcia, dokąd prowadzą te zwierzenia. Nawet jeśli Aimeric Tyren miał nierówno pod sufitem (a tak właśnie zrozumiał słowa elfki), to przecież teraz nie miało to żadnego znaczenia. Założyciel Getteim nie żył od dziesięciu lat. — Na mnie już czas...

— Idź. — Z powagą skinęła głową, a potem dodała, mimo że już

jej nie słucał: — Mówiac „na szczęście”, miałam na myśli oczywi-  
ście szczęście dla mnie, nie dla biednej Lucilli. Ani ona, ani Meric  
nie mieli odrobiny szczęścia.

\* \* \*

Przecinająca las droga była prosta i równa, jakby jej brzegi  
odmierzono linijką. Po obu stronach rosły dęby, wysokie, dorodne,  
o chropowatych brązowych pniach. Przeświecające między liśćmi  
promienie rozcinały półmrok i kładły się na ziemi złotymi pasmami.  
Słońce, cień, znów słońce, w którego blasku wirowały leniwie  
muszki i drobinki spróchniałego drewna.

Aelis osłoniła oczy dłonią i wyteżyła wzrok. Idealnie równa  
droga pomiędzy idealnie równym szpalerem dębów zbiegała się na  
horyzoncie w jeden punkt, jakby... Jakby co?, pomyślała dziew-  
czyna.

Odwróciła się pospiesznie, zanim znalazła odpowiedź.

Przeświecające między liśćmi promienie rozcinały półmrok  
i kładły się na ziemi złotymi pasmami. Słońce, cień, znów słońce,  
w którego blasku wirowały leniwie muszki i drobinki spróchniałego  
drewna. Idealnie równa droga pomiędzy idealnie równym szpalerem  
dębów zbiegała się na horyzoncie w jeden punkt...

Aelis poczuła zawrót głowy, a potem ziemia usunęła jej się spod  
nóg, jakby cały świat nagle fiknął koziółka, a ona nie wiedziała już,  
gdzie jest prawa, a gdzie lewa strona, gdzie góra, a gdzie dół.

— Dobrze się czujesz? — Meric chwycił ją za ramię.

— Nie bardzo... — wykrztusiła, ale przynajmniej znów czuła  
grunt pod stopami. Wyprostowała się i odetchnęła, starając się opa-  
nować słabość.

— Chodźmy — powiedziała z determinacją. Zatrzymał ją.

— W drugą stronę.

— Co?

— W drugą stronę — powtórzył coraz bardziej zdziwiony.

Aelis zmarszczyła brwi. Przecież przed chwilą szli w tym wła-  
śnie kierunku i wszystko było w porządku.

— Wiem, że ta cholerna droga wygląda identycznie z obu koń-

ców, ale jestem pewien, że musimy iść w drugą stronę — wyjaśnił Meric.

Zamknęła oczy, po czym odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Gdy uniosła powieki, zobaczyła dokładnie ten sam widok co przed chwilą. Tym razem jednak była na to przygotowana i skończyło się tylko na krótkotrwałym zawrocie głowy i nieprzyjemnym ucisku w podbrzuszu.

— Nie oglądaj się za siebie, po prostu idź — poradził mężczyzna. Też był blady, ale znacznie lepiej znosił to, co się wokół działo.

Aelis maszerowała. Lewa, prawa, lewa, prawa, skup się na przedstawianiu nóg, nie myśl o niczym innym. Na przykład o lustrach, nie wolno ci myśleć o lustrach, o całym mnóstwie zwierciadeł odbijających jeden jedyny dąb, tak że drzewo staje się lasem, a kawałek drogi całą drogą, która nie ma końca, która zapętla się i można nią iść i iść...

Jej nogi wciąż się poruszały, była tego pewna, bo pracujące mięśnie wysyłały do mózgu sygnały o zmęczeniu, ale nagle zrozumiała, że wcale nie posuwa się do przodu – tkwiła w miejscu, a droga uciekała w tył, jakby Aelis próbowała iść pod prąd ruchomymi schodami.

Podniosła dłoń do ust, starając się stłumić krzyk. Fale paniki wirowały jej w głowie, zaćmiewały wzrok.

— Muszę usiąść na chwilę... — wymamrotała. Nim zdążyła dokończyć, Meric objął ją wpół i posadził pod drzewem.

Zamknęła oczy, a gdy je na powrót otworzyła, rozsądnie skupiła wzrok na kępie mirtu, która rosła niedaleko. Wyglądała tak uspokajająco zwyczajnie, choć oczywiście gdyby się rozejrzała, dostrzegłaby mnóstwo innych kęp, identycznych jak lustrzane odbicia, a to już z pewnością nie byłby uspokajający widok.

— Jak ty się czujesz? — zapytała, powoli odzyskując równowagę.

— W miarę dobrze. — Meric odepchnął natrętną myśl o zwierciadłach i pętłach, a także o pewnym urządzeniu, które widział kiedyś w studiu filmowym, a które składało się z atrapy samochodu i ruchomego tła. — Ta... magia, czy cokolwiek to jest, działa na mnie słabiej niż na ciebie.



— Myślałeś o tym, jak wrócimy?

— Nie mam pojęcia — odparł uczciwie. Przed godziną przeszli przez las, dotarli do drogi, a potem zgodnie z otrzymanymi wskazówkami skręcili w lewo. Wtedy jeszcze takie słowa jak „lewo” i „prawo” wydawały się proste i oczywiste. Teraz żadne z nich nie wiedziało, w którym miejscu należy zejść z drogi, by dostać się z powrotem do miasteczka.

— Przepraszam — wymamrotała Aelis. Przygniatało ją poczucie winy i wstydu. — Nie wiem, czy dam radę dalej iść. Przepraszam...

Lepiej poradziłbyś sobie beze mnie, dodała w myślach.

— Oczywiście, że dasz radę. Po prostu zamkniesz oczy, a ja cię poprowadzę. Zobaczysz, nie będzie tak źle. Chodź.

Zawahała się, ale wiedziała przecież, że nie może siedzieć pod drzewem w nieskończoność. Wstydziła się teraz podwójnie, raz za swoją słabość, dwa za to, że nawet nie starała się z nią walczyć. Jeśli mam przestać robić z siebie płaczliwą idiotkę, to powinnam zacząć od razu, pomyślała, wstając energicznie.

Zamknęła oczy, Meric wziął ją za rękę.

Miał rację — nie było tak źle. Czasem wprawdzie miała wrażenie, że brnie po kolana w wodzie, która spowalnia jej ruchy, a czasem, że nie posuwa się wcale, tylko przebiera nogami w miejscu, ale teraz potrafiła już to ignorować. Gdy odcięła dopływ bodźców wzrokowych, jej błędnik przestał wariować.

Szli niemal w normalnym tempie. Droga była prosta i równa, bez dziur czy wystających korzeni, o które można by się potknąć. Po kilkunastu minutach monotonnego marszu w ciemnościach Aelis zaczęła odczuwać znudzenie. Z jednej strony dręczyła ją pokusa, aby – choć na chwilę – unieść powieki, z drugiej lęk, że chodzą w kółko i nigdy nie dotrą do celu.

— Opowiedz mi coś — poprosiła Merica. — Może być jakiś dowcip.

— Nie znam żadnych.

Pożałowała, że nie ma z nimi Andresa. On znał mnóstwo dowcipów.

— W takim razie jakiś film albo książkę. Albo zaśpiewaj coś, jeśli potrafisz. Zwariuję, jeśli będę tak szła przed siebie z zamknię-

tymi oczami.

— Chyba wolę śpiewać. — Meric nabrał w płuca powietrza.

*Rzucam w górę liście, tańczą jak motyle*

*Czerwone, zielone, wszędzie jest ich tyle*

*I wciąż słyhać szelest, gdy przy każdym kroku*

*Szepczą, że nadeszła już ich pora roku*

Miał przyjemny, choć niezbyt mocny głos. W jego wykonaniu słowa zabrzmiały nieoczekiwanie smutno, choć przecież była to radosna dziecięca piosenka.

Potem przyszła kolej na następne utwory, każdy bardziej pesymistyczny od poprzedniego. Melodie były proste, lecz chwytliwe i zirytowana Aelis przyłapała się na tym, że zaczyna nucić pod nosem. Wolałaby coś weselszego, co poprawiłoby jej nastrój. Już chciała powiedzieć o tym towarzyszowi, zrezygnowała jednak. Zauroczył ją melancholijny wdźwięk tych piosenek.

*W mych snach co noc ktoś cicho gra*

*Na skrzypcach jak tamtego dnia*

*Kiedy miłości naszej płomień*

*Ukryliśmy w splecionych dłoniach*

— Aelis, mogę cię o coś prosić?

— Tak? — Wyczuła, że mężczyzna zwalnia tempo, i po chwili stanęli.

— Otwórz oczy.

— Widzisz coś? Dotarliśmy do domu Nicodemusa? — w głosie dziewczyny zabrzmiało podniecenie.

— Niezupełnie. Po prostu zaufaj mi i otwórz oczy.

Ostrożnie uniosła powieki. Sama nie wiedziała, co spodziewa się zobaczyć: może siedzibę maga, a może wciąż ten sam las, od którego widoku znów zacznie jej się kręcić w głowie. Nie zobaczyła nic.

Dosłownie nic, bo wokół panowały ciemności. Dopiero po chwili, gdy minął paroksyzm strachu, zorientowała się, że mrok nie jest całkowity. W blasku księżycy widziała drogę, kontury drzew, a nawet takie szczegóły, jak kępa krzewów po prawej stronie i zwalony pień po lewej. Jedna kępa i jeden pień, nie więcej. Na wszelki wypadek – wciąż jeszcze nie pozwalając sobie na westchnienie ulgi

– odwróciła się do tyłu.

Mimo mroku dało się zauważyć, że ma przed sobą zupełnie inny kawałek lasu. Kępa krzewów, owszem, też tu była, lecz znacznie mniejsza i po lewej, nie po prawej stronie, a zamiast zwalonego pnia Aelis dostrzegła rozcapierzoną koronę małego dębu. Pierwsze młode drzewo i tym samym pierwsze, które czymś różniło się od pozostałych.

Wyglądało na to, że świat wrócił do normy.

— Nie ciesz się za bardzo — Meric odgadł jej myśli. — Zmrok zapadł tak szybko, że nie jestem pewien, czy jest naturalny, a poza tym, moim zdaniem, jeszcze nie powinno być ciemno.

— Która godzina?

— Nie wiem, zapomniałem nakręcić zegarek — wyznał ze skru-  
chą. — Ale nie sędzę, abyśmy szli dłużej niż dwie–trzy godziny, więc powinna być teraz mniej więcej trzecia po południu.

— Odpoczniemy chwilę, a potem pójdziemy dalej — postanowiła Aelis, siadając na zwalonym pniu. Uczucie ulgi było silniejsze niż lęk wywołany nagłym zapadnięciem ciemności. Teraz, gdy jej zmysły funkcjonowały prawidłowo, znalazła w sobie dość odwagi, by stawić czoła zagrożeniu, które mogło się czaić w mroku. Tym bardziej że najprawdopodobniej niebezpieczeństwo nie było wcale poważne. Nicodemus niewątpliwie należał do gatunku wyjątkowo złośliwych sukinsynów, ale przecież nie skazywał odwiedzających na śmierć. Gdyby tak było, do tej pory wiedziałoby już o tym całe miasteczko i któryś z mieszkańców z pewnością nie oparłby się pokusie, by nastraszyć Aelis i Merica.

Dziewczyna wsłuchiwała się w nocne odgłosy lasu. Większości z nich nie potrafiła nawet zidentyfikować: jakieś szelesty, popiskiwania, łopot skrzydeł nie wiadomo jakiego ptaka. Wychowała się w mieście i jak dotąd las kojarzył jej się wyłącznie z miejscem, gdzie gryzą komary i przemakają buty. Teraz ze zdumieniem odkryła, że nie czuje się tu źle. Niepokoił ją panujący wokół mrok, lecz było w tym lęku coś przyjemnie ekscytującego.

Dźwięk, który usłyszała, w pierwszej chwili wcale nie wydał jej się dziwny. Kojarzył się trochę z łopotem prania na wietrze, z olbrzymimi płachtami prześcieradeł, które szarpia podmuchy

wichury. Skrzydła, pomyślała leniwie, ale do głowy jej nie przyszło, że te skrzydła muszą być ogromne, znacznie większe niż u jakiegokolwiek stworzonego przez naturę ptaka. Wystraszyła ją dopiero reakcja Merica, który zeszywniał i zamarł w bezruchu.

— Co to...? — szepnęła.

— Nie wiem, słyszałem już podobny dźwięk wczorajszego wieczoru. To... coś musi być bardzo duże.

— Anioł? — Powinna się ucieszyć, naprawdę powinna się ucieszyć, bo przecież właśnie anioła szukali. Lecz nagle sparaliżował ją strach. Co innego wyobrazić sobie spotkanie z Joelem w jasno oświetlonym pokoju, a co innego na własne uszy usłyszeć łopot tych gigantycznych skrzydeł, coraz bliższy w ciemności.

— Co robimy? — zapytał nerwowo Meric i Aelis z determinacją podjęła decyzję.

— Joel! — wrzasnęła, podrywając się na nogi. — Joel!

Nie miała pojęcia, czy jest to rozsądna decyzja. Prawdopodobnie nie była, ale siedzenie w bezruchu jak przestraszony zając wydawało się jeszcze głupsze.

Łopot skrzydeł zamarł, a potem zaczął się oddalać.

Aelis zaklęła, co dodało jej odrobinę odwagi. Pociągnęła Merica za rękę.

— Chodź!

Nim zdążył zaprotestować, dziewczyna ruszyła biegiem, a on chcąc nie chcąc, zrobił to samo.

Meric zdawał sobie sprawę, że jeśli anioł naprawdę zamierza odlecieć, to nie zdołają go doścignąć. Wyglądało jednak na to, że Joel się z nimi bawi. Od czasu do czasu zatrzymywał się, leniwie bijąc skrzydłami i pozwalając im zmniejszyć dystans, a potem ruszał gwałtownie do przodu. Leciał raz nisko, raz wysoko, ale przez cały czas w linii prostej, tak że Meric i Aelis mogli biec drogą. Uprzejmy drań, pomyślał mężczyzna, wytężając wzrok.

Nie zdołał dostrzec anioła. Z tej odległości słyszeli tylko łopot wielkich skrzydeł.

Łopot skrzydeł i coś jeszcze, uświadomił sobie coraz bardziej zdyszany Meric. Był zbyt oszołomiony, by zdać sobie sprawę, co to jest.

Aelis zorientowała się pierwsza, w końcu to ona dzisiejszego ranka rozmawiała z chłopcem, który wspomniał o „warczącej maszynie”.

Helikopter nadlatywał z prawej strony, a terkotliwy dźwięk obracającego się śmigła zagłuszał inne odgłosy.

Zatrzymali się, zdezorientowani.

— Co tu się dzieje? — wrzasnęła dziewczyna.

— Skąd mam wiedzieć? — odkrzyknął w odpowiedzi Meric, podczas gdy pęd powietrza wpychał mu słowa z powrotem do gardła.

Nad nimi zawisała obła sylwetka helikoptera.

— Hej! — Aelis zamachała rękoma. — Zabierzcie nas stąd! Hej! Proszę!

Tym razem nie usłyszeli łopotu skrzydeł, a po prostu je zobaczyli: rozpięte na tle gwiazdzistego nieba, każde trzy razy większe niż skrzydło orła. Zbliżały się do śmigła w takim tempie, że po prostu nic, ale to nic nie dało się na to poradzić.

Aelis krzyknęła i zasłoniła oczy dłońmi. Meric w tej samej chwili szarpnął ją do tyłu. Za późno. Nawet nie patrząc, wiedziała, że to, co na nią lunęło, to ciepła krew zmieszana z kawałkami skóry i odłamkami kości.

\* \* \*

Ivon człapał, niosąc w drżących dłoniach miskę zupy. Wąski korytarz oświetlały zwisające na kablach gołe żarówki. Ze ścian płatami odpadał niegdyś biały, a teraz brudnoszary tynk. Starzec mijał kolejne drzwi: kłódki przy dwóch pierwszych oplatała warstwa pajęczyn, kłódka trzecich lśniła nowością. W drewnie tuż nad ziemią wycięto niewielki otwór. Ivon ukląkł i wsunął przez ten otwór miskę zupy.

W środku coś się poruszyło i zabrało miskę.

\* \* \*

— Nie wiedziałam — parsknęła Aelis. — Skąd, u diabła,

mogłam wiedzieć?

— Nie mogłaś — przytaknął, a dziewczyna niespodziewanie zachichotała. Jej śmiech brzmiał prawie naturalnie, nutki hysterii były tak lekkie, że Mericowi z trudem udało się je wychwycić.

— Kiedyś przez takie przeżycia dostanę zawału — mruknęła, kuląc się w starym bujanym fotelu. Sweter, za duży co najmniej o pięć numerów, naciągnęła na kolana, a dłonie schowała w rękawach. Jej własne ubranie nie nadawało się już do użytku.

Siedzieli na ganku domu Nicodemusa, ciesząc się chwilą względnej samotności. Za ich plecami, wyraźnie słyszalna przez uchylone drzwi, dogasała potężna awantura.

Najgłośniejszy darł się Maxim, samozwańczy przywódca młodych ludzi, których helikopter rozbił się na drodze. Na szczęście spadł z niewielkiej wysokości i nikomu nic poważnego się nie stało, ale śmigło zostało doszczętnie zniszczone.

— Chcieliśmy tylko do pana zajrzeć, na Boga, nie jesteśmy złodziejami, żeby szcuć nas tym... czymś! Najpierw w tym cholernym lesie nasz pilot zupełnie stracił orientację i kręciliśmy się w kółko, aż dziewczyny miały wszystkiego dość i chciały już wracać, ale nawet nie mogliśmy znaleźć drogi powrotnej, a potem... a potem — młodzieniec zająknął się — to coś na nas wpadło i mało nie zginęliśmy! Pan byłby odpowiedzialny, gdyby komuś się coś stało!

Mimo podniesionego głosu Meric miał wrażenie, że Maximowi złość już przeszła. Teraz wrzeszczał głównie dlatego, że podobała mu się rola przywódcy dzielnie stojącego w obronie swej grupy.

— To nie było coś, tylko skrzydlaty golem, którego stworzenie zajęło mi ponad pół roku — odpowiedział zimnym głosem Nicodemus.

— Golem — wymamrotała Aelis. — Czy nie mógłby tych golemów robić z gliny, jak należy? Wolałabym być obryzgana kawałkami gliny niż krwią.

Merik szerzej otworzył drzwi i zajrzał do środka.

Maxim stał naprzeciwko siwowłosego maga, a pozostała czwórka młodych ludzi – trzy dziewczyny i chłopak – siedziała wokół okrągłego stołu. Paradoksalnie na najbardziej zadowoloną

wyglądała ta dziewczyna, która została najbardziej poszkodowana. Skręcona kostka i kilkanaście płytkich ran od odłamków szkła zapewniły jej troskę reszty towarzystwa, co najwyraźniej bardzo jej się podobało. Obandażowaną stopę położyła na kolanach koleżanki, a potem odwróciła się do chłopaka. Zaczął ją pocieszać, nim jeszcze zdążyła się poskarżyć.

Oczy młodych ludzi błyszcząły podnieceniem. Przylecieli do Arlenu po przygodę i dostali ją. W myślach już układali sobie mrozącą krew w żyłach opowieść, dzięki której zaimponują kolegom. Meric był tego pewien, bo doskonale znał takich jak oni. Byli beztroscy, przekonani, że pieniądze ich rodziców wystarczą, by pokonać każdą trudność. Utrata jednego helikoptera tak naprawdę nic dla nich nie znaczyła.

Zegar wiszący na ścianie wybił ósmą i Meric nakręcił swój własny zegarek. Ósma. Przez prawie siedem godzin szli drogą, która według Nicodemusa miała ledwie pięć mil. Zupełnie stracili przy tym poczucie czasu, a naturalny zmierzch wydał im się kolejną magiczną sztuczką.

Maxim uspokoił się, mówił teraz ciszej, lecz nie mniej stanowczo:

— Powinien nam pan dać jakieś zadośćuczynienie — ciągnął, patrząc magowi hardo w oczy. — Powiedzmy, spełni pan każdemu z nas po jednym życzeniu...

— Czy ja wyglądam na złotą rybkę? — głos Nicodemusa był kpiący, ale Meric wyczuł też w nim znużenie.

— Proste życzenia, takie jakie może pan spełnić w ciągu paru godzin. Jesteśmy wykształceni i wiemy, jakie są granice pańskich możliwości.

— Doprawdy? — Mag uśmiechnął się lekko. — To ciekawe, bo ja sam nie jestem pewien, jakie są granice moich możliwości.

— Mniejsza o to. Ważne, czy pan się zgadza.

— Owszem, czemu nie. — Skinął głową z roztargnieniem, najwyraźniej myślami przebywając gdzieś indziej. Meric dałby sporo, by poznać te myśli. Już wcześniej miał wrażenie, że coś zaprzęta uwagę Nicodemusa znacznie bardziej niż utrata golema.

— I oczywiście musi pan zrobić coś dla tej biednej dziewczynki

— Maxim nie omieszkął wykorzystać sytuacji, by postawić jeszcze jedno żądanie.

Ową „biedną dziewczynką” była Aelis. Maxim uparcie przypominał magowi o tym, co ją spotkało. „Biedactwo, co ona musiała przeżyć”, „Niech pan pomyśli, jak może się czuć dziecko, na które nagle spada fontanna krwi”. W ten sposób z jednej strony wzbudzał w magu poczucie winy, a z drugiej demonstrował wyższość swojej empatycznej natury. Dlatego właśnie Aelis wolała siedzieć na ganku. Miała dość bycia kartą przetargową.

— Dziewczynka sama mi powie, czego chce. — Z tonu Nicodemusa dało się wywnioskować, że uważa rozmowę za skończoną. Maxim powinien być zadowolony, bo przecież postawił na swoim, ale minę miał niewyraźną, jakby nie był pewien, kto zwyciężył w tej utarczce.

Aelis domyśliła się, że lada moment ktoś zawoła ją i zacznie wypytywać, czego sobie życzy. Nie miała zamiaru odpowiadać na to pytanie przy świadkach, wstała więc i wyszła do ogrodu.

Meric poszedł za nią.

\* \* \*

W świetle księżyca zobaczyła koślawą ławkę i usiadła na niej, z trudem znajdując odrobinę miejsca pomiędzy nadmiernie rozrosniętymi gałęziami ogrodowych krzewów. Meric rzucił na trawę kurtkę, a potem usadowił się wygodnie.

— I co sądzisz o Nicodemusie? — zapytała dziewczyna. — Jest normalny czy nie?

Przypomniał sobie opowieści krążące o magach. W powszechnym mniemaniu byli to ogarnięci obsesją maniacy, dla których liczyła się tylko ich sztuka, a nieustanne przestawianie w głowie liter anielskiego alfabetu zabiło w nich zainteresowanie codziennymi sprawami. Przez wieki kolejni arleńscy władcy próbowali ich sobie podporządkować, lecz żadnemu się nie udało. Magów nie kusił bogactwa ani władza, nie robiły też na nich wrażenia groźby. Co najdziwniejsze, rzadko wykorzystywali swoją wiedzę w praktyce. Magia anielska była dla nich sztuką dla sztuki i całe życie



potrafili poświęcić rozwiązywaniu jakiegoś zupełnie bezdurnego problemu, który nikogo poza nimi nie obchodził. Większość ambicji magów ograniczała się do tej właśnie sfery; jeśli mieli jakieś zwykłe, ludzkie potrzeby, to były one zdumiewająco nikłe i łatwe do zaspokojenia.

— Meric? — głos Aelis wyrwał go z zamyślenia.

— Nie wiem. — Potrząsnął bezradnie głową. — Wydaje się dość normalny.

Aelis przytaknęła, bo zgadzało się to z jej własnym wrażeniem. Do tej pory wyobrażała sobie, że Nicodemus okaże się kimś pomiędzy złośliwym czarnoksiężnikiem z bajek dla dzieci a uduchowionym ascetą, lecz mag nie pasował do żadnego z tych schematów.

— Według mnie... — zaczęła, gdy Meric syknął ostrzegawczo.

Zarośniętą ścieżką zbliżał się do nich Nicodemus. Latarnia w jego rękę chybotwała się, cienie krzewów umykały w mrok jak długonogie pająki.

Aelis spróbowała wstać i natychmiast usiadła z powrotem. Zakłęła, po czym uwolniła zaplątany w gałęziach rękaw swetra.

— Ten złotokap zdecydowanie wymaga przycięcia, wiem — powiedział mag, a potem dodał usprawiedliwiająco — jakoś łatwiej przychodzi mi dbanie o dom niż o ogród.

Wcześniej Aelis była zbyt oszołomiona, by dobrze mu się przyjrzeć. Dopiero teraz dostrzegła, że mimo siwych włosów Nicodemus wygląda na jeszcze dość krzepkiego.

Miał pospolitą, okrągłą twarz z bulwiastym nosem i rumiane policzki. Z niejakim rozczarowaniem zauważyła też jego dłonie, szerokie, o stwardniałej skórze charakterystycznej dla człowieka przyzwyczajonego do pracy fizycznej.

— Jeśli słyszeliście naszą rozmowę, to wiecie, że obiecałem tamtym dzieciakom spełnić po jednym życzeniu — kontynuował mag. — Większość tych życzeń jest dość głupia, szczerze mówiąc. Na przykład ta milutka blondynka chce wyglądać jak elfka, a Maxim pragnie stać się niepokonanym szermierzem. Podobno zawsze o tym marzył, ale nigdy nie dotrwał nawet do piątej lekcji. I teraz magia chce naprawić skutki własnego lenistwa. Ale cóż, obietnica to obietnica, dam mu jeśli nie to, czego chce, to przynaj-

mniej bardzo dobre złudzenie, że dostał, czego chce, a to już coś. A ty, miła Aelis, czego sobie życzysz?

— Czy ja też dostanę złudzenie? — Spojrzała mu w oczy.

— To zależy od życzenia — odparł, w najmniejszym stopniu niezmiyszany. — Maxim to przypadek szczególny, przyznasz chyba, że nierozsądne byłoby wypuszczenie w świat niepokonanego szermierza, a my, magowie, nigdy nie bywamy nierozsądni.

— Nigdy? — z miejsca, gdzie na trawie siedział Meric, dobiegł cichy głos.

Okrągła twarz Nicodemusa wykrzywiła się w wyrazie niepokoj. Trwało to tak krótko, że Aelis nie była pewna, czy nie uległa złudzeniu.

— Tylko jedno życzenie, nie więcej — powtórzył już opanowany. — Masz zdolności magiczne i choć są one zupełnie inne niż moje, samo to pozwala mi wierzyć, że wybierzesz coś rozsądnego. Mam nadzieję, że nie pragniesz, abym przyspieszył dojrzewanie twego ciała, choć jeśli taka jest twoja wola, potrafię to sprawić.

Aelis opanowała niesamowita pokusa. Krew zaśpiewała jej w żyłach, w głowie tętniły gorączkowe myśli. Mogłabym przestać wyglądać jak dziecko, przestać budzić litość i nareszcie należeć do wspólnoty dorosłych kobiet, traktowanych poważnie, kochanych i pożądaných. A potem przyszło opamiętanie, bo przecież samo wyrażenie takiego życzenia równałoby się przyznaniu, jak bardzo jej na tym zależy. Gdyby mag spełnił prośbę, w oczach tych, którzy znali ją pod postacią dziecka, zostałaby obnażona, odarta z wypracowanego przez lata wizerunku dziewczyny, która nie dba o to, jak postrzegają ją inni. Czekwałyby ją porozumiewawcze uśmieшки i głupie żarciki. Nie była pewna, czy to nie zbyt wysoka cena.

Spojrzała na Merica, szukając u niego pomocy, lecz mężczyzna milczał. Chciał, aby samodzielnie podjęła decyzję.

Przeniosła wzrok na maga. Nie pilnował się przez chwilę i na jego twarzy znów ujrziała niepokój. Tym razem nie mogło być mowy o złudzeniu. Nicodemus coś przed nimi ukrywał.

To właśnie przeważało szalę.

— Chcę odpowiedzi na parę pytań — powiedziała szybko, już w tej chwili żałując podjętej decyzji. — Wiemy, że przed dwoma

miesiącami był pan w Getteim i że tam na premierze filmu *Szczęśliwy śpiewak* spotkał pan anioła o imieniu Joel. Potem wybuchł pożar i po Joelu ślad zaginął. Czy wie pan, gdzie on jest?

Zdumiewające, ale niepokój Nicodemusa zmienił się w ulgę.

— Nie mam pojęcia — odparł swobodnie.

— Co wydarzyło się podczas tej premiery? — tym razem pytanie zadał Meric.

— Nic szczególnego poza tym, że jakiś idiota wzniecił pożar. Porozmawiałem trochę z Joelem, a potem, gdy ogień zaczął się rozprzestrzeniać, szczęśliwie udało mi się wydostać na zewnątrz. Wtedy właśnie w zamieszaniu straciłem Joela z oczu.

— Mamy świadka, który twierdzi, że wyszedł pan z Joelem, jeszcze nim wybuchł pożar.

— Cóż, możliwe, że wyszliśmy zaczerpnąć świeżego powietrza, a potem wróciliśmy do środka.

Stał przed nimi uśmiechnięty, odprężony i kłamał. Dziewczyna była tego pewna. Wcześniej się bał, ponieważ sądził, że Meric i Aelis znają jego sekret, lecz oni o niczym nie wiedzieli. A ujawniając tę niewiedzę, przegrali swoją szansę.

Aelis zacisnęła pięści, z trudem przełykając rosnącą w gardle kulę goryczy.

\* \* \*

Nicodemus pozwolił im zostać na noc – nie było sensu, żeby w ciemnościach wędrowali przez las do miasteczka. Maxim oznajmił, że rano wyśle wiadomość do ojca i poprosi, by przysłał po nich śmigłowiec, a potem zapytał, czy Meric i Aelis nie zechcieliby zabrać się z nimi. Zgodzili się oboje, choć dziewczynie zajęło to trochę więcej czasu. Maxim i jego kompania budzili w niej podszytą złością niechęć, w której – miała tego świadomość – była też odrobina zawiści.

Piątka młodych ludzi zajęła pokój na poddaszu, gdzie chichotali niemal do świtu, a ich wzajemne napomnienia „cicho, ciszej, nie wrzeszczcie tak” niosły się wyraźnie przez drewniane ściany. Meric i Aelis położyli się w kuchni na rzuconych na podłogę siennikach.

Dziewczyna zasnęła błyskawicznie, choć sądziła, że nie zdoła zmruczyć oczu. Meric wręcz przeciwnie – był wyczerpany i liczył, że uda mu się porządnie odpocząć, ale jak na złość sen nie chciał przyjść. Mężczyzna przewracał się z boku na bok, daremnie usiłując znaleźć jakąś wygodną pozycję. Nie przywykł do wypchanych słomą sienników, tak jak nie przywykł do absolutnych ciemności, które go otaczały. W mieście, gdzie wyrósł, taki mrok panował tylko w piwnicach, bo do sypialni zawsze wpadała choć odrobina światła z ulicznych latarni.

Czuł zapach świeżego drewna i zupy kalafiorowej, której resztki stały na piecu, słyszał chrobotanie buszujących pod podłogą myszy i dobiegające z poddasza chichoty. W tych zapachach i odgłosach nie było nic niezwykłego, ale teraz, gdy ciemność zamykała się nad nim jak atramentowoczarne morze, nagle wydały mu się obce, tak różne od tego, co dobrze znał i utracił. To nie był jego dom – tam, na górze, śmiali się ludzie, z którymi nie miał nic wspólnego, nawet leżąca obok Aelis była tylko sympatyczną przygodną towarzyszką. Ciężar samotności przygniótł mu pierś, ogarnęła go nie tęsknota, lecz coś znacznie gorszego – paraliżujący lęk, świadomość wszystkich szans, które zaprzepaścił i które z pewnością jeszcze zaprzepaści. W takie noce jego własne istnienie zdawało się jakimś kosmicznym żartem – oto on, człowiek szczęśliwy tylko wtedy, gdy marzył o przyszłości bądź wspominał przeszłość, lecz nigdy niezadowolony z teraźniejszości, człowiek, który tęsknił do śmierci, ponieważ nie potrafił po prostu żyć. Ciemności odzierały go ze złudzeń, że kiedykolwiek zdoła się tego nauczyć; inni potrafili, ale nie on.

Niespodziewanie zachichotał nerwowo. Takie rozczulanie się nad sobą było strasznie żalosne. Odrobina humoru i dystansu do samego siebie ratowały go od czasu do czasu, choć – z drugiej strony – bywały też chwile, gdy żałował, że nie jest kompletnym wariatem. Szaleństwo było przynajmniej konkretne, szaleńcy mieli swoje miejsce w społeczeństwie, siedzieli w białych, sterylnych izolatkach, łykając tabletki, i nikt nie żądał od nich, aby żyli jak normalni śmiertelnicy. On nie był ani chory, ani całkiem zdrowy, nie cierpiał też na depresję, jak to czasem lubił sobie wyobrazić, szukając usprawiedliwienia. Do licha, nigdy nawet nie przeżył żadnej tra-

gedii, która w romantyczny sposób tłumaczyłaby ów pociąg do śmierci. Zgodnie z regułami popularnej psychologii Meric był typowym przykładem syna zdominowanego przez ojca, lecz było to wyjaśnienie zbyt banalne, by mógł je przyjąć. Godził się na tę etykietkę, ale czasem miał wrażenie, że prawda jest znacznie bardziej skomplikowana.

W myślach o śmierci była trująca słodycz. W takie noce zaczynał rozmyślać o żyletkach, ostrych i lśniących, które gładko przecinały skórę, sięgając do żył. Ból był dobry, ból i strach przed bólem przywracały go na trochę światu, skupiając jego myśli na chwili obecnej. Jakkolwiek absurdalnie by to zabrzmiało, Meric naprawdę żywy czuł się dopiero wtedy, gdy próbował się zabić.

Na zewnątrz usłyszał odgłos kroków – ktoś wychodził właśnie na ganek. Meric zmusił się, by przezwyciężyć odrętwienie i wstać.

\* \* \*

*Rozumiesz?*

Aelis gwałtownie otworzyła oczy. Leżała rozkrzyżowana na ziemi, patrząc w rozgwieżdżone niebo i chmury przesuwane się na tle księżyca.

*Rozumiesz?*

Spała, lecz była całkowicie świadoma tego, co się z nią dzieje. W domu maga granica pomiędzy zwykłym snem a Śnieniem niemal nie istniała i Aelis właśnie ją przekroczyła. Nie planowała tego – nie wiedziała nawet, czy tak cienka granica jest w tym miejscu zjawiskiem naturalnym, czy może ubocznym efektem anielskiej magii. Mniejsza z tym. Skoro los niespodziewanie podarował jej tę szansę, to powinna ją wykorzystać.

Podniosła się i rozejrzała. Znajdowała się na łagodnie opadającym zboczu. Wokół niej z gęstej trawy wystawały kontury głazów. Nie widziała ich dokładnie – w tej chwili były to tylko nieregularne plamy czerni odcinające się od odrobinę jaśniejszego mroku.

— Kim jesteś?

*Rozejrzyj się.*

— Przecież właśnie to robię — burknęła.

Słowa dobiegały z góry, po czym odbite i zwielokrotnione echem otaczały dziewczynę falami dźwięku. Jak w filmach, gdzie do zagubionych bohaterów przemawia Bóg, pomyślała z lekkim uśmiechem.

*Patrz. Zrozum.*

Głos słabł, oddalając się coraz bardziej. Skojarzenie z filmowym Bogiem znikło. Aelis miała teraz wrażenie, że ktoś desperacko krzyczy do niej z odjeżdżającego pociągu. Głos zniekształcała odległość i rozpacz, a jednak było w nim coś znajomego, coś, co powinna rozpoznać.

Tak mógłby mówić inny, bardziej pewny siebie i władczy Meric. — Aimeric Tyren? — zapytała niepewnie.

Nagle, zupełnie jakby Bóg włączył latarkę, z bocznej strony zaalała struga księżycowego blasku, który pogłębił cienie i wyostrzył kontury.

To, co z początku wzięła za głązy, wcale głązami nie było. Otaczały ją posągi aniołów. Niektóre stały, inne leżały na ziemi. Cztery całe, dziewięć przewróconych i zniszczonych.

*Pamiętasz, co o mnie mówiono? Krążące plotki? Spróbuj...*

Ostatnie słowo było tak ciche, że ledwie je usłyszała.

Stojący przed nią anioł buchnął płomieniem. Ogień objął go i zagarnął, ogień utworzył nad jego głową świetlistą aureolę, a za plecami kolejną parę skrzydeł: czerwonych i syjących iskrami.

Aelis cofnęła się odruchowo.

Spoza płomieni patrzyły na nią kamienne oczy anioła.

Zacisnęła mocno powieki. Koniec przedstawienia, pomyślała.

Z powrotem znalazła się w kuchni. Widziała swoje własne, leżące na sienniku ciało, obok puste miejsce Merica.

Ścieżka Snu była tu tak wyraźna, że Aelis bez trudu mogła się poruszać po pomieszczeniu, dotykać przedmiotów, a nawet je przesuwac. Mogłaby przewrócić dom do góry nogami, gdyby przyszła jej taka fantazja.

Albo Nicodemus nie znał się na magii innej niż jego własna, albo też zupełnie ją lekceważył. Tak czy inaczej, Aelis nadal nie zamierzała marnować szansy.

Przeniknęła przez drzwi i znalazła się w sypialni maga. Nie było go tu – być może rozmawiał teraz z Merikiem. Świetnie, pomyślała.

Meric był dobry w wyciąganiu z ludzi informacji. Ona wolała inne zajęcia.

Na przykład myszkowanie po cudzych pokojach.

Na komodzie stało zdjęcie Indil, oprawione w złotą ramkę i z autografem, a w pierwszej szufladzie Aelis natknęła się na czasopisma, w których artykuły poświęcone Indil zaznaczono zakładkami. Dziewczyna poczuła się głupio, trochę jakby zajrzała do czyjegoś pamiętnika. Mimo to otworzyła kolejną szufladę, modląc się w duchu, by nie było tam listów miłosnych lub czegoś w tym rodzaju.

Znalazła kilka pocztówek z pozdrowieniami od różnych osób, znacznie więcej próśb o taką czy inną magiczną pomoc, pustą kopertę, na której widniała pieczętka Instytutu Elektroniki, wizytówkę Remigiusa Sury'ego oraz zaproszenie do wygłoszenia wykładu na getteimskim uniwersytecie. Na samym dniu, pod tymi wszystkimi papierami, leżały dwie wyrwane z zeszytu kartki. Na pierwszej poszczególne litery anielskiego alfabetu przyporządkowane były zwyczajnym głoskom, na drugiej natomiast ktoś równym, uczniowskim pismem nakreślił kilka bezsensownych zdań:

*Różowe pomarańcze nie mają nóg*

*Potem była burza, wcześniej ktoś ugryzł psa*

*Idę na spacer, bo zabrakło mi guzika*

Aelis porównała obie kartki, zagryzając dolną wargę, a potem odprężyła się i uśmiechnęła ze zrozumieniem.

\* \* \*

Nicodemus odwrócił się powoli, jego twarz płynęła przez mrok, gładka i bez wyrazu, niczym biały balonik, na którym ktoś wyrysował kształt oczu, ust i nosa. Meric z wrażenia wstrzymał oddech; Aelis rozczarowała się, ponieważ chciała się rozczarować – opowieści o cudach Arlenu i arleńskich magów irytowały ją, wolała więc zobaczyć w Nicodemusie zwykłego człowieka, lecz nieskrępowany podobną niechęcią Meric ujrzał prawdziwą, niezrozumiałą moc.

— Nawet do mnie dotarły plotki, że Getteim ginie, umiera — powiedział Nicodemus. — Czy właśnie dlatego szukacie anioła?

Meric skinął głową, nie odrywając zafascynowanego wzroku od jego twarzy. Wciąż pozostawała gładka, bez wyrazu, ale teraz czytał w niej jak w książce, dostrzegając pod zewnętrzną powłoką pokłady coraz głębszych uczuć. Nicodemus odsłonił się, pozwolił zajrzeć do swego wnętrza. Przypominało to zdzieranie kolejnych warstw farby – niepokój, współczucie, żal – a potem, na samym dnie, coś mrocznego i bolesnego, co mag szybko ukrył.

— Naprawdę nie mam pojęcia, gdzie szukać Joela. Pomógłbym wam, gdybym tylko potrafił.

Meric uwierzył bez trudu – współczucie i żal, które zobaczył, były szczere. Wciąż jednak pamiętał o poczuciu winy, które ujrzał pod koniec.

Mag z jakiegoś powodu czuł się winny i miało to coś wspólnego z jego wizytą w Getteim. Być może było to związane z Joelem, a może nie – tak czy inaczej, Nicodemus bronił się przed zdradzeniem sekretu.

Odrobina współczucia, jaką otrzymał, dała Mericowi nadzieję, że zdoła wydobyć z maga coś więcej. Niepewnie, chaotycznie, zaczął opowiadać o Getteim, o mgle, kwiatkach i przerażonych mieszkańcach, którzy opuszczają miasto. A potem – tym razem już z większą pewnością – mówił o własnej bezradności wobec przepowiedzianej zagłady, o lęku, nadziei i rozpacz, gdy uświadomił sobie, że nawet na krok nie zbliżyli się do odnalezienia anioła, a sprawa komplikuje się coraz bardziej. Wspomnił też o ginących samobójczą śmiercią dzieciach i o dziewczynie ducha ze zdjęć. Gdy przerwał, by nabrać tchu, zauważył ze zdziwieniem, że mag wpatruje się w niego uważnie.

— Dziewczyna około szesnastoletnia, delikatna twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, długie, lekko kręcone włosy?

Przytaknął, wstrzymując oddech.

— Była na premierze *Szczęśliwego śpiewaka*. Przez jakiś czas widziałem ją w towarzystwie Joela.

To było jak niespodziewany prezent od losu. Meric poczuł zawrót głowy – nareszcie mieli dowód, że te dwie sprawy się łączą.

Problem polegał jedynie na tym, że dostał ten prezent nie bez powodu. Nicodemus mógł sobie na to pozwolić, bo Meric już wcze-



śniej wspomniał, że dziewczyna jest martwa. A od martwych niewiele można się dowiedzieć.

Czy powiedziałbyś mi o tej dziewczynie, gdyby ona żyła i gdybyśmy mogli z nią porozmawiać?, zapytał w myślach.

## Dzień dziewiąty

*... uznaję, że magia zwana popularnie Śnieniem nie ma dla nas znaczenia – jest zbyt kapryśna, oparta raczej na instynktownym wyczuciu niż na konkretnych regułach. Ponadto ludzie nie mają do niej talentu – to magia elfów, a ja nie radziłbym ufać elfom. Natomiast jeśli chodzi o magię anielską, jestem dobrej myśli – można jej użyć przy produkcji broni, a także w trakcie szkolenia żołnierzy. Jest niezawodna i wymaga niewielkiego nakładu środków – zaklęcia można wypisać bądź też, z jeszcze lepszym skutkiem, nagrać na płytę...*

Fragment raportu przygotowanego na polecenie pułkownika Hilary'ego

Był to poranek ostatniego ciepłego dnia. Słońce wyglądało zza chmur jak zza przydymionego szkła, a w nieruchomym powietrzu czuło się zapowiedź kolejnej burzy i choć radio podało, że dobra pogoda utrzyma się aż do wieczora, niektórzy, wychodząc z domów, na wszelki wypadek zabierali ze sobą parasole.

Jedną z takich osób była zielonoskóra Rashmi. Parasol zawiesiła na przegubie, bo obie ręce miała zajęte: w jednej dźwigała siatkę z zakupami, drugą ścisnęła dłoń mniej więcej dwuletniego chłopca. Wokół nich, niczym mały meteor, krążyła niewiele starsza dziewczynka.

— Patrz, mamó, martwy ptaszek! Patrz!

— Zostaw go! — warknęła odrobinę zbyt ostro. Dziecko z ociąganiem porzuciło leżącą na chodniku kupkę piór.

— Co mu się stało? Dlaczego umarł?

— Był chory.

— Na co?

— Nie wiem.

— A kto wie?

— Pan weterynarz, doktor od zwierzątek.

— Potrafiłby go wyleczyć, żeby nie umarł?

— Chyba tak.

— A jak by go wyleczył?

Boże, daj mi siłę, westchnęła w duchu Rashmi. Ręka, w której trzymała siatkę, zaczęła drętwieć, pętelka parasola wrzynąła się boleśnie w skórę. W dodatku nimfa musiała dostosować rytm kroków do tempa drepczącego tuż obok synka i zanosilo się na to, że do domu dotrą nie wcześniej niż za pół godziny. Mamrocząc pod nosem, przeklęła opiekunkę, która wystawiła ją do wiatru. Już ona policzy się z tą dziewczyną.

— Mamo?

— Nie wiem, kotku, spytaj tatę, jak wróci do domu — użyła ostatecznego argumentu, który zazwyczaj skutkował. Jej mąż wykazywał w stosunku do dzieci znacznie więcej cierpliwości, co czasem budziło w niej wyrzuty sumienia. No ale on nie użerał się z nimi przez cały dzień z wyjątkiem tych nielicznych chwil, gdy przychodziła opiekunka i Rashmi mogła wreszcie trochę odpocząć. Kochała swoje dzieci, ale ich niewyczerpana energia doprowadzała ją do rozpacz.

— Mamo, chce mi się pić! — Dziewczynka szarpnęła ją za rękaw.

— Nie możesz poczekać, aż będziemy w domu?

— Nie, chce mi się pić, proszę!

Westchnęła jeszcze raz, tym razem głośno. Butelka z sokiem leżała na samym dole siatki.

Na szczęście znajdowali się kilka kroków od miejsca, które get-teimczycy szumnie nazywali „placem”, choć był to w istocie odrobinę szerszy odcinek ulicy. Pomiedzy klombami stało tu kilka ławek. Rashmi położyła siatkę na jednej z nich, potem z ulgą zsunęła z nadgarstka pętelkę parasola. Na skórze pozostał głęboki, nabiegły krwią ślad. Rashmi roztarła go, krzywiąc się z bólu.

— Mamo! — ponagliła ją dziewczynka.

— Już, już, kochanie.

Rzuciła spojrzenie na chłopca, który przestępował z nogi na nogę.

— Chcesz siusiu? — zapytała podejrzliwie.

— Nie.

— Na pewno?

— Nie chcę.

Bynajmniej nieuspokojona pochyliła się nad siatką. Na ławce łądowały kolejne produkty: mleko, proszek do prania, dwa kawałki czekoladowego ciasta zawinięte w papier, ser...

— Patrz, mamo, ptaszki! Fruwają i żyją!

Wymamrotała coś w odpowiedzi. Jej policzek musnął zimny powiew wiatru. Będzie padać, pomyślała i odruchowo spojrzała w górę.

Ponad jej głową krążyło stado mew. Wirowały w milczeniu, niemal wpadając jedna na drugą niczym schwymane w snop światła ćmy. Rashmi poczuła ukłucie niepokoju.

Wtem jedna z mew zniżyła lot, zamachała kilka razy skrzydłami, a potem runęła na ziemię. Lepki dźwięk kojarzył się z odgłosem spadającej soczystej gruszki. Plask, następny ptak uderzył o oparcie ławki, zostawiając na nim smugę w kolorze dżemu truskawkowego. Nimfa oprzytomniała. Zapominając o zakupach, chwyciła dzieci i wpadła do najbliższego sklepu. W drzwiach zderzyła się ze starszą panią, która wybiegała na ulicę.

Rashmi ostrożnie postawiła dziewczynkę na ziemi, a chłopca, który rozplakał się nagle, przycisnęła do piersi. Wciąż oszołomiona, na wpół świadomie rejestrowała szczegóły otoczenia.

Zapach, ten zapach... Duszny, ciężki, trochę przywodzący na myśl stajnię z nieświeżym sianem, a trochę pełną szcurów piwnicę.

Znajdowała się w sklepie zoologicznym. Za jej plecami w półmroku stały klatki, w których niespokojnie poruszały się zwierzęta.

— Proszę pani — staruszka wróciła do sklepu — proszę pani, moje ptaki... Moje piękne ptaki...

Rashmi podeszła do klatek. Te z ptakami stały najwyżej, ponad pustynnymi skoczkami, myszami czy chomikami. Były tu papugi,

kanarki i gołębie, a nawet jeden gawron.

Wszystkie martwe.

\* \* \*

Meric siedzi przy otwartych drzwiach, wiatr burzy mu włosy, jego słowa giną w warkocie śmigła. A może w ogóle nic nie mówi, może tylko porusza ustami do wtóru myśli. Daleko w dole widać zielone i żółte pola poprzecinane brązowymi nitkami dróg, po których poruszają się figurki śmiertelników, maleńkie z tej wysokości jak mrówki.

Aelis korzysta z okazji, że mężczyzna przymknął oczy, i przygląda mu się do woli. Zauważa czerwone pajęczki pękniętych naczynek oraz wyraźne obrzmienia pod oczami – ślady, jakie pozostawia zbyt wiele alkoholu i zarwanych nocy. Zaskakujące, ale wszystko to odbiło się jedynie na fakturze skóry, bo rysy Merica wciąż są łagodne niczym u zmęczonego dziecka. Przez kilkanaście lat brał udział w zabawach do białego rana i nie stracił przy tym ani odrobiny niewinności. Nie zależało mu, myśli Aelis i wie, że ma rację. Meric bawił się do późna i pił, bo wszyscy tak robili, ale jednocześnie pozostawał obojętny i gdy przyszedł czas, zerwał z tym życiem bez odrobiny żalu. Tak naprawdę na niczym mu nie zależy, powtarza Aelis w myślach, zmieniając czas z przeszłego na teraźniejszy. Ani na nikim. Wszyscy bez wyjątku uważają go za sympatycznego i powszechność tej opinii skrywa w sobie to, że nikt nie jest mu wystarczająco drogi, by z jego powodu być niemiłym dla kogoś innego. Dla Merica liczy się jedynie uratowanie Getteim, ale przecież jego rola już się skończyła, zapłacił Andresowi i wie, że detektyw uczyni wszystko, aby znaleźć anioła. Teraz Meric już nic nie może zrobić, teraz może...

Mężczyzna otwiera oczy, spogląda na Aelis i mówi coś. Tym razem dziewczyna słyszy jego słowa, słyszy je bardzo wyraźnie, każde z nich uderza w nią jak kamień. Meric odwraca się w stronę otwartych drzwi i wychyla w przód. Jeszcze przez chwilę Aelis widzi jego profil rysujący się ostro na tle bladobłękitnego nieba, półprzymknięte oczy, lekki uśmiech na ustach, a potem Meric

pochyla się jeszcze bardziej, traci równowagę i wypada, wciąż uśmiechnięty, a ona próbuje się poderwać, choć nogi ma ciężkie jak z żelaza, wrzask wypełnia jej gardło, na skórze czuje ciepło słońca, a w żołądku ciężar osuwania się w dół, coraz szybciej i szybciej...

Usiadła oszołomiona i spocona, z własnym krzykiem rozbrzmiewającym w uszach. Policzek miała mokry od śliny, która wyciekła z kącika ust, a w jej żołądku wciąż rozlewało się mdlące uczucie spadania. Dopiero gdy minęły zawroty głowy, pojęła, że siedzi na trawniku przed „Migdałowcami”, pseudoarleńską gospodą, w której Maxim i jego kompani uparli się zatrzymać. Niedaleko stał gotów do dalszej drogi helikopter. Na samą myśl, że miałyby znów do niego wsiąść, Aelis zrobiło się niedobrze.

Uspokoił ją chłód ziemi, który wyczuwała pod dłońmi.

— Co ci się stało? — zapytała ładna blondynka, ta sama, która poprosiła maga o wygląd elfki. Jak ona się nazywała? Inga? Isa? Zresztą mniejsza z tym.

— Miałam zły sen. — Aelis wytarła policzek, a potem załzawione oczy. Śnił jej się Meric, wciąż jeszcze pamiętała to niesamowite wrażenie, jakby zajrzała wprost do jego głowy i poznała wszystkie myśli, pamiętała też jego słowa... Właśnie, co takiego powiedział? Miała to na końcu języka, lecz wspomnienie blakło z każdą minutą – im mocniej starała się je schwytać, tym bardziej cofało się w głąb umysłu. Jeszcze przed chwilą tylko sekunda dzieliła ją od poznania czegoś bardzo ważnego, teraz nie była nawet pewna, czy coś takiego w ogóle istnieje. Senny koszmar pozostawił po sobie jedynie niepokój i parę oderwanych obrazów, wśród których najbardziej wyrazistym był profil Merica na tle bladobłękitnego nieba.

— Zaraz będziemy się zbierać. — Jasnowłosa wciąż patrzyła na nią ze skrywaną troską. — Przynieść ci coś do picia?

— Nie trzeba. — Aelis wstała i odetchnęła głęboko. Dzień był ciepły jak na jesień i wyjątkowo duszny, a ona niepotrzebnie siedziała w słońcu. Od gorąca zawsze morzył ją sen. Żałowała, że nie weszła razem ze wszystkimi do gospody – tam było chłodniej, a hałas i tłok mogłaby jakoś znieść.

W drzwiach gospody pojawił się Maxim wraz ze swymi przyja-

ciółmi. Za nimi szedł Meric; jego powaga odcinała się wyraźnie od rozbawienia reszty towarzystwa. Mimo to nie wyglądał na smutnego, uśmiechnął się nawet na widok Aelis.

— No to jeszcze parę minut i jesteśmy w domu — powiedział.

Potrząsnęła głową. Niezależnie od wszystkich uśmiechów Merica ona nie miała zamiaru z powrotem wsiąść do śmigłowca.

— Dziękujemy bardzo, że nas ze sobą zabraliście, ale dalej pójdziemy pieszo — zwróciła się do Maxima, który zamrugał, zaskoczony nie tyle treścią, ile oficjalnym tonem tych słów. — Stąd do mostu jest już niedaleko. Poradzimy sobie.

Młodzieniec spojrział niepewnie na Merica. Aelis dobrze знаła ten odruch – gdy podejmowała decyzję, większość osób potrzebowała jeszcze potwierdzenia od jakiegoś jej dorosłego towarzysza. Tak czasem reagowali nawet ci, którzy wiedzieli, że Aelis w rzeczywistości jest znacznie starsza, niż wskazuje na to jej wygląd, a Maxim mógł co najwyżej tylko to podejrzewać.

Czekała cierpliwie, starając się nie okazywać urazy.

— Aelis ma rację — powiedział Meric. Nie wyglądał na zdziwionego, choć przecież nie mógł się tego spodziewać. — Lepiej będzie, jeśli dalej pójdziemy pieszo.

\* \* \*

Meric pierwszy zauważył, że koła wozów jadących od strony Getteim są oblepione krwią i piórami. Odruchowo spojrział w górę. Stado ptaków zmierzało właśnie w stronę miasta. Tuż przed granicą kilka z nich zawróciło, pozostałe natomiast zaczęły zataczać nad rzeką chaotyczne, ciasne kręgi.

Zerknął na zegarek i poczekał, aż większa wskazówka przeskoczy dwa miejsca. Trzecią minutę odliczył już osobiście, najpierw cicho mrużąc pod nosem, potem stopniowo podnosząc głos. Gdy doszedł do czterdziestu, Aelis spojrzała na niego zdziwiona. Wskazał jej ptaki, nie przerywając odliczania.

— Czterdzieści dziewięć... pięćdziesiąt... pięćdziesiąt jeden...

Ptaki w upiornej ciszy runęły do rzeki. Żaden z nich nawet nie krzyknął, jakby umarły, jeszcze zanim ich ciała zetknęły się z wodą.

— Trzy minuty — powiedział Meric. — No, mniej więcej trzy minuty. Mam wrażenie, że anielska pułapka, która nie pozwala Arleńczykom przekraczać granicy z Tanagrą, a Tanagryjczykom granicy z Arlenem, zabija teraz wszystkie ptaki, które znajdą się w obrębie Getteim.

Drogą od strony miasta nadjeżdżał granatowy samochód, trąbiąc przeraźliwie na jadących przed nim woźniców. Meric i Aelis zeszli na pobocze. Przednia szyba auta była pokryta siateczką pęknięć i brudna od krwi, niewątpliwie ptasiej. Kierowca miał zaciętą minę, siedząca obok niego kobieta płakała cicho, tuląc do piersi wyrwywającego się kota. Na tylnym siedzeniu pięturył się stos powrzuconych na chybił trafił rzeczy, wśród których był nawet kwiatek w doniczce.

Im bardziej Meric i Aelis zbliżali się do mostu, tym częściej wołano do nich, by zawrócili. Padały ostrzeżenia, pełne zdumienia pytania, nawet mało wybredne żarty. Aelis szybko przestała odpowiadać, Meric poddał się chwilę później. W milczeniu brnęli pod prąd, od czasu do czasu uskakując przed szybszymi i cięższymi samochodami. Dwa razy zepsute wozy omal nie zatarasowały drogi, ale na szczęście Arleńczycy, choć krzykliwi i skłonni do kłótni, w potrzebie potrafili się zdobyć na współpracę. Wozy ściągnięto na pobocze, a ich właściciele siedzieli teraz na trawie obok resztek swego dobytku. Dorośli mieli poszarzałe, pełne troski twarze, dzieci natomiast wyglądały na przestraszone, ale i podniecone niezwykłą sytuacją.

Gdy dotarli do Gette, Aelis odwróciła wzrok. Rzeką pośród brudnej piany spływały martwe ptaki. Liczące kilkanaście sztuk stado mew, parę gołębi, wyrzucone przez właścicieli kury i gęsi, a nawet jedna wściekle kolorowa papuga. Kilka ciał utknęło w przybrzeżnych krzakach i zaczynało już cuchnąć, przyciągając roje zielonych much.

Także na moście sporo było ptasich zwłok. Konie boczyły się, niechętnie stąpając pomiędzy nimi, koła rozcinały je i miażdżyły. Co jakiś czas ktoś zeskakiwał z wozu i zamaszystym kopniakiem odrzucał jakiegoś wyjątkowo dużego ptaka w bok, wprost do rzeki albo na chodnik dla pieszych.



Aelis wyjęła chusteczkę, przyłożyła ją do nosa i z determinacją weszła na most. Jak najszerszym łukiem omijała plamy krwi i pie-rzaste szczątki, myśląc o swoich nagich kostkach oraz o maleńkich, ostrych pazurach przy maleńkich, sztywnych łapkach. Wtem ktoś kopnął jej pod nogi martwą mewę. Ciało, które sprawiało wrażenie nienaruszonego, na jej oczach rozwarło się, wypuszczając wstęgi różowych wnętrzości. Cofnęła się gwałtownie i w tym momencie bryzgająca spod kół wozu krew ochlapała jej kostkę. Przypływ obrzydzenia wstrząsnął dziewczyną i wyrwał jej z gardła cichy okrzyk.

— Nie przejdę tędy. — Odwróciła się do Merica. — Nie przejdę...

— Przeniosę cię — powiedział. A ponieważ widział, że Aelis czuje się głupio, dodał — mam zakryte buty, nie sandały, więc będzie mi łatwiej.

Wdzięczna za usprawiedliwienie, pozwoliła, by wziął ją na ręce. Przez całą drogę miała zamknięte oczy – nie otworzyła ich nawet wtedy, gdy usłyszała tuż obok miękkie plaśnięcie i zgadła, że z nieba spadł kolejny ptak.

\* \* \*

— Hej, ty tam... — Ivon ukląkł z trudem i pochylił się, niemal dotykając policzkiem brudnej podłogi, po czym zajrzał do ciemnej celi. — Mam coś dla ciebie, patrz.

Wsunął przez otwór świecę oraz paczkę zapalek. Po chwili w celi zapłonął nikły ogienek i starzec ujrzał niesamowicie brudną, niemal czarną twarz, od której odcinała się biel gałek ocznych. Na widok tych oczu – dużych i niewątpliwie bardzo ładnych – zrobiło mu się ciepło na sercu.

— Ścian i tak nie podpalisz, nie ma mowy, za wilgotne są — wymruczał usprawiedliwiająco nie wiadomo do kogo. — Tylko sobie krzywdy nie zrób, bardzo proszę, bo mi łeb za to ukręca.

W celi panowało milczenie, Ivon nie spodziewał się zresztą odpowiedzi. Westchnął i zaklął, gdy w jego krzyżu coś strzyknęło. Był już za stary na takie wygibasy, a klęczenie na zimnej podłodze

źle wpływało na reumatyzm. Mimo to nie wstał.

— Lubię cię, wiesz. — Odchrząknął, starając się odzyskać choć odrobinę pewności siebie. Wielkie, śliczne oczy wciąż gapiły się na niego z mroku. Ivon prócz współczucia czuł także coś w rodzaju ni to pokory, ni nabożnego lęku. Był stary, brzydki, od dzieciństwa przywykły, by uważać się za gorszy rodzaj człowieka, a oto miał przed sobą wcielenie piękna, młodości i budzącego litość nieszczęścia.

— Pomógłbym ci, gdybym mógł. Naprawdę bym ci pomógł, tyle że nie mogę. Rozumiesz?

Nie był całkowicie szczery. Miał przecież klucz i w każdej chwili mógł otworzyć drzwi. Pamiętał jednak o elfie, który zabrał go z ulicy, dał dach nad głową, a nawet trochę pieniędzy, dzięki czemu Ivona stać było na coś lepszego niż odpadki, którymi żywił się przez ostatnie lata. Wdzięczność dla dobroczyńcy szybko zmieniła się w lęk, tym silniejszy, że w pojęciu starego Tanagryjczyka każdy przedstawiciel nieludzkiej rasy dysponował magicznymi umiejętnościami. Elf mógł więc odczytać jego myśli, a potem spaść jak burza prosto z nieba i ukarać go za nieposłuszeństwo.

\* \* \*

Aelis rozpakowała się, wykąpała i przebrała. Gdy zapinała ostatni guzik sukienki, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę przekonana, że to Andres, z którym rozmawiała chwilę temu i który pewnie o czymś zapomniał.

— Panna Aelis? — to nie był głos Nataniela, jemu zresztą nie przyszłoby do głowy nazywać ją panną.

— Tak.

— Nazywam się Jasbir Lal i chciałbym z panią porozmawiać. Jestem w tej chwili niedaleko pani domu, mogłaby pani wpaść do Trzech Trójek, powiedzmy, za dziesięć minut i poświęcić mi chwilę czasu? Obiecuję, że zajmę pani najwyżej pół godziny.

— A nie możemy porozmawiać teraz?

— Obawiam się — głos *caudhariego* był nienagannie uprzejmy — że nie jest to rozmowa na telefon.

Aelis chętnie by odmówiła, gdyby tylko znalazła jakiś powód. Znane z opowieści przyjaciela nazwisko nie budziło w niej miłych skojarzeń. Jednak facet był grzeczny i wcale nie natrętny, a do Andresa mieli wpaść dopiero o trzeciej. Teraz była druga.

— Dobrze, będę za dziesięć minut.

Zaciekawiony Meric wyjrzał z łazienki.

— Wychodzę na chwilę — poinformowała go, chwytając plecak.

— Coś ważnego?

— Nie mam pojęcia.

\* \* \*

El wydawała się spokojniejsza i cichsza niż zazwyczaj, a także – co zaskakujące – czystsza. Najwyraźniej służby porządkowe, usuwając z kanałów i chodników martwe ptaki, usunęły także śmieci. Większość sklepików, kawiarni i barów wciąż funkcjonowała, na niektórych wisały nawet kartki z napisami: „Dziś czynne aż do rana”. Aelis zgadywała, że z El wyjeżdżali głównie ci, którzy nie zdążyli jeszcze na dobre się tu osiedlić. Ci, którzy mieszkali w Getteim dłużej i dorobili się większego majątku, najpewniej będą czekać niemal do końca, licząc na cud.

Trzy Trójki były miłą, staroświecką cukierenką. W drzwiach wisały sznurki z nanizanymi kolorowymi paciorkami, które zabrzęczały, gdy Aelis rozgarnęła je dłońmi. Przy niskich stoliczkach siedzieli staruszkowie – głównie ludzie i gnomy, choć dostrzegła też dwóch faunów. Podzieleni na pary, grali w warcaby lub w pikietę, palili fajki i pociągali z filiżanek słodką kawę z kardamonem. Ze strzępków rozmów dziewczyna zorientowała się, że żaden z nich nie wierzy, by aniołowie rzeczywiście zamierzali zniszczyć Getteim. „Zobaczycie, rozejdzie się po kościach”, słyszała zewsząd.

Skierowała się do jedyne go samotnego mężczyzny w całej sali. Jasbir Lal podniósł się, by ją przywitać. Jego ruchy były nerwowe, ale twarz pozostawała spokojna. Oczy za okrągłymi okularami wpatrywały się w Aelis uważnie.

— Napije się pani czegoś? Kawy albo zimnego soku z grana-

tów?

— Może być sok.

*Caudhari* skinął na córkę właściciela, która w Trzech Trójkach pełniła rolę kelnerki. Potem wyjął kilka zdjęć i tasując je niczym karty, beznamiętnym tonem rozpoczął opowieść.

Już wtedy Aelis miała złe przeczucia.

Gdy skończył mówić, pokazał jej fotografie. Przedstawiły dwie martwe dziewczynki i dwóch martwych chłopców. Obejrzała je, koniuszkami palców delikatnie dotykając dziecięcych twarzy. Choć naznaczone wyraźnym piętnem śmierci, nie budziły w niej ani odrobiny żalu. Czas zwolnił bieg, Aelis z radością witała każdą leniwie płynącą sekundę, która dzieliła ją od chwili, gdy Jasbir Lal zada nieuniknione pytanie. Wiedziała już, dlaczego chciał się z nią widzieć.

Argumenty Jasbira Lala były tak oczywiste, że słuchając ich, mogła tylko kiwać głową.

— Niech pani sama pomyśli. Jesteśmy niemal pewni, że dzieciaki coś wiedzą, ale co możemy w tej sytuacji zrobić? Aresztować je i siłą zmusić do mówienia? — głos Jasbira Lala nadal był opanowany, ale teraz pojawiły się w nim leciutkie ślady gwary, jaką posługiwali się Tanagryjczycy z nizin społecznych. Aelis nie była pewna, czy *caudhari* naprawdę się zdradził, czy może świadomie wprowadza do swojego zachowania różne dysonanse. Nie zdziwiłoby ją ani jedno, ani drugie. — Chcieliśmy poprosić o pomoc psychologa, lecz ten z góry zapowiedział, że zdobywanie zaufania takich małolatów potrwa jakiś czas. A my nie mamy czasu. Te dzieciaki za dorosłymi nie przepadają, u nich nawet do dobrego tonu należy żartowanie sobie z policjantów czy wszystkich tych, którzy w taki czy inny sposób chcą im pomóc. Lubią sobie wyobrazać, że są takie cwane i samodzielne, że od nikogo pomocy nie potrzebują. A to oczywiście nieprawda. Jeśli czegoś nie zrobimy, zginie więcej dzieci. Pani może to powstrzymać. Myślę, że zaufają komuś, o kim będą sądzić, że jest w ich wieku, że należy do ich grona. A pani ponadto ma odpowiednie wykształcenie, jest pani psychologiem, potrafi zagadać, przekonać...

— Szczerze mówiąc, zawsze lepsza byłam z teorii niż z praktyki — powiedziała uczciwie.

Jasbir Lal uśmiechnął się lekko. Jego dłonie płynnymi ruchami przesuwały po stoliczku cztery fotografie.

— Wierzę, że pani sobie poradzi. Warto przynajmniej spróbować, nie proszę przecież o wiele.

O bardzo wiele, pomyślała. Andres nigdy by jej o to nie poprosił, choć udając dziecko, nieraz mogłaby mu pomóc. Ale on wiedział, on ją znał i było to jednym z powodów, dla których tak bardzo go lubiła.

— Zgadza się pani?

Żadnych prób dalszego przekonywania, tłumaczenia, jak cenna będzie jej pomoc. Z drugiej strony żadnego też natręctwa czy choćby braku uprzejmości. Aelis byłaby wdzięczna za każdą z tych opcji – w przypadku pierwszej łatwiej byłoby jej znieść ciężar zgody, w przypadku drugiej mogłaby obrazić się i odmówić. Lecz Jasbir Lal nie dał jej szansy ani na jedno, ani na drugie.

Niemal znienawidziła go za to proste pytanie.

Znalazła się w pułapce, bo wiedziała, że cokolwiek wybierze, będzie tego żałować. Jeśli pomoże *caudhariemu*, poczuje się wykorzystana, jeśli odmówi, zadręczy ją sumienie.

Miała ochotę wstać i wyjść, choćby po to, by zrobić Lalowi na złość. Do diabła z sumieniem.

Jednak w ciągu ostatnich dni zawiodła już kilka razy. W magicznym lesie, przez który nie potrafiła przejść, w czasie rozmowy z Nicodemusem, a w końcu na moście, gdy stchórzyła przed martwymi ptakami. Była kiepską imitacją dorosłej, opanowanej kobiety, może więc przyda się na coś jako dziecko?

Wolno skinęła głową.

— W porządku, zrobię to.

W zamian otrzymała podziękowanie tak suche, że natychmiast do jej gardła wspięła się fala gorzkiej złości. Dziewczyna była na to przygotowana, a jednak już żałowała podjętej decyzji.

\* \* \*

Po południu Nataniel Andres pojechał do Indil, która obiecała pomóc w poszukiwaniach anioła, Meric został w domu, Aelis nato-

miast udała się do domu towarowego Aymella.

Kawałek płynęła tramwajem wodnym, a potem, nie doczekawszy się autobusu, poszła pieszo. W Północnym Kwartale panował podszyty nerwowością spokój. Ruch był mniejszy niż zazwyczaj, za to przy ławkach i na schodkach sklepików zbierały się grupki dyskutantów, którzy milkli, gdy podchodził do nich ktoś obcy. Przed Domami Bożymi wisiały ogłoszenia zapowiadające dodatkowe modlitwy „w intencji ocalenia miasta”, a po ulicach wałęsały się dzieci i nastolatki w różnokolorowych mundurkach – był dzień popołudniowych lekcji i małe dzieci powinni być w szkole, ale najwyraźniej albo zostali zwolnieni, albo zrobili sobie wagary, uznawszy, że wobec nadciągającej zagłady nie warto przejmować się nauką. Tłoczno było w barach i kawiarniach, gdzie goście schodzili się nie tylko po to, by wypić drinka, ale przede wszystkim by posłuchać najświeższych plotek.

We wszystkich knajpach centrum zainteresowania stało się radio. Mijając otwarte drzwi, Aelis słyszała kolejne komunikaty: *Największy ruch na obu mostach panował około godziny drugiej, potem fala uciekinierów zaczęła maleć. Większość wciąż liczy... .. dodatkowe autobusy...*

*... na razie nie ma mowy o wprowadzeniu godziny policyjnej, jedynie...*

\* \* \*

W Domu Towarowym Aymella Aelis udała się prosto do działu dziecięcego, gdzie znalazła rząd wieszaków opatrzony podpisem: Dziewczynki, wiek 10–12 lat. Bez namysłu chwyciła pierwszą z brzegu sukienkę. Nawet na nią nie spojrzała, z góry założywszy, że i tak jej się nie spodoba.

Chwilę później stała w przebieralni, powstrzymując cisnące się do oczu łzy. Nie sądziła, że będzie aż tak źle.

Aelis lepiej niż ktokolwiek wiedziała, jak wielkie znaczenie dla samopoczucia ma odpowiedni strój. Człowiek ubrany elegancko jest pewny siebie i swobodny, człowiek ubrany idiotycznie czuje się gorzej, niż gdyby był nagi.

W każdym razie ona wolałaby być naga, niż nosić tę kretyńską żółtą sukienkę z czerwonymi falbankami. Kto, u diabła, kupiłby coś takiego swojej córce? Czuła, jak policzki płoną jej na samą myśl, że miałaby w tym wyjść na ulicę. Młoda kobieta, za jaką przywykła się uważać, zniknęła bez śladu, zamiast niej na Aelis patrzyło z lustra upokorzone, nieszczęśliwe dziecko.

— Wszystko w porządku, kochanie? — z za przepierzenia dobiegł głos ekspedientki. — Może w czymś ci pomóc?

— Nie trzeba! — odkrzyknęła, walcząc z narastającym w gardle uciskiem. Jeszcze tylko brakowało, żeby teraz się rozpląkała.

Raz jeszcze spojrzała na żółtą sukienkę i z ulgą uświadomiła sobie, że nie musi, a nawet nie powinna jej kupować. Dzieciaki z Dworca Wschodniego wyśmiałyby ją, gdyby zjawiała się wśród nich tak ubrana. Potrzebowała czegoś w stylu nastolatek, które lubią się uważać za dorosłe.

Oddała żółtą sukienkę, po czym znalazła skórzaną spódniczkę, bardzo krótką i bardzo różową, oraz puszysty sweterek z głębokim dekoltem. Były tak wulgarne, że w przymierzalni Aelis niemal z lękiem spojrzała w lustro.

Wstrzymała oddech.

Wyglądała... ładnie. Choć nie, to chyba nie było odpowiednie słowo. Przywykła do własnej urody i samo to, że wyglądała ładnie, nie robiło na niej wrażenia. Teraz było w niej jeszcze coś dwuznacznie erotycznego – dorosła kobieta w ciele dziecka przebranego za dorosłą kobietę. Podwójny kamuflaż, podwójna dawka niepokojącej seksualności.

Wysoko na odsłoniętych udach poczuła powiew zimnego powietrza i z trudem opanowała chęć, by obciągnąć spódniczkę. Będzie się musiała przyzwyczaić do takiego stroju.

Serce biło jej szybko, usta i gardło miała wyschnięte. Z lustra spoglądały na nią rozszerzone strachem i podnieceniem zielone oczy. Wkraczała na zakazany teren, wiedziała o tym.

Wiedziała też, że nie powinna tego robić.

Zacisnęła dłonie w pięści. Przekonanie, że stanie się coś złego, było równie silne, co irracjonalne. Sztywna z przerażenia, wpatrywała się w lustro. Nawet teraz – zwłaszcza teraz – blada i wystra-

szona, wciąż była... ładna.

Zmusiła się do zaciśnięcia powiek, po czym powoli policzyła w ciemności do dwudziestu. Pomogło. Z trudem, ale pomogło. Odrzuciła myśl, by zadzwonić do *caudhariego* i się wycofać. Była przecież dobrze wychowaną, grzeczną panną, a takie nie łamią słowa z powodu ataku paniki w damskiej przebieralni.

\* \* \*

Indil zapewniła, że od jutra w mieście pojawią się plakaty z twarzą Joela, radio zacznie nadawać komunikaty, a w wynajętym biurze przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przebywać będą osoby odpowiedzialne za odbieranie telefonów i odsiewanie informacji bzdurnych od obiecujących.

Andres podziękował uprzejmie.

Wszystko było ustalone, nie zostało nic do powiedzenia.

Nataniel nawet nie postarał się o pretekst, który usprawiedliwiłby przedłużającą się wizytę. Po prostu tkwił przy oknie, wpatrując się w powoli zapadający zmrok. Rozmowa kulała coraz bardziej – najwyraźniej Indil nie zamierzała niczego mu ułatwiać. Uśmiechała się tylko i potakiwała. Była w niej nietypowa dla jej wcześniejszego zachowania bierność, jakaś podszyta odrobiną kpiącego rozbawienia, leniwa uległość.

Coraz bardziej plątał się w odpowiedzi na proste pytanie, dlaczego właściwie przyjechał do Getteim. W końcu urwał i zamilkł.

Elfka podeszła i stanęła tuż za nim, tak blisko, że poczuł zapach jej ciepłej skóry: drzewo sandałowe, jakieś kwiaty i świeży pot. Nawet wtedy się nie odwrócił.

— Nie przypominasz większości Tanagryjczyków, którzy przyjeżdżają do Getteim — powiedziała. Jej oddech delikatnie łaskotał go w ucho. — Oni przyjeżdżają tu, bo są zafascynowani kulturą arleńską lub magią, która pociąga ich i zarazem budzi lęk. W tobie nie ma tej dwoistości, magię traktujesz całkiem zwyczajnie, jak coś, czego wprawdzie ty sam nie rozumiesz, ale co nie jest niczym niezwykłym. Kultury arleńskiej też nie lubisz, można to poznać choćby po twoim stroju, który jest tak demonstracyjnie tanagryjski, jak



tylko można. W mieście, gdzie każdy choć trochę snobuje się na Arleńczyka, to dość niezwykle.

— A więc zapytaj mnie, dlaczego tak naprawdę przyjechałem do Getteim — wymruczał. — Zapytaj, przed czym uciekam, to, zdaje się, ulubione pytanie tych, którzy lubią dłużyć innym przy duszy.

Odwrócił się. Wargi Indil rozciągał lekki uśmiech, a w jej oczach była obietnica tak wyraźna, że tylko idiota by jej nie zauważył. Nataniel Andres nie był idiotą. Paraliżowała go świadomość, kim jest ta kobieta. Jej niesamowite, niemal bajkowe bogactwo i sława. Setki tysięcy mężczyzn, którzy na każde skinienie gotowi byli lizać jej stopy. Świat, w którym żyła, tak odmienny od jego świata. I przede wszystkim lata doświadczeń, o których zupełnie nie miał pojęcia, dziesiątki lat, bo przecież była znacznie starsza od niego. Rozbawiona, łagodna i chętna Indil nigdy jeszcze nie wydawała mu się tak obca jak w tej właśnie chwili.

— Nie mam zamiaru pytać o nic takiego. — Odsunęła się od niego.

Właściwy moment minął i Andres z żalem zmusił się, by wyduśić słowa pożegnania.

\* \* \*

— Nie rób tego, proszę... — powiedział cicho.

Sądziła, że się na nią wścieknie, przygotowała sobie nawet argumenty do kłótni. Dobre argumenty, takie, które łatwo przechodzą od racjonalnego spokoju – przydatnego, by udowodnić swoją wyższość nad wrzeszczącym przeciwnikiem – aż do emocjonalnej, raniącej złości – przydatnej z kolei, jeśli wszystko inne zawiedzie i będzie musiała trzasnąć drzwiami i wyjść. Nie spodziewała się, że Nataniel po prostu ją poprosi. Jego słowa w jednej chwili zniszczyły cały pracowicie zbudowany plan, pozostawiając ją całkowicie bezbronną. Siedziała teraz w mieszkaniu Andresa, mamrocząc w kółko te same zapewnienia: że już obiecała *caudhariemu* pomoc, że to tylko kwestia paru godzin i jeśli w tym czasie nie dowie się niczego, da sobie spokój. Że to wcale nie jest niebezpieczne, przecież nie jest małym dzieckiem i poradzi sobie, a poza tym – to powtórzyła kilka

razy – być może porywacza już nie ma w Getteim, tyle osób wyjechało, to mógł wyjechać i on, czemu nie.

Wszystkie te rozsądne argumenty budziły w Aelis poczucie winy. Nataniel się o nią troszczył, a ona chciała przysporzyć mu zmartwień. Na prośbę obcego człowieka pakowała się w kłopoty, choć mieli dość własnych.

Starannie unikała wzrokiem zarówno Andresa, jak i Merica, który stał w drzwiach pokoju, jak zawsze uprzedzająco grzeczny, gotów wycofać się w każdej chwili, jeśli tylko ktoś go o to poprosi albo jeśli rozmowa stanie się zbyt osobista.

— Powiedz coś, Meric — w głosie Andresa zabrzmiało rozdrażnienie. — Nie stój tak i nie gap się jak akolita w kabarecie. Spróbuj przemówić jej do rozsądku.

Dziewczyna zacisnęła pięści i wstrzymała oddech w oczekiwaniu na odpowiedź.

— Ona ma rację, Natanielu. Jeśli tylko może jakoś pomóc, to powinna to zrobić. Giną przecież małe dzieci.

Paznokcie wbiły się w miękką skórę wnętrza dłoni. Mogła się tego spodziewać.

Andres był egoistą, który dbał tylko o dobro własne i swoich przyjaciół, Meric natomiast należał do tej samej co Aelis szkoły, która twierdziła, że należy działać dla dobra całego społeczeństwa. Trzeba pomagać nieznanym starszkom przechodzić przez jezdnię, rzucać pieniądze nieznanym żebrakom, a także ratować nieznanome dzieciaki przed porwaniem i śmiercią. Decyzja Aelis była dla Merica naturalna i zrozumiała, choć on sam ową cnotę altruizmu pielęgnował raczej w teorii niż w praktyce.

Dziewczyna sama niedawno użyła dokładnie tego samego argumentu, lecz teraz, gdy usłyszała go z ust Merica, odczuła to jak zdradę. Wcale nie chciała jego poparcia. Pragnęła, żeby zaprotestował, udowadniając w ten sposób, jak bardzo mu na niej zależy.

Jeszcze nie bolało tak bardzo, jak będzie boleć za chwilę, ale już czuła, że zaczynają ją dusić łyzy. Potrzebowała odrobiny samotności; teraz równie mocno raniła ją troska Andresa, jak i zdystansowana uprzejmość Merica.

Gdy pożegnała się i wyszła, Nataniel spojrział na drugiego męż-

czynnę. Coś w jego wzroku sprawiło, że Meric zaczął się tłumaczyć.

— Da sobie radę — powiedział niepewnie. — Wbrew pozorom nie jest przecież dzieckiem i nie powinniśmy jej traktować, jakby nim była. A poza tym sam widziałeś, że jest zdecydowana, żadne argumenty na nią nie działały. Nie zdołalibyśmy jej przekonać.

— Ja bym nie zdołał — poprawił Andres. — Ty mógłbyś zrobić i to bez żadnego trudu.

\* \* \*

Gdy Nataniel Andres został w mieszkaniu sam, najpierw zaklął, a potem uderzył pięścią w ścianę. Potem zrobił jeszcze raz to samo, czując, jak narasta w nim lęk. Resztki złości wyciekały z niego jak krew ze zranionego ciała, a na jej miejsce napływał mroczny, ciężki smutek.

Coraz bardziej go to przerażało. Chciał, musiał się wściec, na Merica albo na samego siebie, wszystko jedno. Wściekłość była dobra, pozwalała działać i walczyć. Zamiast niej czuł gęste od złych myśli przygnębienie, w którym nic pozytywnego nie było.

Ktoś inny na jego miejscu uznałby to za przeczucie nadchodzącego nieszczęścia, ale Nataniel Andres stwierdził po prostu:

— Wygląda na to, że zaczynam się starzeć. No i co z tego?

Rzucone nadchodzącym latom wyzwanie, w zamierzeniu lekkie i kpiące, zabrzmiało ponuro. Spojrzał na swoje odbicie w szybie. W oczach miał zabobonny lęk, jakiego nie wzbudziłyby w nim wszystkie przeczucia świata.

Sięgnął po telefon.

Dłonie miał spocone, a serce wciąż biło mu odrobinę zbyt szybko, ale teraz był to dobry, zdrowy strach, taki, w którym znaleźć można sporo nadziei.

Tym razem Indil odebrała osobiście, i to już po dwóch sygnałach. Zupełnie jakby spodziewała się tego telefonu. Jakby na niego czekała.

\* \* \*

Meric zatrzymał się obok automatu z batonikami, wrzucił monetę i nacisnął guzik. Przy jego ulubionym orzechowym wyświetlił się napis BRAK, więc spróbował z innym. Wysunęła się tacka, niestety, pusta, choć batonik powinien być dostępny. Mechanizm najwyraźniej się zaciął.

Meric przysunął nos do blaszanego pudła, szukając informacji, w jaki sposób może odzyskać pieniądze. W latarni, przy której stał, brakowało żarówki, więc najbliższym źródłem światła był pulsujący czerwono-żółty neon baru. Rozpraszał nieco mrok, ale też mylił oczy, rzucając na ścianę automatu i na chodnik migotliwe plamy blasku, z których każda tworzyła dziesiątki bladych cieni.

Ktoś stanął za plecami Merica i cienie znikły wchłonięte przez jeden olbrzymi.

Mężczyzna odwrócił się pospiesznie.

— Musimy porozmawiać — powiedział wysoki, szczupły anioł, którego Meric znał pod imieniem Eliela. — Musimy koniecznie porozmawiać.

\* \* \*

Aelis założyła krótką różową spódniczkę i obcisły sweterek. Potem zapaliła lampkę przy toalecie i zrobiła sobie makijaż. Oczywiście też różowy, w dość ładnym, intensywnym kolorze fuksji, który tak lubiły niedorosłe panienki. Podkreśliła kształt oczu, wytuszowała rzęsy, pociągnęła błyszcznikiem po wargach. Charakterystyczny kształt kości policzkowych zamaskowała odrobiną pudru. Lepiej, jeśli nikt się nie domyśli, że ma w sobie elfią krew.

Rzeźbiła swoją twarz starannie, z odrobiną chłodnego podziwu, jakby ta twarz wcale nie należała do niej. Aelis z różowym makijażem i gęsią skórą na wysoko odsłoniętych udach sama sobie wydawała się nieprawdziwa, niczym postać z teatralnego przedstawienia.

Posłała własnemu odbiciu blady uśmiech. Była ósma wieczorem – pora wcale nie zbyt późna, by wybrać się na Dworzec Wschodni.

\* \* \*

— Cóż, myślę, że będę musiała uznać to za rodzaj nowego, interesującego doświadczenia — oznajmiła Indil, rozglądając się wokół. Parsknęła, ale w jej głosie nie słyhać było prawdziwej złośliwości, więc Nataniel Andres nie zamierzał się przejmować.

Patrzył dumnym wzrokiem posiadacza na jej nagie ciało rozciągnięte w bezwstydney pozie na wąskim tapczanie.

Jeszcze przed kilkoma godzinami sama myśl o Indil w jego skromnym, zabałaganionym mieszkaniu doprowadziłaby go na skraj paniki. Ale to było przed dwiema godzinami, zanim odważył się do niej zadzwonić, a ona zgodziła się przyjechać, tak po prostu i naturalnie, jakby nie było w tym nic niezwykłego. Ocaliła go przed samotnością i paskudnymi myślami, ofiarowała seks bez zobowiązań, wysłuchiwała, rozbawiła paroma celnymi żartami i z wdziękiem przyjęła brak gorącej wody w łazience.

Gdyby Andres miał dziesięć lat mniej, pewnie by się w niej zakochał.

Wszystko robiła z niefrasobliwą szczodrością osoby, która sama ma bardzo wiele, więc i wiele może dać. Nataniel Andres, kiedy pożądanie przestało przyćmiewać mu umysł, doszedł do wniosku, że bardzo ją lubi. Zdziwiło go to, ponieważ sympatia była ostatnim uczuciem, o jakie mógłby samego siebie podejrzewać. Fascynacja – owszem, podziw – czemu nie, ale nie zwyczajna sympatia. Co prawda, nadal daleki był od zrozumienia elfki. W chwilach miłosnych uniesień Indil wciąż zachowywała odrobinę dystansu, która nie pozwalała mu zapomnieć, z kim ma do czynienia. Tyle że teraz owo uczucie obcości nie było już obezwładniające, lecz na swój sposób miłe, niczym pikantna przyprawa dodana do potrawy.

— No więc może teraz powiesz mi, przed czym uciekasz?  
— Indil przewróciła się na brzuch i pomachała w powietrzu nogami.

Nogi miała bardzo piękne, za to plecy odrobinę zbyt szczupłe, z wystającymi łopatkami, co zazwyczaj skrywały dobrze skrojone suknie. Andresowi podobały się jej łopatki – czyniły ją istotą z krwi i kości, a nie idealnym fantomem filmowego ekranu.

— Nie ma wiele do powiedzenia — wymruczał.

Bo właściwie o czym miałyby mówić? Nie lubił uważać się za cierpiętnika, choć może i miałyby do tego niejakię prawo. Dzieciń-

stwo spędził w sierocińcu u Czerwonych Sióstr. To właśnie jedna z nich nadała mu pechowe, anielskie imię. Zrobiła to w akcie czystej złośliwości – tego dnia była wyjątkowo zapracowana i przy kolejnym wrzeszczącym podrzutku doszła do wniosku, że ma wszystkiego dość i musi się na kimś wyładować. Raz wpisanego do dokumentów imienia nie dało się już zmienić, ale ostatecznie Andres nie wyszedł na tym źle. Siostra była dość przyzwoitą kobietą, a ponieważ dręczyło ją poczucie winy, małego Nataniela traktowała lepiej niż pozostałych wychowanków. Dodatkowa porcja sympatii to było sporo w miejscu, gdzie na jakikolwiek objaw uczucia czekały cztery setki nieszczęśliwych dzieciaków. Z tamtych czasów Andres wyniósł pragnienie, żeby się wyróżniać. W czymkolwiek, dobrym albo i złym, jako najlepszy uczeń w klasie, największy błazen czy największy rozrabiaka. Wszystko jedno, byleby tylko nie utonąć w tłumie identycznych mundurków, ogolonych głów i marzeń tak prostych i głupich jak ich mali właściciele.

Po osiągnięciu pełnoletniości Nataniel Andres wstąpił do policji. Na jego decyzję wpłynęły czytane w dzieciństwie powieści sensacyjne, co nie jest najlepszym początkiem, ale też nie najgorszym. Ostatecznie sporo siedemnastolatków wybiera zawód policjanta z głębszych powodów.

Po krótkim okresie rozczarowania okazało się, że jest to praca wręcz dla niego stworzona. Był inteligentny, w miarę zdyscyplinowany i stosunkowo szybko opancerzył się warstwą gruboskórności, która pozwalała znosić najgorsze widoki. A przy tym wszystkim miał jeszcze jedną, najważniejszą cechę – potrafił zręcznie poruszać się na granicy prawa. Większość młodych podpada przełożonym z powodu naiwnego idealizmu albo wręcz przeciwnie, z powodu cynizmu i brutalności. Nataniel Andres był inny: sam łapówek nie brał, ale nie oburzał się, gdy brali jego starsi koledzy, wiedział, na ile może sobie pozwolić, przyciskając podejrzanego, i jak bardzo może nagiąć przepisy.

To wyczucie, charakterystyczne raczej dla starego wygi niż dla dwudziestolatka, zyskało mu pewien szacunek. Mówiono o nim, że jest „sprytny”, co w języku tanagryjskiej policji znaczyło, że powinien wysoko zajść.

Tak wyglądało jego życie do momentu, gdy poznał Natanę.

Zwrócił na nią uwagę, ponieważ jej imię było żeńskim odpowiednikiem jego imienia. Było w tym coś w rodzaju fatum: Nataniel i Natana, dwie postacie jak Sylvien i Sylvia, para zakochanych ze starych sztuk teatralnych. Skojarzenie proste i niezbyt mądre, ale wystarczające, by pożartować na ten temat z ładną, cichą blondynką, która u Wuja Artusa obsługiwała wymagających klientów, takich, którzy lubili zakładać kobietom kajdanki, kneble i skomplikowane uprząże z czarnej skóry.

Dwa dni później Andres stał pod jej drzwiami, błagając, by zechciała go wpuścić. Był zakochany po raz pierwszy w życiu i nie przeszkadzało mu nawet to, że jego ukochana jest prostytutką. Bardziej martwiło go jej dziwne zachowanie. Natana bywała na zmianę to apatyczna, zamknięta w sobie, to znów agresywna i przesadnie pobudzona. Początkowo wziął to za objaw uzależnienia od narkotyków, które Artus podsuwał podopiecznym. Zapożyczył się więc, wykupił Natanę i zawiózł do dobrej prywatnej kliniki. Tam okazało się, że dziewczyna nie jest uzależniona, tylko chora. Nazwa „schizofrenia” zabrzmiała dla Andresa jak wyrok, zwłaszcza że lekarz, miły i chyba rzeczywiście przejęty jego sytuacją, nie dawał wielkich nadziei. Chorobę można było zahamować, ale nie cofnąć.

Nataniel Andres ożenił się z Nataną, wziął urlop i spędził z nią miesiąc nad morzem, a potem wrócił do pracy. Pięć tygodni później pod jego nieobecność zjawiała się na komisariacie – roześmiana, w rozpiętej bluzce, która odsłaniała upačkany sokiem stanik. Policjanci zaczęli przerzucać się niewybrednymi żartami i gwizdać, niektórzy zachęcali, by rozebrała się do naga. Gdy przyszedł Andres, jego żona, wciąż rozchichotana i radosna jak dziecko, siedziała na biurku. Stanik miała ściągnięty do pasa, a między jej długie białe uda wsuwała się dłoń Berarda, jednego z jego kumpli.

Pomógł jej się ubrać i wyprowadził na korytarz. Delikatnie, bo nigdy nie zrobiłby Natanie krzywdy.

Potem wrócił i uderzył Berarda kolbą pistoletu w głowę. Wiedział, że ma szansę zadać tylko jeden cios – potem powstrzymają go koledzy. Dlatego też włożył w ten cios całą swoją siłę i zadał go precyzyjnie. Mężczyzna przeżył cudem, choć stracił wzrok, a adwo-

kat wybronił Nataniela, używając argumentu o „działaniu pod wpływem silnego afektu, który zakłócił zdolność świadomego myślenia”. To nie była prawda. Mimo wściekłości Andres miał świadomość tego, co robi. Chciał zabić, nie tylko okaleczyć.

Oczywiście został dyscyplinarnie zwolniony z pracy. Wtedy nie miało to już większego znaczenia.

Przez dwa lata chwycił się dorywczych zajęć, by utrzymać siebie i Natanę. Przez dwa lata kochał ją szaloną, chorą miłością, mieszaniną bolesnego pożądania i cierplivej czułości. Krwawiło mu serce, gdy patrzył, jak leki zabijają jej duszę, zmieniając jego uroczą, nieprzewidywalną żonę w somnambuliczne zombie. Nie chciał tego, więc wyrzucił leki do kosza. Bez konsultacji z lekarzem. Stan Natany pogarszał się z każdym dniem, w końcu Andres przestał nawet chodzić do pracy, bo przez cały czas musiał mieć ją na oku. Ostatnie trzy miesiące były jak sen, słodki i trujący zarazem. Żyli z resztek oszczędności, nosząc brudne ubrania i jedząc byle co, albo i nie jedząc w ogóle. Siadywali na podłodze, Nataniel trzymał dłoń Natany w swojej dłoni i słuchał nieskładnych opowieści o Tusharach.

Tusharowie byli bohaterami popularnego słuchowiska radiowego, którzy wychodzili z odbiornika, by złośliwie zmieniać przeszłość. Tak twierdziła Natana, a zdaniem Andresa miało to pewien zwariowany sens. Świat Tusharów wyglądał niemal jak rzeczywistość, lecz wszystko, począwszy od ważnych rocznic, a kończąc na zmianie pór roku, było w nim spóźnione o cztery dni, bo tyle właśnie mijało od nagrania audycji do jej emisji. Natana nie mogła spotkać Tusharów – oni żyli w przeszłości, ona zaś w teraźniejszości. Mogła jedynie cierpieć na skutek ich działalności, gdy szuflada, którą z całą pewnością zamknęła, po czterech dniach okazywała się otwarta, a kanarek, któremu nasypała ziarna, zdychał z głodu.

Pewnego dnia Andres odłożył na półkę kryminał, a gdy sięgnął po niego ponownie, książki nie znalazł. Uznał, że to z pewnością sprawka Tusharów. W danej chwili był to wniosek logiczny i oczywisty. Na nich też zrzucił winę, gdy sąsiad wypomniał mu nocne krzyki. On, Nataniel Andres, wcale w nocy nie krzyczał. To Tusharowie zmienili przeszłość, żeby wyszedł na wariata.



Znacznie później Aelis pokazała mu w słowniku medycznym słowa takie, jak „epizod psychotyczny” czy „psychoza indukowana”. Każde z nich znaczyło po prostu, że przez trzy miesiące swego życia on, twardo stojący na ziemi, rozsądny Nataniel Andres, był kompletnym świrem.

A potem Natana znikła. Zdarzało jej się to czasami: wychodziła z domu, gubiła się i błąkała po mieście, aż odnajdywał ją mąż albo trafiała do izby zatrzymanych. Jednak tym razem przepadła na dobre.

— Próbowalesz jej szukać? — zapytała Indil, gdy skończył mówić.

— Oczywiście, że próbowałem. Przez prawie pół roku w ogóle nie dopuszczałem do siebie myśli, że mogę już nigdy jej nie zobaczyć. Zaginięcia pod pewnymi względami są gorsze niż śmierć; jeśli umiera ci ktoś bliski, przynajmniej wiesz, co się stało. A w przypadku zaginięcia zawsze pozostaje niepewność, która potrafi zatruć życie. Zbyt wiele razy to widziałem i dlatego właśnie wyjechałem do Getteim, byle dalej od miejsc, które przypominałyby mi o Natanie.

— Pogodziłeś się z jej odejściem?

Wzruszył ramionami, bo właściwie co miał odpowiedzieć? Tak, nie, nie wiem? Każda odpowiedź była równie prawdziwa.

Potem uśmiechnął się wymuszenie.

— To zabawne, właściwie po tym wszystkim powinienem być niezłym kandydatem na alkoholika albo na samobójcę. Wiesz, dość ponure dzieciństwo, potem miłosny dramat – wszystko tak, jak piszą w tych mądrych książkach psychologicznych. Tyle że to bzdury – moim zdaniem, albo ktoś ma w sobie coś paskudnego, co każe mu robić różne rzeczy, albo nie ma. Nieszczęśliwe dzieciństwo nic do tego nie ma. Na przykład Meric: miał porządną rodzinę i pieniądze, więc teoretycznie powinien być szczęśliwy, a tymczasem próbował się zabić. Dlatego właśnie nie wierzę psychologom. Oni wymyślają takie rzeczy, że człowiek nie wie, czy śmiać się, czy płakać. Na przykład jeśli cię ktoś napadnie, powinnaś mu się przedstawić, bo w ten sposób sprawisz, że przestępca zacznie cię postrzegać jako prawdziwą osobę, a nie jako odpersonalizowany cel, do któ-

rego można strzelać. — Parsknął cicho. — Głupota, prawda? Ciekawe, jaki naiwniak uwierzy, że coś takiego rzeczywiście działa?

\* \* \*

Aelis stanęła pośrodku hali głównej i spojrzała na wskazówki wielkiego zegara. Dochodziło wpół do dziewiątej wieczorem. Na Dworcu Wschodnim panował niezwykle jak na tę porę hałas i tłok. Przez megafon co chwila rozlegały się informacje o zmianie stanowisk, na które podstawiano autobusy, a ludzie biegali w tę i w tę, ciągnąc za sobą walizki i rozplakane dzieci.

Rozejrzała się, szukając tajniaków, którzy gdzieś tu powinni być. Nie dostrzegła nikogo, kogo dałoby się podciągnąć pod tę kategorię, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Zresztą, uświadomiła sobie, ich obecność nie miała teraz większego znaczenia. W takim chaosie z dworca można by niezauważenie porwać całą wycieczkę szkolną.

Ktoś ją potracił i jednocześnie pod jej stopy upadł upuszczony portfel. Podniosła go, po czym dogoniła roztargnionego właściciela akurat w chwili, gdy wpadł na szczupłego chłopaka i wdał się w kłótnię.

— Zgubił pan portfel — powiedziała uprzejmie.

Nawet nie zwrócił na nią uwagi. Wrzeszczał na chłopaka, a „patrz, gdzie leziesz, kretynie” było najłagodniejszym z określeń, jakich używał.

— Zgubił pan portfel — powtórzyła cierpliwie, szarpiąc go za ramię.

Urwał zdyszany i czerwony na twarzy. Nastolatek umknął, korzystając z okazji.

— A, dziękuję — wymamrotał mężczyzna, wciskając portfel do kieszeni. Aelis skinęła głową i odwróciła się, by odejść, lecz roztargniony nieznajomy chwycił ją za ramię. Wyglądał na trochę zawstydzonego.

— Czekaj... — wysapał. — Jesteś miłym, uczciwym dzieckiem, a to... no, nieczęsto się zdarza. Dam ci dziesięć renów, co? Za fatygę.

Zanim zdążyła zaprotestować, wcisnął jej w dłoń zmięty papier. Właściwie powinna odmówić, ale uznała, że dziecko z pewnością wzięłoby pieniądze, więc schowała banknot do kieszeni.

— Kup sobie lody albo coś — rzucił za nią.

Nie obejrzała się; po prostu szła przed siebie, a jej obcasy stuknęły na czarno-białej posadzce hali. Skoncentrowała się na tym dźwięku, wyraźnie słyszalnym nawet w hałasie. *Stuk, stuk*. Zabawne, wycięte w kształt klepsydry obcasy przy zabawnych, nabijanych ćwiekami kozaczkach.

Przeszkloną windą wjechała na galerię, gdzie znajdowały się kawiarnie, sklepy, kino i salon gier. Właśnie w tym ostatnim zobaczyła chłopca, który pochylał się nad automatem opisanym jako *Ekscytująca Kosmiczna Uciezka*. Czerwono-srebrne rozbłyśki wybuchających planet podświetlały jego twarz, nadając jej osobliwy, niemal niezziemski wyraz. Z zaciśniętymi ustami i płonącym w oczach ogniem wyglądał jak anioł z witraża. Grał tak, jak nie mógłby grać żaden dorosły: z pasją, angażując w zabawę nie tylko palce, ale całe ciało, którym powtarzał ruchy małego stateczka.

Aelis stanęła z boku. To była kwestia przecucia, po prostu coś jej mówiło, że trafiła na osobę, której szukała.

Chłopak skończył grać i odwrócił się w jej stronę. Wrażenie niezwykłości znikło, teraz stał przed nią przeciętny, chudy i niezbyt czysty trzynastolatek.

— Masz pożyczyć piątaka?

— Mam całą dziesiątkę — przypomniała sobie pieniądze, które dał jej nieznajomy mężczyzna. W portmonetce nosiła jeszcze banknoty o większych nominałach, ale żadnych drobnych.

— To rozmięń i pożycz. Dam ci potem zagrać.

Nie wiedziała, czy powinna się obrazić, czy może podziękować za tak niezwykłą łaskawość. Wybrała więc trzecie wyjście: rozmięniła dziesięć renów, po czym bez słowa wręczyła chłopakowi monetę.

— Jestem Lucien — dość obojętnie podał jej swoje imię. Wyglądało na to, że znacznie bardziej niż rozmowa interesuje go automat, do którego zaraz wrócił.

Gra okazała się niezbyt trudna i Aelis szybko opanowała zasady.

Radziła sobie na tyle dobrze, że zyskała odrobinę szacunku Luciena, a jednocześnie na tyle kiepsko, że ani razu nie zdołała go pokonać. Też dobrze – gdyby zdobyła więcej punktów, chłopak mógłby stracić do niej sympatię.

Chwilę później dołączyły do nich dwie dziewczyny. Starsza miała jakieś trzynaście–czternaście latek i wyglądała jak miniaturowa kopia blondwłosej gwiazdy filmowej. Nieudana kopia, bo gwiazdy nie miewają ziemistej cery, krzywych zębów i sklejonych kiepskim tuszem rzęs. Za nią szła pyzata dziesięciolatka w brudnych sztruksowych spodniach. Milczała, trzymając się z boku, gdy jej towarzyszka zagadnęła Aelis.

— Jak się nazywasz? Ile masz lat? Jesteś stąd? — jasnowłosa mówiła tak szybko, że Aelis ledwie nadązała z wtrącaniem odpowiedzi. Mam dwanaście lat, tak, jestem stąd, moi starzy pracują do późna i nie mam co robić, nudzi mi się samej w chacie, więc przyszłam tutaj...

Uznała, że nie ma sensu udawać, że uciekła z domu, bo zacznie plątać się w szczegółach. Ta historia była łatwiejsza do uwiarygodnienia, a równie prawdopodobna – spośród kręcących się po dworcu małolatów znaczną część stanowili getteimczycy, którzy co prawda mieli gdzie mieszkać, ale rodzice zupełnie się nimi nie interesowali. Były to zarówno dzieci z rodzin biednych, jak i bogatych, a Aelis w swojej skórzanej spódniczce i z manierami oraz słownictwem wykształconej panienki idealnie pasowała do tej ostatniej kategorii.

Pomiędzy jednym pytaniem a drugim jasnowłosa opowiadała o sobie. Miała na imię Geri, pochodziła z Tanagry, a do Getteim przyjechała przed pięcioma miesiącami wraz z siostrą. O domu rodzinnym nie powiedziała wiele, tylko tyle że „nie dało się tam wytrzymać, więc nawiałam”. Za to dużo i chętnie mówiła o tym, jak świetnie sobie teraz radzi. Trochę zebrała, trochę kradła, czasem godziła się na przygodny seks, ale nieczęsto, bo, jak powiedziała z wyniosłą miną, „trzeba się szanować”. Nie zniżała się do noszenia podróznym bagaży czy sprzętania w dworcowych kawiarniach – to była robota dla dzieciaków. Część zarobionych pieniędzy oddawała trzem starszym dziewczynom, z którymi mieszkała. Bardzo je lubiła i uważała, że są super. Pozwalały jej używać swoich kosmetyków

i czasem zabierały do nocnych lokali, gdzie mogła poznać miłych starszych panów, takich, przy których nie musiała się martwić, że złapie jakąś paskudną chorobę. Niestety, współlokatorki nie znosiły „Małej” – jak nazywała młodszą siostrę. Czasem Geri udawało się przemycić ją do domu, ale wybuchały z tego powodu awantury, więc przeważnie dziewczynka nocowała u Czerwonych Sióstr. To było dobre, miłe miejsce, choć mieli tam głupie reguły – trzeba było wracać przed dziewiątą, modlić się każdego ranka i nie brać narkotyków.

Aelis słuchała przejęta coraz większą zgrozą. Przygniatało ją poczucie winy podobne do tego, jakiego doznaje człowiek, który chyłkiem umyka na widok okaleczonego żebraka. Z trudem zmuszała się, by patrzeć Geri w oczy. Było w tej dziewczynie coś zarazem godnego współczucia i odpychającego. Jej dziecięcy tupet i naiwność, jej marzenia o sławie karmione zdjęciami aktorek z popularnych tygodników, jej zarozumiałość, która brała się stąd, że potrafiła cytować fragmenty ulotek rozrzucanych na dworcu przez Czerwone Siostry. „Ciało kobiety jest świątynią, której nie wolno bezcześcić”, „Miłość jest nagrodą dla tych, którzy są cierpliwi i wierzą...”. Głupie frazesy wypowiedane przez głupią dziewczynę, dla której miłość oznaczała spokój, bezpieczeństwo oraz dużo pieniędzy i która – gdyby tylko te pieniądze dostała – prawdopodobnie roztrwonilaby je na modne ciuchy i prochy.

Usiadły na ławce przy sklepiku z pamiątkami, Geri wyjęła paczkę papierosów i poczęstowała towarzyszkę. Mała gdzieś przepadła, ale ponieważ starsza siostra nie wydawała się tym przejmować, więc Aelis o nic nie pytała.

— Masz fajnie zrobione oczy — pochwaliła Geri.

Aelis podziękowała skinieniem głowy. Dym z pierwszego od kilku lat papierosa drapał ją w gardle i musiała mocno się starać, żeby nie kaszleć.

— I fajny tusz do rzęs. Ma zabawny kolor...

O sekretach makijażu Aelis nie wiedziała dużo, ale wystarczająco, by zaimponować trzynastolatce. A gdy chwilę później przyznała, że wzięła udział w sesji fotograficznej, jej akcje jeszcze bardziej skoczyły w górę. Z głosu Geri zniknął ton lekkiej protekcjo-

nalności, jego miejsce zajął podziw.

— Naprawdę zapłacili ci za te zdjęcia? Ile?

— Pięć tysięcy. — Przez idiotyczną skromność albo zwyczajnie z litości obcięła rzeczywistą sumę o połowę. Nie pomogło – oczy Geri i tak zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

— I te zdjęcia były w gazetach? — wypytywała z podnieceniem.

Dostać się „do gazet” albo „do filmu” było największym marzeniem takich dziewcząt. Aelis wiedziała o tym i cieszyła się, że może uczciwie zaprzeczyć.

— Nie, to tylko tak... wiesz, dla koneserów.

Sądząc po minie, Geri nie miała pojęcia, kim są koneserzy, ale też niewiele ją to obchodziło.

— Jak myślisz, może ja bym też mogła zrobić sobie takie zdjęcia? Daj adres tego fotografa, co?

Aelis zapisała nazwisko oraz adres na kawałku papieru. Nie chciała rozwiewać złudzeń dziewczyny, choć wątpiła, czy jakikolwiek artysta się nią zainteresuje.

Podszedł do nich Lucien w towarzystwie trzech nastolatków, chwilę później zjawiała się Mała, a po kilku minutach jeszcze jedna dziewczynka, o imieniu Celia. Ktoś zapytał Aelis, czy ma może kasę, a ona z odruchową uczciwością potwierdziła. Mała wyciągnęła od niej dwie półrenówki, by przejechać się na karuzeli, Celia przyniosła z pobliskiego baru kanapki, a jeden z chłopców skoczył po piwo. Przenieśli się pod skrytki bagażowe, gdzie usiedli na resztkach kartonowych pudeł. Tworzyli grupę tak hałaśliwą, że ludzie omijali ich szerokim łukiem, a gdy jakiś mężczyzna próbował zwrócić im uwagę, Lucien rzucił w niego pustą puszką.

Boże, co ja tu robię, zastanawiała się Aelis.

Wykorzystywali ją, pijąc i jedząc za jej pieniądze, ale nie miała nic przeciwko, jeśli tylko dzięki temu mogła się czegoś dowiedzieć. Jednak gdy wspomniała o porwanych dzieciach, które wracają pozbawione pamięci, napotkała na mur milczenia. Lucien wzruszył nonszalancko ramionami, jakby cała ta sprawa niewarta była wzmianki, pozostałe dzieci albo naśladowały jego gest, albo po prostu odwracały wzrok. Wyłamało się tylko jedno – dziewczynka o imieniu Celia, drobna i jasnowłosa, z okrągłą buzią sprytnego

aniołka. Oczy rozbłysły jej podnieceniem.

— Spotkałam tego faceta — pisnęła. — Ja...

— Słyszeliśmy to już, Celia — przerwał jej Lucien. W jego głosie pobrzmiwała znużona cierpliwość, która lada moment mogła zmienić się w złość. — Może byś tak choć raz zamknęła dziób, co?

— Ale co się stało? — Aelis miała nadzieję, że to pytanie zabrzmiało wystarczająco naiwnie.

— Nic takiego. — Chłopak skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę. — Trzymaj się nas, to będzie dobrze.

Zrozumiała, że więcej z niego nie wyciągnie. Dzieci wiedziały, że na dworcu dzieje się coś złego, ale wołały o tym nie mówić. Niebezpieczeństwo zignorowane przestawało – choć na krótką chwilę – być niebezpieczeństwem.

Ktoś chwycił ramię Aelis, po czym ścisnął je lekko i zarazem nagłoco. Odwróciła się dyskretnie.

Celia z trudem panowała nad wyrazem twarzy, a podniecenie w jej oczach płonęło jak pochodnie. To właśnie ona za plecami Geri dotknęła Aelis, a teraz ruchem głowy nakazywała jej spojrzeć w prawo.

Stał tam ciemnowłosy, chudy jak szczapa chłopiec. Wytarta koszulka, na której dało się zauważyć resztki jakiegoś wzoru, sięgała mu aż do kolan, a z dziurawych tenisówek wystawały palce. Przygarbiony, z rękami luźno opuszczonymi wzdłuż tułowia, kojarzył się Aelis z ciepłym i tępym cielęciem.

Po chwili ruszył w ich stronę. Szedł z opuszczoną głową, szurając nogami, a rozwiązana sznurówka wlokła się za nim po podłodze.

Gdy Lucien go zauważył, wyprostował się i napiął mięśnie. Nie musiał wstawać – i tak wyglądał wystarczająco agresywnie. Nawet jego twarz przybrała zły, odpychający wyraz.

Chudzielec szedł coraz wolniej, jakby hamowała go bijąca od dzieci niechęć. Zatrzymał się w końcu i czekał bezradnie, wpatrzony we własne stopy. Teraz jeszcze bardziej podobny był do cielęcia, na które za chwilę spadnie rzeźnicki topór.

— Spierdalaj — wysyczał Lucien. — Nie chcemy cię tu. Spierdalaj.

Chłopiec nie ruszył się z miejsca. Zakołysał się tylko lekko, pod-

czas gdy jego długie, brudne palce wyskubywały z koszulki resztki wprasowanego wzoru.

— Spadaj.

— Znajdź sobie inne towarzystwo.

— Idź sobie, nie ma cię tu.

Zewsząd padały głosy poparcia dla Luciena. Milczały tylko Aelis i Celia, ta pierwsza zażenowana i pełna współczucia, ta druga coraz bardziej podekscytowana, jakby patrzyła na jakąś szczególnie fascynującą sztukę.

— Nie znamy cię. — Nawet Mała przyłączyła się do chóru.

— Ja też was nie znam — wymruczał chłopiec, a w jego głosie zabrzmiała odrobina buntowniczości. — Wcale was nie znam, ale może mógłbym poznać?

Ktoś wybuchnął piskliwym, dziewczęcym chichotem, w którym słyhać było nutki hysterii. Celia albo Geri, pomyślała Aelis.

Chudzielec skulił się jak smagnięty biczem, odwrócił i odszedł. Na szczęście niedaleko – usiadł na ławce w zasięgu wzroku Aelis, która upewniwszy się, że chłopiec chwilowo przynajmniej zamierza tam zostać, spojrzała na Luciena.

— Może trzeba mu pomóc? — zaryzykowała pytanie.

Błąd, duży błąd.

— A po cholere? Sam się o to prosił. — Mina nastolatka upewniła ją, że właśnie znalazła się na krawędzi towarzyskiego ostracyzmu. Zamilkła i napiła się piwa z puszkii, którą podała jej Geri. Przy okazji usłyszała, jak dziewczyna szepnęła cichutko:

— Nie zna nas...

Po plecach Aelis przebiegł dreszcz. W oczach dzieci widziała niechęć tak silną i jednocześnie tak niewspółmierną do sytuacji, że tylko jedno mogło ją spowodować. Lęk. One się bały i dlatego reagowały agresją, niczym stado gołębi wobec chorego towarzysza.

Jedna za drugą mijały minuty, każda dłuższa, trudniejsza do wytrzymania niż jej poprzedniczka. Od czasu do czasu Aelis pozwalała sobie zerknąć w stronę chudego chłopca. Wciąż siedział na ławce, ale przecież w każdej chwili mógł wstać i zniknąć w tłumie, mógł go ktoś zabrać z dworca, a przede wszystkim mógł zwyczajnie wyjść na ulicę i rzucić się pod pierwszy przejeżdżający samochód.



Szlag.

Napiła się piwa, jednym uchem słuchając toczącej się wokół rozmowy. Dzieciaki rozważały, co zrobić z pieniędzmi Aelis. Było ich sporo, znacznie więcej, niż zdążyły do tej pory wydać. Właścicielkę o zdanie nikt nie spytał, bo i po co – na dworcu znalazła się po raz pierwszy w życiu i nie miała pojęcia o tutejszych atrakcjach.

Mała spała z głową opartą na kolanach Geri. Wyglądało na to, że nie wróci dzisiaj do ośrodka Czerwonych Sióstr.

Aelis zmusiła się, by jeszcze chwilę zaczekać. Wskazówka dworcowego zegara pełzła po tarczy niesamowicie wolno, niczym pływająca w miodzie mucha.

Jedna minuta, dwie, trzy.

— Muszę iść do kibla. — Dziewczyna wstała energicznie. — Zaraz wracam.

Ominęła ławkę, na której siedział chudy chłopak. Nie chciała ryzykować, że ktoś spostrzeże, jak z nim rozmawia – bądź co bądź zamierzała wrócić do dzieci i wciąż potrzebowała ich sympatii.

Sympatia. Przeklinając Luciena, któremu w jej imię oddała wszystkie pieniądze, Aelis pobiegła w stronę kas biletowych. Tam zawsze kręciło się najwięcej ludzi. Wyłowiła z tłumu elegancką starszą panią o dobrotliwej twarzy i podeszła do niej nieśmiało.

— Przepraszam bardzo, czy mogłaby mi pani dać pięć renów? Najlepiej w półrenówkach, tak żebym mogła zadzwonić. W domu nie mamy telefonu, a pilnie muszę porozmawiać z tatusiem. Bardzo proszę, naprawdę nie mam zwyczaju żebrać, ale to taka niezwykła sytuacja...

Wykrzywiła twarz w minie tak słodkiej, że jej samej zrobiło się niedobrze. Mimo to kobieta spoglądała na nią podejrzliwie. Było późno, a Aelis miała na sobie strój, który nie mógł się podobać żadnej starszej pani. Z drugiej jednak strony ta grzeczna, mówiąca pełnymi zdaniami dziewczynka niewątpliwie wyglądała na dobrze wychowaną, więc staruszka po chwili wahania wysupłała z torebki kilka półrenówek.

Aelis podziękowała i pobiegła w stronę najbliższej budki telefonicznej.

Odbierz, odbierz, zaklinała w myślach Jaspira Lala, podczas gdy

przerywany sygnał piszczał jej w ucho. Poddała się, dopiero usłyszawszy obojętny głos telefonistki: *Abonent chwilowo niedostępny, proszę spróbować później.*

Po cholereę dał jej swój prywatny numer, skoro teraz nie ma go w domu?

Mogłaby zadzwonić na policję, ale istniała nikła szansa, że w ciągu dwóch minut – a na tyle wystarczy jej półrenówek – znajdzie kogoś, kto będzie wiedział, o co chodzi, i zdoła jej pomóc.

Wykręciła więc numer Andresa i raz jeszcze w myślach zaczęła powtarzać wszystkie znane jej zaklęcia.

— Słucham? — odebrała Indil, lecz Aelis nie miała czasu na zdumienie.

— Daj mi Nata, szybko.

— Po co ten pośpiech? — w głosie elfki było tyle rozchichotanego, leniwego szczęścia, że gniew w jednej chwili zaćmił umysł dziewczyny.

— Chcę rozmawiać z Natanielem, durna krowo, nie z tobą. Daj mi go do telefonu!

— Nie musisz się tak wyrażać — parsknęła Indil. — Już go wołam.

Aelis odetchnęła. Właściwie dlaczego tak się wściekła? Niewątpliwie istniało mnóstwo mądrych psychologicznych teorii, które tłumaczyły jej niechęć do elfki, ale dziewczyna chwilowo zadowolila się tylko jedną – po prostu szczerze nie znosiła tej baby.

— Halo?

— Nataniel? Jestem na Dworcu Wschodnim i mam tu chłopaka, który wygląda na takiego, co został porwany i teraz nic nie pamięta. Przyjedź jak najszybciej i zabierz go stąd. Jakies dziesięć lat, ciemne włosy, poważna niedowaga, pomarańczowa koszulka z resztkami jakiegoś napisu i dziurawe tenisówki. Siedzi teraz na ławce przy przechowalni bagażu, ale w każdej chwili może sobie stamtąd pójść. Nie, nie mogę go zatrzymać, mniejsza z tym dlaczego. Weź go do domu i nie pozwól mu się zabić, nie spuszczaaj go z oka, zwiąż, jeśli będzie trzeba, nie wiem co, ale on ma żyć...

*Proszę wrzucić monetę.* Albo jej się zdawało, albo w zazwyczaj obojętnym głosie telefonistki brzmiała odrobina zdumienia.

— I jeszcze jedno, podam ci prywatny numer *caudharięgo* Lala, niech Indil próbuje się z nim skontaktować, bo mnie się nie udało. Ten numer...

*Rozmowa zakończona.*

Aelis rzuciła słuchawkę na widełki.

\* \* \*

Indil podeszła do gramofonu, by przesunąć igiełkę na początek płyty. Wysoki, obojętny głos zaczął wyśpiewywać historię chłopca i dziewczyny, którzy spotkali się pewnego dnia przy strumieniu i zakochali w sobie. Gdy Andres wciągał skarpetki, oni całowali się po raz pierwszy, gdy wkładał spodnie, chłopiec pytał swoją wybrankę, czy chciałaby zostać z nim na wieki młoda, piękna i zakochana, a gdy nerwowo szukał w szafie koszuli, dziewczyna słodko odparła „tak”.

— Jeśli na placu Arleńskim uda mi się złapać taksówkę, to dostanę się na dworzec w ciągu dziesięciu minut — wymamrotał, sięgając po buty. — Mam nadzieję, że zdążę.

Indil siedziała na tapczanie, zasłuchana w muzykę. Atmosfera gorączkowego pośpiechu nie robiła na niej żadnego wrażenia.

— Wiesz, jak naprawdę kończy się ta historia?

— He? — Wyjął z ust końcówkę sznurówki, którą poślinił, żeby łatwiej przewlec przez dziurkę. Chwilę trwało, zanim zorientował się, o czym elfka mówi. — No, że zostali ze sobą?

— Niezupełnie. — Odwróciła się w jego stronę, wciąż zadziwiająco spokojna. Jakby teraz akurat był najlepszy czas na rozmowę o muzyce. — Ta piosenka oparta jest na znanej arleńskiej bajce. Chcieli zostać razem, na zawsze młodzi i piękni, więc oczywiście musieli umrzeć. On zabił najpierw ją, a potem siebie.

— I to ma być bajka? — prychnął z niedowierzaniem. — Taka dla dzieci na dobranoc? A co w takim razie opowiadacie sobie, jak macie ochotę na jakiś horror?

Nie czekając na odpowiedź, ruszył do drzwi. W progu odwrócił się i spojrzał na Indil. Bardzo ją lubił, ale musiał przyznać, że czasem zachowywała się dość dziwnie.

Aktorka posłała mu pełen otuchy uśmiech. *Możesz na mnie liczyć*, mówiły jej oczy, gdy zęgnęła go skinieniem głowy. Gdy za Andresem zatrzasnęły się drzwi, wzięła ze stoliczka telefon i z niewzruszonym spokojem zaczęła wykręcać numer.

\* \* \*

Celia przysunęła się i przytuliła do Aelis jak kot.

— Spotkałam tego porywacza — szepnęła jej w ucho. — I uciekłam mu.

Aelis rozejrzała się, ale nikt nie zwracał na nie uwagi. Mała spała, Geri obściskiwiała się w kącie z jednym z chłopaków, a Lucien i drugi chłopak gdzieś przepadli.

— Jak on wygląda?

— No, jak elf. Wysoki, ładny, z takimi dziwnymi uszami...

— Ciemne włosy czy jasne?

— Ciemne. Splecione w dużo cienkich warkoczyków i z tyłu związane w kucyk. I ma takie zabawne, wygięte w górę usta, przez co wygląda, jakby przez cały czas się uśmiechał.

Fryzurę mógł zmienić, ale kształtu ust nie. To już było coś. Przeciężni ludzie mieli problemy z odróżnianiem przedstawicieli obcych ras. Aelis przypomniał się dowcip o arleńskim stróżu prawa, który sprowadził z Getteim powielacz, by odbić na nim rysopis jednego podejrzanego elfa i włożyć go do teczek pozostałych, oszczędzając sobie w ten sposób pracy.

— Potrafiłabyś go rozpoznać? — zapytała.

— Chyba tak... — Celia odsunęła się odrobinę, a w jej oczach pojawił się cień nieufności. Aelis zachowywała się jak dorosły, który przepytuje dziecko, a nie jak mała dziewczynka rozmawiająca z koleżanką.

— Po co chcesz to wiedzieć?

— Strasznie jestem ciekawa, jak mu uciekłaś... — Tym razem postarała się, żeby zabrzmiało to wystarczająco dziecinnie. Nie miała szczególnych zdolności aktorskich, ale nie trzeba było wiele, by Celię przekonać.

— Wiedziałam, że z nim jest coś nie tak — pochwaliła się

dziewczynka. — Patrzył tak dziwnie, więc zaraz się połapałam, że to zbok. Ale chciał mi zafundować obiad, więc z nim poszłam, czemu nie. Skoro jest frajerem, to niech płaci, przecież w knajpie nic by mi nie zrobił. No a potem wsiedliśmy do samochodu i ja zaczekałam chwilę, i wyskoczyłam.

— Wyskoczyłaś z jadącego samochodu?

Przytaknęła, po czym odwróciła się i uniosła koszulkę. Potężnych rozmiarów siniak pokrywał jej lewy bok i częściowo plecy, sięgając aż po żebro. Aelis wciągnęła powietrze, unosząc dłoń do ust, a Celia rozgarnęła włosy i pokazała guza z tyłu głowy, tak wielkiego, że musiała chyba stracić przytomność. Miała cholerne szczęście, że niczego sobie nie połamała, pomyślała Aelis.

— Nie bałaś się? — zapytała, mając nadzieję, że w jej głosie słychać odpowiednią dozę podziwu.

— Trochę się bałam — niechętnie przyznała Celia. — Ale było warto, zjadłam pyszny obiad, a potem po prostu wyskoczyłam i pobiegłam przed siebie, i już.

Kłamie, w głowie Aelis odezwał się alarmowy dzwonek. Chce się pochwalić, jaka jest cwana, ale prawdopodobnie wcale nie wiedziała, że elf ma zamiar zrobić jej coś złego. Wsiadła do jego samochodu, bo była naiwna, a nie sprytna. Ale w takim razie dlaczego wyskoczyła? I czy naprawdę starczyłoby jej odwagi, żeby to zrobić?

Obrzuciła dziewczynkę uważnym spojrzeniem. Pozdzierana skóra, guz... A także siniak na ramieniu, który zauważyła dopiero teraz, o wiele mniejszy i bledszy niż ten na boku, ale przecież wyraźnie układający się w kształt zaciśniętych palców.

Elf chwycił ją i wypchnął z samochodu?

Pochyliła się konfidencjonalnie w stronę Celii.

— Słuchaj, ja chyba też widziałam tego elfa, ale on ze mną nie chciał nawet gadać. To znaczy na początku chciał, był miły i w ogóle, ale potem mnie olał. Nie wiem czemu, może coś zrobiłam, co mu się nie spodobało, albo coś...

— Przy mnie elf się wkurzył, jak powiedziałam, że mój tato urodził się w Getteim i jest w połowie faunem. Nie wiem czemu, ale jak to usłyszał, to się zrobił naprawdę zły i zaraz sobie pomyślałam, że trzeba spieprzać. Bez sensu, nie? Chociaż z drugiej strony ten

zbok zawsze wybiera Tanagryjczyków, takich, którzy tylko do Getteim przyjechali. Może o to mu szło. No ale w sumie ja też tylko tu przyjechałam, co z tego, że mój tato jest z Getteim... — zaplątała się i zrobiła bezradną minę.

Aelis z trudem zdołała ukryć podniecenie. Nie wątpiła, że zainteresowanie elfa tylko czystej krwi Tanagryjczykami ma duże znaczenie.

— Trzymaj.

Zaaferowana dopiero teraz zauważyła Luciena, który podawał jej puszkę soku pomarańczowego. Wzięła ją odruchowo. Była otwarta, a na wierzchu widniały drobinki ceglatego proszku. Dotknęła ich czubkiem języka – charakterystyczny cierpki smak powiedział jej, że to *coriac*, dość łagodny narkotyk. Getteimskie nastolatki lubiły dosypywać go sobie do drinków.

— Spróbuj, to jest dobre. — Lucien uśmiechnął się zachęcająco.

Wiem, że jest, pomyślała Aelis.

Chłopak wciąż na nią patrzył, więc upiła kilka łyków. Przy takiej ilości ryzykowała najwyżej przyjemne oszołomienie, nic więcej.

Odebrał puszkę, zignorował Celię, która patrzyła na niego błagalnym wzrokiem, po czym podszedł do Geri.

Dobrze, że to nie klej ani rozpuszczalnik, zdążyła jeszcze pomyśleć Aelis, zanim zorientowała się, że wpadła w kłopoty.

Narkotyk był znacznie silniejszy, niż się spodziewała. To nie mógł być zwyczajny *coriac* – może na rynku pojawiła się jakaś udoskonalona wersja, o której nie wiedziała.

Zamknęła oczy, odchylając głowę do tyłu. Euforia rozlewała się w ciele dziewczyny jak gorąco. Spociła się, jej serce przyspieszyło rytm, nerwy napięły się i stały wrażliwe na najłżejsze bodźce. Jednak mimo oznak pobudzenia wcale nie miała ochoty wstać, by zrobić cokolwiek; dobrze było tak po prostu siedzieć, skupiając się na własnych myślach i reakcjach organizmu. Potem zaczęła słuchać sączącej się przez megafony muzyki i to też było dobre, najlepsze. Gdyby teraz wstała i ruszyła przed siebie, mogłaby iść godzinami, gdyby tańczyła, mogłaby tańczyć aż do świtu, rozkoszując się każdym ruchem, cudownie świadoma gibkości wszystkich swoich mięśni.

Uniosła dłoń i pogłaskała Celię. Miękkość dziecięcych włosów, przyływ gorącego współczucia dla tej biednej, skrzywdzonej dziewczynki. Przez chwilę nie istniało nic innego, po czym wrażenia znikły, roztopiły się w nowych doznaniach.

Nic to, trzeba przeczekać, myśl zapłonęła jej w mózgu jak neon, tak jasna, wyrazista i zachwycająco logiczna, że Aelis poczuła ból duszy. A potem piękno wcielone w tę myśl runęło w niebyt, na jego miejsce zaś napłynęło wspomnienie.

Pierwsze spotkanie Aelis z Natanielem Andresem. On siedzi przy biurku, ona stoi przed nim, trochę przestraszona i jednocześnie pełna nadziei. Od pięciu miesięcy szuka pracy i wszędzie słyszy to samo: „Musimy to przemyśleć, odezwiemy się”. Wie doskonale, o co chodzi.

„Ja osobiście nie mam nic przeciwko pani – powiedział jedyny pracodawca, który uczciwie wyjaśnił powody odmowy – ale pani po prostu wygląda zbyt niepoważnie, żeby wzbudzać w klientach zaufanie”.

Ogłoszenie, które znalazła dziś rano, traktuje jak ostatnią szansę. Raz jeszcze zakłada swój elegancki strój: czarna spódniczka do kolan, szara bluzeczka. I buty, rozmiar dziecięcy, od których pracowicie odpruła mordkę chomiczka Darlino.

Tak ubrana czuje się głupio, bo naprzeciwko siebie ma rozczochranego mężczyznę w wymiętej i spranej koszulce, który w dodatku – to już szczyt wszystkiego – jest bosy.

Mężczyzna nie wygląda poważnie, a i nazwa Agencja Detektywistyczna nie brzmi poważnie, kojarząc się dziewczynie z komiksami i filmami sensacyjnymi. Niemniej w przyпыwie desperacji Aelis uznaje, że być może jej własna niepowaga będzie pasować do takiego otoczenia. Nawet zaczyna ją to bawić.

— W razie gdyby zdecydowała się pani dla mnie pracować — mówi Nataniel Andres z szelmowskim błyskiem w oku — proszę pamiętać o jednym: ja nie jestem miłym facetem.

Szczerzy do niej zęby, a ona niczym pociągnięty za sznurek pajacyk odpowiada uśmiechem. Kogoś, kto z takim wdziękiem ostrzega, że nie jest miły, po prostu trzeba polubić, nie ma innego wyjścia. W dziewczynie wzbiera ciepłe uczucie sympatii, jakiej

dawno do nikogo nie czuła. Jest szczęśliwa – nie tylko znalazła pracę, ale także spotkała człowieka, który być może zostanie jej przyjacielem.

Aelis otworzyła oczy i zobaczyła Nataniela Andresa.

Holując za sobą chudego chłopca, zmierzał w stronę wyjścia. Byli już w połowie drogi do szklanych drzwi: mężczyzna szedł długimi krokami, a chudzielec dreptał u jego boku, od czasu do czasu podbiegając, by nadrobić stracony dystans. Raz zwolnił tak bardzo, jakby nagle ogarnęły go wątpliwości, czy w ogóle iść dalej. Wtedy Nataniel Andres odwrócił się, powiedział kilka słów, po czym niezbyt delikatnie szarpnął go za ramię. Dzieciak posłusznie przyspieszył.

Aelis gapiła się na tę scenę. Rozumiała, co widzi, ale nic to dla niej nie znaczyło. Po prostu patrzyła na Nataniela i myślała, jak bardzo go lubi – w tej chwili to właśnie było najważniejsze. Jej świadomość przypominała snop światła: wyławiała z rzeczywistości jeden punkt i pozwalała skupić się na nim z niezwykłą intensywnością, ale za to w innych miejscach panował całkowity mrok.

Gdy mężczyzna wraz z chłopcem zniknęli za szklanymi drzwiami, wstała i zaczęła biec.

Biel, czerń, znowu biel. Posadzka ułożona z tysięcy małych kwadracików rozmazujących się przed oczami. Biel, czerń, biel. Stopy dziewczyny miękko uderzały o płytki posadzki, niezmiennie trafiając w co czwarty biały kwadracik. Bez najmniejszego wysiłku i z niesamowitą precyzją. Bawiło ją to. Symfonia zmieniających się kolorów i pracujących mięśni. Gdyby Aelis rozpostarła ramiona, mogłaby pofrunąć ponad głowami ludzi. Jak gołębie, których niedawno jeszcze było na dworcu pełno.

Zatrzymała się dopiero na ulicy.

Przy krawężniku stał samochód, z którego wychylał się *caudhari* Jasbir Lal. Jedną ręką próbował wciągnąć do środka oszołomionego chłopca, drugiej używał do zamaszystej gestykulacji. Mówił coś, lecz Aelis nie słyszała słów, a z jego twarzy jak zawsze nic nie można było wyczytać. Podekscytowany Andres odpowiadał krótkimi, urywanymi zdaniem, które brzmiały jak napomnienia.

Chłopiec wszedł, *caudhari* zatrzasnął drzwi i samochód ruszył.



Andres odwrócił się i uśmiechnął na widok dziewczyny.

— Dobrze, że jesteś. Przekazałem dzieciaka Lalowi i mam nadzieję, że zdoła go upilnować. Jeśli nie, osobiście się z nim policzę.

Aelis stała, patrząc na Nataniela roziskrzonym wzrokiem. Nie czuła najmniejszej potrzeby, by cokolwiek powiedzieć.

— Zdziwiona? — Sięgnął do kieszeni po papierosa. — Nie zdążyłaś podać mi prywatnego numeru *caudhariego*, ale ja i tak go znam, więc poprosiłem Indil, żeby do niego zadzwoniła. Dzięki temu mamy kłopot z głowy. — Zmarszczył brwi, jakby zdał sobie sprawę z nieostosowności podobnego wyrażenia w tej sytuacji, a potem dodał — dzieciak niewiele mówił, czemu zresztą trudno się dziwić, ale wyciągnąłem od niego jedyne zdanie, które zostało mu w głowie: „Czasem przeplatam księżyc samotnością”. Nie ma pojęcia, skąd mu się to wzięło, ale nic więcej nie pamięta. Wiesz, jakie to ma znaczenie, prawda?

Skinęła głową. Oczywiście, że wiedziała. Dokładnie to samo powiedział chłopak w szpitalu. Wtedy jeszcze można było sądzić, że to przypadek, że z jakiegoś mało ważnego powodu akurat takie bezsensowne zdanie zostało nastolatkowi w pamięci. Teraz o przypadku nie mogło być mowy.

Zaczerpnęła tchu, po czym streściła, czego się dowiedziała od Celi. W miarę jak mówiła, w jej głowie formował się pewien schemat.

Czasem przeplatam księżyc samotnością, to, że porwane dzieci były czystej krwi Tanagryjczykami, wizyta arleńskiego maga, płonący Teatr Rozrywki, aniołowie i wisząca nad miastem groźba zagłady. Wszystko to wiązało się ze sobą. Aelis była blisko znalezienia odpowiedzi na pytanie, o co tu, u diabła, chodzi. Czuła się trochę tak, jakby patrzyła na obrazkowe testy psychologiczne. Jeszcze chwila, a pozornie chaotyczna plątanina kolorowych kropek ułoży się w rysunek tak wyraźny, że będzie jej głupio, iż nie dostrzegła go wcześniej. Jeszcze tylko chwila...

Andres coś mówił i świadomość Aelis błyskawicznie przeskoczyła z jednego punktu do drugiego.

— Mógłbyś powtórzyć?

— Jesteś naćpana. — Ostatni raz zaciągnął się papierosem, po czym rzucił niedopałek na chodnik i przydepnął.

— Oczywiście — przyznała.

Przechodzący obok kilkunastolatek zwolnił, obrzucając ich zdziwionym spojrzeniem. Andres pozdrowił go, Aelis uśmiechnęła się i skinęła głową. Poprzednio widziała tego chłopaka, gdy umykał przed wrzeszczącym mężczyzną, tym samym, któremu oddała portfel. Ciekawe, dlaczego wciąż kręci się przy dworcu, pomyślała, czyżby jego autobus jeszcze nie odjechał? I ciekawe, skąd Nataniel go zna?

— Chodź, przejdziemy się na most. — Andres ujął ją za ramię. — Może spacer rozjaśni ci w głowie.

\* \* \*

Meric siedział w mieszkaniu Aelis oparty plecami o ścianę. Nawet nie zapalił światła. Ciemność nie miała znaczenia, bo i tak miał zamknięte oczy. Dłonie położył na kolanach i zaciskał je miarowo. Skurcz, rozkurcz. Tik nerwowy równie bezsensowny jak drganie powieki, które czuł w kilkusekundowych odstępach.

Skurcz, rozkurcz. Dwa bezwładne palce lewej dłoni pozostawały nieruchome, reszta pracowała w jednostajnym rytmie.

Błada twarz Merica odcinała się od mroku jasną plamą.

Dopiero niedawno pojąłem, co się dzieje, powiedział anioł o imieniu Eliel. Byłem głupcem, że nie zrozumiałem tego wcześniej i że wciągnąłem cię w to wszystko. Proszę, trzymaj się od niego z daleka. Nie wchodź mu w drogę. Jest zdolny do wszystkiego, jeśli uzna cię za zagrożenie dla swojego planu. A ten plan to jedyna szansa na uratowanie Getteim, nie ma innej, choć kiedyś naiwnie sądziłem, że jest inaczej. Zresztą to nie ma teraz znaczenia. Proszę cię, po prostu nic nie rób. Wyjedź z miasta i nie szukaj Joela.

Tak mówił jasnowłosy anioł, a Meric pamiętał każde słowo. Teraz modlił się, by Aelis i Andres wrócili jak najszybciej. Będzie musiał im sporo wyjaśnić. Istniała szansa na ocalenie Getteim. Nie wielka, bo przecież nie mógł mieć pewności, że Joel zechce to zrobić, ale jednak szansa. Meric zastanawiał się tylko, czy cena, jaką

przyjdzie im za to zapłacić, nie będzie zbyt wygórowana.

\* \* \*

Wchodząc na wschodni most, Nataniel Andres ostrożnie wciągnął w nozdrza powietrze. Było dość świeże, co znaczyło, że większość martwych ptaków spłynęła rzeką, a żywe nauczyły się omijać granice Getteim.

Zatrzymali się, oparli łokcie na murku i przez chwilę patrzyli w ciemną toń wody. Mostem przemknął autobus; ciepły, nasycony spalinami podmuch uderzył ich w plecy, drobinki kurzu zawirowały wokół nóg.

Nataniel Andres zdjął marynarkę – noc była pogodna, choć w wilgotnym powietrzu czuło się zapowiedź chłodu. Złota jesień trzymała się resztkami sił i lada moment Getteim miało runąć w objęcia zimna, deszczu i mroku.

Podsadził dziewczynę na murek. Po jej twarzy spływały łzy, ale jednocześnie wyglądała na szczęśliwą. Płakała, tak jak płacze się w ciemnej sali kinowej, gdy wzruszony losami celuloidowych bohaterów widz z ulgą daje upust uczuciom.

— Kocham Merica — oznajmiła. — Wiem, że to nie ma sensu, ale i tak go kocham. To głupie, prawda?

Głupio czuł się w tej chwili Nataniel Andres. Nigdy nie wiedział, jak reagować na kobiecie łzy. Współczucie zmieniało go w zażenowanego nastolatka, który na przemian to starał się rozładować sytuację przy pomocy idiotycznych dowcipów, to znów czyhał na okazję, by umknąć w jakiś kąt.

— Chcesz chusteczkę? — zaproponował, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

— Nie masz chusteczki — chlipnęła.

Niezręcznym gestem poklepał ją po plecach. Miał ochotę objąć dziewczynę i przytulić, ale przerażała go jej kruchość i rozpacz.

— Zawsze twierdziłem, że masz fatalny gust — powiedział cokolwiek, byleby tylko przerwać ciszę. — Powinnaś kochać mnie. Byłaby z nas świetna para. Doskonale tragiczna. Ty urodziłaś się w Arlenie, ja w Tanagrze, ty nie znosisz Wskrzesicieli, ja ich uwiel-

biam, ty jadasz *tharyę* z chlebem, a ja z plackami kukurydzianymi. A kiedy ty kupisz sobie pierwszy biustonosz, mnie wypadną ostatnie zęby. Może nawet zrobiliby o nas film, jeden z tych wstrząsających melodramatów o różnicach nie do pogodzenia.

Z ulgą zobaczyła, że Aelis się śmieje. Zeskoczyła z murka – stała teraz twarzą w stronę Tanagry, a Nataniel naprzeciwko niej, twarzą w stronę Getteim. Położył jej ręce na ramionach.

— Jeśli śmiejesz się z moich dowcipów, to znaczy, że zaczynasz przytomnieć — powiedział.

— Chyba tak — potwierdziła, choć nie była to prawda. Wciąż czuła słodki, przejmujący smutek, który krążył w jej żyłach jak muzyka fletni i tłumiał rozsądne myśli.

Odgłos kroków, który usłyszała za plecami, przypadł jej do gustu. W ciszy nocy brzmiał tak... filmowo. *Tup, tup* – oto nadchodzi złoczyńca. Jego obcasy wybijają równy rytm na płytach chodnika, a tuż za nim podąża wielki, złowrogi cień. Strzeżcie się, pozytywni bohaterowie.

Uśmiechnęła się dokładnie w tym samym momencie, w którym Andres zacisnął dłonie na jej ramionach.

— Elf, o którym mówiła Celia, miał ciemne włosy? — zapytał.

— Owszem.

— Splecione w cienkie warkoczyki i związane w kucyk?

— Tak, Natanielu, co... — Słodki smutek, jeszcze przed chwilą tak rozkoszny, teraz stał się groźny. Walczyła z nim, lecz przypominało to próbę oddychania, podczas gdy fale miodu zalewają twarz.

— Kąciki ust lekko wygięte, jakby w uśmiechu?

— Tak. Dlaczego o to pytasz?

Oczywiście wiedziała, jaka będzie odpowiedź. Dłonie Andresa ścisnęły jej ramiona jak obcęgi. Nie mogłaby się odwrócić, nawet gdyby chciała, a nie miała na to najmniejszej ochoty.

— Ponieważ on tu właśnie idzie. Posłuchaj mnie, Aelis, odwróć się teraz, pobiegiesz prosto przed siebie, znajdziesz telefon i zawiadomisz Jasbira Lala. Ja postaram się przez ten czas zatrzymać elfa.

— Nie zostawię cię.

— Owszem, zostawisz. Jeśli zostaniesz, w niczym mi nie pomo-

żesz.

— On może mieć broń.

— Tym bardziej wolę, żeby cię tu nie było. Wystarczy, że będę się martwił o samego siebie. Biegnij, ja sobie poradzę. Jestem dużym, silnym i nieprzyjemnym facetem, pamiętasz? No już!

Zakręcił nią jak dziecinnym bączkiem i popchnął. Aelis przemknęła obok elfa z taką szybkością, że gdyby próbował ją ścigać, nie miałby najmniejszych szans. Z rozwianymi włosami, lecz wcale nie zdyszana, wpadła pomiędzy zabudowania Getteim.

Rozejrzała się. Niedaleko była drogeria, w której paliło się światło. Pełna nadziei podbiegła do drzwi i dopiero wtedy dostrzegła wiszącą na nich kłódkę. Przez i szybę zajrzała do środka – co prawda nie zobaczyła nikogo, ale przecież światło dowodziło, że ktoś wciąż tu jest, może na zapleczu, może...

— Hej! — Uderzyła pięścią w drzwi. — Proszę mnie wpuścić! Muszę zadzwonić!

— On jest głuchy — odezwał się głos za jej plecami. Odwróciła się, mając wrażenie, że adrenalina za chwilę rozsadzi jej żyły.

Przy krawężniku parkowała czarna limuzyna, o którą w nonszalanckiej pozie opierał się jasnowłosy chłopak. Nie widziała go wcześniej, widocznie dopiero teraz wysiadł z auta.

— Właściciel tej drogerii jest głuchy jak pień i nie usłyszysz cię, nawet jeśli zagrasz na trąbie — powtórzył cierpliwie. — Jeśli potrzebujesz telefonu, mogę podrzucić cię na dworzec. O tej porze ulice są puste, więc zajmie to najwyżej dwie minuty.

\* \* \*

Najlepszą formą obrony jest atak.

Zgodnie z tą zasadą Nataniel Andres nie czekał, aż elf zrobi cokolwiek. Po prostu uderzył go pięścią w twarz.

Uznał, że nawet jeśli nieznajomy nie ma nic wspólnego z porwanyymi dziećmi, to pomyłkę mogą równie dobrze wyjaśnić, gdy on będzie stał, a elf spoczywał na chodniku.

Zaatakowany cofnął się i zachwiał, ale utrzymał równowagę. Twardy sukinsyn, pomyślał jeszcze Nataniel, zanim wszystko poto-

czyło się nie tak, jak trzeba.

Elf okazał się zdumiewająco, niesamowicie wręcz szybki. W jego dłoni coś błysnęło srebrzyście i Andres instynktownie rzucił się w bok. To ocaliło mu życie, bo kula przeleciała tuż obok jego ucha. W tej samej chwili potknął się o wystającą płytę chodnika i nie upadł tylko dlatego, że jedną ręką chwycił się latarni. Zamarł w wyjątkowo idiotycznej pozycji, przechylony niczym pijak, gapiąc się na elfa z głową wykręconą tak bardzo, że miał wrażenie, iż lada moment pęknie mu kręgosłup.

Elf zatrzymał się wystarczająco daleko, by Andres żadną miarą nie mógł go dosięgnąć, a jednocześnie wystarczająco blisko, by tym razem na pewno nie spudłować.

Nataniel odrobinę przekręcił tułów, tak że teraz mógł go widzieć, nie nadwerężając przy tym karku. Bał się wyprostować, pewien, że każdy gwałtowniejszy ruch tamten uzna za sygnał do ataku.

— Słuchaj, możemy przecież pogadać — wymruczał, jak miał nadzieję, uspokajająco. — Po co od razu strzelać?

Elf nie odpowiedział. Stał nieruchomo, podczas gdy w Andresie budziła się nadzieja. Skoro nie strzelił do tej pory, to może nie strzeli już w ogóle.

Nadzieja trwała, dopóki nie zrozumiał, co właściwie oznacza wyraz tej pięknej, bladej twarzy.

Elf miał minę kogoś, kto wychodząc z muzeum, odwraca się w drzwiach i rzuca ostatnie spojrzenie na dzieła sztuki. Minę kogoś, kto ogląda fascynujący film i wie przy tym, że seans za chwilę się skończy, a jego nie stać na drugi bilet. Noc, most, dziwaczna pozycja Andresa i jego wytrzeszczone, pełne przerażenia oczy – wszystko to chciał wyryć sobie w pamięci, zanim pociągnie za spust.

Andres wiedział, że to nic nie da, lecz mimo to otworzył usta, by spróbować go przekonać, może nawet poprosić. W ułamku sekundy zmienił zdanie i powiedział zupełnie coś innego. To był akt desperacji, ale właściwie co miał do stracenia?

— Nazywam się Nataniel — oznajmił.

Nieruchomy dotąd elf drgnął nieznacznie, a na jego twarzy poja-

wiła się niepewność.

O kurwa, to naprawdę działa, pomyślał oszołomiony Andres. Nie miał pojęcia, co powinien teraz powiedzieć. Przyznać się, że jest sierotą, lubi tharyę z plackami kukurydzianymi i słucha Wskrzesicieli? Czy to uczyni go w oczach elfa bardziej ludzkim?

Nie mógł się zdecydować, więc powtórzył uparcie:

— Jestem Nataniel. Nataniel, ty głąbie. Na-ta-niel!

Chyba przegiąłem, pomyślał niezwykle trzeźwo i jasno, gdy opadła fala paniki. Teraz mnie zastrzeli.

Elf cofnął się pół kroku, opuszczając jednocześnie pistolet. Na jego twarzy malowała się mieszanka niedowierzania, zdumienia i niepewności.

— Możesz odejść — powiedział. — Ale pamiętaj, że jeśli kiedyś się jeszcze spotkamy, zabiję cię. Rozumiesz?

Andres pokiwał głową, starając się nie robić tego ze zbytnią gorliwością. Nie bardzo mu wyszło.

\* \* \*

Dojechanie do dworca rzeczywiście zajęło im dwie minuty. Dokładnie wtedy właśnie Aelis ujrzała dobrze znany, jasno oświetlony budynek.

Pięć sekund później budynek został za jej plecami, a dziewczyna poczuła gwałtowny przyływ niepokoju.

— Dokąd jedziemy? Przecież mieliśmy się tu zatrzymać? Proszę, dokąd...

— Wszystko będzie dobrze — powiedział chłopak zdawkowo, z roztargnieniem, jakby uspokajał idące do uśpienia zwierzę.

Odruchowo — w pamięci wciąż mając opowieść Celi — wyciągnęła rękę w stronę drzwiczek, ale nie dotknęła ich. Samochód jechał szybko, a ona bała się upadku, bólu łamanych kości, śmierci, jeśliby naprawdę miała pecha. Przy takiej prędkości zdarzyć się mogło wszystko.

— Są zablokowane — uprzedził ją, zanim zdążyła podjąć decyzję. — Dla bezpieczeństwa, wiesz. Żeby małe dzieci nie zrobiły sobie przypadkiem krzywdy.

Od chwili gdy na moście ujrzała elfa, jej umysł znajdował się na skraju paniki i teraz wreszcie w nią wpadł. Jakąś częścią zdawała sobie sprawę, że przerażenie podsycają w niej resztki narkotyku, który niedawno wprowadził ją w euforię, ale to nie miało znaczenia. Już nie. Ktoś przekreślił wyłącznik i Aelis przestała racjonalnie myśleć. Była sobą i była Celią, jechała elegancką limuzyną, a obok niej zamiast nastolatka siedział zagadkowo uśmiechnięty elf.

Z krzykiem rzuciła się na niego, drapiąc i bijąc otwartymi dłońmi.

Zaklął, ale panowanie nad kierownicą stracił tylko na chwilę. Z dziewczyną poradził sobie bez trudu – po prostu lewą ręką chwycił ją za szyję i jak rozżłoszczonego psiaka trzymał na odległość wyciągniętego ramienia. Aelis miotała się, w panice niezdolna zadać mu prawdziwy ból. Śmiał się z jej wysiłków, a jego oblicze raz było twarzą elfa, to znów – nastolatka.

Im bardziej Aelis napierała, próbując się zbliżyć i wydrapać mu oczy, tym mocniej zaciskał palce na jej gardle. Traciła oddech, przed oczami wirowały czarne plamy. W głowie czuła coraz szybsze, coraz gwałtowniejsze dudnienie pulsu, które zmieniało się w dwa słowa: *proszę, nie, proszę, nie ...*

Wtedy właśnie, niemal na granicy przytomności, dostrzegła, że elf nastolatek już się nie śmieje. Teraz jego rysy wyrażały niepokój. To było ważne, tak ważne, że świadomość tego przedarła się do jej spanikowanego umysłu.

Przestała walczyć. Skręcili w boczną, wąską drogę, po której samochód jechał znacznie wolniej. Na tyle wolno, że gdyby wyskoczyła, nic by jej się nie stało.

W przebłysku cudownej nadziei zrozumiała, dlaczego kierowca bał się tego właśnie momentu. Drzwi wcale nie były zablokowane. Mogła uciec.

Zaciśnięte na gardle palce zwolniły chwyt. Odwróciła się i w tej samej chwili ciężka dłoń spadła na jej ramię. Nadzieja płonęła w niej zbyt silnie, by coś takiego mogło ją zgasić – była przecież Celią, a Celię elf już raz wypchnął z samochodu, więc pewnie teraz zrobi to samo, po prostu chwyci ją za ramiona i wyrzuci na pobocze, wprost do wolności.



Zapisały hamulce, limuzyna zatrzymała się w poprzek drogi. Aelis zdążyła otworzyć drzwi, nim chłopak chwycił w garść jej włosy i uderzył głową dziewczyny w szybę.

# Dzień dziesiąty

*Dzięki za imię.*

Kartka napisana przez Nataniela Andresa  
i wysłana na adres sierocińca  
prowadzonego przez Czerwone Siostry

Dzień wstawał szary, zamglony, senny. Pierwszy typowo jesienny poranek tego roku, pomyślała Aelis, stojąc przy oknie i patrząc na zaniedbany ogród. Rosły w nim nagie krzewy, które mogły na zimę stracić liście, ale równie dobrze mogły być po prostu uschłe. Pomiedzy nimi zalegało błoto, w którym tkwiły resztki zdeptanych kwiatów. Wszędzie walały się śmieci: rozmokłe od deszczu papierowe torby, gazety i kartoniki, zgniecione plastikowe opakowania po serkach, niedopałki papierosów i obierki. Wszystko, co było na tyle lekkie, by wraz z podmuchami przyfrunąć ze śmietnika, które – Aelis mogłaby się o to założyć – znajdowało się gdzieś niedaleko.

Worek, zaczepiony o ciernistą gałąź, wydał się i załopotał. Tuż obok wisiał upstrzony ciemnymi plamami bandaż, który na wietrze wyginał się niczym olbrzymia gąsienica.

Dziewczyna myślała o tym, kto chciałby mieszkać w takim miejscu i dlaczego – jeśli już musiał mieszkać – ów ktoś przynajmniej od czasu do czasu nie sprzątał w ogrodzie. Myślała o tym, czy przeźliwy ból głowy oraz mdłości, które czuje, oznaczają wstrząs mózgu, czy też nie, a także o tym, jak Nataniel poradził sobie z elfem. Po nocnych halucynacjach nie pozostał ślad – myślała jasno i szybko o wszystkim z wyjątkiem tego, co najważniejsze.

Tkwiła w rozpadającej się willi sam na sam z wariatem, który

czekał na pretekst, by znów ją skrzywdzić.

Bała się sięgnąć w głąb, do samego dna swojej odrętwiałej ze strachu istoty. Gdyby to zrobiła, mogłaby naruszyć kruchą równowagę i znów wpaść w panikę. Coś, co równie dobrze mogło być instynktem samozachowawczym, jak i zwykłym tchórzostwem, zdecydowało, że Aelis nie próbowała ogarnąć całości sytuacji. To zbyt przerażające, więc dziewczyna zajmie umysł błahostkami i tylko czasami, przemycając tę myśl pomiędzy innymi, zastanowi się, jak samej sobie pomóc. Żadnych wielkich planów czy skomplikowanych intryg – trzeba drobnymi kroczkami dążyć do maleńkich zwycięstw.

Na przykład mogłaby postarać się znaleźć prawidłową odpowiedź na to cholerne pytanie.

— Co mam z tobą zrobić?

Odwróciła się, obejmując spojrzeniem pokój i pytającego. Chłopak siedział na drewnianej pryczy, która wyglądała jak ukradziona z celi więziennej. Obok stał zrobiony chałupniczą metodą stół, a na nim pysznił się intensywną czerwienią aparat telefoniczny – jedyna wartościowa i nowa rzecz w całym pomieszczeniu. Na stole ktoś niedawno przygotowywał jedzenie – świadczyły o tym okruszki chleba, skórki od boczku i poznaczona plamami masła gazeta, a także wielki rzeźniczy nóż, który Aelis starannie omijała wzrokiem.

Poza pryczą i stołem nie było tu innych sprzętów, ze ścian oblażyła spłowiała tapeta, a w kątach zalegał wieloletni kurz. Biorąc to wszystko pod uwagę, dziewczyna bez trudu domyśliła się, że willa nie służy chłopakowi jako miejsce zamieszkania. Być może wynajął ją po to, by przyprowadzać tu nieletnie panienki i dręczyć je bezsensownymi pytaniami.

— Co ja mam z tobą zrobić? — powtórzył.

Siedział na pryczy w nonszalanckiej pozie, z nogą założoną na nogę, tak że Aelis wyraźnie widziała jego nowiutkie buty warte kilkaset renów. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak bogaty nastolatek: miał modne ciuchy, rozjaśnione włosy oraz wyrobione podczas starannych ćwiczeń mięśnie. Na drugi rzut oka wyglądał jak rozkapryszony bogaty nastolatek, taki, który lubi krzywić ładne usta w wyra-

zie niechęci i mrużyć z kpina błękitne jak niebo oczy. Aelis wiedziała, że chłopcy o takim typie urody potrafią wykazać się sporą dozą może irytującego, ale jednak wdzięku. Jeśli tylko im na tym zależy, pomyślała.

Temu akurat nie zależało. Był przecież panem sytuacji.

— Wypuść mnie.

To nie była dobra odpowiedź. Wypróbowała już ją, podobnie jak: „Nie wiem”, „To zależy od ciebie” oraz kilka innych. Poza tym raz błagała o litość i dwa razy próbowała uciec, ale to kończyło się jeszcze gorzej. Płacz, krzyk czy próby oporu podniecały chłopaka, który reagował, bijąc ją z wyraźną przyjemnością. Teraz, gdy spokojnie odpowiadała na pytania, zaczynał się nudzić. Po godzinie pobytu z nim w jednym pokoju Aelis zrozumiała, że on rzeczywiście nie ma pojęcia, co z nią zrobić. Od czasu do czasu popatrywał z nadzieją na telefon, najwyraźniej spodziewając się, że ktoś zadzwoni i podejmie za niego decyzję. Dziewczyna też na to liczyła. Może ktoś, na przykład ów tajemniczy elf, postanowi, że powinna być wolna, albo też Aelis sama znajdzie odpowiednie słowa. Chłopak z pewnością nie był całkiem normalny, ale też nie wyglądał na zupełnego świra, który myśli tylko o tym, by się pobawić, a potem zabić. Jego niepewność dawała jej szansę.

— Dlaczego chcesz odejść, mała dziewczynko? Żle ci tu ze mną?

Aelis milczała. Uśmiechnął się do niej szeroko.

— No więc co ja mam z tobą zrobić, co? Masz jakiś pomysł?

Nie chciał jej wypuścić, bo gdyby to zrobił, musiałby sam przed sobą przyznać, że porywając ją, nie miał żadnego celu, a na to nie pozwalała mu miłość własna. Niemniej istniała prawdopodobnie odpowiedź, po której chłopak roześmieje się, klepnie ją w plecy i otworzy drzwi, mówiąc: „No więc uciekaj do mamy, mała dziewczynko” czy coś w tym rodzaju. Lecz aby to osiągnąć, musiałaby sprawić, że poczuje się łaskawym dobroczyńcą, a nie idiotą, który najpierw bez sensu ją porwał, a potem równie bez sensu uwolnił. Od dwóch godzin szukała właściwych słów i nie znajdowała. Przypominało to dobieranie odpowiedniego klucza do zamka w sytuacji, gdy kluczy jest tysiące, a czasu coraz mniej. Z każdą chwilą czuła

się gorzej i rozmyślała, ile minie czasu, nim zemdleje albo z bólu zrobi coś, co rozzłości chłopaka.

— Jeśli nie wiesz, co ze mną zrobić, to może po prostu pozwól mi odejść? — spróbowała przemówić mu do rozsądku. — Potrafię się zając sama sobą i obiecuję, że nikomu nie powiem...

— Czego nie powiesz? — wpadł jej w słowo, ożywiając się wyraźnie. — Chciałabyś się na mnie poskarżyć? Przecież sama mówiłaś, że nie jest ci ze mną źle.

Za każdym razem wyglądało to tak samo. Ona mówiła, ostrożnie dobierając słowa, on wyszukiwał w jej odpowiedziach sprzeczności i starał się sprowokować, by powiedziała coś, za co będzie ją mógł uderzyć. Przypominało to dyskusję z uzbrojonym w rewolwer okrutnym dzieckiem – jedno niewłaściwe słowo i będzie martwa, a on przestanie mieć problem, co z nią zrobić.

Gestem przywołał Aelis i odsunął jej włosy z twarzy.

— Bolało, kiedy cię biłem?

— Trochę — przyznała.

Głaskał ją, naciskając najmocniej te miejsca, gdzie skórę pokrywały siniaki. W oczach dziewczyny pojawiły się łzy, na których widok uśmiechnął się, zadowolony. Miała ochotę zdrapać ten uśmiech z jego twarzy, zedrzeć go razem ze skórą, tak żeby wrzeszczał, żeby cierpiał jak ona.

— Moje biedactwo — powiedział z czułością.

Szansa, że wydostanie się stąd żywa, była nikła, tak nikła, że na myśl o tym Aelis poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Mógł ją zabić z tylu powodów: dla zabawy, ze strachu, że wsypie go na policji, nawet przez przypadek, chcąc tylko uderzyć, bo Aelis była krucha, a on nie zdawał sobie sprawy z własnej siły.

— Proszę... — wymamrotała.

Obejmował ją, tuląc do siebie i podtrzymując jednocześnie. Gdyby nie to, upadłaby na podłogę, ale nie potrafiła zdobyć się ani na odrobinę wdzięczności. Jego dotyk przejmował ją wstrętem i cieszyła się tylko z tego, że teraz, gdy opiera czoło o jego ramię, nie musi już patrzeć mu w twarz.

— Wiesz co? Skoro tak ładnie prosisz, to może pozwolę ci sobie pójść. Ale musisz poprosić jeszcze raz, żebym uwierzył, że

naprawdę tego chcesz.

Mówił ze słodyczą tak przesadną, że sprawiała wrażenie kpiny. Jednak pod tą fałszywą czułością kryła się czułość prawdziwa, mroczna i przerażająca.

— Poprosisz?

Potrząsnęła głową. Już to przerabiali. Lubił, kiedy go błagała, ale nie zamierzał z tego powodu zwrócić jej wolności.

— No widzisz, miałem rację, że ci ze mną dobrze. — Niemal widziała pełen satysfakcji uśmiech na jego twarzy. Marzyła o tym, by nienawiść mogła zabijać, wtedy skoncentrowałaby ją na tej jednej jedynej osobie i na zawsze wymazała ją ze świata żywych. Wyobraziła to sobie w najdrobniejszych szczegółach: jego przerażenie, ból i udrękę, wreszcie całkowite, zupełne unicestwienie, tak żeby nie pozostał po nim żaden ślad.

Niewiele dała jej ta myśl – tylko tyle, że poczuła się odrobinę lepiej i znalazła w sobie dość siły, by stanąć na własnych nogach.

Przestał ją obejmować, ale nie pozwolił odejść. Jedną rękę położył na jej biodrze, drugą ujął pod brodę i spojrzał w oczy.

— Ile masz lat?

Następne niebezpieczne pytanie. Z jednej strony resztki dumy nie pozwalały Aelis udawać dziecka, a z drugiej istniała nikła szansa, że chłopak naprawdę uważa ją za małą dziewczynkę, więc głupotą byłoby wyzbywać się takiego atutu.

— Więcej, niż ci się wydaje — spróbowała pogodzić ze sobą obie strony.

Chłopak nagroził ją wybuchem śmiechu, co jeszcze bardziej utwierdziło Aelis w przekonaniu, że on wie, z kim ma do czynienia, i doskonale się bawi. Gdyby było inaczej, to skąd wzięłby się przy moście? Najprawdopodobniej przyjechał tam z elfem i czekał w samochodzie, podczas gdy tamten poszedł załatwić porachunki z Andresem.

A skąd obaj wiedzieli, że Nataniel i Aelis tam właśnie będą?

Odpowiedź nie nastęrczała trudności. Gdy Andres proponował jej spacer na most, obok przechodził rudy chłopak. Nataniel pozdrowił go nawet. Rudzielec był mniej więcej w tym samym wieku co blondyn, który porwał Aelis, obaj też nosili podobne ubrania.

Dziewczyna założyła więc, że pochodzili z tej samej grupy społecznej, znali się i działali razem. Spróbowała odtworzyć tok rozumowania rudzielca. Po raz pierwszy widzi Aelis, gdy ta oddaje facetowi portfel – to jeszcze nie budzi w nim niepokoju, przez dworzec przewijają się setki ludzi, i to niekoniecznie podróżnych. Niektórzy przychodzą na tani seans do kina albo po to, by kupić coś w nocnym sklepie. Potem jednak widzi ją drugi raz, gdy dziewczyna rozmawia z Andresem, i wtedy domyśla się, po co oboje znaleźli się na dworcu. Dzwoni więc do swojego kumpla blondyna albo do elfa i mówi coś w stylu: „Andres i jego panienska zaczynają coraz bardziej węszyć i chyba robią się niebezpieczni. Trzeba wytłumaczyć im grzecznie co i jak. Jeśli się pospieszycie, to za jakieś pół godziny możecie spotkać ich na wschodnim moście”. Proste, prawda?

Proste, odpowiedziała sama sobie, lecz pod warunkiem, że tamci wiedzieli, kim są Andres i Aelis, i już od jakiegoś czasu uważali ich za potencjalne zagrożenie. To z kolei pasowało do opowieści Nataniela o przetrząśniętym biurze.

Problem polegał jedynie na tym, że wcześniej ani Nataniel, ani ona nie interesowali się porywanymi dziećmi. Interesowali się za to zniknięciem anioła.

Nie potrafiła objąć umysłem znaczenia tego faktu. Ból głowy narastał, przy każdym poruszeniu miała wrażenie, że ktoś wbija jej w mózg płonące drzazgi. A najgorsze było to, że wyciekały z niej resztki woli walki, pozostawiając po sobie jedynie mdlący strach.

Przesunęła językiem po wargach. Gardło miała suche, żołądek ściśnięty w supeł.

— Chciałabym... — wychrypiała. — Chciałabym napić się wody.

Ostatnio poprosiła chłopaka, żeby pozwolił jej pójść do ubikacji. Drażnił się z nią przez trzy kwadranse, nim wreszcie wyraził zgodę. Stał obok, gdy ściągała majtki i dawała ulgę przepelnionemu pęcherzowi. Był to najbardziej upokarzający moment w życiu Aelis.

Teraz na szczęście zrezygnował z zabawy. Poprowadził ją do małej kuchenki, gdzie napełnił szklankę wodą z kranu. Dziewczyna piła małymi łydkami, starając się nie patrzeć na porastający ścianę grzyb i na łażące po zlewie paciorkowate robaki.

— Już lepiej? — zapytał, mierzwiąc jej włosy.

Nie zdążyła odpowiedzieć. Z dołu, od strony piwnicy, dobiegł stłumiony krzyk. Drgnęła zdumiona.

— Co to?

Palce zacisnęły się na jej włosach i szarpnęły. Krzyknęła cicho.

— Nie powinno cię to interesować.

Wypchnął ją z kuchni i skierował z powrotem w stronę pokoju. Po drodze rozlała trochę wody, ale szklanka nadal w połowie była pełna. To dobrze – spływający do żołądka zimny płyn przynosił odrobinę ulgi.

Chłopak usiadł na pryczy i zadał sakramentalne pytanie:

— No i co ja mam z tobą zrobić?

Wyczerpana Aelis zamknęła oczy. Czas zatoczył koło i wyglądało na to, że nie ma dla niej ratunku.

— A co chciałbyś ze mną zrobić?

Z jej punktu widzenia nie była to dobra odpowiedź, za to była to odpowiedź, na którą czekał chłopak. Dała mu szansę na popisanie się pomysłowością.

— Pomyślmy... Co można zrobić z taką małą dziewczynką? Można zabrać ją na lody albo na karuzelę... Hmm, niestety, to nie wchodzi w rachubę... — Zaśmiał się cicho i zrobił pauzę, celowo stopniując napięcie. — Wiesz, co jest najgorsze w takich małych dziewczynkach jak ty? To, że zbyt szybko dorastają, robią się duże, brzydkie. I zaczynają grzeszyć, a przynajmniej tak twierdzą kapłani. Mnie tam grzechy nigdy specjalnie nie obchodziły, ja wyznaję zasadę, że każdy może robić, co mu się podoba. Ale oni naprawdę się tym przejmują, wiesz? Są i tacy, którzy twierdzą, że dla dzieci, ludzkich dzieci, jest lepiej, jeśli umrą, zanim dorosną, bo wtedy idą prosto do nieba. Rozumiesz? Tylko ludzkie dzieci, nie żadne mieszańce, i tylko nim dorosną i zdążą nagrzeszyć. W dawnych czasach zdarzało się nawet, że ludzie zabijali dzieci, bo chcieli im w ten sposób zapewnić życie wieczne. Zabawny pomysł, nie? Chciałabyś, żeby ktoś zafundował ci taki bilet do nieba? No, co tak stoisz i wytrzeszczasz na mnie śleпка?

Aelis rzeczywiście stała z szeroko otwartymi oczami, niezdolna wymówić choćby słowa.



Zrozumiała.

Nareszcie zrozumiała, jaką rolę do spełnienia miały porywane dzieci i dlaczego wszystkie musiały umrzeć. Właściwie powinna domyślić się już dawno – w dzieciństwie matka od czasu do czasu zabierała ją do Domu Bożego, gdzie nasłuchiwała się kazań radykalnych kapłanów. To było proste, jeśli tylko zaakceptowało się zdumiewającą śmiałość tego planu.

Usta Aelis poruszyły się, układając w słowa:

— Co wyście...

Szklanka wyśliznęła się ze spoconych rąk i upadła, rozbijając się między stopami chłopaka. Woda obryzgała nogawki jego spodni. Skrzywił się, najpierw zaskoczony, a potem wściekły.

— Patrz, co zrobiłaś.

Trzasnął ją w twarz z taką siłą, że poleciała do tyłu jak szmaciana lalka. Nie zdążyła wyciągnąć rąk i jej czoło z głuchym *łup* odbiło się od ściany. Aelis opadła na podłogę, gdzie zwinęła się w kłębek. O Boże, jak boli, skowyczała jej w głowie samotna myśl.

Chłopak jednym skokiem znalazł się przy dziewczynie, chwycił ją za włosy i szarpnął w górę. Gwałtowny ruch wywołał kolejne fale bólu. Miała wrażenie, że pod jej czaszką ktoś zawiesił dzwon, który kołyszając się, uderza miarowo w kość. Jeszcze jedno *łup* i głowa Aelis po prostu rozpadnie się na kawałki.

— A teraz przeprosisz ładnie i posprzątasz tu, bo ja nie mam zamiaru tego robić.

Starala się skoncentrować wzrok, ale przedmioty rozmazywały się przed załzawionymi oczami. Zamrugła, łzy spłynęły na policzki. Niewiele to pomogło – obraz drgał, wyrzuszało się i wykrzywiało, jakby patrzyła przez warstwę wody, w polu widzenia fruwały plamki podobne do zetlących szczątków papieru.

Wyciągnęła rękę w stronę, gdzie powinny się znajdować odłamki szkła, i na oślep zaczęła zagarniać je do siebie. Ledwo poczuła ukłucie bólu – w porównaniu z huczącym w głowie dzwo-nem było niczym. Dopiero gdy chłopak chwycił ją za ramię, zrozumiała, że ma przestać.

Mówił coś, ale słowa nie docierały do niej. Miała przed sobą falującą, wypukłą jak jajko twarz, na której usta poruszały się, nie

produkując żadnych dźwięków. To było zabawne, zachichotała więc histerycznie, płacąc za śmiech kolejną falą bólu.

Brwi na falującym czole zmarszczyły się. Chłopak wyciągnął rękę, Aelis skuliła się w oczekiwaniu na cios.

Tym razem nie uderzył jej, lecz jedynie chwycił za łokieć i zmusił, by spojrzała na własną dłoń, która wyglądała, jakby naciągnięto na nią czerwoną rękawiczkę. Dziewczyna dopiero po chwili pojęła, na co patrzy.

Rana biegła od nasady kciuka aż po nadgarstek i była głęboka. Nic dziwnego, że wypływało z niej tyle krwi. Gdy odwróciła dłoń palcami w dół, z czubka kciuka pociekł czerwony strumyczek.

Ponieważ przez chwilę siedziała nieruchomo, ból głowy zelżał i mogła usłyszeć słowa chłopaka:

— Zabrudziłaś całą podłogę.

Mogła także zobaczyć wyraz niechęci na jego twarzy, bo obraz przed jej oczami przestał wreszcie wyginać się i dygotać.

— Pójdę do łazienki, opatrzę skaleczenie, a potem tu posprzątam — powiedziała wolno, z wysiłkiem.

Niechęć na twarzy chłopaka przechodziła w złość. Aelis bała się takiego właśnie momentu: zakrwawiona i na wpół przytomna nie była już ładną zabawką, którą bawił się przez ostatnią godzinę. Zabawka się popsowała, koniec pieśni. Pora wyrzucić ją na śmietnik i znaleźć sobie nową.

— Zaraz posprzątam — powtórzyła, próbując ratować, co się da.

Pozwolił jej podnieść się z klęczek na czworaki. Dopiero wtedy, gdy już miała oderwać dłonie od podłogi i wstać, kopnął ją w głowę.

Upadła, tracąc przytomność. Potrząsnął nią, starając się ocucić, lecz zwisała mu w rękach jak wypchany worek. To tylko wzmogło jego frustrację. Poczul się oszukany.

Wypróbowanym chwytem złapał dziewczynę za włosy i wcisnął jej twarz w odłamki szkła. Poprzecinane w kilku miejscach policzki i szrama na czole nie były zadowalającym efektem. Postanowił to poprawić, odwrócił więc Aelis na plecy, dwa kawałki szkła wcisnął jej w oczodoły, a trzecim poszerzył uśmiech aż do uszu. Pod naciśnięciem ostrej krawędzi skóra rozstępowała się łatwo, budząc

zabawne skojarzenie z otwieraniem błyskawicznego zamka.

Chłopak odsunął się i spojrzał na swoje dzieło.

Nie był zadowolony. Ubrana krwią i ozdobiona idiotycznym uśmiechem twarz sprawiała, że czuł się brudny, wciągnięty w coś, co wcale mu się nie podobało. Dziewczyna wyglądała tak paskudnie, że na jej widok chciało mu się rzygać.

— No i widzisz, trzeba było się nie stawiać — powiedział.

Nie poczuł się przez to lepiej, a jedyną osobą, którą mógł ukarać, była Aelis. Kopnął ją kilka razy, przesuwając po podłodze bezwładne ciało. Głowa zostawiała za sobą szerokie brudnoczerwone smugi.

Telefon zadzwonił w dobrym momencie – akurat wtedy, gdy zaczynał mieć dość i wypadało pomyśleć, co dalej.

Mówiła głównie osoba po drugiej stronie linii, a chłopak potakiwał. Najdłuższą jego wypowiedzią było pytanie o dziewczynę. To, co usłyszał, spodobało mu się, bo odkładając słuchawkę, był już rozluźniony i spokojny.

W łazience umył ręce, po czym wrócił do pokoju, by rzucić na Aelis pożegnalne spojrzenie. Coś przyszło mu do głowy.

Otworzył okno, chwycił dziewczynę wpół, przewiesił przez parapet i wypchnął do ogrodu.

Znów ubrudził sobie ręce i bluzę krwią, ale nie narzekał. To był przecież świetny dowcip.

\* \* \*

Ivon człapał energicznie ulicą. Animuszu dodawała mu wypita w nocnym barze śliwowica oraz myśli w rodzaju: bądź co bądź to jest moja chałupa, nie?

Mianem tym określał na wpół zrujnowaną willę na obrzeżach miasta, gdzie miał tylko jedno zadanie: zajmować się zamkniętą w piwnicy dziewczyną. Za to dostawał kąpiel do spania i drobne na jedzenie. To wystarczyło, by poczuł, że w pewnym sensie jest to jego dom. Irytowało go więc, że od czasu do czasu któryś z pracodawców dzwonił i kazał mu się wynieść na kilka godzin albo i na całą noc. Wychodził posłusznie, bo taka była umowa, ale nie podo-

bało mu się to, o nie. Nie powinni go tak traktować w jego własnym domu.

Brakowało mu jednak odwagi, by otwarcie się zbuntować, więc jedynym wyrazem protestu, na jaki się zdobywał, były mamrotane pod nosem przekleństwa oraz to, że czasami wracał troszkę wcześniej, niż powinien.

Tak jak teraz.

Gdy otwierał furtkę, ciekawość walczyła w nim ze strachem. Ivon był prostym człowiekiem, ale nie idiotą. Bał się z jednej strony kary za złamanie warunków umowy, a z drugiej tego, co mógłby zobaczyć, a co z pewnością nie byłoby przeznaczone dla jego oczu.

Z willi nie dobiegał żaden dźwięk. Ivon przyjął to jednocześnie z ulgą i odrobiną rozczarowania. Zamknął za sobą furtkę, po czym ruszył przez ogród.

Mniej więcej w połowie drogi strach wrócił. Coś było nie w porządku. Podświadomie wciąż spodziewał się jakichś dziwnych odgłosów z wnętrza domu, ale nie o to chodziło – budynek był cichy jak grobowiec na opuszczonym cmentarzu.

Chodziło o śmieci.

Czerwone rozbryzgi na starym szkolnym zeszytcie, zakrwawiona torebka po chrupkach i zmięta papierowa chusteczka, która rozkwitła w purpurową różę – każda z tych rzeczy osobno nie znaczyła nic, ale razem były na tyle oczywiste, że Ivon wcale się nie zdziwił, gdy zobaczył ciało.

Dziewczynka leżała w krzakach odwrócona twarzą do nieba i uśmiechała się, odsłaniając zęby. Wszystkie zęby, co do jednego. Na widok tego uśmiechu Ivon wrzasnął, odskakując w tył. Minęła dobra chwila, zanim odważył się znów na nią spojrzeć. Intrygowały go oczy dziecka. Sądził, że ktoś wepchnął w nie dwa motyle, ale to były tylko kawałki szkła, w których odbijały się refleksy słońca.

Zastanowił się, co powinien zrobić. Po namyśle doszedł do wniosku, że jego chlebodawcy już tu nie wrócą – nikt o zdrowych zmysłach nie zostawia zwłok w ogrodzie domu, z którego zamierza jeszcze korzystać.

Oznaczało to, że właśnie stracił pracę, co nie przypadło mu do gustu. Mogło to także oznaczać, że za chwilę zjawi się tu policja, co

podobało mu się jeszcze mniej.

Pora się wynosić, zdecydował z żalem, bo naprawdę lubił ten dom.

Wszedł do wnętrza willi, zabrał ze schowka pod podłogą zachomikowane na czarną godzinę drobniaki i butelkę mocnej śliwownicy. Potem zszedł do piwnicy, niemal pewny, że to nie ma sensu, że jego chlebowdawcy zabrali dziewczynę ze sobą.

Mylił się – ona wciąż tam była. Uwolnił ją więc i zanim na dobre opuścił willę i znów stał się bezdomny, miał jeszcze okazję z przyjemnością patrzeć, jak więźniarka niepewnie przekracza próg celi, w której tkwiła od dwóch miesięcy.

\* \* \*

Promień słońca przedarł się przez zasłone chmur i musnął czoło Andresa, który odruchowo zmrużył oczy. Miał wrażenie, że ktoś nasypał mu pod powieki piasku. Spojrzał na twarz odbitą w sklepowej witrynie: szarą ze zmęczenia, opuchniętą, z przekrwionymi białkami oczu, i posłał jej wymuszony uśmiech. Bądź co bądź była to jego własna twarz. W żyłach Andresa krążyła kofeina z trzech filiżanek kawy, ale tak naprawdę energii dodawała mu myśl o Aelis.

Zimny podmuch szarpnął jego kurtkę i wdarł się pod koszulę. Mężczyzna zaklął, postawił kołnierz i skulił się, wciskając w niego brodę. Chmury gnały po niebie niczym stado czarnych baranków ostro popędzanych przez psa pasterskiego. Gdy żadna z nich nie przesłaniała słońca, na miasto chlustały potoki złocistego światła, ale przez większość czasu wszędzie zalegał posepny cień. Choć dochodziła siódma, Getteim jeszcze na dobre się nie obudziło. Nieliczni przechodnie z lękiem patrzyli w zachmurzone niebo – zimą zawsze nadchodziły deszcze, które tym razem mogły oznaczać coś więcej niż tylko przejściową niedogodność złej pogody. Mogły oznaczać zagładę całego miasta.

— Pomyślmy jeszcze raz. — Andres spojrzął na Merica, po czym wyjął papierosa i paczkę zapalek. Wiatr wciąż gasił płomień, więc zrezygnował po kilku próbach. W roztargnieniu schował papieros do kieszeni, a zapalki wyrzucił do śmieci. — Aelis szukała

telefonu. Gdzie w środku nocy mogła się spodziewać czynnego telefonu?

Młodszy mężczyzna potrząsnął głową. Desperacka energia Andresa sprawiała, że czuł się jeszcze bardziej bezradny. Wczoraj wieczorem wydarzenia zaczęły gnać na łeb na szyję, a on zupełnie stracił nad nimi kontrolę. Jeżeli kiedykolwiek ją miał. Najchętniej usiadłby teraz gdzieś, by wszystko na spokojnie sobie przemyśleć, a także aby w ciszy opłakać Aelis. Lecz Andres miał swoje sposoby radzenia sobie z rozpaczą, a najważniejszym z nich było działanie. Wyciągnął więc Merica z domu, argumentując, że we dwóch mają większe szanse trafić na ślad dziewczyny. Meric zgodził się, choć pesymistyczna natura podpowiadała, że nie zobaczy już Aelis żywej.

Wiatr szarpał wiszącym na murze plakatem; oderwany róg łopotał, przesłaniając część napisu. Meric starał się nie patrzeć w tę stronę – i tak wiedział, co tam jest napisane.

Joelu, uratuj nasze miasto. Słowa umieszczono pod zdjęciem wraz z numerem, na który powinni dzwonić ci, którzy znają losy anioła. Wczorajszego wieczoru Mericowi zupełnie wypadło z głowy, że Indil obiecała rozwiesić w mieście plakaty, i teraz patrzył na nie z lękiem oraz poczuciem winy. Biorąc pod uwagę to, co powiedział mu Eliel, plakaty były nie tylko bezsensowne, ale i niebezpieczne – Meric otrzymał przecież ostrzeżenie, by nie szukać Joela.

Nataniel Andres podszedł do siwowłosego mężczyzny, który z kubłem na śmieci wyszedł przed kamienicę, po czym nawet się nie przedstawivszy, zaczął go wypytywać. Starszy pan wyglądał na wystraszonego tą mało uprzejmą indagacją. Tak, owszem, mieszka tu już od jakiegoś czasu, ale nie wie, gdzie w okolicy może być czynny nocą telefon. On sam po zmroku rzadko wychodzi z mieszkania, a już na pewno nie po to, żeby gdziekolwiek dzwonić.

Druga z kolei zapytana osoba powiedziała Andresowi o znajdującej się za rogiem budce, a trzecia wspomniała, że właściciel pobliskiej drogerii ma zwyczaj po zamknięciu sklepu pracować na zapleczu. Zostawia wtedy zapalone światło i czasem, jeśli ktoś dobija się wystarczająco długo, otwiera mu i pozwala coś kupić albo skorzy-

stać z telefonu.

Mimo wczesnej pory drogeria była otwarta. Przy półkach krzątał się gnom, którego najpierw w półmroku wzięli za kilkuletnie dziecko. Gdy podeszli bliżej, okazało się, że to skurczony staruszek o zdumiewająco żywych, młodzieńczych ruchach i błyszczących inteligencją oczach.

Na widok wchodzących zgarnął w kupkę leżące na niskim kon-tuarze karty, po czym uśmiechnął się.

— Nataniel Andres, nie myłę się, prawda?

Andres zmarszczył brwi.

— Karty powiedziały panu, że przyjdę?

Gnom westchnął, wznosząc oczy do sufitu, jakby prosił niebo na świadka tego, z kim przyszło mu rozmawiać.

— Ciekaw jestem, kiedy wy, ludzie, wreszcie zrozumiecie, że nasze karty nie służą do przewidywania przyszłości. Gardzimy takim prymitywnym czary-mary jak wróżenie! Nasze karty nie pokazują przyszłości, tylko terażniejszość, bo to ona właśnie jest najważniejsza. I tak, owszem, karty powiedziały mi parę dni temu, że mężczyzna nazwiskiem Nataniel Andres szuka anioła, a potem pewien mój kolega, który korzystał kiedyś z pańskich usług, wskazał mi na ulicy pana i pańską małą przyjaciółkę. Dlatego właśnie znam pańską twarz. Ot i cała tajemnica.

Zrzedził, ale jednocześnie w oczach miał kpiący błysk, dzięki czemu wyglądał trochę jak swawolny chłopiec, który usiłuje udawać staruszka. Meric już czuł do gnoma sympatię, a w innych okolicznościach pewnie polubiłby go także Andres, który teraz z całych sił hamował ochotę, by złapać rozmówcę za kołnierz i potrząsnąć, zmuszając w ten sposób do streszczania się.

— A czy karty nie powiedziały panu przypadkiem, gdzie jest w tej chwili moja przyjaciółka?

— Była tu zeszłej nocy. Wiem to nie z kart, lecz dlatego, że ją widziałem. Dobijała się do drzwi, ale zanim zdążyłem otworzyć, wsiadła do samochodu i odjechała. To znaczy zgaduję, że to była pańska przyjaciółka, bo nie zobaczyłem jej twarzy, tylko ciemne włosy i sylwetkę od tyłu, kiedy siadała obok kierowcy.

— To musiała być ona... — wymruczał Andres. — Jaki samo-

chód?

— Limuzyna, czarna albo granatowa, trudno było stwierdzić w tym świetle.

— A numer rejestracyjny?

— Żartuje pan, prawda? Nie dojrzałbym go, nawet gdybym specjalnie patrzył, czego nie robiłem, bo skąd mogłem wiedzieć, że to się przyda? Mam dobry wzrok, ale bez przesady.

Andres skinął z niechętną aprobatą.

— W sumie to dobrze — gdyby podał mi pan numer rejestracyjny, wiedziałbym, że pan zmyśla. Świadkowie, którzy rzeczywiście zapamiętują takie rzeczy, zdarzają się bardzo rzadko. A co z kierowcą? Widział pan kierowcę?

— Niestety nie.

— Nie wie pan nawet, czy to była kobieta, czy mężczyzna?

Gnom zaprzeczył.

— Mówię „on”, bo kierowca jakoś mi się z mężczyzną kojarzy, ale równie dobrze mogła to być kobieta. Gdy wyjrzałem przez szybę, on – czy też ona – siedział już w środku, a dziewczyna właśnie otwierała drzwiczki samochodu i zasłaniała mi widok.

— Dziękuję — powiedział Nataniel Andres, a potem, zamiast odwrócić się i wyjść, przykrył dłonią leżące na kontuarze karty. Jego twarz przybrała wyraz niezwyklej powagi.

Meric wstrzymał oddech.

— A teraz — ciągnął Andres cicho, spokojnie — proszę rozłożyć te karty i powiedzieć mi, gdzie w tej chwili znajduje się Aelis. Nie gdzie znajdowała się w nocy, ale gdzie jest teraz. Wasze karty to potrafią, bo przecież pokazują teraźniejszość. Zapłacę, ile trzeba. I niech pan nie myśli, że wykręci się jak pańscy ziomkowie, których prosiłem o pomoc przy szukaniu Joela.

Teraz się obrazi, pomyślał wystraszony Meric. Obrazi się, Nat wpadnie we wściekłość, a gnom skrzyknie swoją rodzinę, przyjaciół i cały klan, z którymi oczywiście nie wygramy, bo z gnomami nikt nigdy nie wygrał. Będziemy mieć szczęście, jeśli tylko obetną nam uszy.

Staruszek wytrzymał spojrzenie Andresa, patrząc mu w oczy z równą powagą. Nie wyglądał na urażonego.



Potem wziął karty i rozłożył je na kontuarze. Długo wodził po nich wzrokiem, nim wreszcie pokręcił głową.

— Bardzo mi przykro. Może mi pan wierzyć albo nie, ale kartciane informacje docierają z różną szybkością. Niektóre niemal od razu, lecz na większość trzeba czekać od kilku godzin do kilku dni. Proszę przyjść wieczorem, może wtedy będę wiedział, gdzie jest pańska przyjaciółka.

Ku uldze Merica Andres uwierzył i nie miał zamiaru się awanturować. Wyglądał nawet na odrobinę zawstydzonego. W milczeniu wyjął z kieszeni kawałek papieru, poprosił o ołówek i nabazgrał kilka cyfr.

— To mój numer telefonu. — Podał kartkę. — Gdybym mógł prosić...

— Oczywiście. — Twarz gнома wciąż była poważna, przepęłniona łagodnym smutkiem. Po kpinie w jego oczach nie zostało śladu. — Proszę też przyjść, jeśli będzie pan potrzebował pomocy... później, w poszukiwaniach innej osoby.

Meric dopiero po chwili zrozumiał, co staruszek chciał przez to powiedzieć. Później, gdy Nataniel Andres nie będzie już szukał Aelis, lecz tego, kto ją skrzywdził.

\* \* \*

Przez dwa miesiące dziewczyna żyła myślą o tej chwili. Dwa miesiące spędzone w ciemnej piwnicy, gdzie jedzenie wsuwano jej przez dziurę w drzwiach, a za ubikację służyło blaszane wiadro. Tylko czasem przychodził któryś z chłopaków – Jai albo Cassian – i prowadził ją na górę, do łazienki, gdzie mogła się umyć. Zdecydowanie wolała Jai – na swój sposób był dla niej miły, przyniósł koc, gdy zrobiło się chłodno, i parę razy nawet pozwolił posiedzieć w jasnym, ciepłym pokoju, nim z powrotem zamknął ją w wilgotnej piwnicy. Za to Cassian był wrednym skurwielem. Gwałcił ją przecież, choć, prawdę mówiąc, nie opierała się zbytnio, bo wtedy, na początku, sądziła jeszcze, że jemu chodzi właśnie o jej ciało i że wypuści ją, gdy tylko się nim znudzi. Potem na szczęście dał jej spokój i w sumie nie mogła mu się dziwić. Nawet świeżo wyszoro-

wana wciąż nie wyglądała zbyt pociągająco: umyte mydłem, a nie szamponem włosy sterczały jej wokół głowy jak połamane źdźbła siana, oczy miała zapadnięte i obwiedzione ciemnymi podkowami, paznokcie połamane, a skórę szorstką niczym tarka.

Nie wiedziała, dlaczego zamknęli ją w piwnicy. Wciąż nakazywali, by przypomniawszy sobie wieczór premiery *Szczęśliwego śpiewaka*, a ona z płaczem powtarzała, że nie potrafi. Pamiętała doskonale, co było wcześniej i później, ale te kilkanaście godzin od mniej więcej środka przyjęcia aż do momentu, gdy obudziła się w ciemnej piwnicy, zupełnie wypadło jej z głowy. „Skup się, spróbuj sobie przypomnieć, co wtedy robiłaś!”, powtarzali w kółko, a ona nie miała pojęcia, czemu im na tym tak zależy. Co robiłam? Pewnie ostro balowałam, cóż innego mogłam robić.

Przez dwa miesiące nadzieję podtrzymywało w niej tylko marzenie o chwili, gdy ucieknie, gdy pierwszy z brzegu przechodzień troskliwie zaprowadzi ją na najbliższy posterunek policji, gdy wreszcie wykąpie się w gorącej wodzie i założy świeże ubranie, a wszyscy wokół będą się nią opiekować, litować nad nią i zapewniać, że zrobią, co tylko w ich mocy, aby ukarać porywaczy.

Rzeczywistość okazała się daleka od wyobrażeń. Dziewczyna szła ulicą, naciągając na zziębnięte ramiona koc, a przechodnie najpierw rzucali jej spłoszone spojrzenia, a potem odwracali się, wołając udawać, że wcale jej nie widzą. Wyglądała jak bezdomna narkomanka – budziła litość, ale też niechęć i nawet kobieta, która wyglądała jak uosobienie troskliwego macierzyństwa, poproszona o pomoc ograniczyła się do wciśnięcia jej w ręce pięciorenowej monety i dość mętnych wskazówek, gdzie znaleźć posterunek policji.

Dziewczyna ledwie zauważyła, że miasto się zmieniło, wydawało się jakoś bardziej puste, sporo lokali było pozamykanych, a na ulicach wisiały osobliwe plakaty. Rozpoznała widniejącą na nich twarz – był to Leo J., którego ostatni raz widziała na premierze *Szczęśliwego śpiewaka*. Mimo to mijała plakaty obojętnie, nie obchodziło jej nawet, że Leo z jakichś powodów nazywano anielskim imieniem Joel. Miała dość kłopotów, by zastanawiać się nad takimi kwestiami.

W jej gardle rosła gorąca kula i dziewczyna już miała wybuchnąć płaczem, gdy przez załzawione oczy ujrzała budynek szpitala. Uznała, że tam wreszcie ktoś powinien się nią zająć.

\* \* \*

— Nie możemy biegać po mieście i szukać limuzyny, o której wiemy tylko tyle, że jest czarna albo granatowa — perswadował Meric. — Usiądźmy gdzieś i zastanówmy się choć przez chwilę.

Nataniel Andres zgodził się z ociąganiem. Znaleźli bar kawowy, w którym o tej porze byli jedynymi klientami. Właściciel podał im dwie filiżanki orzechowej kawy, po czym wrócił do ściągania krzesel ze stołów i ustawiania ich na swoich miejscach.

— Przede wszystkim pomyśl, kto mógł wiedzieć, że będziecie na moście. — Meric wrzucił do swojej filiżanki kostkę cukru i zamieszał. — Ktoś za wami szedł?

— Zauważyłbym, gdyby tak było. Chociaż... — Andres potarł czoło — może akurat w tym przypadku bym nie zauważył. Niepokoiłem się o Aelis.

Zziębniętymi palcami oplótł filiżankę. Ciepło uspokajało go, myśli w głowie przestały gnać jak szalone, a on po raz pierwszy od dłuższej chwili znalazł czas, by przyjrzeć się Mericowi.

Ten facet w ogóle nie ma nerwów, pomyślał, patrząc na precyzyjne gesty rozmówcy, który najpierw wrzucił do kawy jeszcze jedną kostkę cukru, a potem sięgnął po dzbanuszek z mlekiem. Trzymał go pewną dłońią, na pozór całkowicie skupiony na tym, by płyn nie przelał się przez brzeg filiżanki. Jednak Meric, choć jak zawsze łagodny i cierpliwy, nie wydawał się bynajmniej obojętny. Na jego twarzy malowała się rozpacz, którą Andres znakomicie rozumiał, i coś jeszcze, czego nie mógł rozpoznać. Po namyśle doszedł do wniosku, że to chyba poczucie winy.

— Jeśli chcesz mi o czymś powiedzieć, to teraz jest mniej więcej odpowiednia pora.

Merica drgnął, jego oczy rozszerzyły się gwałtownie, co utwierdziło Andresa w podejrzeniu.

— Wyglądasz jak chłopak przyłapany z rękami pod kołdrą. Jeśli

masz coś na sumieniu, lepiej od razu się przyznaj.

Meric powoli, w zamyśleniu pokręcił głową. Owszem, mógłby powtórzyć słowa Eliela, ale to nie pomogłoby im w poszukiwaniach. Lepiej poczekać, aż dziewczyna się znajdzie albo przynajmniej aż... coś się wyjaśni. Wtedy będzie odpowiednia pora, nie teraz.

— Po prostu jestem zmęczony i się martwię — powiedział, w głębi duszy zdając sobie sprawę, że tak naprawdę powstrzymuje go tchórzostwo, nie rozsądne argumenty. Andres zareagowałby gwałtownie, zadawałby mnóstwo pytań, wściekłby się zupełnie bez sensu na anioła, na Merica i na wszystkich wokół. Stopniowo pogodziłby się z nieuniknionym, lecz na razie Meric był zbyt wyczerpany, by przez to przechodzić.

— Jak tam chcesz. — Andres nie uwierzył rozmówcy, ale też nie sądził, by miał on coś poważnego na sumieniu.

Chwilę później zupełnie o tym zapomniał. Zaciśnął palce na filiżance, mięśnie jego szczęk napięły się, w oczach błysnęło coś niedobrego.

— Jai Delnaaz — wyrzucił przez zaciśnięte zęby. — Mówiłem Aelis, że idziemy na most, a on wtedy przechodził obok. Zabiję go, jeśli zrobił jej krzywdę.

— Gdzie możemy go znaleźć?

Usta Andresa wykrzywiły się w uśmiechu równie złym jak błysk w jego oczach.

— Nie mam pojęcia, ale Indil powinna wiedzieć.

\* \* \*

— Jak się nazywasz?

— Danisa Fermin.

Młody, ciemnowłosy lekarz o imieniu Lou skinął głową z satysfakcją, jakby dziewczyna właśnie zdała skomplikowany test.

— Powiadomiliśmy już policję, będą tu za jakiś czas. Przynieść ci coś? Może jesteś głodna?

Danisa nareszcie miała to, o czym marzyła. Siedziała na brzegu szpitalnego łóżka ubrana w czystą piżamę, a lekarz i dwie pielę-

gniarki skakali wokół niej, wyraźnie przejęci. Od czasu do czasu do izolatki zaglądali pacjenci, na których twarzach widać było zaniepokojenie. Plotki w szpitalu musiały się szybko rozchodzić.

Zjadła talerz zupy, a potem jeszcze dwie kanapki. Bała się zostać sama, więc ten miły, młody doktor siedział przy niej przez cały czas, poprawiał koc, który zsuwał jej się z kolan, trzymał za rękę i zapewniał, żeby się nie martwiła, bo wszystko będzie dobrze. Danisa rozkoszowała się dotykiem czystego płótna na skórze, smakiem gorącej kawy, a przede wszystkim troskliwością Lou. Przyjemność mąciły tylko coraz większe wyrzuty sumienia. Powinna była to zrobić zaraz na początku, wtedy nie miałyby kłopotów. Teraz z każdą chwilą zwiększało się zagrożenie, że doktor będzie na nią zły, gdy powie mu, co widziała.

Najprościej byłoby nie mówić nic. Kusilo ją takie wyjście, w końcu jednak zwyciężyło sumienie.

Oparła głowę na ramieniu lekarza i zastosowała metodę, która zawsze działała na facetów.

— Muszę panu coś wyznać... Zrobiłam coś złego i bardzo mi z tego powodu wstyd. Uzna pan, że jestem naprawdę wstrętna, kiedy panu powiem.

— Nie wierzę, że mogłabyś zrobić coś naprawdę złego — zapewnił gorliwie, ale jej to nie wystarczyło.

— Bo widzi pan, ja myślałam tylko o sobie, o tym, żeby stamtąd uciec i żeby ktoś mi pomógł. Jestem taką egoistką... — chlipnęła.

— Ależ, kochanie, w takiej sytuacji to naturalne, że myślałaś o swoim bezpieczeństwie.

Danisa, rejestrując z przyjemnością owo „kochanie”, pokręciła głową.

— Ale powinnam była też pomyśleć o niej!

— O niej? — Lou zmarszczył brwi.

— W ogrodzie domu, skąd uciekłam, leży dziewczynka. Wygląda naprawdę strasznie...

— Żyje?

Danisa bardzo chciała zaprzeczyć. Gdyby mała była martwa, ona sama mogłaby spokojnie cieszyć się statusem nastolatki po paskudnych przejściach, która w dodatku widziała zmasakrowanego trupa.

Potwierdzenie natomiast oznaczało, że ciężar zainteresowania lekarza natychmiast przeniesie się z niej samej na dziewczynkę.

Z ociąganiem więc wypowiedziała te kilka słów:

— Żyje. Kiedy odchodziłam, widziałam, jak się poruszyła.

\* \* \*

Jai Delnaaz mieszkał w rezydencji Remigiusa Sury'ego. Meric wahał się przez chwilę – bądź co bądź wciąż był poszukiwany przez policję, a stary Sury znał go dość dobrze. Teraz jednak i tak nie miało to większego znaczenia, postanowił więc towarzyszyć Andre-sowi.

Nataniel długo stał przy drzwiach, dusząc przycisk dzwonka, nim wreszcie otworzyła im starsza kobieta w fartuszkach pokojówki. Oczy miała zaczerwienione i opuchnięte od płaczu.

— Nie ma nikogo — powiedziała. — Wszyscy wyjechali.

Jej słowa Andres odczuł boleśnie, jak cios w żołądek.

— Jai Delnaaz też?

— Pół godziny temu zadzwonił do mnie i powiedział, że wyjeżdża do Tanagry. Nawet nie przyszedł się pożegnać. — Wierzchem dłoni otarła łzy, które gromadziły się w kącikach oczu. — Na szczęście obiecał mi, że jak tylko się tam urządzi, prześle wiadomość na adres mojej kuzynki i będę mogła go odnaleźć.

Nataniel i Meric spoglądali na nią, nic nie rozumiejąc. Kobieta uśmiechnęła się blado, najwyraźniej przyzwyczajona do takich reakcji.

— To mój syn. Pracuję u Surych od dwudziestu lat i Jai wychowywał się w tym domu, a gdy okazało się, że jest taki zdolny, nasz pan zdecydował się opłacić mu studia.

— Możemy zajrzeć do jego pokoju?

Pani Delnaaz zrobiła się nieufna.

— Po co?

Andres otworzył usta, przywołując na pomoc cały swój urok osobisty, zdolność przekonywania, a także szantażu.

Uprzedził go Meric.

— Proszę — powiedział cicho, patrząc kobiecie z powagą

w oczy — to bardzo ważne. Mamy powody podejrzewać, że pani syn wplątał się w coś niedobrego, a w jego pokoju możemy znaleźć coś, co pomoże nam ocalić pewną dziewczynę. Proszę nas wpuścić — synowi pani w ten sposób nie zaszkodzi, on przecież już opuścił miasto, a być może dzięki pani nasza przyjaciółka będzie żyła.

Kobieta, choć wciąż z podejrzliwością wypisaną na twarzy, odsunęła się, by pozwolić im wejść. Andres z podziwem spojrzął na Merica — potrafiłby równie zręcznie przeplatać ze sobą prawdę i kłamstwo, ale już nie umiałby mówić podobnym tonem: prosząco, ale bez uniżonego błagania, przekonująco, lecz bez natarczywości. Cholera, ten facet miał niesamowity talent; gdyby nie urodził się milionerem, mógłby zostać domokrażcą albo kaznodzieją.

Pani Delnaaz poprowadziła ich w stronę prawego skrzydła rezydencji. Ich kroki odbijały się echem w pustych, wysoko sklepionych korytarzach. Na ścianach widać było jaśniejsze plamy po niedawno zdjętych obrazach, w salonach, przez które przechodzili, brakowało części mebli.

— Jeśli mój syn wpadł w kłopoty, to musi to być wina Cassiana — powiedziała z mocą. — On zawsze miał na mojego chłopca fatalny wpływ, wciągał go w złe towarzystwo i namawiał do różnych rzeczy. Próbowałam jakoś ukrócić tę przyjaźń, ale nie zdołałam, w końcu to syn mojego pana...

— Jai i Cassian się przyjaźnili? — w głosie Andresa zabrzmiało napięcie.

Wzruszyła ramionami.

— Przyjaźnili to chyba za dużo powiedziane, potrafili drzeć ze sobą koty jak mało kto. Ale mimo to wciąż trzymali się razem, jeszcze od czasów dzieciństwa.

— A Cassian gdzie teraz jest?

Raz jeszcze wzruszyła ramionami. Wydawała się bardzo krucha, zmęczona, przedwcześnie postarzała.

— Bo ja wiem? Z ojcem nie wyjechał, on zabrał się już wczoraj rano, a Cassiana widziałam jeszcze po południu. Może pojechał z Jaiem, choć mój chłopak nic o tym nie wspominał, a może wciąż jest w mieście. Ja też pakuję walizkę, dom jest pusty, nie ma po co tu siedzieć. Wezmę przy okazji trochę rzeczy Jaiia, będzie mi

wdzięczny – on, biedaczek, przecież nic przy sobie nie ma, tak nagle wyjechał...

Apartament Jaia Delnaaza składał się z łazienki i dwóch połączonych ze sobą pokoi. Pierwszy wyglądał jak typowe, bezosobowe miejsce do pracy, ze stosem podręczników piętrzącym się na biurku, drugi natomiast przypominał coś pomiędzy sypialnią nastolatka a miejską biblioteką – trzy ściany zajmowały półki z książkami, a na czwartej wisiały kolcze rękawice, miecz oraz plakaty biuściastych piękności.

Andresa najbardziej interesowało biurko, zanim jednak do niego podszedł, zwrócił się do kobiety:

— Nie wie pani może, czy Jai i Cassian wynajmowali albo kupili jakieś mieszkanie lub dom? Wie pani, takie sekretne miejsce, gdzie chłopcy mogą robić, co im się podoba, i nikt im nie przeszkadza?

Potrząsnęła głową.

— O niczym takim nie wiem, ale jeśli to miejsce miałoby być sekretne, to Jai i tak by mi o nim nie powiedział. Już dawno minął czas, gdy mój chłopiec rozmawiał ze mną tak, jak syn powinien rozmawiać z matką.

Terkotliwie rozdzwonił się stojący na biurku telefon. Pani Delnaaz spojrzała na niego, ale nie podeszła.

— Odbiorę w holu. — Najwyraźniej nie chciała, by byli świadkami rozmowy. Jeśli to Jai, pomyślał Andres, to matka powie mu o naszej wizycie, a on najprawdopodobniej każe jej nas wyrzucić. Musimy się spieszyć.

Pod nieobecność kobiety zaczęli przetrząsać biurko.

— Musieli mieć jakieś mieszkanie albo dom, do którego sprowadzali porwane dzieci — mruczał Nataniel. — Może Aelis tam zabrali.

— Jeśli szukamy umowy najmu czy czegoś w tym rodzaju, to dokumenty równie dobrze mogą być wśród rzeczy Cassiana — zauważył Meric.

Andres skrzywił wargi.

— Wątpię. Idę o zakład, że z tej dwójki interesami zajmuje się wyłącznie Jai. Cassian wygląda mi na kogoś, kto potrafi tylko zło-



żyć podpis w wykropkowanym miejscu i nic więcej.

W biurku nie znaleźli nic ciekawego, przeszli więc do drugiego pokoju.

— Okazałem się idiotą. — Andres wyciągnął spod łóżka kartonowe pudło i wyrzucił z niego na podłogę stos wytartych kart oraz kości do gry. — Widziałem, jak Jai i Cassian skakali sobie do oczu, i nie przyszło mi do głowy, że oni mogą działać razem. A to im właśnie zawdzięczam rozebranie mnie do gołej skóry i wyrzucenie na ulicę. To nie była wcale szczeniacka zemsta, jak mi się wtedy wydawało. Wypytywałem przecież o Joela, a oni w ten właśnie sposób postanowili pozbyć się kłopotu.

— Chcieli cię zabić?

— Trudno powiedzieć. — Andres złapał pierwszą z brzegu książkę i potrząsnął nią, ale na podłogę wypadła tylko zakładka. — Sądzę, że nie mieli odwagi zaatakować bezpośrednio, ale liczyli, że jeśli położą mnie na drodze, problem rozwiąże się sam. A z drugiej strony gdyby im nie wyszło, to zawsze mogli się wykręcić, twierdząc, że to był tylko głupi żart. Potem przeszukali moje biuro, by przekonać się, jak dużo wiem i kto mnie wynajął. Nie wiem, czy zrobili to w porozumieniu z Joelem, czy też na własną rękę. Mam wrażenie, że anioł niespecjalnie się mnie boi. Wczoraj chciał mnie zabić chyba po prostu dla zabawy, względnie po to, by ukarać za wścibianie nosa w nie swoje sprawy, a nie dlatego, że uznał mnie za zagrożenie. Tak to przynajmniej wyglądało. Oczywiście anioł Joel i elf, którego miałem przyjemność spotkać na moście, to ta sama osoba.

— Skąd wiesz? — Meric domyślił się tego dzięki Elielowi, ale był ciekaw, jakim cudem wpadł na to Andres.

— Bo aniołowie są bardzo piękni, o czym doskonale wiesz. Zmiana rysów twarzy, tak aby udawać zwykłego, mało urodziwego człowieka, wymaga od nich sporo wysiłku. Znacznie prościej jest więc urodę zostawić, a rysy przekształcić tylko na tyle, by uchodzić za elfa. Piękny człowiek to zjawisko tak niezwykle, że wszyscy go zauważają, ale piękny elf wygląda już najzupełniej normalnie i nikt się nim nie interesuje. A po drugie, na moście powiedziałem elfowi, jak mam na imię, a on darował mi życie. Widzisz, dla człowieka,

elfa, gнома czy jakiegokolwiek innego śmiertelnika jestem po prostu facetem z nietypowym, pechowym imieniem, nic więcej. Natomiast dla anioła już niekoniecznie. Oczywiście Joel wcześniej musiał wiedzieć, jak się nazywam, ale gdy zacząłem wywrzaskiwać mu to moje imię w twarz, pomyślał, że powtarzam je jak zaklęcie, bo też jestem aniołem. Nie mógł tego sprawdzić, bo w postaci elfa nie ma wystarczająco dużo mocy, i nie chciał też pytać wprost, bo tym samym zdradziłby własną tożsamość. Był zdezorientowany, niepewny, nie bardzo mieściło mu się to w głowie, ale na wszelki wypadek postanowił darować mi życie. Wygląda na to, że aniołowie nie zabijają innych aniołów, a przynajmniej nie własnymi rękami.

— To tylko teoria.

— Owszem, ale jest coś jeszcze. Jai, Cassian oraz rzekomy elf zajmowali się czymś, czego nie wymyśliłby żaden śmiertelnik.

Umilkł, wyraźnie czekając na pytanie. Meric pytania nie zadał.

Po chwili usłyszeli odgłos kroków. Do pokoju wsunęła się pani Delnaaz. Wyglądała na zdziwioną.

— Telefon jest do pana Andresa, czy to któryś z panów?

— To ja. — W oczach mężczyzny zabłysła nadzieja.

— Może pan odebrać tutaj.

Podniósł słuchawkę.

— Nataniel Andres? — nieznamy głos był pełen wątpliwości.

— Dzwoniłem do pana domu, ale tam odebrał jakiś chłopiec i powiedział, że znajdzie pana pod tym numerem. Mam nadzieję, że dobrze trafiłem?

— Owszem. — Andres w duchu podziękował małemu Iliasowi, którego poprosił, by został w jego mieszkaniu i przekazywał wiadomości.

— Dzwonię ze Szpitala Trzech Sióstr — kontynuował głos, tym razem nieco pewniej. — Mamy tu dziewczynę...

— Aelis? — przerwał Nataniel gwałtownie. — Jak ona się czuje? Wszystko z nią w porządku?

— Moment. To... dość skomplikowane. Po pierwsze, pana numer znalazłem w gazecie, w ogłoszeniu dotyczącym niejakiej Danisy Fermin. Dzięki zdjęciu rozpoznałem dziewczynę. Jest teraz u nas i jeśli o nią chodzi, to owszem, czuje się całkiem nieźle, choć

przez dwa ostatnie miesiące była przetrzymywana w piwnicy zrównanego domu i dziś dopiero udało jej się uciec. Jest natomiast też druga dziewczyna, którą znaleźliśmy w ogrodzie tego samego domu. Nie wiem, jak się nazywa. To dziecko, wygląda najwyżej na dwanaście lat...

— Aelis... Co z nią?

— Żyje, ale jest w bardzo ciężkim stanie. Przykro mi.

Nataniela Andresa bolały palce, którymi ścisnął słuchawkę.

— To pomyłka — powiedział, bo tylko taką wersję mógł przyjąć, tylko taka była możliwa. — Aelis czuje się dobrze, a Danisa nie żyje. Widziałem jej ducha.

Po drugiej stronie linii zapanowało zakłopotane milczenie. Lekarz był przyzwyczajony do osób, które zaprzeczają złym wiadomościom, ale czegoś takiego jeszcze nie słyszał.

— Dla ścisłości, żadna z nich nie umarła — poprawił łagodnie. — Starsza dziewczyna, która twierdzi, że nazywa się Danisa Fermin, jest w dobrym stanie. Młodsza natomiast, około dwunastoletnia, została ciężko pobita i okaleczona...

— Pan się myli, jest odwrotnie.

W słuchawce znów zapadło milczenie. Przez chwilę Nataniel łudził się, że dzięki swojemu uporowi wygrał z rzeczywistością i lekarz potwierdzi, że tak, owszem, zaszła straszna pomyłka, bardzo mu z tego powodu przykro...

Zamiast tego usłyszał westchnienie.

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli przyjedzie pan do nas jak najszybciej.

\* \* \*

Kiedyś w żartach Aelis powiedziała Andresowi, że jeśli ktoś w kółko coś powtarza, to najprawdopodobniej próbuje samego siebie przekonać, bo w głębi duszy wcale w to nie wierzy. Przypomniał sobie jej słowa, gdy w drodze do szpitala tłumaczył Mericowi, że zaszła pomyłka, a lekarz musi być koncertowym idiotą. Meric kiwał głową, ale jego oczy mówiły coś zupełnie innego. Na wszelki wypadek Andres wolał omijać je wzrokiem – miał wraże-

nie, że w źrenicach drugiego mężczyzny widzi odbicie swojej własnej rozpacz.

Uparcie, wbrew wszystkiemu, czepiał się nadziei jeszcze wtedy, gdy zobaczył leżącą na szpitalnym łóżku dziewczęcą postać. Była wzrostu Aelis, ale to przecież o niczym nie świadczyło, tak samo jak niczego nie przesądzały rozrzucone na poduszce pasma czarnych włosów. Opatrunki skrywały rysy twarzy — to dawało nadzieję, wciąż jeszcze dawało nadzieję.

Ręce dziewczynki leżały na kołdrze. Lewa dłoń była zabandażowana, ale Andres nie patrzył na nią. Patrzył na drugą, prawą dłoń.

Cienki srebrny pierścionek nie był żadnym dowodem, każdy przecież mógł go zabrać i dać innej dziewczynie. Zobaczył jednak coś jeszcze, czego nie zdołała zamaskować starannie nałożona warstwa różowego lakieru — dwa paznokcie były zgrubiałe, nieforemne. Pamiątka po tym, jak przed kilkoma miesiącami Aelis przytrzasnęła je sobie w drzwiach.

Dopiero wtedy nadzieja umarła. Nie zgasła, jak to się czasem mówi, ale skończyła w udęcie.

Andres odwrócił się w stronę Lou, młodego, ciemnowłosego lekarza, który właściwie zrozumiał jego spojrzenie.

— Będzie żyła — zapewnił. — Zostaną jej jednak blizny na twarzy i... — zawahał się — będzie niewidoma. Ktoś wbił jej kawałki szkła w gałki oczne.

Andres usiadł na podłodze, oparł czoło o ramę łóżka i rozplakał się. Lou i Meric, po którego twarzy również spływały łzy, spoglądali na niego bezradnie, z odrobiną strachu. W szlochu Andresa było coś więcej niż tylko rozpacz — momentami brzmiał jak pełne wściekłości wycie.

Aelis uniosła dłoń i pogłaskała go po włosach. Potem zrobiła ruch, jakby pisała coś w powietrzu. Meric spojrzał pytająco na lekarza.

— Nie potrafi wyraźnie mówić, może więc w ten sposób chce nam coś przekazać? Chwila, znajdę czystą kartkę.

Ołówek trzy razy upadł na podłogę, nim Aelis zdołała chwycić go tak, by utrzymać w palcach. Pisała nieporadnie, zamaszystymi ruchami, jak małe dziecko. Koślawe litery zachodziły na siebie,

mimo to dało się odczytać wszystkie słowa.

*Zakłęcie X, ludzkie dzieci, Rada...*

— Nic z tego nie rozumiem — powiedział Lou cicho.

— Nie szkodzi, ja rozumiem doskonale. — Andres wziął Aelis za rękę i uściśnął, dodając otuchy. Dopiero po chwili odwrócił się z powrotem w stronę doktora, który cierpliwie czekał na wyjaśnienie.

— To znaczy — rzucił z roztargnieniem, myślami przebywając gdzie indziej — że od mniej więcej dwóch miesięcy anioł Joel przy pomocy ludzkich dzieci wykańcza konkurencję do władzy, w rezultacie czego Rada nie składa się już z trzynastu aniołów.

— Pan żartuje, prawda? — zapytał Lou odruchowo i wyłącznie dlatego, że pytanie: „Czy pan zwariował?” wydało mu się mało uprzejme. Natychmiast uświadomił sobie, jak to zabrzmiało w porównaniu ze ściągniętą bólem twarzą rozmówcy. Zaczerwienił się i wybąkał przeprosiny. Andres nie zwrócił na nie uwagi – zajęty był Aelis, której na powrót włożył między palce ołówek.

— Napisz, kto ci to zrobił. Jai Delnaaz czy Cassian Sury? Jai to rudy chłopak w okularach, Cassian natomiast ma rozjaśnione na blond włosy.

Mocniej ścisnęła ołówek i napisała wyraźnie: Cassian. Nataniel skinął głową. Spodziewał się takiej odpowiedzi.

Spojrzał na Merica.

— Zostaniesz z nią przez jakiś czas?

— Tak, oczywiście. — Zapytany niepewnie zmarszczył brwi.  
— A ty... co zamierzasz zrobić?

— To, co powinienem.

— Zaczekaj, odprowadzę cię kawałek.

Razem wyszli na korytarz. Stała tam ubrana w szpitalną piżamę dziewczyna, na której twarzy malowała się ciekawość zmieszana z odrobiną poczucia winy. Meric rozpoznał ją równie łatwo, jak zgadł, że podsłuchiwała pod drzwiami.

Zbliżyła się do nich.

— Jestem Danisa Fermin, której panowie szukali przez ogłoszenie w gazecie — przedstawiła się grzecznie. — To dzięki mnie...

Prawdopodobnie chciała się pochwalić, że ocaliła Aelis życie,

umilkła jednak w pół zdania. Twarz Andresa wykrzywiła taka nie-  
nawiść, że nastolatka cofnęła się gwałtownie.

Przeszli obok, pozostawiając ją stojącą na szpitalnym korytarzu z głupio otwartymi ustami i pustką w ślicznych oczach. Mericowi było jej żal – nie mogła przecież wiedzieć, że Nataniel jest na nią wściekły, ponieważ nie zaszła żadna pomyłka i ponieważ to ona, Danisa, czuje się dobrze, podczas gdy Aelis została okaleczona.

Obaj milczeli, zmierzając w stronę wyjścia. Nataniel Andres zastanawiał się, czy stary gnom będzie znał odpowiedź na jego pytanie, a Meric uznał, że milczenie wymowniej niż jakiegokolwiek słowa zapewni o jego akceptacji.

— Wiedziałeś, prawda? — Andres odezwał się, dopiero otwierając drzwi. W jego głosie nie było śladu złości. Nie było nawet zainteresowania. Meric znacznie później pojął, że pytając i z góry znając odpowiedź, Nataniel Andres chciał po prostu przekazać, że nie ma do niego pretensji. — W rezydencji Surych mówiłem o planie, jaki mają Joel i jego wspólnicy, a ty nawet nie spytałeś, co to za plan, podobnie jak nie zareagowałeś, gdy powiedziałem, że aniołowie nie zabijają innych aniołów własnymi rękami. A przed chwilą wcale się nie zdziwiłeś na widok tego, co napisała Aelis. Musiałeś wiedzieć już od jakiegoś czasu, że Joel likwiduje członków Rady.

— Spotkałem wczoraj wieczorem Eliela. Powiedział, że Joel dzięki jakiemuś magowi dostał do rąk potężne zaklęcie i teraz wykorzystuje dzieci, by przejąć władzę. Powiedział też, że to jedyna szansa dla Getteim. Głosowanie w Radzie nic by nie dało, nawet gdyby Joel głosował przeciw, bo aniołowie nie przestrzegają już reguł. Jeśli natomiast Joel przejmie władzę, możemy mieć nadzieję. Oczywiście on nie robi tego, by ratować Getteim, co do tego nie mam najmniejszych złudzeń, ale może ocali je... cóż, przy okazji, po prostu z sympatii.

— Ja domyśliłem się dzięki pewnemu artykułowi w gazecie, słowom Aelis, która wspomniała, że w domu Nicodemusa znalazła pustą kopertę z pieczętką Instytutu Elektroniki, a przede wszystkim dzięki temu, że w sierocińcu kazano nam wszystkim chodzić do Domu Bożego. Aż dziw, do czego może się przydać wysłuchiwanie kazań.

Skrzywił wargi w bladym, obojętnym uśmiechu. Najważniejszą informację od czasów zawarcia Przymierza Nataniel traktował, jakby nie miała większego znaczenia. Meric poniekąd zazdrościł mu prostoty: Andresowi było wszystko jedno, czy jego światem będzie rządzić Rada aniołów czy też jeden Joel, a kwestia istnienia Getteim obchodziła go osobiście może o tyle, że gdyby miasto zostało zniszczone, musiałby się rozstać z Aelis. Zresztą w tej chwili pewnie nawet o tym nie myślał. Teraz najważniejsze dla niego było odnalezienie Cassiana Sury'ego.

\* \* \*

Z automatu w holu głównym Meric zadzwonił do Indil, a potem zawrócił w stronę izolatki, gdzie leżała Aelis. Dopiero teraz, idąc korytarzami, zauważył, że większość szpitalnych sal jest pusta. Zapytał o to Lou, który wciąż siedział przy łóżku dziewczyny.

— Ciężko chorych pacjentów, oczywiście tych, którzy mogli przekroczyć granicę, odesłaliśmy do szpitali w Tanagrze, a ci, którzy czuli się w miarę dobrze, w większości zwolnili się na własne życzenie — wyjaśnił doktor.

— Ale dlaczego? Z powodu Znaków?

— Oczywiście. Po ptakach ma przyjść całkowita ciemność panująca od zachodu aż do wschodu słońca. Nikt z nas nie wie, jak to będzie wyglądać. Jeśli miałoby to polegać tylko i wyłącznie na braku światła, to pół biedy, ale odłączenie energii elektrycznej dla ciężko chorych oznacza tragedię.

Do izolatki niepewnie wsunęła się Danisa. Lou zachęcił ją gestem, by usiadła przy nich.

— Czy to prawda, co mówią pacjenci? — zapytała ze strachem. — Że Getteim ma zostać zniszczone przez aniołów i trzeba stąd uciekać?

— Podobno — odparł lakonicznie Meric. Nie miał ochoty tłumaczyć dziewczynie całej sytuacji ani tym bardziej dawać jej nadziei, że miasto zostanie uratowane. Będzie lepiej, jeśli się wystraszy i grzecznie wróci do mamy, pomyślał.

Usiadła na krześle, łokcie oparła o kolana, a głowę zwiesiła tak,

że jej włosy spływały prawie do ziemi. Była to poza pełna rozpacz, a jednocześnie – Meric był tego pewien – wystudiowana, obliczona na to, by wzbudzić współczucie.

— Co ze mną będzie?

— Powinnaś wrócić do Tanagry — Lou poradził jej dokładnie to samo, o czym myślał Meric.

Podniosła na nich załzawione oczy.

— Jak? Nie mam pieniędzy ani nawet niczego do ubrania. Nie mogę przecież wyjść na ulicę w piżamie...

Wodziła wzrokiem od jednego rozmówcy do drugiego, co wyglądało jak poszukiwanie pomocy i w pewnym stopniu niewątpliwie tym właśnie było. Poza tym jednak Danisa przeprowadzała też chłodną kalkulację, który z dwóch mężczyzn lepiej nadaje się na jej opiekuna i na którym powinna się skupić, by przekonać go, jak bardzo jest bezradna. Meric znał mnóstwo podobnych pańienek i zazwyczaj irytował go ich zwyczaj wykorzystywania uroku osobistego oraz pewność, że same nie muszą nic robić, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto się nimi zajmie. W tym przypadku jednak uznał, że Danisie należy się pomoc – bądź co bądź naprawdę sporo przeszła.

— Nie martw się — zapewnił ją. — Zaopiekujemy się tobą.

W podziękowaniu obdarzyła go ufnym uśmiechem, który sprawił, że jej zmęczona, wychudła twarz rozbłysła dawną urodą.

— W zamian jednak — zastrzegł — powiedz mi, co wydarzyło się na przyjęciu po premierze *Szczęśliwego śpiewaka*.

W oczach nastolatki dostrzegł panikę.

— Nie wiem! Przysięgam, że nic nie pamiętam! Naprawdę!

Zdumiała go tak gwałtowna reakcja, wstał więc i uspokajającym gestem położył jej ręce na ramionach.

— Już dobrze, nie masz się czego bać. Pytałem z ciekawości, ale jeśli nie pamiętasz, to trudno.

— Oni też o to pytali. — Strach w oczach dziewczyny niewątpliwie był prawdziwy, niewystudiowany. — Powtarzali w kółko „przypomnij sobie” i „przypomnij”, ale ja naprawdę nic nie wiem. Za dużo piłam i w pewnym momencie zupełnie urwał mi się film. Oczywiście byli tam Jai Delnaaz i Cassian Sury, ich pamiętam,



skurwysynów jednych, nawet chyba przez chwilę z nimi gadałam, ale tego nie jestem pewna, bo wtedy byłam już mocno zalana. Kręcił się koło nich Leo J., ten, który podobno jest aniołem... — Zrobiła pełną wątpliwości minę. — Za to nie pamiętam, żebym widziała tam tego elfa, który potem przychodził do piwnicy, gdzie mnie trzymali.

Najwyraźniej nie kojarzyła, że Leo J. oraz elf to ta sama osoba, a Meric nie zamierzał wyprowadzać jej z błędu. Im mniej będzie wiedziała, tym lepiej.

Pozwolił, by się do niego przytuliła i wypłakała w koszulę. Głaszcząc ją mechanicznie, zastanawiał się, gdzie jest Indil. Obiecała przecież, że przyjedzie do szpitala jak najszybciej.

\* \* \*

— Zabiłem dzisiaj kogoś — powiedział jasnowłosy chłopak, po czym zamarł ze spodniami ściągniętymi do połowy łydek. Wyglądał zabawnie, ale naga kobieta pilnowała, żeby się nie uśmiechnąć – nawet jeśli miałyby to być ciepły, matczyzny uśmiech, na jaki miała ochotę.

— Naprawdę? — Mimo braku zainteresowania bez trudu udało jej się w jednym słówku zawrzeć całą gamę uczuć, od ciekawości poprzez szacunek aż po strach. Lata praktyki.

Skinął głową. W oczach miał pustkę, a jego delikatne rysy obwisły, nadając twarzy tępy wyraz. Kiedy przyszedł do jej pokoju, potrafił tylko bełkotać bez sensu, a potem leżeć i gapić się w sufit, marnując w ten sposób swoje pieniądze. Teraz co prawda mówił wyraźniej, ale wyglądał jak somnambulik i kobieta pomyślała, że po przespaniu kilku godzin nie będzie nic pamiętał z tej rozmowy. Miała ochotę objąć go i pocieszyć. Był taki bezradny, taki młody. Nie mógłby być jej synem – różnica wieku między nimi wynosiła nie więcej niż dziesięć czy dwanaście lat – ale kobiecie czasem wydawało się, że jest znacznie starsza, niż wskazuje metryka, i w każdym poniżej dwudziestego roku życia widziała dziecko.

— Zabiłem jedną dziewczynę — ciągnął nadal z tępym, obojętnym wyrazem twarzy. A potem dodał już z odrobiną pasji — nale-

żało jej się.

— Skoro tak twierdzisz — zgodziła się kobieta. Matka nazwała ją Uną, lecz od dawna nikt tak na nią nie wołał. Wśród stałych bywalców Piekiełka znana była jako Tamandra, a gdy ktoś pytał ją o imię, odpowiadała najczęściej: „A jak chciałbyś do mnie mówić?”. Żałowała, że chłopak nie zapytał. Jemu odpowiedziałaby uczciwie.

Nie przejęła się specjalnie tym wyznaniem. Większość tego, co mówili klienci, wpadała jej jednym uchem, a wypadała drugim. Nie zastanawiała się nawet, czy mu wierzy. Gdyby pomyślała chwilę, doszłaby pewnie do wniosku, że chłopak nie tyle zmyśla, co koloryzuje – może uderzył jakąś dziewczynę, a teraz potęguje w sobie poczucie winy. Nie obchodziło jej to.

Wyciągnęła rękę, by odsunąć włosy, które spadały mu na oczy. Zrezygnowała w ostatniej chwili, gdy końcami palców już miała dotknąć czoła. Wiedziała, że młodzi mężczyźni – zwłaszcza tacy, którym nie wyszło w łóżku – bywają przewrażliwieni.

Martwiła się niepotrzebnie, bo jasnowłosy nawet nie zwrócił na nią uwagi. Podciągnął wreszcie spodnie i sięgnął po asani, którą założył na lewą stronę.

— Idę na dół — oznajmił, na próżno szukając guzików, które mógłby zapiąć. Po chwili dał sobie spokój i ruszył w stronę drzwi. Szedł w miarę prosto, a na klamkę udało mu się trafić już za drugim razem. Mimo to Tamandra wiedziała, że daleko mu do trzeźwości.

— Pójdę z tobą.

W dzień bar wyglądał mało zachęcająco. Pomarańczowe i czerwone lampki starały się tworzyć odpowiedni nastrój, lecz niszczyły go promienie słońca, które wpadając przez szpary pomiędzy zasłonami, rozpraszały intymny półmrok i odsłaniały całą kiczowatość niby-prowokującego wystroju. Wieczorami i nocą Piekiełko miał swój urok, niczym sceniczna dekoracja, która ożywa w blasku reflektorów. W świetle słońca dekoracja była tylko dekoracją – zrobione z papierni maché płomienie i stoły w kształcie odwróconych kotłów wyglądały raczej groteskowo niż intrygująco. W miarę jak zagłada miasta stawała się coraz bardziej realna, sporo getteimskich knajp zaczynało cieszyć się wzięciem nawet w dzień, ale nie doty-

czyło to Piekiełka. Tu jak zawsze ruch zaczynał się dopiero po zapadnięciu zmroku.

Tamandra posadziła towarzysza na ognisku czerwonej kanapie, tyłem do baru, tak żeby Selima nie zauważył, że chłopak nic nie pije. Do jej obowiązków należało namawianie klientów na jak najdroższe alkohole, ale jasnowłosa z pewnością miał już dość.

— Może opowiesz coś o sobie? — zachęciła, przytulając się do niego, częściowo po to, by poczuć ciepło drugiego ciała, a częściowo po to, by pomóc mu utrzymać się w pionie. — Powiedz chociaż, jak masz na imię.

— Cassian — wymamrotał dość wyraźnie.

Nagrodziła go uśmiechem, ale nim zdążyła zrewanżować się własnym prawdziwym imieniem, zaniepokoiła ją cisza, która nagle zapadła za jej plecami.

Spędziła w tej sali tyle godzin, że doskonale знаła wszystkie odgłosy towarzyszące pracy Selimy, wścibskiego i ruchliwego gнома, który w Piekiełku oprócz funkcji barmana pełnił także rolę oczu i uszu szefa. Wiedziała, kiedy Selima idzie do ubikacji (zamek się nie domykał i trzeba było mocno szarpnąć drzwiami, by zaskoczył), kiedy robi chwilę przerwy (czytał wtedy „Przegląd Sportowy” wydawany w wielkim, szeleszczącym formacie), a nawet kiedy ukradkiem nalewa sobie ginu. Nie rejestrowała tych dźwięków świadomie, ale zauważała natychmiast, gdy działo się coś niezwykłego.

Tak jak teraz. Cisza, która zapadła, nie była naturalna.

Tamandra przeprosiła Cassiana, podeszła do baru, na którym leżały porzucone karty, i zerknęła na zaplecze. Gnom przepadł, wyparował jak poranna mgła. Kobieta odwróciła się i w ostatniej chwili zdążyła dostrzec znikające w drzwiach wyjściowych plecy Olfiego, pomocnika Selimy i „chłopca do wszystkiego”. I również gнома, niech to szlag. Nigdy nie miała zaufania do tych małych drani. Upierali się, że nie potrafią odczytywać z kart przyszłości, ale gdy nadciągało niebezpieczeństwo, wiali jak szczury z tonącego okrętu.

Poszukała jeszcze wzrokiem Gordana, z góry wiedząc, że go nie znajdzie. O tej porze, gdy w Piekiełku nic się nie działo, ich wyki-

dajło odsypiał nocną służbę.

Do baru wszedł postawny, jasnowłosy mężczyzna i Tamandra od razu wiedziała, że to on właśnie może sprawić kłopoty, przed którymi zwiali Selima i Olfie.

Odsunął ją, gdy zastąpiła mu drogę. Właściwie nie wyglądał specjalnie groźnie – twarz miał nawet dość sympatyczną – ale było w nim coś, co budziło niepokój: jakaś determinacja, tłumiona wściekłość, może nawet nienawiść.

— Cassian Sury? — Szarpnął chłopaka za ramię. — Poznajesz mnie?

Skrzywił się z niesmakiem, gdy głowa zapytanego opadła bezwładnie na ramię, a potem wymruczał:

— Chodź, zabiorę cię stąd.

— Co pan zamierza z nim zrobić?

Pytanie było niemądre, bo w końcu – prócz ucieczki gnomów i jej własnego niejasnego przeczucia – nic nie świadczyło, że nowo przybyły może mieć złe zamiary. Spodziewała się więc kpiącej odpowiedzi, w najlepszym razie wzruszenia ramionami. Jednak nieznajomy odwrócił wzrok. Był na tyle uczciwy, że nie chciał kłamać, i to wystraszyło ją jeszcze bardziej.

Brutalnie postawiony na nogi Cassian spojrzał na mężczyznę, a w jego oczach pojawił się błysk rozpoznania. Tylko błysk, nic więcej, i Tamandra nie była pewna, czy chłopak cieszy się, że widzi tego faceta, czy też wręcz przeciwnie, nie lubi go, a może nawet boi się równie mocno jak ona. Wydawało jej się, że to drugie, ale mogła to być tylko jej wyobraźnia.

— Proszę, niech pan nie robi mu krzywdy. Cassian?

Jeśli chłopak się odezwie, jeśli powie, że nie chce z nim iść, zaczną wrzeszczeć, aż zleci się tu pół ulicy, postanowiła. Mam gdzieś, co mi za to robi szef.

Jednak Cassian milczał i bez oporów poszedł za mężczyzną, gdy ten pociągnął go w stronę drzwi. Tamandra odprowadziła ich wzrokiem. Przez następne kilka godzin żałowała, że jednak nie zaczęła wrzeszczeć, i rozmyślała, co stało się z Cassianem.

A potem wraz z zachodem słońca nadeszła ciemność i Tamandra zapomniała o jasnowłosym chłopcu, który obudził w niej ciepłe

uczucia.

\* \* \*

Około drugiej Meric znów zszedł do holu i raz jeszcze zadzwonił do Indil. Długo stał, wsłuchując się w przeciągły sygnał. Nikt nie odbierał i mężczyzna nagle poczuł się strasznie samotny, jak porzucone w obcym miejscu dziecko.

Wyszedł na zewnątrz, po czym znalazł dom towarowy, gdzie kupił Danisie wszystko, co potrzeba, nawet buty i bieliznę. Nastolatka bez zażenowania podała mu swoje wymiary, a on z równą swobodą przerzucał sterty kolorowych majtek i biustonoszy. Dawniej, w innym życiu, odległym od dzisiejszego dnia o całe lata świetlne, zdarzało mu się czasami kupować kobietom w prezencie ekskluzywną bieliznę.

Wybrał odcień jasnobłękitny, który, jak sądził, spodoba się dziewczynie. Nie zależało mu jakoś szczególnie na jej uszczęśliwieniu – po prostu zakupy sprawiały mu odrobinę przyjemności, bo w ten sposób czuł się potrzebny i miał wrażenie, że robi coś pożytecznego. Gdy siedział przy łóżku Aelis, przytłaczały go bezradność i rozpacz.

Sprzedawca nie mógł znaleźć drobnych, aby wypłacić resztę ze sturenowego banknotu. Meric zaproponował, że spróbuje go wymienić na innym stoisku, ale sprzedawca machnął ręką.

— Niech pan da mniej — zaproponował i bez wahania zgodził się na pięćdziesiąt pięć renów. Wyglądało na to, że z równą obojętnością oddałby komplet bielizny za darmo, gdyby tylko klient o to poprosił. Jest mu wszystko jedno, pomyślał Meric. W Getteim zapanał specyficzny nastrój tymczasowości – nawet ci, którzy wciąż zajmowali się swoją pracą, mieli wrażenie, że nie warto się do niej przykładać, bo lada moment wszystko weźmie w łeb. Zwiększoną energię wykazywały tylko uzbrojone patrole policji, które krążyły po ulicach, wrzeszczący o karze za złamanie Przymierza kapłani oraz spikerzy radiowi. Ci ostatni – jak usłyszał Meric przy stoisku z butami – radzili, aby wieczorem nie wychodzić z domu, lecz zamknąć się na cztery spusty. Dokładnie te same rady przekazywali

sobie lęklivymi szeptami nieliczni klienci domu towarowego, a także rozmawiający na ulicy przechodnie. Mimo iż nie sposób było przewidzieć, kiedy nadejdzie kolejny Znak, większość zakładała, że stanie się to już wieczorem. Meric miał wrażenie, że resztki optymizmu getteimczyków topnieją jak śnieg w letnim słońcu. Jeśli rzeczywiście tej nocy nie będzie światła, pomyślał, to najdalej pojutrze miasto na dobre opustoszeje.

W szpitalnej kafejce kupił trzy kawy oraz kilka kanapek, po czym – manipulując plastikową tacą zręcznie jak kelner – zaniósł to wszystko do pokoju Aelis.

Lou podziękował krótkim skinieniem głowy, a Danisa wylewnym zachwytem. Meric był pewien, że lekarz nie spodziewał się poczęstunku, a nastolatka wręcz na niego czekała.

Przyszła pielęgniarka, by zmienić przy łóżku pacjentki kroplówkę. Meric poklepał Aelis po ręce i zapewnił, że zaraz wróci. Nie wiedział, na ile ona w ogóle zdaje sobie sprawę z jego obecności. Nie wiedział nawet, czy jest przytomna, czy też nie. Nie próbowała już pisać, po prostu leżała bezwładnie niczym krawiecki manekin. Lekarz zapewniał, że największe niebezpieczeństwo minęło i Aelis będzie żyła, ale Meric nie potrafił pozbyć się wrażenia, że w pewien sposób już ją stracili.

Wyszedł wraz z Danisą na korytarz, gdzie wypili kawę, zjedli po jednej kanapce i sprawiedliwie podzielili się trzecią, ostatnią. Meric nadal nie lubił dziewczyny, niemniej łączyła ich pewna wspólnota doświadczeń – oboje byli już tylko biernymi obserwatorami, oboje mogli jedynie czekać. Danisa czekała, aż ktoś kupi jej bilet, pocałuje na drogę i wsadzi do odjeżdżającego w stronę Tanagry autobusu, Meric natomiast czekał, aż wyjaśni się, czy Joel uratował miasto, czy też nie.

Wychodzący z izolatki Lou obrzucił Merica zatroskanym spojrzeniem.

— Wygląda pan na wyczerpanego. Nie chciałby pan położyć się i przespać? Mogę zaoferować całe mnóstwo wolnych łóżek.

— Czy to nie jest wbrew przepisom?

Wzruszył ramionami.

— Jest, ale nie sądzę, aby to miało jakieś znaczenie.

Danisa dostrzegła w tym stwierdzeniu szansę dla siebie.

— Czy w takim razie ja mogę się przebrać w sukienkę?

— Oczywiście.

— A mogę włożyć normalne buty zamiast kapci?

Lekarz wziął pod uwagę, że Danisa kupiła buty pół godziny temu, i bez trudu wyraził zgodę.

Gdy nastolatka pobiegła się przebrać, Meric znalazł kilkuosobową salkę, w której wszystkie łóżka były wolne, po czym położył się na jednym z nich. Potrzebował odrobiny samotności, zamierzał więc po prostu odpocząć w ciszy, sam na sam ze swoimi myślami. Niespodziewanie jednak zapadł w niespokojny sen. Nie pamiętał, co mu się śniło, ale musiało to być coś złego, bo gdy otworzył oczy, mokra od potu koszula lepiła mu się do pleców, a głowę miał ciężką od majaków. Na granicy snu i jawy dopadło go paskudne uczucie człowieka, który wie, że stało się coś złego, ale nie pamięta co i desperacko próbuje sobie to przypomnieć. Krążąca w żyłach adrenalina popychała go do czynu, miał wrażenie, że powinien zerwać się i coś zrobić, zanim będzie za późno.

Wszystko to trwało ledwie kilkanaście sekund. Potem Meric uświadomił sobie, gdzie jest, i jednocześnie zrozumiał, że nie ma po co się spieszyć. Leżał chwilę nieruchomo, dając swojemu sercu czas, by uspokoiło rytm. Przymknął oczy, ale wiedział, że już nie zaśnie, zresztą nie miał na to najmniejszej ochoty. Wstał więc, podszedł do wiszącej w rogu umywalki i opłukał twarz. Lustro ukazało mu jego własne rysy – wyglądał, jakby w ciągu ostatniej doby postarzał się o dziesięć lat.

Słońce zbliżało się do zachodu, cienie wydłużały się, światło przybierało coraz głębsze, coraz bliższe czerwieni barwy. Pełen lęku Meric przekręcił włącznik i z ulgą zobaczył, że wisząca u sufitu lampa rozblęśla jaskrawym blaskiem. Na razie wszystko było w porządku.

Z korytarza dobiegł stukot wysokich obcasów, tak szybki, jakby idący – czy raczej w tym przypadku idąca – ledwie powstrzymywała się od biegu. Meric stanął w drzwiach i w tym momencie Indil chwyciła go w ramiona. Włosy jak zawsze miała starannie ułożone w fale, pachniała perfumami, uśmiechała się i wyglądała jak przy-

bysz z innego świata, w którym mieszkańcy nie stracili jeszcze optymizmu.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziała, ściskając go.  
— Zaufaj mi.

Skinął głową, bardzo chcąc w to uwierzyć. A potem zobaczył, kto cicho stanął za plecami elfki, i naprawdę uwierzył.

\* \* \*

— Nicodemus — powiedział zdumiony Meric.

Siwowłosa krzepki mag w milczeniu skinął głową.

Indil błyskawicznie, z energią, jakiej mógłby jej pozazdrościć niejeden dowódca, przejęła panowanie nad sytuacją. Nie pytała nikogo o zdanie, ale też nikomu nie przyszło do głowy, by zaprotestować. Zostawiła maga w pokoju Aelis, a doktora poprosiła, by zajął się Danisą, oceniwszy ją uprzednio jednym długim spojrzeniem, od którego dziewczyna zaczerwieniła się po czubki uszu.

Merica natomiast zaprowadziła do szpitalnianej kafejki. Prócz nich jedyną klientką była tu otulona w puszysty szlafrok staruszka. Gdy usiedli, zamarła i zagapiła się na Indil. Zaraz podejdzie i poprosi o autograf, a potem nie odczepi się przez następne pół godziny, pomyślał z niechęcią Meric, ale staruszka nie zamierzała nic takiego robić. Po prostu patrzyła na elfkę oczami wielkimi jak spodki i od czasu do czasu mechanicznym ruchem podnosiła do ust ciastko, którego okruchy sypały jej się za dekolt.

— Myślisz, że mag zdoła pomóc Aelis? — zapytał Meric, ożywiony i zarumieniony od nadziei, która wlała się w jego serce.

— Jeśli on tego nie zrobi, to nikomu się nie uda — orzekła Indil i musiał przyznać jej rację.

— Jakim cudem udało ci się go ściągnąć?

— Spotkałam go podczas premiery *Szcześliwego śpiewaka* i jak się zdaje, wywarłam na nim pewne wrażenie — odparła skromnie.  
— Zaraz po twoim telefonie przyszło mi do głowy, że mogę spróbować to wrażenie wykorzystać.

— Sądzę, że tu nie chodzi tylko o to. — W zamyśleniu potrząsnął głową. — On chyba w pewnym stopniu ma poczucie winy



i dlatego zgodził się przyjechać.

— Przylecieć — poprawiła Indil. Słowa rozmówcy przyjęła bez urazy. — Cóż, może i trochę przeceniłam swój urok osobisty. Mniejsza z tym. A teraz, skoro wiesz, z jakiego powodu Nicodemus ma poczucie winy, opowiedz mi o tym.

— To tylko moje domysły. Nie mam dowodów, a mag do niczego nie chciał się przyznać.

— Nie szkodzi, mów. Meric odetchnął.

— Pamiętasz może plotki o zaklęciu zwanym X, które podobno zniszczyć może wszystko: rzecz, żywą istotę, nawet byty duchowe? Otóż sądzę, że Nicodemus odkrył to zaklęcie. Pomogli mu w tym ludzie z tanagryjskiego Instytutu Elektroniki, którzy przesłali mu wszystkie kombinacje, wśród których mag znalazł tę właściwą. A potem Nicodemus przyjechał do Tanagry, na premierze *Szczęśliwego śpiewaka* spotkał anioła i nie oparł się pokusie, by zdradzić mu sekret. Joel dostrzegł w tym swoją szansę. Najpierw jednak chciał się przekonać, czy mag mówi prawdę, więc namówił go, by wypróbowali zaklęcie. Był jednak jeden kłopot – przeczytałem sobie krążące w brukowej prasie plotki na temat tego zaklęcia i dowiedziałem się, że jest ono połączone z zaklęciem śmierci, które sprawia, że wypowiadający je zabija się, gdy tylko uświadomi sobie, co zrobił.

— Zaklęcie dla zamachowców-samobójców? — Indil uśmiechnęła się bez prawdziwej radości.

— Właśnie tak. Znakomicie nadaje się do wszelkiego rodzaju zamachów, a jednocześnie w sposób dość radykalny zapobiega sytuacji, w której schwytany zamachowiec zdradza swych moco dawców. Dlatego właśnie Joel i Nicodemus nie mogli wypróbować zaklęcia osobiście. Znaleźli więc Danisę, dziewczynę, która po pierwsze była zbyt mało ważna, by ktokolwiek przejmował się jej losem, a ponadto była wtedy tak pijana, że bez pytania robiła, czego od niej chcieli. Zaprowadzili ją do salki muzealnej, ustawili przed popiersiem Aimerica Tyrena i kazali wypowiedzieć zaklęcie.

— Anielskie zaklęcia są trudne do wymówienia — zwróciła mu uwagę.

— Owszem, lecz sądzę, że mag potrafił sobie poradzić z tym

problemem. Widziałem kiedyś maga, który demonstrując swoją władzę nad ludźmi, skłaniał ich do chodzenia boso po żarzących się węglach, czego przeciętny człowiek raczej też by nie zrobił. Tak czy inaczej, Danisa wypowiedziała zaklęcie, zniszczyła popiersie i przy okazji podpaliła Teatr Rozrywki. Joel, anioł oraz Danisa wydostali się na zewnątrz i wtedy okazało się, że dziewczyna wcale umierać nie zamierza – prawdopodobnie dlatego, że była zbyt zamoczona, by uświadomić sobie, co zrobiła, a uruchomienie zaklęcia śmierci takiego właśnie uświadomienia wymagało. Mag Nicodemus wrócił więc do Arlenu, a Joel zabrał Danisę ze sobą. Nie wiem, szczerze mówiąc, po co – możliwe, że ze zwykłej ciekawości, by przekonać się, jak alkohol może wpływać na zaklęcie i czy jeśli uda mu się przypomnieć jej, co zrobiła, dziewczyna w końcu odbierze sobie życie. Zamknął ją w piwnicy wynajętej willi i znalazł człowieka, który jej pilnował. Joel nie działał sam – miał do pomocy Jaia Delnaaza, o którym sama mi mówiłaś, że bardzo anioła lubi, oraz kumpla Jaia, Cassiana Sury’ego, chłopaka niezbyt co prawda inteligentnego, ale za to bezwzględniego. Razem zaczęli realizować dalszą część planu. Jai i Cassian porywali z dworca dzieci, co było o tyle proste, że założę się, iż policja szukała tajemniczego porywacza wśród osób starszych, a na nastolatków nie zwracała większej uwagi. Potem wystarczyło tylko, aby Joel przy pomocy swoich własnych magicznych zdolności wbił dzieciakom do głowy odwrócone i lekko zmodyfikowane zaklęcie...

— Odwrócone?

— Owszem, tak aby dzieciaki zabijały się najpierw bez powodu, a dopiero potem wypowiadały słowa zaklęcia, kierując jego moc w stronę konkretnej osoby, czy może raczej istoty, bo chodziło przecież o aniołów. Nie patrz tak sceptycznie, moja droga, nie bądź materialistką – śmiertelnik to coś więcej niż ciało, to także dusza wraz ze swoją świadomością, która zostaje po śmierci fizycznego ciała. A dzieci, niewinne dzieci z krwią czystą co najmniej w ośmiu pokoleniach, po śmierci idą prosto do nieba, jak nauczają kapłani. Dlatego właśnie Jai i Cassian szukali ofiar na Dworcu Wschodnim, gdzie można spotkać sporo małych Tanagryjczyków. To, że dzieci ginęły z własnej ręki, nie miało znaczenia. Tak naprawdę zostały

zmuszone do odebrania sobie życia, więc samobójstwo w tym przypadku nie było grzechem.

— I w ten właśnie sposób Joel wykończył Radę Trzynastu? A sam ukrywał się pod postacią elfa i wyprowadził się nawet z własnego domu, bojąc się, że jego koledzy mogą się domyślić, co jest grane, i odnaleźć go?

— Zgadza się. Nie mam pojęcia, gdzie przez cały ten czas mieszkał, zresztą nie ma to większego znaczenia.

— A dlaczego pozbawiał dzieci pamięci?

— Bo to było prostsze, niż pozwolić im się zabić w willi, a potem mieć kłopot z pozbyciem się ciała. Wypuszczając dzieci na wolność w jakimś losowo wybranym punkcie miasta, Joel miał pewność, że umrą z dala od niego i nie rzucą na niego podejrzeń, a ponieważ były pozbawione pamięci, więc oczywiście nie mogły nikomu powiedzieć, co je spotkało. Był jeden kłopot. Zakłęcie X umieszczono w głowach dzieci przy pomocy dość prostej sztuczki mnemotechnicznej, jaką stosują magowie. Otóż na zasadzie podobieństwa przyporządkowują oni głoski języka anielskiego głoskom normalnym, takim, jakimi posługujemy się na co dzień, a potem układają zdanie, w którym pierwsze dwie, trzy albo nawet cztery litery poszczególnych słów są odpowiednikami głosek składających się na zakłęcie. Te zdania mogą brzmieć dość dziwnie, ale z pewnością łatwiej je zapamiętać niż ciąg nic nieznaczących sylab.

— *Czasem przeplatam księżyc samotnością.*

— Właśnie tak. Na poziomie świadomym dzieci nie pamiętały zakłęcia – było ono głęboko ukryte w ich umyśle i sądzę, że uaktywniało się dopiero w chwili, gdy dziecko stanęło przed aniołem. Pamiętały jednak zdanie pomocnicze i to był pewien kłopot dla Joela, ponieważ ktoś mógł zwrócić uwagę na to, że wszystkie dzieci pamiętają tylko jedno bezsensowne zdanie. Musiał jednak zaryzykować, a poza tym nie sądzę, aby on poważnie przejmował się tym, że przeszkodzi mu jakiś śmiertelnik. Przedsięwziął podstawowe środki ostrożności, lecz przede wszystkim bał się innych aniołów, nie śmiertelników.

— A co z Danisą? Jakim cudem ona jednocześnie żyła i jako duch pojawiała się w filmach oraz na zdjęciach?

— Nie mam pojęcia. Myślę, że to może być coś związanego z mocą Węzłów, ale ja się na tym nie znam. Może Aelis...

Umilkł. Wspomnienie dziewczyny zabolowało.

— Wiesz — podjął po chwili, zmieniając temat — zastanawiałem się, dlaczego właściwie aniołowie chcą zniszczyć Getteim, i doszedłem do wniosku, że oni się boją.

— Boją się?

— Magia i technika połączone razem dają wielką moc. Pomyśl, w kilkadziesiąt lat po utworzeniu Getteim przy pomocy maszyny liczącej oraz maga udało się znaleźć zaklęcie, które zabija aniołów. Do czego będziemy więc zdolni za dziesięć, dwadzieścia lat? Za pół wieku?

— Możliwe, że do tego czasu zniszczymy samych siebie.

Meric niechętnie skinął głową.

— Mimo wszystko... — zająknął się. — Mimo wszystko ja wciąż mam nadzieję, że Joel byłby skłonny zaryzykować i dać nam szansę. On... oczywiście nie mogę mieć pewności, ale on wydaje się inny niż pozostali aniołowie...

Meric urwał i spojrzał na wiszącą pod sufitem lampę. Na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

— Indil.

— Tak?

— Nie wydaje ci się, że ta żarówka daje coraz mniej światła?

— Nie wiem... — zawahała się, mrużąc oczy, a potem dodała bez przekonania — może po prostu wyczerpuje jej się moc.

Okna szpitalnianej kafejki wychodziły na północ i dlatego nawet popołudniami, zwłaszcza w pochmurne jesienne dni, było tu wystarczająco mroczno, by zapalać światła. A popołudnie już minęło. Meric zerknął na zegarek – fosforyzujące wskazówki pokazywały siedemnastą trzydzieści. Słońce prawdopodobnie zaszło, choć na zewnątrz nie było jeszcze zupełnie ciemno.

A potem na jego oczach fosforyzujące wskazówki zamrugwały jak kocie ślepie i zgasły. Dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa aż do szyi, stawiając na karku wszystkie włosy.

Rozejrzał się. Staruszka w puszystym szlafroku wyszła i sala była pusta. Jedyne za kontuarem wciąż siedziała pulchna kobieta

w pasiastym fartuchu. W jednej ręce trzymała książkę, której czytanie przerwała przed chwilą – prawdopodobnie po prostu dlatego, że przestała widzieć litery.

Meric patrzył, jak mrok zatapia jej pobladałą, coraz bardziej przerażoną twarz. Na początku wyglądało to tak, jakby ktoś narzucił płachty na cztery wiszące u sufitu lampy. Ciemność zgęstniała wokół żarówek i zdławiła ich blask. Potem cztery czarne plamy zaczęły pęcznić i rozlewać się, przemieniając wieczorną szarówkę w gęstą jak piekielna smoła noc.

Od strony lady dobiegł zdławiony okrzyk.

— O Boże... Co ja mam robić?

— Radziłabym znaleźć sobie jakieś wygodne miejsce i poczekać do świtu — odparła Indil.

— Ale jeśli... — zająknęła się kobieta.

Nie musiała kończyć, bo teraz prawdopodobnie wszyscy mieszkańcy Getteim myśleli o tym samym. Co będzie, jeśli nocą dopadnie ich piąty Znak i zasną, by nigdy się nie obudzić?

— Wracamy na górę, do maga i Aelis — zdecydowała Indil.  
— Nie chcę tu siedzieć do rana.

Skinął głową, zbyt późno orientując się, że w ciemności i tak nie może tego zobaczyć. Przy okazji postanowił być rycerski.

— Wziąć cię za rękę?

— Jeśli to podniesie cię na duchu — zgodziła się elfka.

Po kłopotliwie długiej chwili natrafił w mroku na jej długie, silne palce. Ruszył do przodu, jedną ręką rozpaczliwie ściskając dłoń Indil, a drugą wyciągając przed siebie jak ślepiec. Już przy drugim kroku wpadł na krzesło i przewrócił je z hukiem. Był wdzięczny, że elfka nie upomniała go, by uważał – w tej sytuacji i tak nie odniosłoby to żadnego skutku poza tym, że poczułby się jeszcze mniej pewnie.

Zdażył przewrócić trzy krzesła (Indil tylko jedno) i uderzyć się boleśnie o róg stolika, nim jego dłoń natrafiła wreszcie na ścianę. Posuwając się wzdłuż niej, znaleźli drzwi.

W tej samej chwili rozległ się dźwięk tłuczonego szkła i Meric natychmiast przypomniał sobie osadzoną w drzwiach szybę.

— Indil, to ty...? — Zabrakło mu tchu.

— Nie, to gdzieś niedaleko. Nie panikuj, proszę.

Nakazał sobie spokój i z trudem odepchnął wizję okaleczonej odłamkami elfki.

Gdy wyszli na korytarz, okazało się, że szpital wcale nie jest tak cichy, jak im się wcześniej wydawało. Z pobliskiej sali dobiegał dziecięcy płacz, a w głosie kobiety, która starała się dziecko uspokoić, więcej było strachu i złości niż współczucia. Powtarzały się okrzyki: „Gdzie jesteś?”, „O Boże, nic nie widzę!”, a także pytania: „Czy ktoś tu ma jakieś światło?”. Najbardziej jednak wstrząsnęło Merikiem zawołanie jakiejś dziewczyny: „Obudźcie go, proszę, nie pozwólcie mu spać. Tato, ocknij się i mów do mnie, nie możesz teraz spać!”.

— Zostaw — mruknęła Indil, gdy zrobił krok w tamtą stronę. — I tak nikomu nie pomożesz.

Palcami odnalazł przycisk windy i wdusił go do oporu, bardziej z ciekawości, niż licząc na jakikolwiek efekt. W szybie zachrobotało i ku zdziwieniu Merica kabina zaczęła zjeżdżać. Wyglądało na to, że wszystko działa jak zawsze, brakuje jedynie światła.

Poczuł ciepły, lekko stęchły powiew, gdy drzwi windy otwarły się tuż przed jego nosem.

— Jedziemy? — zaproponowała Indil.

Mężczyzna stchórzył. Na samą myśl, że miałby tak po prostu zrobić krok w czarną, chybotliwą nicość, ugięły się pod nim nogi.

— Chyba wolę iść schodami.

Indil przesuwiała dłoń po poręczy, a Meric liczył stopnie. W ten sposób dotarli na piętro.

— Nicodemus! — zawołała Indil, gdy znaleźli się na podeście.

— Lou! — zawtórował jej Meric.

Ktoś wykrzyknął jego imię. Od razu poznał ten melodyjny, dziewczęcy głos.

— Aelis... — szepnął.

Znalazła się przy nim tak szybko, że musiała chyba biec, choć w ciemnościach wydawało się to niemożliwe.

Przyklęknął, by łatwiej mogła go objąć. Przytuliła się, a potem ujęła jego dłonie i powiodła nimi po swojej twarzy – gładkiej, bez żadnych ran czy blizn. Pod delikatnymi powiekami poruszały się

gałki oczne, policzki były gorące i mokre od łez. Wsunęła końce jego palców do ust. Dopiero wtedy zareagował i spróbował się cofnąć. Nie pozwoliła, przyciągając mężczyznę do siebie. Odwrócił się, chcąc zmienić ten pocałunek w przyjacielskie cmoknięcie w policzek, lecz nawet na to nie dała mu szansy. Pocałowała go, gryząc dolną wargę niemal do krwi.

Zabolało, ale jednocześnie poczuł przypływ podniecenia, więc poddał się po chwili. Ostatecznie, myślał mętnie, ona naprawdę jest dorosła, a w ciemności łatwiej było to uznać.

— Jestem zdrowa — szepnęła mu w ucho z jakąś desperacką, niemal przerażającą żądzą życia. — On mi pomógł. Nicodemus.

Dopiero wzmianka o magu otrzeźwiła go na tyle, że puścił ją i wstał. Mimo wszystko, mimo całej radości, jaką odczuwał, to jeszcze nie był koniec.

— Czy on tu gdzieś jest?

— Owszem, jestem — głos maga dobiegł z odległości nie większej niż kilka kroków.

— Czy w takim razie, hmm... czy moglibyśmy porozmawiać na osobności?

— Jeśli oznacza to pana, mnie i pannę Aelis, to właśnie jesteśmy na osobności. Nikogo innego tu nie ma. Indil odeszła chwilę temu.

— Och... — Meric zapomniał, co chciał powiedzieć, a potem uświadomił sobie, że przede wszystkim powinien podziękować, zaczął się więc plątać, tłumacząc, jak bardzo wszyscy są wdzięczni.

Mag litościwie przerwał mu po kilku zdaniach.

— Podziękowała mi już panna Aelis, a także Indil. Myślę, że to wystarczy. Pan, jak sędzę, chciał rozmawiać ze mną nie tylko po to, by wyrazić wdzięczność.

Meric objął Aelis, która tuliła się do jego boku. Bliskość jej ciepłego, żywego ciała dodawała mu energii.

— Ta dziewczyna, Danisa, umrze, jeśli przypomni sobie, że zniszczyła popiersie Aimerica Tyrena, prawda? Tak działa zaklęcie. Co prawda była wtedy bardzo pijana i możliwe, że nie przypomni sobie nigdy, niemniej będzie żyć z tykającą bombą w głowie.

— A pan chciałby, abym tę bombę rozbroił? Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić. To znaczy mógłbym, ale zajęłoby mi to zbyt

wiele czasu, a ja wolałbym wyjechać jak najszybciej. Im mniej czasu spędzę w Getteim, tym mniejsze zagrożenie, że Joel dowie się o moim tutaj pobycie.

— A gdyby się dowiedział...?

— Możliwe, że postanowiłby mnie zabić. Obiecał co prawda, że zostawi mnie w spokoju, ale ja, przyjeżdżając do Getteim, złamałem jeden z warunków naszej umowy. Wcześniej pozwolił mi odejść, bo z jego punktu widzenia śmiertelnicy są zbyt mało ważni, by widzieć w nich poważne zagrożenie. On śmiertelników postrzega jak... jak pionki, którymi się bawi. Na swój sposób jest w tej zabawie uczciwy – przestrzega zasad, ale tego samego żąda też od innych. I potrafi być dość nieprzyjemny, gdy ktoś łamie umowę.

— Chce pan wyjechać natychmiast, gdy jest tak ciemno?

— Ja widzę doskonale.

Na to Meric nie znalazł odpowiedzi. Zrozumiał, że mag, uzdrawiając Aelis, pozbył się poczucia winy i uważa teraz, że są kwita.

— Z tych samych powodów nie sprawię, że będziecie widzieć w mroku ani że zachowacie przytomność, gdy wszyscy inni zasną. Ten młody lekarz już mnie o to prosił, a ja odmówiłem.

— Może w takim razie odpowie pan przynajmniej jeszcze na dwa pytania?

— To mogę zrobić — zgodził się Nicodemus z ociąganiem.

— Teatr Rozrywki spłonął, gdy Danisa zniszczyła popiersie Aimerica Tyrena. Ogień to skutek uboczny zaklęcia?

— Owszem.

Meric oblizwał wyschnięte wargi. Ta odpowiedź miała jedynie zaspokoić jego ciekawość. Teraz przyszła kolej na ważniejsze pytanie.

— Jak silne jest zaklęcie X? Potrafi zrównać z ziemią całą dzielnicę? Miasto? Kraj?

— Och, nie. — Wydawało mu się, że w ciemności Nicodemus chichocze cicho. — Może zniszczyć tylko to, co ktoś wypowiadający zaklęcie ma w zasięgu wzroku i w odległości nie większej niż kilkanaście stóp. Sprawdza się, gdy trzeba kogoś zabić, ale już do burzenia budynków nadaje się bardzo kiepsko. A co do dziewczyny... — mag zawahał się. — Ja osobiście nic nie mogę zrobić,



ale w tej chwili jest w Tanagrze paru magów, którzy mogliby się tym zająć. Myślę, że nie zażądaliby nawet zapłaty, bo jej przypadek jest dość interesujący. Radzę więc zabrać Danisę do Tanagry i tam poszukać pomocy – wiecie przecież, że sporo urodzonych w Getteim inżynierów wyjeżdża do Arlenu, a z kolei urodzeni w Getteim magowie często pracują w Tanagrze.

\* \* \*

Nataniel Andres wstał, po omacku dotarł do łazienki, wysikał się, po czym wrócił do pokoju. Żadna sztuka, wieczorem w całkowitych ciemnościach udało mu się nawet wziąć kąpiel. Zajęło mu to znacznie więcej czasu niż zazwyczaj, ale przecież i tak nie miał nic lepszego do roboty.

Sięgnął po butelkę soku i paczkę solonych orzeszków, które przewidując zostawił na stole.

— No proszę, jak świetnie sobie radzę — wymruczał, rozrywając opakowanie.

Od strony ściany, pod którą leżał Cassian Sury, dobiegł cichy jęk. Andres zignorował go.

Zastanawiał się, która może być godzina. Nie sądził, aby spał więcej niż piętnaście–dwadzieścia minut, a gdy obudził się poprzednim razem, zegar wybił trzecią. A więc teraz będzie pewnie gdzieś około wpół do czwartej. Do świtu niedaleko.

Uchylił okno, by wpuścić trochę świeżego powietrza. Na zewnątrz panował spokój. Gdy zapadła ciemność, przez jakiś czas dezorientowani i wystraszeni getteimczycy nawoływali się nawzajem, lecz potem stopniowo wszystko ucichło.

Andres wyobraził sobie tych, których mrok zastał na zewnątrz i którzy nie mieli tyle szczęścia, by gdzieś niedaleko znaleźć otwarte drzwi jakiegoś ciepłego, przyjaznego pomieszczenia. Siedzieli pewnie skuleni pod ścianami budynków albo w bramach i drżąc z zimna, czekali na świt.

Cassian znów zajęczał.

— Chcesz się napić soku? — zaproponował Andres. Nie otrzymał odpowiedzi.

— Nie to nie — dodał tylko po to, by raz jeszcze usłyszeć swój głos.

Ciemność i cisza męczyły go, nie przerażały, ale właśnie męczyły. Nie wiedział, co ze sobą zrobić – mógł tylko siedzieć, pogryzać solone orzeszki, gadać do nieprzytomnego chłopaka albo do samego siebie i myśleć. A myśli, które przychodziły mu do głowy, były... niebezpieczne.

Najchętniej przespałby tę noc, lecz budził się, zaledwie zdołał zasnąć. Zupełnie jakby jego umysł nie akceptował tego, że ciało potrzebuje odpoczynku. Silniejsza niż zmęczenie nienawiść od kilkunastu godzin utrzymywała Andresa w stanie podwyższonej świadomości. Nie potrafił spać, nie potrafił się bać ciemności, nie potrafił nawet myśleć, co stanie się z Getteim. Chwilami miał wrażenie, że płonąca w jego wnętrzu wściekłość spali go na popiół. Ale jeszcze nie teraz, nie przed nastaniem świtu. Będzie potrzebował światła, by spojrzeć w oczy Cassiana, nim go zabije.

Tym razem jęk chłopaka był bardziej przeciągły, przechodzący stopniowo w ciche mamrotanie.

— Przytomniejesz? — zapytał Andres. — To dobrze, chcę, żebyś rano był przytomny. Inaczej to nie miałoby żadnego sensu.

Parę niewyraźnych słów i kolejny jęk bólu uznał za odpowiedź.

— Wiesz, o czym myślałem przed chwilą? O rodzinie Tusharów. Mam nadzieję, że ich kojarzysz, choć młodzi ludzie nie przepadają za takimi programami. Wiesz, kiedyś wydawało mi się, że oni potrafią wychodzić z radia i zmieniać przeszłość. Nie od razu, oczywiście, my skutki ich działań widzimy dopiero po czterech dniach, bo taka właśnie jest różnica czasu pomiędzy ich światem a naszym. I tak się zastanawiam, czy może Tusharowie zechcieliby – gdyby rzeczywiście istnieli – czy może zechcieliby naprawić to, co ty zepsułeś. Uratowaliby Aelis, a ty nie leżałbyś tu teraz i nie jęczał... Jak ci się podoba taki pomysł?

Myśli, niebezpieczne myśli. To było tak kuszące, niemal... realne. Uwierzyć, że wystarczy poczekać jeszcze trzy dni, a Aelis okaże się cała i zdrowa. Potem będą się martwić zagładą Getteim.

Podszedł do chłopaka i wyciągnął dłoń, by dotknąć bezwładnego ciała. To przywróciło mu poczucie rzeczywistości i Nataniel Andres

poczuł ból tak świeży, jakby właśnie przed chwilą ujrzał okaleczoną Aelis. Zateśknił za kojącym optymizmem szaleństwa i ta tęsknota przeraziła go.

— Opowiem dowcip, żeby ci się nie nudziło do rana — wymruzczał, nie bardzo nawet zdając sobie sprawę z tego, co mówi. Dźwięk własnego głosu przynosił mu odrobinę ulgi i to wystarczyło. — Kiedyś byłem dobry w opowiadaniu dowcipów.

W kamienicy, na którymś z górnych pięter, rozległ się ostry, przeciągły krzyk wariata. Komuś w ciemności puściły nerwy i wypluwał teraz w mrok całe swoje przerażenie.

Zimny dreszcz spłynął wzdłuż kręgosłupa Andresa, mężczyzna zadrżał lekko, a potem niespodziewanie dla samego siebie zachichotał.

Wierzył w magiczną moc Tusharów i opowiadał dowcipy na wpół przytomnemu chłopakowi, którego postanowił zabić, ale jeszcze nie miał ochoty tak wrzeszczeć. Nie było z nim tak źle.

Wrócił na łóżko, zjadł trochę orzeszków i właśnie położył się, by znów spróbować zasnąć, gdy ktoś załomotał do drzwi.

Nie powinien otwierać – w jego mieszkaniu leżał przecież Cassian Sury. Z drugiej jednak strony w ciemności i tak nikt go nie zobaczy, a jęki – jeśli chłopak będzie tylko jęczał, a nie zacznie wołać o pomoc – da się stosunkowo łatwo wytłumaczyć. Nataniela kusilo, by zaryzykować. Zbyt długo siedział samotnie w ciszy, snując coraz bardziej wariackie myśli.

Obijając się o meble i przeklinając, podszedł do drzwi.

— Panie Andres, to ja — poznał głos sąsiada z góry. — Przepraszam, że o tej godzinie, ale chyba mało kto teraz śpi.

— Coś się stało? Słyszałem, że ktoś krzyczał.

— To chyba ta kobieta z trzeciego piętra. U nas jest spokój, choć nikt nie może zasnąć. Robimy więc eksperymenty.

— Eksperymenty? — powtórzył Andres, czując się nagle bardzo zmęczony i ogłupiały.

— Ze światłem — wyjaśnił cierpliwie sąsiad. — Tak sobie wykombinowałem, że może aniołowie coś przegapili i jakieś źródło światła będzie działać. Wie pan, że ogień płonie, tylko go nie widać? Sprawdziłem, zapalając świecę, a potem przysuwając do niej

dłoń. Wciąż jeszcze mam ślad po oparzeniu. Dziwne, prawda?

Nataniel Andres przypomniał sobie, że parę godzin temu wziął gorącą kąpiel, a skoro woda była podgrzana, to w piecyku musiał być płomień. Rzeczywiście dziwne, pomyślał. Prawdziwy cholerny anielski cud.

— Światła nie daje ani ogień, ani elektryczność, ani nawet robaczki świętojańskie, które mój syn trzyma w słoju — kontynuował sąsiad. — Ale pamiętam, że pan miał takie specjalne jednorazowe luminescencyjne latarki. Może mógłby pan podarować nam jedną?

— Nie wiem, czy jeszcze będą działać. Są dość stare.

— Nie szkodzi. — Zdumiewające, ale sąsiad chyba naprawdę się nie przejął. — Może pan dać wszystkie, będziemy je wypróbować po kolei.

Andres już miał się wkurzyć i wyzwąć go od idiotów, kiedy uświadomił sobie, że facet wcale nie robi tego dla siebie, a już na pewno nie po to, by denerwować w ten sposób ludzi. On robił to dla syna. Chłopak miał trzynaście lat, bał się, a ojciec starał się zająć go czymś, przekształcając tę ponurą noc w ekscytującą przygodę.

Znalazł pudełko z latarkami, wręczył je sąsiadowi, po czym zamknął za nim drzwi, przerywając w ten sposób potok podziękowań.

Gdy wrócił do pokoju, uświadomił sobie, że prócz Cassiana jest tam ktoś jeszcze.

Ktoś stał na środku pomieszczenia, może ze dwa kroki przed Andresem, który nie słyszał nic ani nie widział, a jednak był pewien, że ma gościa.

Nie bał się. Tej nocy chyba nic nie mogłoby go wystraszyć – ani nagle zapadająca ciemność, ani tajemniczy gość, który nie wieciec jak dostał się do jego mieszkania.

Pomyślał o rewolwerze, który leżał na stole, a także o tym, że jeśli chce zabić rano Cassiana – a bardzo tego chciał – sam musi przeżyć.

Na twarzy poczuł powiew powietrza. Zastanowił się, czy ten, kto stoi przed nim, nie ma przypadkiem skrzydeł. Istniała spora szansa, że ma. A jeśli tak, to rewolwer na nic się nie przyda.

— Zaczynasz dochodzić do właściwych wniosków — pochwalił go ciepły męski głos, jakby stworzony do prawienia kobietom komplementów. — Gdy jestem w takiej postaci, żadna kula nie zrobi mi krzywdy. Jestem Nemuel.

— Czy mógłbyś... hmm, rozjaśnić trochę to pomieszczenie?

— Mógłbym, ale nie widzę takiej potrzeby. Nie wątpisz chyba, że jestem tym, za kogo się podaję?

— Nie — odpowiedział zgodnie z prawdą. Drań nie tylko zmaterializował się na środku jego mieszkania, ale jeszcze potrafił odczytywać myśli.

Czego on może chcieć?

— Chcę, abyś kogoś dla mnie zabił. — Anioł nie czekał, aż Andres zada pytanie na głos.

\* \* \*

— Boli..

Były to pierwsze wyraźne słowa Cassiana i pierwsza świadoma myśl. Ból promieniował od stóp aż po żołądek, skręcając go w ciasny, lodowaty supeł. Chłopak spróbował się poruszyć, ale zdołał jedynie unieść nieco tułów. Nogi nie odpowiadały na wysyłane przez umysł impulsy.

O Boże, jestem sparaliżowany...

Przerażenie podeszło mu do gardła falą mdłości. Przekręcił się na bok, myśląc, że zaraz zwymiotuje, ale tylko zakrztusił się własną śliną. Gdy kaszlał, nogi odpowiadały kolejnymi szarpnięciami bólu.

— No już, spokojnie. Napij się. — Ktoś uniósł mu głowę, po czym wlał w usta odrobinę zimnego soku. Cassian o mało znów się nie zakrztusił, przełknął jednak i poczuł się trochę lepiej.

— Kim jesteście? I dlaczego jest tak ciemno?

— Nataniel Andres — przedstawił się dobroczyńca. — A ciemno jest dlatego, że aniołowie wyłączyli nam światło.

Nataniel Andres. W zamroczonym, obolałym umyśle Cassiana włączył się alarm.

Chłopak spróbował przypomnieć sobie poprzedni dzień. Radość, gdy Joel zadzwonił i powiedział, że nie będą już potrzebować willi,

a więc może po prostu wyjść i zostawić tam ciało Aelis. Złość, gdy okazało się, że anioł zadzwonił także do Jaia, a ten bez porozumienia z przyjacielem wyjechał do Tanagry. A potem to paskudne uczucie samotności, gdy okazało się, że z Getteim wyjechał nie tylko Jai, lecz także większość znajomych i kumpli. Cassian został na przekór im wszystkim, ale nie miał nic do roboty. Nic prócz wlewania w siebie kolejnych porcji alkoholu i stopniowego tracenia przytomności.

A teraz znajdował się w ciemnym pokoju z Natanielem Andresem i jeszcze kimś, kogo być może też powinien się obawiać.

— Kim jest ten drugi? — zapytał z wysiłkiem. — Słyszałem dwa głosy...

— Anioł Nemuel. Był tu, ale już sobie poszedł. Poprosił mnie, abym zabił Joela, bo on z powodu jakichś dziwaczkich anielskich zasad nie może tego wziąć na siebie. To możliwe, jeśli tylko Joel będzie w postaci śmiertelnika. Nemuel dał mi czas do namysłu, a ja sądzę, że się zgodzę. Anioł, który morduje dzieci, nie zasługuje na to, aby żyć.

Cassian poruszył się niespokojnie, czując, jak w jego sercu budzi się nadzieja. Umysł miał teraz jaśniejszy, bardziej sprawny.

— Masz rację... — wyszeptał. — To wszystko wina Joela, on kazał nam robić straszne rzeczy... Jest nienormalny, podejrzewałem to od początku. Wypuść mnie, to pomogę ci go znaleźć...

— Poradzę sobie bez twojej pomocy. A ty i tak nie dałbyś rady nigdzie iść. Masz połamane nogi. To znaczy jedną na pewno, a drugą chyba też. Nie przyglądałem się dokładnie. Widzisz, ja jakoś nie wierzę w wiązanie, w filmach ofiarom zawsze udaje się uwolnić.

Cassian zachlipał. Z czasów dzieciństwa pamiętał, że jego szloch zawsze budził współczucie, i najwyższa pora wykorzystać to, porzucając wstyd. Płacz przyszedł mu zdumiewająco łatwo jak na teatralną zagrywkę.

— Nie skrzywdzisz mnie, prawda? — jęczał chłopak, zapomniawszy już zupełnie, że miał zamiar udawać. — Zabij Joela, to on jest wszystkiemu winien. Ja nie chciałem zrobić nic złego, przysięgam... To nie moja wina.

— Cicho bądź — powiedział Nataniel Andres łagodnie, tonem niemal proszącym. A potem dodał — wiesz, chyba wolałem, kiedy byłeś nieprzytomny.

## Dzień jedenasty

*Czy ktoś kiedyś zastanawiał się, dlaczego aniołów jest trzynastu? I dlaczego Joel zawsze wymieniany jest na ostatnim miejscu?*

Wypowiedz anonimowego słuchacza  
w radiowym programie *Kwestia wiary*

Nataniel Andres wpatrywał się w Aelis w zdumieniu, z napięciem, jakby spodziewał się, że gładka twarz dziewczyny jest tylko iluzją, która zaraz zniknie, pogłębiając w ten sposób jego ból. Dlatego nie pozwalał sobie uwierzyć w to, co widzi. Aelis знаła to spojrzenie – jeszcze przed dwiema godzinami patrzyła tak na swoje odbicie w lustrze.

— Wszystko ze mną w porządku. — Odgarnęła z czoła kosmyk. Chciała, żeby zabrzmiało to buńczucznie, ale własny głos wydał jej się bardziej dziecinny niż zwykle.

— Aelis, twoje oczy... Jedno jest zielone jak dawniej, a drugie niebieskie.

— Wiem. To Nicodemus. Pomylił się albo... albo w ten sposób postanowił zaznaczyć, że to on ocalił mi życie. Nie przeszkadza mi to.

— Mnie też nie. Wygląda dziwnie, ale nawet ładnie.

Napięcie na twarzy Andresa zelzało. Uściskał ją, usiadł na szpitalnym łóżku i rozejrzał się, witając skinieniem głowy kolejno Merica, Indil, Danisę i Lou. Był szczęśliwy, lecz jednocześnie wydawał się roztargniony i zmęczony. Wzrokiem co chwila wracał do Aelis, upewniając się, że dziewczyna wciąż tam jest, zdrowa i piękna.



Z kieszeni wyciągnął coś, co wyglądało jak garść kamyków.

— Dał mi to anioł o imieniu Nemuel. To amulet, który nie pozwoli wam zasnąć, gdy nadejdzie piąty Znak. Myślę, że na wszelki wypadek powinniście go zacząć nosić już teraz.

Wręczył jeden kamyk Aelis, a drugi Mericowi. Po trzeci wyciągnęła rękę Danisa, lecz Andres zignorował ją i dał amulet Indil.

— Przykro mi, dostałem tylko cztery.

Lekarz objął urażoną nastolatkę i uśmiechnął się do Nataniela.

— Postanowiłem, że wieczorem, jeszcze przed nastaniem ciemności, zabiorę Danisę do Tanagry, więc nie będzie nam to potrzebne. Piąty Znak nie nadejdzie przecież szybciej niż jutro w nocy.

Andres skinął głową – rzeczywiście, jak dotąd kolejne Znaki następowały po sobie z co najmniej jednodniową przerwą. Inaczej nie miałyby sensu, skoro ich celem było wystraszyć getteimczyków i dać im czas na ucieczkę. Z drugiej jednak strony możliwe, że Znaki były dla aniołów już tylko formalnością, którą starali się jak najszybciej dopełnić. Nataniel żałował, że nie spytał o to Nemuela.

— Co mam z tym zrobić? — Aelis obracała w palcach swój amulet. Wyglądał jak okrągły krwistoczerwony kamyczek z otworem w środku, w dotyku jednak był zaskakująco chłodny i śliski niczym kostka lodu. — Wystarczy, że włożę go do kieszeni?

— Żeby działać, musi mieć kontakt z nagą skórą blisko serca. Najlepiej powiesić go na rzemyku i schować pod ubranie.

— A więc Nemuel odwiedził cię po to, by dać nam amulety? — zapytał Meric.

Facet miał niesamowity dar trafiania w sedno. Wiedział, sukinyśn jeden, jaka będzie odpowiedź.

— Nie tylko po to. — Andres spojrział na niego wyzywająco, po czym wyjaśnił, na czym polegała prośba anioła.

Gdy skończył, w szpitalnej sali zapanowała cisza. Danisa wciąż tuliła się do lekarza, który miał zdystansowaną, niemal zbyt obojętną minę człowieka, który nie zamierza się do niczego wtrącać. Podobnie wyglądała Indil, choć w jej oczach Nataniel zobaczył też coś na kształt współczucia.

Merik i Aelis odwracali głowy, nie chcąc patrzeć mu w twarz.

— Powiedzcie coś! — wybuchnął.

— Nie licz na moją pomoc — szepnął Meric. — Wiesz, jak bardzo zależy mi na ocaleniu Getteim, a tylko Joel może to zrobić.

— Zależy ci tak bardzo, że poświęcisz w tym celu życie niewinnych dzieci?

— One są martwe — przypomniał Meric łagodnie. — Nikt nie zdoła im pomóc. A w ten sposób przynajmniej ich śmierć nie pójdzie na marne.

— Może dla ciebie to jest w porządku, ale dla mnie nie. Mam w dupie Getteim. Joel nie powinien żyć, a ja dostałem szansę, żeby zabić tego skurwysyna, i zamierzam z niej skorzystać. Aelis?

Odwróciła się bardzo powoli, jakby musiała walczyć z kimś, kto przytrzymuje jej głowę.

— Co się stało z Cassianem Surym?

Andres otworzył usta i zamknął je na powrót. Oczy miał okrągłe z niedowierzania.

— Nie mów do mnie takim tonem — powiedział, na wpół grożąc, a na wpół prosząc. — Cassian Sury... już nigdy nikogo nie skrzywdzi.

— Nie wątpię, że zabicie go sprawiło ci przyjemność.

Na policzkach Nataniela wykwitły czerwone plamy, jakby dostał w twarz. Niedowierzenie w jego oczach pogłębiało się, zmieniając w szok.

— Nie sprawiło — powiedział i to była prawda, która brzmiała jak kłamstwo.

— I nie mów, że zrobiłeś to dla mnie. — Aelis była bardzo blada, dłonie miała zaciśnięte w pięści i z trudem patrzyła mu w twarz.

— Nie miałem zamiaru nic takiego mówić. — Kolejna prawda, która brzmiała jak kłamstwo. Nataniel Andres poczuł się osądzony bez możliwości obrony. W jego piersi rozlał się bolesny gniew.

— Cassian Sury powinien być ukarany — ciągnęła pospiesznie, bojąc się, że za chwilę straci resztki odwagi, które pozwalały jej wytrzymać wzrok mężczyzny. — Ale nie tak, nie w ten sposób. Mam już dość krwi i zabijania. A ty... ty czasami mnie przerażasz, Natanielu.

Ostatnie zdanie wypowiedziała ciszej, ale też z większą pewnością siebie i szczerością tak głęboką, że ugodziła Andresa prosto w serce.

Odwrócił się w stronę Merica. Na Aelis nie mógł się wściekać, ale na niego tak.

— Świetnie. — Zmrużył oczy, mięśnie jego twarzy napięły się, odsłaniając zęby. — Znakomicie. Wygląda na to, że będę musiał poradzić sobie bez waszej pomocy. Nie ma sprawy.

Złapał stolik stojący przy jednym z łóżek i rzucił nim. Meric nawet nie drgnął, choć mebel wylądował tuż koło jego stóp.

Aelis skuliła się i rozplakała. Czowała się taka krucha, tak niesamowicie delikatna. Każdy głośniejszy dźwięk wyprowadzał ją z równowagi. Fizycznie była zdrowa, ale własną duszę wyobrażała sobie jak coś w rodzaju rozbitej i niezdarnie posklejanej porcelanowej filiżanki.

Andres wyszedł, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi. Dziewczyna walczyła, by stłumić szloch.

Merica przytulił ją.

— Chodź, zabiorę cię do domu.

\* \* \*

— *Caudhari* Jasbir Lal?

— Mów, co masz do powiedzenia, bo nie mam wiele czasu.

Nataniel Andres przełożył słuchawkę do drugiej ręki.

— Chciałem zapytać, co z chłopakiem, którego zgarnęliście wczoraj z dworca.

— Nie żyje.

— Jak... — urwał, bo właściwie jakie znaczenie miała metoda, za pomocą której chłopiec umarł? Andres, tak jak Aelis, zmęczony był śmiercią i nie miał ochoty wysłuchać kolejnej ponurej i krwawej historii.

— Wiecie przynajmniej, jak się nazywał?

— Nie i raczej się nie dowiemy. Śledztwo zostało zamknięte, od dzisiaj jedynym naszym obowiązkiem jest pomoc przy ewakuacji miasta — głos *caudhariego* był płaski, znużony, ze śladem rozczar-

rowania i tłumionego gniewu.

— Powinniście zainteresować się niejakim Jaiem Delnaazem. Jest teraz w Tanagrze. Myślę, że powiedziała by wam sporo ciekawych rzeczy.

— Mówiłem, że śledztwo zostało zamknięte. Jeśli wiesz, o co w tym wszystkim chodzi, po prostu mi to wyjaśnij. Możemy pogadać koło piątej, będę miał wtedy trochę wolnego czasu.

— Dlaczego nie — zgodził się Nataniel. — Ale wolałbym wcześniejszą godzinę. Tuż przed zachodem słońca mam spotkanie, którego nie mogę przegapić.

\* \* \*

Aelis obudziła się z płytkiej drzemki. Jej pierwszym odruchem było sprawdzenie, czy wszystko jest w porządku: czy wciąż ma amulet, czy miasto nie zasnęło i czy Meric znajduje się gdzieś w pobliżu.

Rozgrzany ciepłem ciała kamyk spoczywał na jej piersi, przez okno wpadały głosy przechodniów, a radio podawało komunikaty dotyczące ewakuacji Getteim. Na razie nie musiała nawet martwić się zachodem słońca, do którego pozostało kilka godzin.

Niepokoili ją jedynie nieobecność Merica.

Wstała z tapczanu, po czym cichutko, na palcach, podeszła pod drzwi jego pokoju. Wewnątrz usłyszała szmer toczącej się rozmowy. Nie rozpoznała słów, a jedynie ton, pełen powagi i chyba także smutku.

Dialog urwał się i Meric otworzył drzwi. Zdążyła odskoczyć w ostatniej chwili.

— Z kim rozmawiasz? — Ciekawie zajrzała za jego plecy. Pokój był pusty. A przecież nie pomyliła się, na pewno słyszała dwa głosy. Przyszło jej do głowy, że Meric mógł rozmawiać z którymś z sąsiadów przez otwarte okno. Kiepskie wyjaśnienie, ale lepsze niż żadne.

— Muszę wyjść — zignorował jej pytanie.

Była dobrze wychowaną panienką, której w dzieciństwie wbito do głowy, że należy szanować cudzą prywatność, nie nalegała więc

na odpowiedź. Poczowała się jednak urażona i dlatego nie zadała drugiego, oczywistego pytania. Jeśli Meric nie chce jej powiedzieć, dokąd idzie, to ona nie zamierzała się wtrącać.

— Poradzisz sobie, prawda? — Ujął jej twarz w dłonie i pocałował. W jego oczach malowało się coś, co nazwać mogła tylko uroczystą powagą. — Wiem, że potrafisz.

Zachichotała, bez powodzenia próbując obrócić wszystko w żart.

— Czy ty się ze mną żegnasz, Meric? Bo czuję się jak te kobiety z programów radiowych, których mężowie wyszli rano po mleko i zniknęli na dwadzieścia lat.

Uśmiechnął się lekko.

— Niepotrzebnie.

Cholera, to nie oznaczało nawet, że on wróci. Potrzebowała stanowczego zapewnienia, że wszystko jest w porządku, i nie dostała go. Uczepiła się więc tego, co miała. Bo przecież skoro powiedział „niepotrzebnie” i nawet się przy tym uśmiechnął – czy to naprawdę był uśmiech? – to znaczy, że nie dzieje się nic złego.

Uściskał ją, przytrzymując w ramionach o chwilę za długo, by mogło ją to uspokoić, a potem wyszedł.

Aelis przygryzła wargę. Całym sercem żałowała, że nie jest inna, mniej konwencjonalna, że nie potrafiła przełamać się i wymusić odpowiedzi, o co tu, u diabła, chodzi. Meric powiedziałby jej, gdyby tego zażądała, była pewna. Niemal pewna, bo przecież było za późno, by się o tym przekonać.

\* \* \*

Następną godzinę Aelis spędziła, chodząc nerwowo z kąta w kąt i daremnie próbując uciszyć pełne lęku myśli.

W chwili gdy niemal już straciła nadzieję, zabrzączał dzwonek.

Podbiegła do drzwi z ulgą, uśmiechnięta i gotowa rzucić jakiś żart, który w jednej chwili przywróci właściwy porządek i wymaże z rzeczywistości minioną godzinę.

— Meric...

— Przykro mi, kotku, to tylko ja.

Na progu, szczerząc wesoło zęby, stał wysoki, ciemnowłosy

mężczyzna, bardzo przystojny dzięki sporej domieszce elfiej krwi. W ręce trzymał papierową torbę, z której wystawała kiść bananów.

— Wejdz, tato.

W każdej innej sytuacji ucieszyłaby się, że go widzi. W każdej, ale nie teraz. Musiał zdawać sobie z tego sprawę, bo uśmiech na jego twarzy zmienił się w ciepły i współczujący. Rissien był czarującym draniem i oszustem, ale na swój sposób potrafił też być wrażliwy.

— Przyniosłem trochę ciastek i owoców. Nie masz pojęcia, ile mnie kosztowało, aby je zdobyć. Większość sklepów jest pozamykana, w niektórych złodzieje zdążyli już wytłuc szyby i rozkraść towar. W mieście panuje istne pandemonium, jakby to nie był koniec Getteim, tylko całego świata. — Schylił się, by spojrzeć uważnie w jej twarz. — Aelis, twoje oczy...

— Wiem. Nie pytaj, co się stało — wymruczała.

— A poczęstujesz swojego staruszka kawą?

— Jasne.

Poszedł za nią do kuchni i patrzył, jak parzy kawę. Nie zmienił się nic od czasu, gdy ostatni raz go widziała. Nie wątpiła, że wciąż ma powodzenie u kobiet i wciąż żyje z pieniędzy, które nieopatrznie mu powierzają. Wszystkie tak łatwo dawały się nabierać na jego przystojną twarz, śnieżnobiały uśmiech i nienaganne maniery. Jedyłą, która przejrzała Rissiena na wylot, była matka Aelis. Przejrzała go, a potem zaakceptowała i nigdy nie próbowała zmienić. Nie buntowała się, gdy flirtował z jej koleżankami, zniknął na całe dni ani nawet gdy przyciśnięty biedą wynosił z domu rodzinne srebra. Niezależnie od tego, czy przychodził do domu po dniu uczciwej pracy, czy też po kilku miesiącach wracał z więzienia, gotowa była powitać go w progu uśmiechem i pocałunkiem, a potem podać gorący obiad. Aelis kochała ojca – jego urokowi nie sposób było się oprzeć, natomiast matką gardziła z dziecięcą bezkompromisowością. Potem zmieniła zdanie. Jej matka wiedziała, czego chce, a chciała właśnie Rissiena. I zdawała sobie sprawę, że aby go zatrzymać, musi dać mu całkowitą wolność. Zamiast marzyć o gwiazdce z nieba, zadowolili się tym, co mogła dostać, i była szczęśliwa. Nie miała wiele, ale i tak więcej, niż udało się osiągnąć

Aelis.

Z dwiema filiżankami kawy wrócili do pokoju. Rissien położył na stole opakowanie kardamonowych ciastek, po czym rozerwał je, nie kłopotząc się wykładaniem słodyczy na talerzyk.

— Chciałem zaproponować ci wyjazd do Arlenu — powiedział, wybierając ciastko, na którym było najwięcej lukru. — Ze mną, jeszcze dziś, przed zachodem słońca.

— Nie mogę. — Potrząsnęła głową. — Mam tu do załatwienia parę spraw.

Wciąż nie traciła nadziei. Meric wróci, razem odnajdą Nataniela i przemówią mu do rozsądku, a anioł Joel ocali miasto, które podobno tak bardzo kocha. Musiała w to wszystko wierzyć.

— Co tu można jeszcze robić? — Rissien lekko unióś lewą brew. Czasem unosił lewą, a czasem prawą i Aelis nigdy nie wiedziała, od czego to zależy. — To miasto ginie, lada moment nadejdzie kolejny Znak.

— O to nie muszę się martwić. Mam amulet, który uchroni mnie przed sennością. Dostałam go od anioła, więc powinien być skuteczny.

Rissien skinął ze zrozumieniem. Był znacznie starszy, niż świadczył jego wygląd, a Aelis przywykła uważać to za zaletę – dzięki temu mało co dziwiło i nie zadawał zbędnych pytań.

— Nadal pracujesz dla Nataniela Andresa?

— Owszem.

— Nigdy nie ufałem temu facetowi.

— To... — Aelis zawahała się — to nie jest zły człowiek.

Jeszcze niedawno powiedziałyby po prostu „to dobry człowiek”. Jedno słowo, a tak duża różnica. „Nie jestem miły”, powiedział Andres, gdy spotkali się po raz pierwszy, i był to rodzaj skomplikowanego, piętrowego oszustwa. Bo przecież jeśli ktoś sam twierdzi, że nie jest miły, i w dodatku mówi to z uśmiechem, to każdy odruchowo zakłada, że wręcz przeciwnie, to musi być bardzo miły człowiek. Nataniel Andres chciał być uczciwy, lecz sam o tym nie wiedząc, posłużył się prostą sztuczką psychologiczną i oszukał Aelis znacznie skuteczniej, niż gdyby skłamał.

Rissien zauważył zakłopotanie córki. Odłożył filiżankę i sięgnął

po ananasa.

— Jeśli znajdziesz jakiś nóż, obierzemy go i się podzielimy. Pamiętam, że zawsze lubiłaś owoce.

Tym razem został w pokoju, gdy poszła do kuchni i zaczęła przetrząsać szuflady. Aelis nie miała ochoty na ananasa, ale chciała się czymś zająć – na przykład poszukiwaniem odpowiednio dużego i ostrego noża. Pamiętała, że ma taki, choć rzadko go używała.

Znalazła nóż w dolnej szufladzie, wyciągnęła rękę i natychmiast ją cofnęła.

Ciepłe, mdlące uczucie wypełniło jej żołądek. Patrzyła na ostrze i wyobrażała sobie, jak tnie skórę i sięga głębiej, aż do mięsa i kości. Krew, dużo krwi i bólu.

Na zewnątrz wył klakson motorówki, głuszając wszystkie inne dźwięki.

Zamknęła oczy, desperacko starając się nie myśleć o rozcinanym ciele. Dziś coś podobnego zdarzyło się już kilka razy. Wrząca woda, która parzy, szyba, której odłamki ranią, samochód, pod który można wpaść. Nawet ostre rogi stołu sprawiały, że myślała o upadku i pękniętej czaszce. Wcześniej nawet nie przypuszczała, że śmiertelnej istocie tak łatwo jest zrobić krzywdę.

Klakson nadal wył, nie z przerwami, jak to bywa, gdy prowadzący się irytuje, lecz monotonnie, jakby... jakby stracił przytomność i uderzył czołem w przycisk?

Stracił przytomność albo zasnął.

Aelis wpadła do pokoju. Rissien siedział nieruchomo z zamkniętymi oczami i odchyłoną do tyłu głową.

— Obudź się, tato! Proszę cię, obudź się!

Gdy szarpnęła go za ramię, jego ciało przechyliło się i wolno, niczym tonący statek, opadło na kanapę. Nosem trafił w środek miękkiej poduszki i został w tej pozycji, niezdolny podnieść się o własnych siłach.

Udusi się, udusi! – wrzeszczała panika w głowie Aelis.

Z trudem zdołała odwrócić go tak, by mógł swobodnie oddychać, i dopiero wtedy zaczęła racjonalnie myśleć. Drżącymi, zimnymi jak lód palcami objęła nadgarstek śpiącego. Puls bił równomiernie, lecz dziewczyna nie miała wątpliwości, że nie jest to natu-



ralny sen. To rzeczywiście bardziej przypominało utratę przytomności.

Wsunęła dłoń pod bluzkę – amulet był tam, gdzie powinien być. Przymknęła oczy, czerpiąc z niego siłę. Stopniowo jej serce przestało tłuc się jak oszalone, oddech wyrównał się i uspokoił.

\* \* \*

Buczący głos klaksonu dobiegał z motorówki, która utkwiała przy betonowym nadbrzeżu. W kabinie siedział siwowłosy mężczyzna zgięty wpół, jakby nagle chwycił go atak mdłości. Aelis zeszła po schodkach, jedną ręką przytrzymała łódź, a drugą przez otwarte okienko sięgnęła do wnętrza. Szarpnęła mężczyznę, który osunął się na bok, i przeraźliwy dźwięk wreszcie umilkł.

Na chodniku spali getteimczycy. Dwóch postawnych, ubranych w kolorowe szaty faunów obok chłopaka i dziewczyny, którzy tulili się do siebie, dalej rudowłosa elfka i staruszek trzymający w garści smycz psa. Pies spał również. Wokół załadowanego do połowy wozu leżała cała rodzina gnomów: matka, ojciec, babcia i trzech synów. Jakaś kobieta, upadając, przewróciła wózek, z którego wypadło dziecko. Aelis podniosła je, otuliła kocami i zniosła pod dach, do najbliższego sklepu, gdzie było cieplej niż na zewnątrz. Nic więcej nie mogła zrobić.

Potem objęła spojrzeniem kanał, szukając unoszących się na wodzie ciał. Łatwo mogło się zdarzyć, że ktoś zasnął w łódce i wypadł. Szczęściem jednak nie było nikogo takiego – przynajmniej nie w zasięgu jej wzroku.

Weszła do kawiarni, z której dobiegał szum radia. Upadając na stoliki, wiele osób przewróciło filiżanki; kawa i herbata rozlały się szerokimi plamami po żółtych obrusach i ściekały na podłogę. Na środku leżała młodziutka nimfa w fartuszkach kelnerki, jej włosy z jednej strony zlepione były kremem z jakiegoś ciastka.

Aelis znalazła telefon i podniosła słuchawkę. Tak jak się spodziewała, nie było sygnału. Telefonistki z centrali również musiały spać. Pokręciła jeszcze gałką radia, lecz nie usłyszała nic prócz szumu i trzasków.

Na zewnątrz zimny podmuch wiatru uderzył ją w twarz, drobinki kurzu wpadły do oczu. Mrugając, spojrzała w niebo. Było szaroniebieskie, jak zawsze jesienią, ale dzięki Bogu niezachmurzone.

Rękawem wytarła łzy. Drżała z zimna, bo wybiegając z domu, zapomniała zabrać płaszcz. Nie chciała jednak wracać. Bała się, że widok leżącego bezwładnie ojca odbierze jej resztki odwagi.

Ruszyła w stronę domu Andresa. Najpierw szła, potem, gdy zobaczyła kamienicę, zaczęła biec. Na klatkę schodową wpadła zdyszana, z trudem łapiąc oddech. Załomotała do drzwi.

— Jesteś tam, Nataniel? Otwórz, proszę cię! To ja!

Wewnątrz panowała cisza, tak samo zresztą jak w całym budynku. Aelis szarpnęła klamkę, czując, jak po jej twarzy znów zaczynają spływać łzy. Może Nataniel zdjął amulet i śpi, przyszła jej do głowy paskudna myśl, za którą zjawiała się druga, jeszcze gorsza.

Może w ciągu tych kilku chwil, gdy waliła w drzwi Andresa, aniołowie zabili śpiących getteimczyków i teraz Aelis jest jedyną żywą osobą w całym mieście.

Nie zastanawiała się, na ile jest to prawdopodobne. Po prostu wypadła na zewnątrz z oczami pełnymi paniki. Chciała się pochylić nad leżącym na chodniku mężczyzną, zamiast tego jednak potknęła się i runęła na niego, przygryzając sobie język. Z jej gardła wydobył się chrapliwy, obcy krzyk. Dziewczyna niezdarnie, na czworakach, odpełzła pod ścianę, gdzie skuliła się i zamknęła oczy.

W ustach czuła słony smak krwi i przez chwilę skupiła się na ważnym problemie, czy ma ją połknąć, czy wypluć. Trzęsła się, jęczała i próbowała podjąć decyzję.

Lecz przecież w ciągu tych kilku sekund, gdy leżała na bezwładnym ciele, zdążyła zauważyć, że facet oddycha. To już było coś.

Uspokój się, nakazała samej sobie surowo, po czym postanowiła, że policzy do dziesięciu. Policzy, a później wstanie i pójdzie dalej.

Gdy dotarła do ósemki, krwi w jej ustach było już tak dużo, że musiała coś z nią zrobić. Splunęła więc na chodnik, otarła usta i przy okazji załzawione oczy.

Doliczyła do dziesięciu, wstała i skierowała się w stronę Calan-

hoe.

\* \* \*

— Aelis?

Drzwi były otwarte, w mieszkaniu panowała cisza.

— Aelis? — powtórzył Andres, myśląc jednocześnie, że być może dziewczyna nie odzywa się, bo wciąż jest na niego wściekła.

— Przyszedłem pogadać... Cholera, naprawdę uważam, że przynajmniej powinniśmy się pożegnać...

Uśmiechnął się smętnie do samego siebie. Kto by przypuszczał, że jedno proste słowo może brzmieć tak ponuro? Ona wróci do Arlenu, a on do Tanagry – innego wyjścia nie było, żadne z nich przecież nie miało zamiaru ginąć na gruzach Getteim.

W pokoju gościnnym spał mężczyzna, w którym Nataniel rozpoznał ojca dziewczyny. Poza tym mieszkanie wyglądało na puste.

— Wciąż jesteś na mnie zła? — zapytał detektyw na wszelki wypadek, gdyby Aelis mimo wszystko znajdowała się gdzieś w pobliżu. Czekaając na odpowiedź, zmrużył oczy; głęboka, posępna cisza dzwoniła mu w uszach. — Jeśli ci zależy...

Urwał, nagle czując się jak idiota. Gadał do ściany, podczas gdy Aelis dawno już opuściła dom. Pewnie poszła w kierunku Arlenu, pomyślał, bądź co bądź to rozsądna dziewczyna. Poczul ulgę i jednocześnie rozczarowanie, niemal rozpacz. Wszystkie ich nadzieje wzięły w łeb, Getteim zostanie zniszczone, a on nigdy więcej jej nie zobaczy. Wydawało się to zdumiewająco wręcz nierealne, lecz w tym zdumieniu był już załątek przyszłej frustracji i bólu.

Oparł się o stół, odsuwając na bok ciastka. Sięgnął do kieszeni po papierosa i zrezygnował w połowie gestu. W gruncie rzeczy nie chciało mu się palić.

— Skoro sobie poszłaś, to nie ma znaczenia, na czym ci zależy — wymamrotał. — Zróbmy więc to, na czym mnie zależy. Zróbmy przysługę światu i zabijmy tego skurwysyna.

\* \* \*

Dopóki Aelis poruszała się w obrębie El, nie było tak źle. Kłopoty zaczęły się później, gdy zobaczyła pierwsze rozbite samochody, a w nich martwych bądź wykrwawiających się getteimczyków.

Z początku próbowała pomóc tym, którzy jeszcze żyli i do których mogła się dostać. Zatomować krew, odciągnąć od wraków, przykryć czymś, co zapewniłoby choć odrobinę ciepła. Jednak brakowało jej sił, a poza tym uświadomiła sobie, że wszystkim i tak nie zdoła pomóc, a czasu miała mało, coraz mniej.

Domyślała się, dokąd poszedł Meric. Nocna rozmowa Nataniela z Joelem, potem ów tajemniczy dialog, który podsłuchiwała pod drzwiami Merica. Było w tym jakieś podobieństwo, jakaś... niepokojąca równowaga. Dwie tak osobliwe rozmowy przeprowadzone w krótkim odstępie czasu nie mogły być przypadkowe. A jeśli dodać do tego słowa maga Nicodemusa i to, co już wcześniej wiedziała o Joelu...

Z poczuciem winy odwróciła się, by nie patrzeć na rannych, i ruszyła naprzód. Szła szybkim krokiem, starając się utrzymywać równe tempo. Z trudem hamowała ochotę, by zacząć biec. Jej kondycja nie pozwalała na podobny wysiłek.

Zatrzymała się tylko dwa razy. Raz, by ukraść ze sklepu ciepły płaszcz, a drugi, gdy przez otwarte okno usłyszała dźwięk głosów.

Stanęła wtedy i zaczęła wrzeszczeć, starając się zwrócić uwagę rozmawiających. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to płyta z bajką dla dzieci. Od czasu do czasu słyszała też muzykę z szaf grających, szum radia czy warkot wciąż pracujących silników samochodowych, a raz nawet odgłosy niedalekiego wybuchu. Poza tym w Getteim panowała cisza.

\* \* \*

W pustym i mrocznym Domu Bożym Meric Tyren zapalił świecę.

— Proszę o łaskę dla Aelis oraz Nataniela Andresa — powiedział. — Niech będą bezpieczni, szczęśliwi i zdrowi niezależnie od tego, co stanie się z Getteim.

Było mało prawdopodobne, że słowa dotrą do uszu Boga, lecz mimo to sam akt modlitwy pomógł Mericowi, uciszając wyrzuty sumienia, które czuł od ostatniej rozmowy z Aelis. Tylko tyle mógł dla przyjaciół zrobić – prosił dla nich o łaskę, a jednocześnie zegnał się z nimi i godził z tym, co nieuniknione.

Zabrakło mu odwagi, by prosić Boga o pomoc dla siebie.

— Zaopiekuj się Aelis, a także Natanielem Andresem — dodał cicho. — Ja poradzę sobie sam.

\* \* \*

Aelis nie brała pod uwagę, że może nie zastać Indil w domu – po prostu nie dopuszczała do siebie takiej myśli. Nie sądziła jednak też, że tak łatwo ją znajdzie.

Elfka siedziała na ławce w ogrodzie, a jesienne drzewa tworzyły wokół jej sylwetki pomarańczowo-czerwony ornament. Na tle ciepłych barw suknia aktorki wydawała się bardzo błękitna, a jej włosy bardzo złote. Miała minę podróżnego, który czeka na pociąg tak długo, że właściwie przestało mu zależeć na wyjeździe. Nawet nie zauważyła stojącej przy bramie Aelis.

Dziewczyna przyłożyła spocone czoło do zimnego metalu i w duchu odmówiła krótką modlitwę.

Potem szarpnęła żelaznymi prętami.

— Hej! Otwórz mi, proszę.

Indil uśmiechnęła się z ulgą, podeszła do bramy i wdusiła przycisk.

— Cieszę się, że cię widzę. — Delikatnie zmierzwiła włosy dziewczyny. Aelis, która jeszcze niedawno cofnęłaby się urażona, przyjęła ten gest z radością. Ona też się cieszyła.

— Dlaczego siedziałas w ogrodzie z taką dziwną miną?

Elfka westchnęła i zmrużyła oczy.

— Powinnam chyba wymyślić jakąś dowcipną odpowiedź, ale prawda jest taka, że nie mam pojęcia. Masz krew na ubraniu, wiesz o tym?

Zarumieniona Aelis zebrała w garść poły płaszcza, który rozpięła, gdy zrobiło jej się gorąco.

— Próbowałam pomóc rannym — wyjaśniła. — Indil, proszę cię, mamy mało czasu.

Elfka spojrzała na nią uważnie.

— Tak mało, że nie możesz wejść na chwilę, umyć się i napić czegoś ciepłego?

Aelis pomyślała, że pod niektórymi względami Indil bardzo przypomina Rissiena. Tak samo jak on przyjmowała bez zdziwienia wszelkie niespodzianki i nie zadawała zbędnych pytań.

\* \* \*

W złoto-srebrnej, pachnącej lawendą łazience Aelis zdjęła sztywne od krwi ubranie i z ulgą zanurzyła ręce w parującej strudze wody. Stała przez chwilę z zamkniętymi oczami, pozwalając, by gorąco spływało wzdłuż jej ramion aż do dłoni. Najchętniej by się wykąpała, nie chciała jednak tracić czasu, więc tylko obmyła gąbką twarz i tułów. Potem wytarła się niesamowicie puchatym, podgrzanym ręcznikiem i założyła rzeczy, które dała jej Indil. Koszulka sięgała jej do kolan, a sportowe spodenki przypominały egzotyczne szarawary, lecz przynajmniej wszystko było ciepłe i czyste.

Indil czekała na nią w różowym salonie z filiżanką czekolady.

— A teraz powiedz mi, co się dzieje.

— Meric zniknął, a ja domyślam się, dokąd poszedł. Joel... myślę, że on postanowił zabawić się naszym kosztem, a może także po trosze chce się zemścić za to, że wziął Nataniela za anioła... Mniejsza z tym — dodała, widząc zdziwienie na twarzy elfki. — Meric mi o tym opowiadał i jeśli chcesz, powtórzę ci wszystko, bo to dość zabawna historia. Ale później, nie teraz. Teraz chodzi mi o to, że Joel przyszedł do Nataniela, przedstawił się jako Nemuel i powiedział mu, że trzeba zlikwidować Joela, a potem przekonał Merica, że powinien poświęcić własne życie i przy pomocy zaklęcia X zabić Nemuela, ostatniego anioła z Rady, który stoi na drodze do uratowania Getteim. To cholernie podobne do Merica zgodzić się na coś takiego... — wyrzuciła z siebie gwałtownie.

— Owszem, to do niego podobne. Myślisz więc, że to pułapka?

— Z całym szacunkiem dla Nataniela, nie wydaje mi się, aby

jeden anioł prosił człowieka o zabicie drugiego anioła. A Rada pewnie już nie istnieje. Joelowi chodzi po prostu o to, żeby po zmroku Nataniel i Meric znaleźli się w jednym miejscu i pozabijali nawzajem. Albo przynajmniej spróbowali to zrobić. Myślę, że będzie bawić go sytuacja, gdy Nataniel w ciemności weźmie Merica za Joela i zacznie do niego strzelać, a Meric, sądząc, że ma do czynienia z Nemuelem, wypowie zakłęcie.

— Skąd to wszystko przyszło ci do głowy?

— To bardziej prawdopodobne niż zbieg okoliczności, gdy w krótkim odstępie czasu dwoje aniołów, których interesy są sprzeczne, wpada na dokładnie ten sam pomysł i prosi o pomoc dwoje ludzi, i to takich, którzy do tej pory lubili się i działali razem. Poza tym znam charakter Joela.

— Nigdy go nie spotkałaś.

— Nie, ale pamiętam, co opowiadał Nataniel. Gdy na twoim przyjęciu rozmawiał z ludźmi, okazało się, że każdy postrzega anioła inaczej. Dla jednych był uroczym facetem, dla innych wrednym draniem. Te rozbieżności są trochę zbyt duże, by mogły być naturalne.

— Więc...? — Indil zawiesiła głos. Na jej twarzy widać było niepokój. Wierzy mi, pomyślała Aelis z ulgą.

— On udawał. Na użytek różnych osób przybierał różne osobowości i bawił się ludźmi jak pionkami. Potwierdził to wczorajszej nocy mag Nicodemus. Byłam w domu Joela i pamiętam, że już wtedy uderzył mnie wystrój wnętrza, tak zupełnie bezosobowy, że nic się nie dało powiedzieć o właścicielu.

Indil spojrzała na dziewczynę z troską.

— Zdajesz sobie sprawę, że nawet jeśli masz rację, to i tak nie jesteście w stanie nic zrobić? Wiemy, że Meric i Nataniel spotkają się po zmroku, bo ciemność pasuje do planu Joela, ale nie wiemy, gdzie to nastąpi. I nie mamy żadnych szans się dowiedzieć.

— Wręcz przeciwnie, mamy szansę. — Aelis odłożyła filiżankę, wyprostowała się i zaczerpnęła tchu. — Możemy spytać Danisę. To znaczy nie tę Danisę, którą poznałaś, ale inną, tę, która umarła. Widzisz, tyle się działo przez ostatnie godziny, że wszyscy zupełnie zapomnieliśmy o tajemnicy Danisy, o tym, dlaczego pojawiała się

na zdjęciach i dlatego miała taki osobliwy wyraz twarzy. A to jest bardzo ważne. Wtedy, w Teatrze Rozrywki, rzeczywistość rozdzieliła się na trzy ścieżki. To czasami zdarza się w miejscach zwanych Węzłami. Jedna Danisa przeżyła, druga umarła, a jej duch zajął się tym, co dziewczyna tak bardzo chciała robić za życia, czyli występowaniem w filmach. A trzecia w chwili śmierci poznała fragment przyszłości Joela. To także się zdarza. Zobaczyła, że Joel będzie chciał wciągnąć w pułapkę Nataniela, więc próbowała go ostrzec – stąd te zdjęcia. Myślę... myślę, że mogłabym dotrzeć do tej trzeciej dziewczyny, do tego ducha. Danisa pewnie wciąż jest w Getteim – Lou wspominał, że wyjadą dopiero pod wieczór, a nie wierzę, żeby ona wybrała się do Tanagry bez niego.

— Kłopot jednak polega na tym, że Danisa, nawet jeśli wciąż jest w mieście, to śpi jak wszyscy inni.

— Wiem i dlatego właśnie potrzebuję twojej pomocy.

— Słucham. — Elfka wyglądała na zaskakująco spokojną, biorąc pod uwagę całą sytuację.

Aelis zagryzła wargę.

— Nie zgodzisz się.

— Jeśli nie powiesz, o co chodzi, nie zgodzę się na pewno — wyjaśniła aktorka cierpliwie. — Wypróbuj mnie.

Dziewczyna wytłumaczyła, na czym miałyby polegać pomoc, po czym umilkła, czekając w napięciu na odpowiedź.

— Zgoda. — Indil zastanawiała się nie dłużej niż kilka sekund.

— Sądziłam... — Aelis zająknęła się. — Sądziłam, że będę musiała cię przekonywać...

— Jeśli koniecznie chcesz, to możesz przekonywać, czemu nie. Zdaje mi się jednak, że mamy mało czasu?

Zakłopotana dziewczyna skinęła głową. Elfka westchnęła.

— Zaczekaj na mnie, zmienię tylko buty. Jeśli mamy pójść pieszo, wolę to zrobić w odpowiednich butach.

Chwilę później, gdy przechodziły przez wciąż otwartą bramę, Indil położyła rękę na ramieniu towarzyszki.

— Powiedz mi, proszę, czy w mieście jest... bardzo źle?

Aelis zamrugała. Nie znajdowała słów, przy pomocy których mogłaby powiedzieć prawdę i jednocześnie złagodzić przekaz.



— Tak, bardzo źle — stwierdziła więc po prostu.

\* \* \*

Danisy nie było ani w szpitalnej kafejce, ani na piętrze, gdzie leżał nieprzytomny doktor Lou.

Aelis poczuła, jak znów budzi się w niej panika.

— Nie ma jej... nie ma... — Stała na środku sali, trzęsła się i powtarzała w kółko jedno zdanie jak zacięta płyta. Było jej wstyd za samą siebie, ale nie potrafiła przestać.

Indil ujęła ją za ramiona i spojrzała w oczy.

— Postaraj się uspokoić. Znajdziemy Danisę. Pewnie nudziło jej się, gdy Lou zajmował się swoimi obowiązkami, więc poszła do najbliższej kawiarni albo sklepu.

— Przepraszam...

— Nie masz za co przepraszać. Chodźmy.

Na zewnątrz czuć było swąd dymu, znacznie wyraźniejszy teraz, niż kiedy wchodziły do szpitala. Dziewczyna zacisnęła powieki i w myślach policzyła do pięciu, walcząc z kolejnymi przypływami przerażenia.

— Cokolwiek się pali — powiedziała z wciąż zamkniętymi oczami — mam nadzieję, że nie spłonie od tego całe miasto.

— Wydaje mi się, że gdy zapadnie zmrok, ogień zgaśnie — uspokoiła ją Indil, a potem dodała coś, co zabrzmiało już znacznie mniej uspokajająco — albo wcześniej zgasi go ulewa.

Aelis odruchowo spojrzała w niebo. Z zachodu w karnej formacji nadciągały ciemnoszare, nabrzmiące deszczem chmury.

Indil zacisnęła palce na jej nadgarstku.

— Chodź — powtórzyła łagodnie. — Widzę parę sztyldów, które wyglądają obiecująco.

Aelis dała się poprowadzić jak dziecko. Starła się patrzeć w dół, pod nogi, by nie potykać się o rozciągnięte na chodniku ciało. Nie w górę, broń Boże, nie na coraz ciemniejsze niebo.

— Wytłumacz mi jeszcze raz, co zrobisz z Danisą.

Aelis z wdzięcznością podchwyciła temat, choć podejrzewała, że elfka wcale nie potrzebuje tego wyjaśnienia — prawdopodobnie

chciała jedynie zająć czymś jej myśli.

— Obudzę ją, a potem przy pomocy leków, które zabrałam ze szpitala, uspię jeszcze raz, tyle że tym razem będzie to już naturalny sen. Taki, w który będę mogła wejść, by porozmawiać...

Urwała, bo przekroczyły właśnie próg baru.

Chwilę trwało, nim ich oczy przyzwyczyły się do panującego wewnątrz półmroku. Ciała, dużo ciał leżących na podłodze wśród przewracanych krzeseł i pustych kufli. W większości byli to postawni, brodaci i wytatuowani mężczyźni, choć znalazło się też kilka wyzywająco ubranych kobiet, które spoczywały obok swych partnerów z głowami złożonymi na ich szerokich piersiach. Wyglądało to... niemal swojsko, niemal zabawnie.

Indil pierwsza dostrzegła Danisę, która spała pod ścianą zwinięta w kłębek. Dziewczyna także miała na sobie krótką, seksowną sukienkę, lecz w porównaniu z innymi kobietami sprawiała wrażenie dziecka.

Aelis po raz drugi tego dnia odmówiła w duchu dziękczynną modlitwę, po czym spojrzała na elfkę.

— Pomóż mi przenieść ją tam, gdzie nie ma nikogo. Nie chcę, żeby się obudziła i wystraszyła.

Mając do wyboru toaletę męską bądź damską, wybrały tę drugą. Co prawda na środku leżała jakaś kobieta, lecz Indil bez ceregieli złapała ją w pół i wepchnęła do najbliższej kabiny. Potem posadziły Danisę pod ścianą, która, o dziwo, była dość czysta, podobnie zresztą jak ułożona z niebieskich kafelków podłoga.

Za barem Aelis znalazła czystą szklankę. Wrzuciła do niej rozgniecione tabletki i zalała je sokiem pomarańczowym. Gdy mieszała płyn, rozcierając starannie białe grudki, Indil przyglądała się z uwagą.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz — westchnęła. — Pora chyba na ostatnią część, prawda? Zróbmy to tutaj, bo jeśli zasną obok Danisy, biedaczka może po obudzeniu zacząć zadawać niewygodne pytania.

Usiadła wygodnie na podłodze, plecami opierając się o bar. Sięgnęła pod suknię, chwyciła amulet i zatrzymała się w połowie ruchu, gdy już miała przełożyć rzemyk przez głowę. Zerknęła na

leżącego obok brodacza.

— Ufam, że mnie stąd wyciągniesz. Doprawdy, to chyba ostatnie miejsce, w którym miałabym ochotę umrzeć.

— Czasem zazdrozczę ci spokoju ducha. — Aelis uśmiechnęła się lekko.

— Gdy będziesz w moim wieku, też niewiele rzeczy będzie w stanie wyprowadzić cię z równowagi. Przekonasz się.

— Zalety długowieczności?

— Owszem, choć są i wady. Zwłaszcza jeśli ktoś woli towarzystwo ludzi.

— Zdaję sobie z tego sprawę. — Dziewczyna zachmurzyła się. — Będę patrzyła, jak umierają ci, których kocham.

— To, moja droga, jest romantyczny aspekt sytuacji. Mniej romantyczny wygląda tak, że będziesz patrzyła, jak się starzeją, stają coraz bardziej dziecinni, marudni i zazdrośni o twoją młodość.

— Wiem.

— Nie, tak naprawdę jeszcze nie wiesz. Chcesz ten amulet czy nie?

— Chcę.

Indil położyła kamyk na wyciągniętej dłoni Aelis i zacisnęła jej palce. Dziewczyna nie cofnęła ręki nawet wtedy, gdy uścisk zaczął się przedłużać.

Zelżał dopiero po chwili, a głowa elfki opadła na bok.

Aelis, ze szklanką soku oraz amuletem, wróciła do Danisy. Szklankę postawiła obok uśpionej, amulet powiesiła na jej szyi i wsunęła pod ubranie. Czekwała.

Nie miała nawet pewności, że to zadziała. Mogła mieć tylko nadzieję.

Minęło pół minuty, nim Danisa poruszyła się, po czym otworzyła oczy.

To był najtrudniejszy moment. Gdyby oszołomiona nastolatka zaczęła panikować, Aelis nie dałaby sobie z nią rady. Nie miała ani wystarczającej siły fizycznej, ani autorytetu. W świecie Danisy dwunastoletnie dziewczynki liczyły się co prawda bardziej niż domowe sprzęty, ale jednocześnie mniej niż puchate, śliczne i zabawne zwierzątka.

— Lou powiedział, że to cię wzmocni. — Podsuwając szklanę, postanowiła podeprzeć się autorytetem doktora. — Wypij.

— Co się stało? Czy ja... straciłam przytomność? — W oczach nastolatki dostrzegła rodzący się lęk.

— Tak, na chwilę. To nic groźnego, po prostu jesteś przemęczona. Wypij, to ci pomoże. Zaraz wyjeżdżamy z miasta, a Lou powiedział, że musisz nabrać sił.

Teraz wygląd Aelis stał się zaletą. Dla Danisy oczywiste było, że mała dziewczynka jedynie wykonuje polecenia kogoś starszego.

Wypiła sok, odstawiła szklanę i podniosła się.

— Gdzie Lou? Czemu sam do mnie nie przyszedł? I dlaczego jest tak cicho?

Aelis potrząsnęła głową. Jej inwencja skończyła się, gdy Danisa połknęła środki nasenne. Nie wzięła pod uwagę, że tabletki zaczną działać dopiero po chwili i w tym czasie powinna ją czymś zająć.

Nastolatka szarpnęła drzwi toalety i wpadła do baru. Aelis poszła za nią. W gruncie rzeczy to drobne przeoczenie i tak nie miało w tej chwili znaczenia.

Na widok pogrążonych we śnie osób twarz Danisy wykrzywił strach.

— Coś ty zrobiła? — wrzasnęła, zupełnie jakby była to wina Aelis. — Coś ty zrobiła?

Strach zmienił się w przerażenie, gdy ugięły się pod nią nogi i opadła na kolana. Lecz wtedy nie mogła już krzyczeć, potrafiła tylko bełkotać, patrząc z niedowierzaniem na tę, którą uważała za zwykłą dwunastoletnią dziewczynkę.

— Już dobrze... — mruknęła Aelis, po czym pomogła jej ułożyć się wygodnie. — Uwierz mi, proszę, nie zrobiłabym tego, gdybym nie musiała... Śpij i jak najszybciej zacznij śnić, proszę.

Położyła się obok, uspokoiła oddech i licząc miarowo od trzydziestu w dół, zapadła w Sen.

*... środkiem miasta, niczym błękitny i ruchomy chodnik, płynie rzeka. Na jej powierzchni spoczywają ludzie. Niektórzy siedzą ze skrzyżowanymi nogami, inni pótleżą, podpierając rekami głowy. Przed każdym stoi taca z porcelanową zastawą. Ludzie piją herbatę i jedzą słodkie ciastka, podczas gdy prąd unosi ich, skręcając*

w różne dzielnice miasta. W niektórych domy są niskie i zbudowane z drewna, w innych wysokie i szklane. W powietrzu unoszą się ważki, z których każda ma co najmniej łokieć długości. Są kolorowe i przezroczyste, a ich ciała topią się w słońcu jak słodka galaretka.

Przy wysokim szklanym domu stoi ciemnowłosa dziewczyna. Jest jedyną, której stopy nie opierają się o powierzchnię rzeki, lecz zapadają w głąb. Dziewczyna tkwi po kolana w wodzie.

Pochyliła się, przegląda w tafli jak w lustrze i zaczyna malować usta.

— Muszę się przygotować, bo dziś gram w filmie — mówi do Aelis. — Zostaniesz, żeby popatrzeć?

Za jej plecami coś pełźnie po wewnętrznej stronie szklanej ściany, zostawiając za sobą krwawą smugę.

— Nie mogę — odpowiada Aelis. — Szukam drugiej Danisy.

— Tu nikogo innego nie ma, tylko ja. Pożegnałam się z matką, a teraz gram w filmach.

Owo coś na wewnętrznej stronie szyby porusza się zbyt szybko, by mieć pewność, co to właściwie jest. Aelis wydaje się, że to po prostu nagie, zakrwawione dziecko, ale może się mylić.

— Odsuń się, proszę. — Ujmuje Danisę za ramiona i delikatnie popycha w bok.

Szklana ściana pęka. Za nią znajduje się wewnątrz staroświeckiego Domu Bożego. Wierni gromadzą się wokół żelaznej klatki, w której miota się nagi do pasa kapłan. Krzyczy, a wierni wymieniają się zielonymi żetonami, jakby obstawiali zakłady.

Danisa – teraz bez makijażu i znacznie mniej szczęśliwa – stoi pod ścianą. Stara się nie zwracać na siebie uwagi.

Podchodzi do niej starsza kobieta w chustce na głowie, chwyta za dłonie i głęboko nacina nadgarstki. Potem polewa je jakimś żrącym płynem. Wyjaśnia, że to po to, by Danisa nie zapomniała wzniesić rąk, gdy trzeba będzie chwalić Pana.

Ludzie wznoszą ręce i chwalą Pana. Danisa walczy z dłońmi, które podrywają się do góry. Ucieka ze świątyni. Ulicę wypełnia szara jak kurz mgła.

Ludzie, którzy ją ścigają, zamiast twarzy mają kraciaste chusty. Aelis zatrzymuje dziewczynę.

— *Wiesz, kim jestem? — pyta.*

*Danisa kręci głową.*

— *Jestem przyjaciółką Nataniela Andresa, którego próbowałaś ostrzec. Pamiętasz? Wysoki, jasnowłosy mężczyzna...*

— *O tak, pamiętam. Leo go nie lubi, nie wiem czemu, ale tak jest. Zastawił pułapkę... Próbowałam ostrzec jasnowłosego mężczyznę, ale on mnie nie słyszał, nikt nigdy mnie nie słyszy...*

— *Ja cię słyszę i przekażę twoje ostrzeżenie. Powiedz mi tylko, gdzie jest ta pułapka.*

— *Nigdy tam nie byłam — mówi dziewczyna, a potem dodaje — ale znam nazwę tego miejsca.*

\* \* \*

Aelis zabrała Danisie amulet i obudziła elfkę. Gdy wyszły na ulicę, z nieba spadły pierwsze zimne krople.

\* \* \*

Strugi deszczu uderzały w zgięty kark Andresa, tył głowy i ramiona, spływały po włosach i na plecy. Zgarbił się jeszcze bardziej i zaklął pod nosem. Brnął pod wiatr, rozchlapując zabarwioną czerwienią wodę i starając się nie patrzeć na leżące bez ruchu ciała. Nie mógł pomóc wszystkim, a nie chciał wybierać. Poza tym podejrzewał, że wystarczająco dużo kłopotów będzie miał z ocaleniem samego siebie.

Ani przez chwilę nie łudził się, że ulewa może być naturalnym zjawiskiem.

Ogarnęła go pokusa, by zawrócić w stronę Tanagry, przyspieszył więc, by ją zwalczyć. Tylko w ten sposób mógł nadać zagładzie Getteim jakikolwiek sens. Owszem, tłumaczył sam sobie, miasto zginie, za to dokona się sprawiedliwość i będzie o jednego sukina syna mniej. A wysiłek mój i Aelis nie pójdzie całkiem na marne.

Brnął więc pod wiatr, mamrocząc przekleństwa i pielęgnując w sercu coraz niklejszy płomyczek wściekłości.

\* \* \*

Strugi deszczu uderzały w zgięty kark Merica, tył głowy i ramiona, spływały po włosach i na plecy. Zatrzymał się, przymknął oczy i uniósł twarz. Mokre ubranie kleiło się do ciała, lodowaty wiatr przenikał aż do szpiku kości.

Mężczyzna uśmiechał się.

Było mu zimno i bał się, a mimo to uśmiech nie zniknął z jego warg. Chłód, strach, majestat śmierci i przecucie nadchodzącego bólu – upijał się tym jak najlepszym winem, czując jednocześnie, jak krew żwawiej krąży mu w żyłach.

On umrze, a Getteim, jego ukochane Getteim, będzie trwało.

Właśnie teraz Meric Tyren czuł się bardziej żywy niż kiedykolwiek wcześniej; w pewien sposób nawet był szczęśliwy tym mrocznym i bolesnym szczęściem, jakie jest udziałem niewielu ludzi.

\* \* \*

Strugi deszczu uderzały w zgięty kark Aelis, tył głowy i ramiona, spływały po włosach i na plecy. Biegła pochylona, bo tylko tak mogła swobodnie oddychać, czasem spoglądała przed siebie, by nie zgubić kierunku, a wtedy woda natychmiast zalewała jej oczy, nos i usta. Mokry płaszcz, ciężki jak z ołowiu, hamował ruchy, więc po prostu go zdjęła – i tak w jej ubraniu nie było ani jednej suchej nitki. Skórę miała lodowatą, palce sztywne jak kołki, lecz pod warstwą chłodu płonęło gorąco. Dziewczyna miała wrażenie, że do jej płuc ktoś nasypał żarzących się węgli, każdy oddech kaleczył gardło, a w boku odezwał się ostry ból. Biegająca tuż obok Indil, jeszcze przed chwilą okrzykami próbowała dodawać jej otuchy, teraz zamilkła, nie chcąc marnować sił. Ona też zbliżała się do kresu wytrzymałości.

Na szczęście Muzeum Historii Naturalnej było niedaleko. Wpadły pod daszek, który osłaniał wejście. Aelis zgięła się wpół, z trudem łapiąc oddech; Indil, trochę mniej zdyszana, ale też zaczerwieniona z wysiłku, nacisnęła wielką ozdobną klamkę.

Drzwi okazały się otwarte.

W holu minęły rząd pustych kas biletowych i obeszy rozciągnięte na podłodze ciało starego gнома. Ich kroki odbijały się echem od wysoko sklepionego sufitu. Muzeum sprawiało wrażenie opustoszałego.

— Nataniel! — wrzasnęła Aelis. — Meric! Proszę, odezwijcie się, jeśli tu jesteście!

...*éscie*, ...*éscie*, zaszemrał jej własny głos, a potem zapadła głęboka, nabożna cisza jak w świątyni. Nie słyszały nawet bębnienia deszczu o szyby i oszołomiona, wyczerpana Aelis pomyślała, że to już koniec, że ulewa ustała. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że przecież w holu nie ma okien.

Przeszły przez bramkę – teraz zaznaczony strzałką kierunek zwiedzania pokazywał im, że powinny wejść szerokimi schodami na pierwsze piętro, do sali roślin i minerałów.

Indil zatrzymała Aelis.

— Czy Danisa wiedziała, gdzie dokładnie Andres i Meric się spotkają?

— Niestety nie.

— Wygląda więc na to, że musimy przeszukać całe muzeum. Wolisz pierwsze piętro czy drugie?

— Meric! Meric! Nataniel! Odezwijcie się! To pułapka!

Jeszcze przez chwilę Aelis słyszała pokrzykiwania Indil, potem do towarzystwa pozostał jej wyłącznie własny głos. Ile miały czasu? Zbliżał się zachód słońca, a logika podpowiadała, że Andres i Merc zaraz się zjawią – nie mogli przyjść później, bo w ciemności nie znaleźliby drogi.

Deszcz łomotał w okna jak wściekły olbrzym, który próbuje dostać się do środka, na niebie raz za razem zapalały się błyskawice, szyby wibrowały i dzwoniły od głębokich, głuchych pomruków grzmotu. Aelis walczyła z wrażeniem, że ten warkot dobywa się z gardeł wypchanych zwierząt. Czerwone żarówki podkreślały ich groźny wygląd, naprężone grzbiety i wyszczerzone kły. Szakale, lwy i pustynne lisy, większość przedstawiona w pozycji do ataku, niektóre już z łapami na karkach ofiar. Szklane oczy lśniły zielenią. Nie było w nich prawdziwego życia, lecz nie były też do końca martwe. Aelis miała wrażenie, że za chwilę wyjdą na środek sali, by



rozpocząć polowanie.

— Meric! — krzyknęła, odsuwając od siebie podobne myśli.  
— Nataniel! To pułapka!

Biegła wzdłuż wypchanych zwierząt, mijała tablice z rysunkami i szkielety przedpotopowych stworów. Kolejna sala, kolejne ekspozyty. Mrok na zewnątrz gęstniał, lecz żarówki wciąż walczyły z nim dzielnie.

— Meric! — głos miała zachrypnięty, coraz cichszy.

Przystanąła, by złapać oddech, odruchowo spojrzała w okno, choć przez zalaną szybę i tak nie miała szans nic zobaczyć. Łomot deszczu niemal zagłuszał jej własne myśli. Aelis przyszło do głowy, że ci, którzy zostali na ulicy, prawdopodobnie już utonęli, że do rana całe miasto zginie pod wodą. Pojęła, że ona sama może umrzeć, choć do tej pory wyobrażała sobie, że w najgorszym razie, nawet jeśli nie ocali Merica i Nataniela, na piętrze budynku tak wysokiego jak ten przetrwa aż do świtu, a potem spróbuje wydostać się z miasta.

Patrzyła w okno, na szybę, przez którą nic nie mogła zobaczyć, i w tej samej chwili szyba runęła do środka, sypiąc wokół odłamkami. Podmuch wiatru chlasnął Aelis w twarz jak lodowate ostrze. Cofnęła się z cichym okrzykiem. Deszcz już tworzył wokół jej stóp coraz głębszą, coraz większą kałużę, a ona wreszcie mogła spojrzeć w niebo.

Na niebie ciemność pożerała błyskawicę.

Widziała to przez ułamek sekundy, a jednak była pewna: błyskawica nie zgasła, lecz została pożarta przez mrok, najpierw środek, potem rozżarzone do białości rozgałęzienia.

Aelis odwróciła się – w muzeum światło przegrywało walkę z ciemnością, a na końcu sali zobaczyła Nataniela i Merica.

Nataniel trzymał broń, a Meric wyglądał tak słodko, tak niewinnie, że wydawało się, że nikt nie może do niego strzelić. Niemniej Andres strzelił.

Dziewczyna nie zdążyła nawet dobiec i podtrzymać Merica, nim upadł. Jego głowa uderzyła o posadzkę z odgłosem, od którego zrobiło jej się niedobrze.

— Ja... — wyjąkał zszokowany, pobladły Nataniel. — Ja...

widziałem tu Joela, o kurwa, naprawdę go widziałem... To musiała być iluzja...

Iluzja. Dlaczego Aelis nie wzięła pod uwagę tak prostej sztuczki? Anioł nie dowierzał mrokowi, więc nałożył na twarz Merica iluzję, aby mieć pewność, że Nataniel się pomyli. Teraz było za późno, na wszystko za późno. Uklęła obok Merica, przyciskając dłonie do rany na jego piersi. Mężczyzna oddychał płytko, ciepła krew przelewała jej się przez palce.

— Proszę, uwierz mi, nie chciałem... — Niedowierzenie na twarzy Nataniela powoli zmieniało się w przerażenie, a potem w coś jeszcze, co mogło być tylko obrzydzeniem do samego siebie.

Oczywiście, że mu wierzyła, teraz jednak nie miało to najmniejszego znaczenia.

— Odejdź — powiedziała. — Po prostu odejdź.

Ostatnie słowo utonęło w huku gromu. Andres cofnął się kilka kroków, patrząc na dziewczynę błagalnie, z nadzieją, jakby naprawdę się spodziewał, że jej wiara cokolwiek zmieni. Meric umierał, chciał poświęcić się za Getteim, lecz zginął na próżno, i to z ręki człowieka, któremu ufał i którego lubił.

A Nataniel Andres był zabójcą.

— Zaczekam na dole — oznajmił, a ponieważ dziewczyna nie odpowiedziała, powtórzył uparcie — będę na pierwszym piętrze.

Dopiero wtedy odwrócił się i po kilku krokach pochłonęła go ciemność. Zatrzymał się jeszcze – Aelis słyszała w mroku jego niespokojny oddech i wiedziała, że Nataniel czeka, aż ona go zawoła.

Nie zawołała, uniosła tylko dłoń, by odgarnąć włosy, które wpadały do oczu. Na jej policzku pozostał ślad po krwi, której było dużo, coraz więcej, musiała nawet w niej klęczeć, bo spodnie na kolanach przesiąkły ciepłą, lepką wilgocią.

Andres ruszył dalej, aż do schodów.

— Meric — szepnęła Aelis, pochylając się nad umierającym mężczyzną. W ciemności nie widziała, czy jest przytomny, ale była niemal pewna, że jest, musiał być, ponieważ chciała mu coś powiedzieć. Szukała słów, którymi zdoła go okłamać, przekonać, że nie umiera bezsensownie, na skutek idiotycznej anielskiej zabawy. Jednak w głowie miała pustkę.

Meric drgnął i dziewczyna pochyliła się niżej, niemal dotykając policzkiem jego ust.

— Niektórzy mówili... — usłyszała chrapliwy szept — że mój ojciec zawarł pakt z diabłem, a on... śmiał się... i powtarzał... że gdyby musiał... toby... to... zrobił... Dla Get... — Grzmot zagłuszył część słowa, lecz Aelis wiedziała doskonale, co Meric chciał powiedzieć.

Wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy. Sądziła, że szuka w ten sposób pocieszenia, ciepła drugiego człowieka. Dopiero po chwili pojęła, że on ją odpycha.

Cofnęła się z sercem tak obolałym, że nie mogło znieść tego ostatniego rozczarowania.

— Idź — powiedział odrobinę wyraźniej. — Przynajmniej... spróbuj. Joel... Mną się nie przejmuj teraz... Idź, zanim będzie za późno.

Zebrał resztki sił, raz jeszcze sięgnął do jej twarzy, pieśczołtliwie przesunął palcami po policzku, a potem odepchnął.

Aelis wstała.

Jeśli anioł nałożył iluzję na twarz Merica, to prawdopodobnie był gdzieś w pobliżu.

— Joel? — rzuciła niepewnie w ciemność.

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

— Tu jestem.

Ostrożnie wymacując drogę, ruszyła w stronę źródła dźwięku. Mrok był tak gęsty, że dziewczyna momentami czuła się, jakby pływała głęboko pod powierzchnią rzeki, tam gdzie woda jest czarna jak smoła. Szyby dygotały od łomotu piorunów, które uderzały raz za razem.

— Gdzie...? — szepnęła.

Jedno z okien rozjarzyło się błękitną poświatą. W jej blasku ujrzała błyskawicę rozpiętą między skrzydłami.

Tak właśnie odebrała to w pierwszej chwili.

Przykucnięta na parapecie sylwetka, nagie ciało, tak niesamowicie szczupłe, że zdawało się składać z samych mięśni i skóry, po której pełzały błękitne iskry. Twarz trójkątna, biała jak rozżarzone włókno żarówki, oczy jak ciemne tunele, przez które można zoba-

czyć odległe światy. I czarne skrzydła. Nie człowiek, nie żadna istota śmiertelna. Anioł.

Zamknęła oczy. Wypalony na wewnętrznej stronie powiek obraz gasł nieznośnie powoli.

— Czego chcesz?

— Czy mógłbyś... czy mógłbyś ocalić Getteim?

— Tak.

To nie mogło być tak proste. Aelis czuła, jak zalewa ją fala rozpaczy.

— Nie mam nic, co mogłabym ci ofiarować w zamian.

— Nie potrzebuję niczego. Wystarczy, że poprosisz.

Nawet teraz nie pozwoliła sobie na radość. To mogła być kolejna pułapka. To prawdopodobnie była kolejna pułapka.

Anioł milczał, gdy próbowała opanować chaos myśli.

— Czy... czy jesteś teraz jedynym aniołem z Rady? — zapytała o cokolwiek po to tylko, by zyskać na czasie. Bała się, że Joel odejdzie, jeśli szybko nie podejmie decyzji.

— Tak, choć jest kilku niższych rangą aniołów, którzy poparli mnie w odpowiedniej chwili i którym winien jestem wdzięczność. Obiecałem podzielić się z nimi władzą, lecz jeśli ocalę Getteim, to będzie tylko i wyłącznie moje miasto.

— Złamaliście nakaz Boży, miało was być trzynastu... — Skuliła się przerażona własną śmiałością. Oskarżała istotę, która bez najmniejszego trudu potrafiła zrównać z ziemią całe miasto.

— Bóg już od dawna nie interesuje się tym światem — w głosie anioła zabrzmiało coś jakby śmiech. Mimo to Aelis nadal nie miała odwagi ani otworzyć oczu, ani nawet głębiej odetchnąć.

Pojęła, że nie ma żadnej pułapki. To on sam, Joel, był pułapką. Morderca małych dzieci, intrygant, anioł, diabeł, który bawił się ludźmi jak pionkami. Jeśli Getteim przetrwa, będzie dla niego tym, czym plac zabaw dla okrutnego, kapryśnego dziecka.

Z drugiej strony mag powiedział, że Joel dotrzymuje słowa. Prośba oznaczała dla miasta drugą szansę. Aelis podniosła dłoń do policzka i wyczuła pod palcami zaschniętą smugę krwi. Meric prawdopodobnie już nie żył, a jej nie było przy nim, gdy umierał. Odeszła, ponieważ on tego chciał.

Merica poprosiłyby anioła o ocalenie miasta. Bez względu na późniejsze konsekwencje.

— Nie mogę obiecać, że ja albo Nataniel Andres nie będziemy próbowali... zrobić ci krzywdy. — W porównaniu z nieludzką sylwetką, jaką przed chwilą ujrzała, zabrzmiało to dziecinnie i głupio. Jednak musiała to powiedzieć.

— Nie żądam takiej obietnicy. — Wyobraziła sobie, że anioł uśmiecha się szyderczo.

Potem otworzyła usta, zbierając całą swoją odwagę do wypowiedzenia jednego słowa.

— Proszę...

Deszcz ucichł, dziewczyna powoli uniosła powieki. Mrok nie był już tak gęsty, mogła teraz zobaczyć jaśniejszy prostokąt okna na tle ciemności.

Pustego okna. Joel zniknął.

Wyrzała na zewnątrz. W niektórych domach po prawej stronie ulicy paliły się światła. Lewa strona – ta, gdzie znajdowało się muzeum – nadal była ciemna. Być może deszcz zniszczył transformator. Chwilę trwało, nim Aelis zobaczyła pierwsze błyski latarek i usłyszała pierwsze głosy.

Potykając się, wróciła do Merica.

— Udało się — szepnęła, choć nie mógł już jej usłyszeć.

Położyła się obok; jej ciało było równie zimne jak jego. Dopiero teraz poczuła cały ciężar rozpacz i ból w sercu tak ostry, że na moment straciła oddech. Rozpląkała się z twarzą ukrytą na ramieniu mężczyzny, szlochała i dygotała, podczas gdy mokre ubranie lepiło jej się do skóry. Po chwili, gdy wyczerpana uspokoiła się odrobinę, pomyślała, że byłoby ponurą ironią losu, gdyby po tym wszystkim umarła na zapalenie płuc. Mimo to nie spróbowała zejść na dół i odszukać Andresa czy Indil. Obejmowała Merica, tuląc się do niego. Tylko teraz, tylko w ten sposób mogła być przy nim. Wstała nad ranem.

W szarówce świtu twarz Merica wydawała się spokojna; zmarły wyglądał niemal na szczęśliwego i dziewczyna pomyślała, że być może słyszał jej rozmowę z Joelem i żył na tyle długo, by dowiedzieć się, że miasto zostanie ocalone. Bardzo chciała w to wierzyć.

Nataniel Andres zabił Merica, ona oddała diabłu Getteim. Była w tym pewna równowaga winy, która sprawiała, że być może będą mogli sobie nawzajem wybaczyć. Tylko być może, ale mimo wszystko istniała szansa. Pożegnała się więc z Merikiem. Najwyższa pora...

# Dzień dwunasty

*... lecz teraz będzie mi lepiej.*

Dalszy fragment listu napisanego  
przez Merica Tyrena przed jego drugą próbą samobójczą

... odnaleźć Nataniela i powiedzieć mu, że ocalił Getteim.

**Koniec**